

Linda Francis Lee

*W pułapce
przeznaczenia*

Prolog

Boston, 1892

Nikt, kto poznał Sophie Wenworth, nie potrafił jej zapomnieć, mimo to Grayson Hawthorne wprost wyłaził ze skóry, aby tego dokonać.

Teraz rozpierał się w fotelu za masywnym biurkiem w swoim gabinecie na Boylston Street i złożywszy przed sobą silne dłonie, rozmyślał o Sophie.

Kiedy oboje byli młodzi, dziewczyna włączyła się za nim z wytrwałością wiernego psa. Była jakaś niezdarna, w ogóle o siebie nie dbała - zwykle miała podrapane kolana, kręcone włosy sterczały jej na głowie we wszystkich możliwych kierunkach, poza tym ciągnęła za sobą wszędzie swoją dziecięcą wiolonczelę. Uznawano ją za dziwaczkę. Nie o takich córkach marzyła bostońska śmietanka towarzyska.

Ale jako kobieta dorosła Sophie była urzekająca. Nie tyle piękna, ile wprost fascynująca.

Grayson wpatrywał się w otwarte czasopismo leżące na jego biurku. „The Century” było jednym z tych nowych tygodników, które zdobyły wielką popularność wśród gawiedzi. Każdy numer wypełniały przeróżne pikantne historyjki o sławnych ludziach, uświetniane realistycznymi rycinami w kolorze brązowym.

Bostońska socjeta nie plamiła się czytaniem podobnych rzeczy. Dziwnym trafem jednak rozkładówka o Sophie stanowiła najważniejszy temat rozmów w czasie każdego spotkania towarzyskiego, od chwili kiedy pismo pojawiło się w stoiskach.

Marnotrawna córka Bostonu dorosła i stała się sławna. Grayson omal nie uśmiechnął się na myśl, że Sophie potrafiła narobić takiego zamieszania. Ale skoro musiała już zyskać sławę, to całe szczęście, że zrobiła to jako świetna wiolonczelistka, a nie prowokacyjna szansonistka lub wyzdana aktoreczka.

Przemknęło mu przez myśl, że odkąd Sophie doszła do pełnoletności, nigdy jeszcze nie był na żadnym z jej występów. W gruncie rzeczy chyba nikt w Bostonie nie chodził na nie. Lecz z drugiej strony, czy istnieje tak wiele sposobów gry na wiolonczeli?

Grayson nie widział Sophie jako kobiety dorosłej aż do zeszłego roku, kiedy w trakcie przyjęcia wydanego z okazji urodzin jej ojca spóźniona wpadła jak burza, wirując w atłasowej pelerynce, migoczącej sukni i blasku klejnotów, które nosiła na uszach i szyi. Przestała już być niezgrabnym podlotkiem.

Sophie ucałowała ojca w oba policzki i wzięwszy go pod rękę, przenikliwymi spojrzeniami poskromiła otaczających ich zarozumiałców. Z uśmiechem na twarzy, z nieodłącznym uśmiechem na twarzy.

Grayson sądził, że jego serce już dawno zamieniło się w kamień, że nie zabrakło już w nim miejsca na uczucia. Na widok Sophie uległ jednak wrażeniu, że coś się w nim zmieniło, że pochłonęła go jakaś nieubłagana, pierwotna i brutalna siła.

Od tej chwili Grayson nie potrafił o Sophie zapomnieć.

Właściwie nie powinno go to dziwić. Zerknął na drugi koniec gabinetu, gdzie stała drewniana wypolerowana skrzynka; na przytwierdzonej u góry mosiężnej tubie odbijało się poranne słońce. Patefon czy też maszyna mówiąca, jak go powszechnie nazywano. Grayson miał tę skrzynkę od lat - codziennie patrzył na nią, choć czasami bronił się przed wzruszeniem, jakie w nim budziła.

A przecież nie potrafił jej się pozbyć - z powodu kilku

słów wyrytych na cynowym bębnie. Słów, które Sophie wypowiedziała dawno temu, a których Grayson nie mógł wymazać z pamięci. Patrząc teraz na mówiącą maszynę, przyznał wreszcie, że chyba już nigdy ich nie zapomni.

Tymczasem odwrócił się, sięgając po teczkę, która leżała na blacie orzechowego biurka. Ojciec Sophie, Conrad Wentworth, postanowił dyskretnie sprzedać rodzinną siedzibę Wentworthów, Łabędzia Grację. Od jakiegoś czasu Grayson miał ochotę na tę rezydencję z czerwonej cegły i białego wapienia, stojącą przy Commonwealth Avenue. Teraz spoglądał przez okno na ruchliwą, wypełnioną dylizansami ulicę, i przyznawał w duchu, że ma ochotę także na córkę Conrada.

Pociągała go pasja Sophie, jej zdolność odważnego szarżowania przez życie.

Na wargach Graysona zaigrał wymuszony uśmiech. Wcale by się przy niej również nie nudził.

Wyjął z teczki dokument i dokładnie przeczytał każdą linijkę, jakby zaledwie kilka dni temu sam nie naszkicował intercyzy.

Wszystko było w idealnym porządku.

Ale kiedy skończył lekturę, zawahał się, jak postąpić. Jeśli umieści własne nazwisko na tych kartkach papieru, odmieni swoje życie raz na zawsze.

Nagle stanęła mu w pamięci Sophie. Dotyk jej ciała, kiedy trzymając ją w ramionach tańczył z nią na balu. Piękne brzmienie jej śmiechu.

Grayson wyszarpnął pióro z obsadki i złożył podpis.

Nie było już odwrotu. Za kilka miesięcy Sophie Wentworth powróci do Bostonu, aby zostać jego żoną.

1

Wiedeń

Światła pogasły.

Zgiełk głosów w bogato złotoczonej sali opadł do cichego szmeru oczekiwania. Sophie Wentworth stała za szeroką, aksamitną kurtyną i chłonęła ludzkie pragnienia. Bez-względne i silne.

Powolnie i niemal zmysłowo, niczym suknia rozpinana silnymi męskimi dłońmi, kurtyna zaczęła się rozsuwać. Wprawdzie Sophie znajdowała się na scenie, stała jednak w absolutnej ciemności. Serce waliło w jej piersiach, wiro-wało w niej uczucie podniecenia i szalonej radości z tego, co ją za chwilę spotka. Oczyma wyobraźni widziała ocean twarzy kryjących się w mroku, oblicza setek ludzi, którzy wypełnili salę koncertową, czekając na jej popis.

Nagle stało się, Sophie ogarnął pierwszy strumień jaskra-wego światła, pobłyskując w jej zaczesanych do góry włosach i odbijając się od czarnej atłasowej pelerynki, którą miała na ramionach, a tłum eksplodował salwą ogłuszających braw.

Sophie uśmiechnęła się do światła i odrzuciwszy głowę do tyłu, jakby chłonęła blask słońca, ze ściśniętym gardłem dawała się porwać euforii.

Były to chwile, dla których żyła Sophie - dla fal podnie-cenia przelewających się przez publiczność na jej widok.

Jej pierwsze tournee dobiegło właśnie końca, w minio-nych miesiącach wzięła szturmem Paryż i Sztokholm, Salz-burg i Genewę. Wielbił ją nawet Londyn mimo swych su-rowych wiktoriańskich obyczajów.

Pozostał tylko Wiedeń, prawdziwy klejnot w koronie muzycznego świata. W tym mieście tworzyli i grali najwięksi geniusze. Bach i Beethoven, Mozart i Mendelssohn.

Teraz ona także miała tutaj grać.

Stała nieruchomo w Wielkiej Sali wiedeńskiej Musikverein, a ogłuszający huk oklasków napełniał jej duszę szczęściem. Sześć miesięcy temu, gdy wyruszała na tournée, było zupełnie inaczej. Początkowo grała tak, jak ją nauczono, czysto i kulturalnie - tak jak trzeba. Ale krytycy zjechali ją w prasie, nazywając kolejnym byłym cudownym dzieckiem, które wydobywa z wiolonczeli anemiczne i uciészne dźwięki.

Sophie jednak zmieniła to wszystko, przeobraziła swój spektakl. Sama była zaskoczona, jak bardzo rozkoszuje się zmianą. Pokochała ekstrawaganckie suknie i błyszczące klejnoty. Dramaturgię. Silny dreszczyk zmysłowego podniecenia.

Boston niewątpliwie oniemiałby z wrażenia, gdyby zobaczył jej występ teraz. Sophie zaczynała odczuwać tremę, ale szybko opanowała niepokój. Boston to już przeszłość. Jej przyszłością była Europa.

Wyzbywszy się resztek obaw, zrzuciła z ramion atłasową pelerynkę, którą nosiła na szkarłatnej sukience. Na widok kremowobiałej skóry odcinającej się w głębokim dekolcie publiczność siedząca w pluszowych fotelach amfiteatru i w wytwornych łóżach przystrojonych balkonów wstrzymała oddech.

Sophie bezbłędnie rozpoznała moment, w którym widownia zapragnęła jej jeszcze bardziej.

Uczucie pewności siebie wypełniło jej duszę niczym wino nalewane do kieliszków. Wyjęła instrument z futerału i dyskretnym skinieniem głowy dała znak pianiście, by wyszedł na scenę. Szmer ekscytacji ustał nagle i salę koncertową zaległa cisza, niczym niezmacona głucha cisza - nie było słyhać nawet jednego szeptu.

Kiedy siadała z gracją wytwornej damy i bez pośpiechu wciągała wiolonczelę między nogi, co jeden z najwytrwalszych jej wielbicieli nazwał prowokacyjną mieszaniną zu-

chwałęj rozwiążności i gwałtownego roznamiętnienia, Sophie wyczuwała swoją publiczność, wyczuwała jej nastrój oczekiwania na podobieństwo fizycznego kontaktu.

Wydawało się, że nikt już na sali nie oddycha. Sophie uniosła smyczek i przymknęła powieki w krystalicznie czystej przestrzeni idealnej ciszy, rozkoszując się chwilą, kiedy publiczność wyteża słuch.

Wreszcie zaczęła, ludzkie twarze i nabożne uwielbienie przestały się liczyć, cały świat poszedł w zapomnienie, kiedy zamasytym gestem przyłożyła smyczek do strun i zagrała olśniewające tony G-dur skocznej, popularnej melodii, która od razu podbiła serca wszystkich ją słuchających i oglądających. Sophie grała z taką pasją i wdziękiem, że nikt z obecnych nie zdawał sobie sprawy, że utwór nie jest technicznie zbyt trudny - że jest całkowicie odmienny od utworów, które wykonywała w czasach, gdy świat uważał ją za cudowne dziecko. Nigdy więcej Beethovena. Koniec z uwielbianym Bachem.

Następnie Sophie zagrała wiązanek ulubionych arii operowych opracowanych na wiolonczelę, przeplatając je chwytającymi za serce walczykami. Ostatnią niezdobytą jeszcze twierdzą Europy podbiła do reszty, śmigając smyczkiem po strunach w olśniewającym staccato, które wprawiło publiczności w ekstazę.

Wieczór był upajający. Sophie wyczuwała pragnienia widzów - żądnych muzyki, jej ciała. Ale pod koniec recitalu, w trakcie wykonywania utworu odmiennego niż pozostałe, kompozycji bardziej skomplikowanej, od której zagrania nie mogła się powstrzymać, Sophie zaczęła smakować ton, kształtować jego barwę i fakturę. Przez jedną chwilę, która zaskoczyła ją samą, Sophie cofnęła się w czasie do Bostonu i długich godzin wyteżonej pracy. Grania palcówek i żmudnych ćwiczeń. Nadludzkich wysiłków, aby osiągnąć perfekcję.

Raptem jednak przypomniała sobie, gdzie jest ona sama i w jakim celu znalazła się tutaj publiczność. Dla muzycznych ozdobników. Dla spektaklu i widowiska. A zatem

przeskoczyła w taneczny duet z flecistką, która tymczasem dołączyła do Sophie na estradzie.

To był już koniec, Sophie wykonała cały swój repertuar i zagrała dwie melodie na bis. Chwilę później znalazła się za kulisami w garderobie wypełnionej kwiatami od wielbicieli i komplementami od jej świty, która wszędzie towarzyszyła Sophie.

- Była pani bezkonkurencyjna!
- Nikt pani nie dorówna!

Uśmiechnęła się w euforii, a kiedy Henry Chambers pocałował ją ostentacyjnie w oba policzki, w żyłach Sophie rozlała się fala adrenaliny. Chambers był drobnym mężczyzną o ciemnobrązowych oczach i jasnorudych włosach, bez reszty oddanym Sophie.

Na szezlongu rozpierała się Deandra Edwards, jej kasztanowe włosy były przemyślnie ufryzowane zgodnie z najnowszą modą. W długich palcach wypielęgowanych dłoni trzymała kieliszek z szampanem.

- Tak, byłaś niesamowita. Teraz jednak powinnaś się trochę odświeżyć, *cherie*. Zjawiła się cała miejscowa śmietanka. Wszechwładni mężowie stanu. Najbogatsi przemysłowcy. Kwiat rodzaju męskiego.

Istotnie w ciągu kilku minut salonik wypełnił się dygnitarzami i wpływowymi politykami, którzy sączyli najlepsze wina i rywalizowali o względy Sophie.

- Panno Wentworth - entuzjastycznie zawołał na widok Sophie burmistrz Wiednia, uciszając wrzawę. - Była pani boska.

- Dziękuję, ekscelencjo - odparła, przybierając słodki aż do przesady ton. - Wiedeń to prawdziwy klejnot. Jestem wzruszona, że dano mi szansę zagrać tutaj.

- To oczywiste, że pragnęliśmy gościć panią u siebie i móc obejrzeć jej występ! Teraz, po artykule w „The Century”, mnóstwo ludzi dowiaduje się o pani talencie. Nie mogliśmy pozwolić, aby zakończyła pani swoje tournée, nie zagrawszy w naszym mieście.

To Deandra zaaranżowała ten artykuł. Stwierdziła, że dzięki reklamie Sophie zrobi zawrotną karierę, która na razie rozwijała się zbyt powoli. Deandra była geniuszem, jeśli chodzi o mobilizowanie uwagi. Poza tym nigdy się nie myliła. Czasopismo zamieściło płomienny reportaż uatrakcyjniony rycinami przedstawiającymi Sophie. Dzięki temu stała się artystką, którą wszyscy chcieli koniecznie zobaczyć.

Jedynie Sophie zdawała się dostrzegać fakt, że nie było tam żadnej wzmianki o technice jej gry, żadnej oceny jej umiejętności - tylko ogólne stwierdzenie, że takiego talentu nikomu nie wolno przeoczyć. Deandra i Henry zachwycali się pochlebnymi opiniami.

Sophie natomiast doskonale odczytywała podtekst. Przyjemnie się na nią patrzyło, ale jej występ stanowił właściwie tylko swego rodzaju efektowne widowisko. W konfrontacji z wiolonczelistą takim jak Pablo Casals, który zadebiutował niecały rok wcześniej i już został okrzyknięty genialnym muzykiem, nie miałyby żadnej szansy.

Odepchnęła te myśli od siebie. Wiadomo, że nie można zadowolić wszystkich. Sześć miesięcy temu, po pierwszym koncercie, który ją rozczarował, postanowiła grać właśnie w taki sposób. I nie było od tego odwrotu. Nie potrafiła już inaczej. Musiała koncertować, a Europa dawała jej szansę.

Z tłumu wystąpił jakiś starszy mężczyzna w białych rękawiczkach. Z czarującą, staroświecką manierą ujął dłoń Sophie i złożył pocałunek w powietrzu tuż nad jej palcami.

- Panno Wentworth. Aż mi dech zapało.

- Dziękuję - odrzekła z kuszącym uśmiechem Sophie.

- Pani mnie na pewno nie pamięta.

Zdziwiona Sophie uniosła głowę, w jej rubinowych kolczykach błysnęły promienie światła.

- Widzę, że nie. Mam na imię Wilhelm - wyjaśnił z ciężkim, niemieckim akcentem. - Spotkaliśmy się już kiedyś. W Bostonie.

Sophie milczała.

Starszy pan lekko skłonił głowę.

- To było przed wielu laty, rzecz jasna. Miała pani najwyższej szesnaście albo siedemnaście lat. Grała pani wówczas dla wąskiego grona słuchaczy w rezydencji gubernatora.

W pamięci Sophie odżyło wspomnienie tamtego wieczoru. O mało nie zamknęła oczu i nie przytuliła się mocno do starszego pana jak głupiutka, naiwna gąska, którą niegdyś była.

- O ile pamiętam - ciągnął Niemiec, przewiercając Sophie swoimi jasnymi oczami - grała pani wtedy zupełnie inaczej. Wysłuchaliśmy Jana Sebastiana Bacha. Jego trzeciej suity C-dur zaaranżowanej specjalnie na wiolonczelę. Andante było wręcz genialne. Wspominam pani grę z najwyższym uznaniem.

W równym stopniu jak ona. Sophie urodziła się po to, by grać Bacha, i tamtego wieczoru jej talent ujawnił się w całej pełni. Był to wieczór tryumfu i chwały, jeden z pierwszych prywatnych koncertów, które miały Sophie przygotować do osiemnastych urodzin i publicznego występu solo podczas Wielkiego Debiutu.

Na specjalnym, cieszącym się ogromnym zainteresowaniem koncercie zwanym Wielkim Debiutem prezentowano najwybitniejszy młody talent Bostonu. Co roku nagradzano tytułem muzyka solowego tylko jedną osobę.

Kapelmistrz prestiżowej Music Hall obiecał matce Sophie, że wywoła jej córkę na estradę, aby dała popis solowy, o czym Sophie marzyła przez całe życie. Ale do tego nigdy nie doszło.

Sophie spojrzała w inną stronę, skupiając wzrok na kryształowych kieliszkach wypełnionych musującym trunkiem. Nie chciała przypominać sobie Bostonu, zwłaszcza nie dziś, kiedy kochały ją tłumy. Mimo to jednak Boston przypominał o sobie nieubłaganie i jak zwykle kierował myśli Sophie ku Graysonowi.

Grayson Hawthorne, najstarszy z powszechnie znanej

trójki braci Hawthorne. Potężny mężczyzna, który budził w Bostonie łęk łub szacunek.

A także obiekt szalonej, dziecięcej miłości Sophie.

Nie pamiętała czasów, kiedy nie znała Graysona. Już sama myśl o nim wywoływała uśmiech na twarzy Sophie i rozkłiwiła jej serce w szczególny sposób. Gdzie on teraz jest? zastanawiała się. Co porabia?

Kilka miesięcy temu, kiedy ona i jej świta przebywali w Paryżu, Margaret Brimley, kobieta, która łączyła Sophie i jej świtę w jedną całość, pilnując terminów i harmonogramu występów, otrzymała od swojej kuzynki z Bostonu poufną wiadomość, że Grayson postanowił w końcu znaleźć sobie żonę. Przez krótką chwilę Sophie oddała się marzeniom, że wybierze właśnie ją. Ale równie szybko ocknęła się z tych rojeń. Nie zostanie niczyją żoną. Nawet Graysona Hawthorne'a. Przede wszystkim nie jego. Zdecydowała o tym przeszłość.

Sophie ogarnęła rozpacz i dręczące ją od lat poczucie winy, które przemieniło się w złość. Ale natychmiast odegnała te emocje. Nie było sensu przejmować się przeszłością. Poza tym prawda jest taka, że nie chce wracać do Bostonu - powiedziała sobie stanowczo.

Krążyła plotka, że wybranka Graysona musi być kobietą niepoślednich zalet, najszlachetniejszego rodu i wzniosłych zasad. Jednym słowem - nudna jak flaki z olejem.

Sophie aż wzdrygnęła się na myśl, co Grayson powiedziałby o niej teraz, obejrzawszy jej dzisiejszy występ. Mógł sobie patrzeć z pobłażliwym uśmiechem na jej dziecięce wybryki, lecz nigdy by nie tolerował skandalicznego zachowania przyszłej małżonki, a tym bardziej go pochwalał, o czym Sophie przekonała się na przyjęciu urodzinowym swojego ojca. Przyszła żona musi zawsze postępować zgodnie z wolą Graysona, i to bez wahania.

Sophie pokiwała głową ze smutkiem. Ciekawe, kim jest ta biedaczka, którą Grayson wybrał sobie na małżonkę?

- Czemu nie włączy pani Bacha do swego obecnego repertuaru?

Sophie drgnęła i zdobywszy się na uśmiech, podeszła bliżej, szeleszcząc atłasami i koronką.

- Bach jest taki nudny, panie Wilhelmie. Walc bywa dużo bardziej prowokacyjny, a czasami przyjemnie posłuchać namiętnego menueta. Ale suity wiolonczelowe? Zresztą Bacha grają wszyscy. - Sophie naturalnie mijała się z prawdą, ponieważ suity były niezaprzeczalnie trudne.

Położyła zuchwale dłoń na przedramieniu starca i uśmiechnęła się zalotnie.

- Czy pan się ze mną nie zgadza?

Jak się spodziewała, pan Wilhelm zapomniał o Bachu.

- Trafiła pani w sedno - odparł, zapuszczając żurawia w głąb jej dekoltu. - Może porozmawiamy o tym przy kieliszeczku koniaku w moim hotelu?

- Może - odrzekła, choć wiedziała, że nigdy by tego nie zrobiła. - Najpierw jednak muszę zająć się innymi gośćmi.

Ale gdy tylko Sophie się oddaliła, zamiatając podłogę atłasami i lśniącą koronką, drzwi stanęły otworem i do środka wpadła jak burza wystrojona Margaret.

- Przyszedł list do ciebie - oznajmiła, promieniejąc ekscytacją. - Z Bostonu.

Uśmiech na ustach Sophie zamarł.

- Popatrz - dodała Margaret, pokazując adres zwrotny - wszystko się zgadza.

Choć serce podeszło Sophie do gardła, uśmiechnęła się zdawkowo do otaczającego tłumu. Potem wzięła od Margaret list i wyszła do wąskiego holu ciągnącego się za kulisami. Miejscowi wielbiciele zostali w tyle, ale świta podążyła za Sophie.

Opanowując drżenie rąk, Sophie złamała pieczęcie i przeczytała list. Najpierw raz, a potem dwa razy.

- Od kogo? - spytała w końcu Margaret.

- Od ojca - szepnęła Sophie.

- Dobry Boże. Czego on chce?

- Żeby wracała do domu. - Sophie podniosła wzrok.

To była niespodzianka. W tej samej chwili, kiedy Sophie przestała czekać na jego wezwanie do domu, ojciec każe jej wracać

Deandra zmarszczyła brwi.

- Czy poinformował tę swoją nową żonę, że pisze do ciebie?

- Ona nie jest *nowa*, Deandro - wycodził Henry. - Są małżeństwem już od pięciu lat, na miłość boską. Wszystko jedno, i tak nie możemy płynąć. - Zatarł ręce i oblizał wargi. - Teraz, kiedy tournée ostatecznie dobiegło końca, zabawimy się w Monte Carlo. Ruletka. Morskie kąpiele. Spacer po deptaku. - Henry spojrzał Sophie prosto w oczy. - Rozmawialiśmy już o tym.

Faktycznie, rozmawiali, ale żadnych decyzji nie podjęli. I nagle perspektywa zabaw do późnej nocy oraz niekończących się przyjęć straciła cały powab. Poza tym jej świta nie miała bladego pojęcia, że Sophie nie stać na pokrycie kosztów pobytu w Monte Carlo. Każdego zarobionego centa wkładała w organizację nowych koncertów. Stroje. Pociągi i hotele dla czterech dorosłych osób.

Wzdrygnęła się na myśl, że musiała pożyczyć pieniądze na zakup biżuterii. Ale pewien blask luksusu był konieczny. Poza tym się opłacał. Sophie dostała engagement na następny sezon - tym razem do sal koncertowych, które zapłaca jej bająnskie sumy, nie mówiąc już o pokryciu niezbędnych wydatków. Musiała jednak do tego czasu przeżyć. Nowy sezon rozpocznie się dopiero za kilka miesięcy. Zaproszenie od ojca nie mogło przyjść w lepszej chwili.

Kiedy milczenie Sophie zaczęło się przeciągać, drobny mężczyzna jęknął jak skrzywdzone dziecko.

- Wiem, wiem - odrzekła.

Po czym ruszyła w głąb przyciemnionego korytarza, a szelest jej długiej sukni odbijał się echem od gołych ścian. Świta poszła za nią.

- Nie chcesz chyba mi powiedzieć, że w ogóle bierzesz pod uwagę taką ewentualność? - spytała przytomnie Deandra.

Sophie nie odpowiedziała. Skierowała się w stronę tylnych drzwi, musiała zaczerpnąć świeżego powietrza, potrzebowała samotności. Czy ojciec przeczytał ten artykuł?

Mimo że nie było tam ani słowa o jej prowokacyjnym stylu gry, Sophie wiedziała doskonale, że według bostońskich standardów już samo dostanie się na łamy prasy oznaczało skandal. A jeśli ojciec go czytał, czy wpadł w przerażenie? A może choć przez chwilę pomyślał o niej z dumą?

Ale przede wszystkim, co ją to wszystko obchodziło?

Margaret przyśpieszyła kroku, doganiając Sophie.

- Moim zdaniem powinniśmy płynąć do Bostonu. Ja już byłam w Monte Carlo. Nie spodobałoby ci się, Sophie. To nudna dziura.

- Może dla takiej szarej myszki jak ty - burknął Henry. Margaret aż zatkało.

- Henty. - Sophie spiorunowała Chambersa wzrokiem. Henry oddał jej spojrzenie.

- Przecież to prawda.

- Dostyc tego!

Szli dalej, a echo kroków towarzyszyło im przez całą drogę. Skręcili w lewo, potem w prawo i znaleźli się w długim korytarzu, który prowadził aż do wyjścia dla personelu.

- Nawet o tym nie myśl, Sophie - pouczała ją Deandra. - He razy mi powtarzałaś, jak bardzo nie znosisz Bostonu?

Sophie nagle zatrzymała się przy drzwiach i obróciła się na pięcie.

- Przecież to mój ojciec prosi mnie o powrót. - Sophie spoglądała na troje obcych ludzi, którzy weszli w jej życie i stali się dla niej rodziną w miejsce własnej. - Nigdy przedtem tego nie robił - dodała szeptem bardziej do siebie niż na użytek tamtych.

Henry wymamrotał pod nosem przekleństwo, Deandra westchnęła i potrząsnęła głową.

- Sami jedźcie do Monte Carlo - zaproponowała Sophie, rozpaczliwie poszukując w myślach sposobu na pokrycie kosztów podróży trzech osób. Znajdowali się pod jej opieką. Byli z nią dla pieniędzy. Doskonale to rozumiała, ale uważała to za uczciwy układ, ponieważ panicznie bała się samotności. - Przyjemnie spędzicie czas. Spotkamy się ponownie w maju w trakcie przygotowań do letniego tournée. - Wahała się, jak postąpić, myśli kłębiły się w jej głowie. Może pomysł z powrotem do Bostonu to szaleństwo? Na pewno potrafi znaleźć jakieś lokum w Europie aż do wiosny, kiedy pieniądze zaczną wpływać ponownie.

Wtedy jednak przypomniała sobie ojca. Kłopoty finansowe kłopotami, ale Sophie bardzo kochała swego ojczulka i pragnęła stać się częścią jego nowego życia. Niestety, nie było tam dla niej miejsca. Aż do teraz.

- Wracam do Bostonu. - Do swojego ojca i domu, do Łabędziej Gracji. A może, zaświtała jej nadzieja, zdąży również zobaczyć się z Graysonem przed jego ślubem?

- To cudownie, po prostu cudownie - niemal zaśpiewała Margaret, wyciągając z kieszeni tabliczkę do pisania, żeby przystąpić do układania spisu rzeczy do zabrania w podróż. Nagle znieruchomiała i podniosła wzrok. - Doprawdy, można by na tym jeszcze skorzystać. Dlaczego nie mielibyśmy zorganizować koncertu w Music Hall?

Deandra roześmiała się ironicznie.

- Nasza kochana Sophie miałyby grać przed starą gwardią Bostonu? Dałaby im popalić swoim występem. Ci purytanie doznaliby szoku nerwowego.

Sophie cudem zdobyła się na uśmiech. Odczuwała boleśnie niepokój sumienia, który wywoływały słowa Margaret i Deandry.

- Mniejsza o to. Nie będę grała w Bostonie.

- Dlaczego? - spytała Deandra. - Mogłabyś kupić nowe suknie. Zagrać inną muzykę. Mogłabyś...

- Nie, to nie się stanie. Nie zamierzam zmieniać repertuaru.

Sophie odwróciła się i pchnęła drzwi, a gdy otwały się na oścież, łapczywie wciągnęła zimne powietrze.

- Zresztą nawet gdybym chciała, kapelmistrz Music Hall nigdy nie zaproponuje mi występu. - Mimo obietnicy, którą dał matce Sophie dawno temu. A może właśnie wskutek tego.

Teraz jednak to wszystko nie miało znaczenia. Ojciec wzywa Sophie do domu. Pozostawało tylko jedno pytanie: w jakim celu?

2

Trzy miesiące później przybili do portu w Bostonie. Przed czasem. Dokładnie mówiąc, o tydzień wcześniej.

W końcu Deandra i Henry zrezygnowali z wyjazdu do Monte Carlo bez Sophie. Margaret natomiast, mając nadzieję, że jej bostońscy krewni chętnie przyjmą ją u siebie, nie omieszkała wysłać im liściku z zawiadomieniem o swoim powrocie. Cała czwórka stała teraz na chodniku przed Łabędią Gracją - wysokim domem z czerwonej cegły i białego wapienia.

Słońce dawno już zaszło i na całej długości Commonwealth Avenue w prestiżowej dzielnicy Bostonu Back Bay gazowe latarnie jarzyły się złotym blaskiem. Henry wodził wzrokiem po tonącym w ciemnościach budynku.

- Zdaje się, że nikt na nas nie czeka.

Sophie zerknęła z figlarnym uśmiechem na Henry'ego. Nie posiadała się z radości, że wracała do domu.

- To dlatego, że nikt nie wie o naszym przybyciu. Chcę zrobić ojcu niespodziankę - wyjaśniła, zanim uśmiech na jej ustach nie przeszedł w grymas przygnębienia na widok ciemnych okien. W swoim czasie ten pomysł wydawał się świetny.

Deandra wywróciła oczy.

- Zaskoczmy papę, nie ma co - powiedziała, grzmocąc parasolką z Lyons Mignon pechowego latarnika, który otarł się niebacznie o poję jej płaszcza w trakcie obchodu. - Wystarczy, że na nas popatrzy, a natychmiast będziemy musieli poszukać sobie najbliższego hotelu. Mówiłam to wcześniej i powiem jeszcze raz: twój ojczulek nie będzie chciał trzymać w domu jakiegoś faceta i dwóch kobiet, których nie widział na oczy.

- Papa nie jest taki - upierała się Sophie. - Zresztą, o czym mało kto wie, Łabędzia Gracja nie należy do ojca.

- Naprawdę? - zadumała się Deandra. - A więc do kogo? Sophie roześmiała się z zadowoleniem.

- Do mnie.

Całą okolicę pokrywał śnieg i lód, ale to Sophie nie zrażało. Upajała się widokiem nagich krzewów różanych, które posadziła z matką jako dziecko, a które wzywały teraz spod zimowej otuliny. Podziwiała parę granitowych łabędzi, które stały po obu stronach schodów prowadzących do frontowych drzwi.

Łabędzia Gracja. Pełna dostojności i godności. Przez krótką chwilę czas zawirował i cofnął się. Sophie miała nadzieję, że jej matka wyjdzie na taras z wyciągniętymi szeroko ramionami.

Zaraz jednak nabrała w płuca ostrego powietrza. Matka umarła pięć lat temu. Ale Genevieve Wentworth wciąż żyła tutaj w jakiś sposób - w muzyce jej córki, w kwiatkach i ogrodowych altanach. Matka znajdowała się we wszystkim, co tworzyło ten dom - jedyną rzecz w życiu Sophie, która poza wiolonczelą miała dla niej jakąkolwiek wartość.

Odkąd opuściła Boston, świadomość, że posiada Łabędzią Grację, dawała Sophie poczucie bezpieczeństwa. Nawet gdyby wszystko straciła, pozostałby jej własny dom. Ileż to razy nabierała otuchy na wspomnienie tych wszystkich solidnych cegieł i masywnych drewnianych drzwi, które niczym potężna forteca byłyby w stanie ją ochronić przed całym światem?

Unosząc eleganckie, podróżne spódnice z błękitnego aksamitu, Sophie weszła na schody. Następnie stanęła przed drzwiami i zapukała. Najpierw raz, a później dwa razy. Radość oczekiwania mieszała się w jej duszy z niepokojem na myśl o spotkaniu z ojcem. Czy weźmie ją w ramiona i pocałuje, czy też okaże chłód i nieczułość? Jak zachowa się Patrice, jej macocha? Czy uśmiechnie się i zaprosi do środka jej przyjaciół?

Ale nikt nie odpowiedział na pukanie.

Po chwili Sophie próbowała przekręcić gałkę. Drzwi jednak były zamknięte na klucz.

- To dziwne - stwierdziła.

Deandra rozsiadła się na kamiennym łabędziu, wyjęła papierosa i włożyła go do długaśnej cygarniczki. W zimnym powietrzu błysnął płomień zapałki.

Margaret chodziła z miejsca na miejsce, machnięciem ręki rozpędzając dym, ilekroć napotykała go na swojej drodze.

Henry również usiłował przekręcić gałkę u drzwi, podszedł nawet do okien i próbował szarpać za drewniane ramy.

- Dom jest zamknięty na głucho - oświadczył, biorąc od Deandry cygarniczkę. - Najwyraźniej nikogo w środku nie ma.

- Jak to możliwe? - zaszępiła się Sophie. - Nawet jeśli rodzina wyjechała, na miejscu powinna być służba.

Dzielnica Back Bay tworzyła długie, wąskie, metodycznie rozplanowane sieci ulic. Commonwealth Avenue przecinała ją przez środek niczym wypielegnowana, obsadzona posągowymi rzeźbami główna arteria. Łabędzia Gracja stała na rogu Berkeley Street. Miała kamienny, porządnie odśnieżony podjazd wychodzący ze starannie utrzymanego dziedzińca, który ciągnął się wzdłuż domu. Podjazd sam się nie odśnieżył. Ktoś musiał znajdować się w środku.

- Może papa i jego nowa rodzina gdzieś się wyprowadzili.

Sophie spoglądała na ciemne okna, lód kładł się na szybach niczym biała koronka. Za jej ostatniej bytności w Bostonie Sophie nasłuchiwała się od ojca, że Patrice marzy o nowym domu w Fens, szycowej części miasta, gdzie okryta

niesławą, ale oszałamiająco bogata Isabelle Gardner zbudowała sobie wykwintny pałac. Czy to możliwe, że już się przenieśli, a ojciec jej o tym nie powiadomił?

Serce Sophie wezbrało aż za dobrze znanym uczuciem osamotnienia. Zaraz jednak parsknęła śmiechem w nocne powietrze. Przecież ojciec wezwał ją do powrotu. Przypłynęła wcześniej. Gdyby Sophie pojawiła się zgodnie z planem, ojciec bez wątpienia czekałby w porcie, aby ją powitać.

- Pewnie wyjechali - domyśliła się. - Dlatego nie ma służby. - Tylko kto uprzątnął śnieg z dziedzińca?

- Co zrobimy, jeśli nie uda nam się wejść do środka? - spytała Margaret.

Henry uśmiechnął się, wypuszczając kłąb dymu, i oddal papierosa Deandrze.

- Spokojnie, moje panie - odparł, rozprostowując palce, aż mu trzasnęło w stawach. - Cofnijcie się, proszę.

- Nie możesz wybijać okna!

- Dobrze sobie. Taki głupi to ja nie jestem. - Henry wyciągnął płaski metalowy pilnik i zaczął majstrować przy drzwiach z biegłością drobnego złodziejzka. Po kilku chwilach rozległ się lekki zgrzyt, ale także podejrzany chrzęst, po czym drzwi stanęły otworem.

Sophie aż jęknęła, lecz Henry udał, że nie słyszy, i zamaszystym gestem zaprosił panie do środka.

- Wchodźcie, i to szybko. Chwyta mróz.

Wewnątrz panowała kompletna cisza. Kroki wchodzących odbijały się głośnym echem od czarno-białej marmurowej posadzki i niosły do wysoko sklepionego holu.

Dom był bardzo elegancki, miał szerokie schody i sklepienia wsparte na kolumnach oraz kryształowe kandelabry.

Sophie weszła głębiej i podkręciła lampy gazowe. Jednak żaden z domowników nadal się nie pokazywał.

- To nie ma sensu - szepnęła.

Ruszyła na poszukiwania dookoła parteru, ściągając rękawiczki, pelerynę oraz podróżny zakiet i rzucając każdą

rzecz gdzie popadnie. Przyjemnie było znaleźć się z powrotem w domu. W zasadzie nic się nie zmieniło, może tylko dom nabrał jakiegoś nowego wyglądu, uświadomiła sobie raptem. Przypisała to wrażenie upływowi czasu, nie mówiąc już o panujących w domu ciemnościach.

Zatrzymała się dopiero na zapleczu gabinetu, pomieszczeniu przypominającym salon, gdzie ściągnęła z niezadowolaniem brwi.

Wróciła wspomnieniami do swojej matki i ich wspólnych planów, by urządzić tu pokój muzyczny. Lecz po ostatnim pobycie Sophie w domu ojciec stworzył tutaj bibliotekę z biurkiem i regałami. Każdy skrawek ścian nie zajęty przez książki pokrywały piękne sztychy przedstawiające sceny myśliwskie.

Powrót do gniazda rodzinnego przebiegał zupełnie inaczej, niż się Sophie spodziewała - dom nie okazał się ciepły i gościnny, nie zastała w nim ojca z wesołym uśmiechem na twarzy ani przyrodnych sióstr, biegających dokoła z piśkiem. Radosny nastrój Sophie zaczął powoli się rozwiewać. Ale uparcie nie dawała za wygraną. Bibliotekę da się przenieść gdzie indziej.

W myśli Sophie wdarł się nagły stukot butów na marmurowych płytkach podłogowych i usłyszała też, jak czekająca w holu Margaret głośno wciąga powietrze.

- Można by sądzić, że mamy przyjemność z Conradem Wentworthem - powiedział Henry swoim ulubionym, sarkastycznym tonem. - Ale jesteś pan ociupinę za młody na ojca dorosłej córki. Nasuwa się więc pytanie, kimże pan jesteś?

- Jest jeszcze lepsze pytanie: kim wy jesteście?

Męski głos, niski i donośny.

Sophie przekrzywiła głowę, starając się skupić myśli. W głosie tego człowieka było coś znajomego, jego brzmienie przypawiło ją o dreszcz wzruszenia. Uświadomiwszy sobie, że tylko jeden mężczyzna potrafi wzbudzić w niej taką emocję, Sophie poczuła w obu dłoniach dziwne mrowienie.

Z sercem podchodzącym do gardła skierowała się z powrotem w stronę holu. I wówczas go zobaczyła.

Graysona Hawthorne'a.

Serce Sophie zwolniło, a oddech stał się płytki. Jak zwykle, kiedy widziała Graysona. To niesamowite, że mężczyzna może wywierać na niej aż tak piorunujące i zmysłowe wrażenie.

Stał w migoczącym świetle lamp gazowych, przygważdżając Henry'ego wzrokiem. Grayson był wysokim, pełnym majestatu mężczyzną o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach, zresztą dłuższych, niż Sophie zapamiętała. Szczeka mocno zarysowana, ramiona jak rzeźbione. Ubrany był w zapinany na cztery guziki surdut, odślanający wytworne, wełniane i zaprasowane na kant spodnie. Podkreślały one mięśnie ud Graysona w taki sposób, że serce Sophie zaczęło szybciej uderzać.

Stojąc tak z pochyloną głową, przypominała sobie, że w dzieciństwie nie odstępowała Graysona, wierząc mu dziurę w brzuchu swoimi zmartwieniami, a on cierpliwie kiwał głową albo spoglądał pobłaźliwie na brzydkie kaczątko.

Czuły uśmiech rozjaśnił twarz Sophie na wspomnienie małej dziewczynki, jaką niegdyś była. Czy naprawdę aż tak się narzucała, aż tak była przywiązana do niego?

- Jeśli się pan nie wytłumaczy... - oznajmił Grayson twardym, lodowatym tonem, nie spuszczać z małego Henry'ego swego przenikliwego wzroku - natychmiast poślę po policję.

- Kto tu mówi o policji? - zapytała Sophie i uśmiechając się niepewnie, wkroczyła do holu, szeleszcząc aksamitem swoich spodnic.

Grayson obrócił się na pięcie, po czym znieruchomiał.

Ich spojrzenia się spotkały i zatrzymały na sobie. Sophie widziała, że Grayson był tak samo zaskoczony jak ona. Zapomniała na moment o trójce przyjaciół czekających w holu. Istniał tylko Grayson. Przez jedną niezwykłą chwilę rzeczywistość cofnęła się w głąb czasu i oboje ponownie byli bardzo

młodzi. Grayson - jej bohater, a ona - jego cień. Serce Sophie zalała taka fala ciepła i przywiązania, że o mało nie rzuciła się biegiem w stronę Graysona na drugi koniec pokoju.

Lecz za nieruchomą maską jego twarzy widziała tylko wyraz zdumienia. Grayson patrzył na nią tak, jakby oceniał ją wzrokiem, co napawało Sophie dziwnym niepokojem. Czas wrócił na swoje miejsce i było jasne, że Grayson z chłopca przeistoczył się już w mężczyznę.

Przed laty na przyjęciu urodzinowym ojca Sophie przekonała się, że Grayson nie jest już jej cierpliwym i wyrozumiałym powiernikiem. Stał się nadzwyczaj opanowany i zrównoważony. Podczas jej nieobecności zyskał naturę władcy oraz wdzięk drapieżcy, a jego ciało stało się mocne i muskularne.

Sophie zdusiła w sobie nedorzeczną ochotę, by rzucić się w jego ramiona i mocno się do niego przytulić. Teraz była kobietą, a nie małym dzieckiem. Dawno minął czas, kiedy chodziła wszędzie za Graysonem, nieoczekiwanie chwytając jego dłoń.

Sophie ogarnął żal. Straszliwie zatęskniła za przeszłością. Była jednak dorosła i niezależna tak jak on - jeśli nie liczyć tych drobnych, ale dokuczliwych kłopotów finansowych. Już *niebawem* będzie równie niezależna, natychmiast poprawiła się w duchu, skinąwszy z uśmiechem głową.

- Słyszałaś, Sophie? - warknął ze złością Henry. - Ten brutal chce wzywać policję.

Margaret załamała ręce.

- Przecież nie można grozić ludziom władzą za to, że się jest we własnym domu.

-Już widzę te nagłówki na pierwszych stronach wszystkich gazet w Bostonie - zakpiła Deandra, rozgniatając papierosa w zabytkowym pucharze. - „Córka marnotrawna wyrzucona z domu”. Do rana taka wiadomość rozbudzi niezdrową sensację w tym szacownym mieście. - Zielone oczy Deandry zwięziły się i kobieta zaczęła pukać palcem w blat stołu. - Wszyscy niewątpliwie będą o tym mówić. - Nagle palec znie-

ruchomiał, a Deandra spojrzała Sophie prosto w oczy. - Jeśli rozegrasz tę partię umiejętnie, możesz nawet wyłudować w areszcie. To byłaby świetna reklama!

Grayson wprost skamieniał. Oburzony patrzył na Deandré takim wzrokiem, jakby nie docierało do niego, jaką rolę pełniła w życiu Sophie. Sama Sophie zaś zamaskowała parsknięcie śmiechem nagłym atakiem kaszlu.

- Deandro, jesteś naprawdę niemożliwa.

- Czyż nie za to mi płacisz?

Sophie patrzyła, jak Grayson przenosi powoli wzrok od jednej osoby do drugiej, w końcu zatrzymując spojrzenie na niej. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Zapłonęła niezwykłym żarem, gdy Grayson wbił w nią oczy. Jakby żadna przeszłość nie istniała. Ani nakazy przyzwoitości.

Nagle Grayson zmrużył powieki.

- Sophie?

- Dzyń, dzyń, dzyń - powiedziała śpiewnie, uśmierając trzepot serca radosnym śmiechem. - Zdobyłeś pierwszą nagrodę.

Jedna ciemna brew Graysona uniosła się szyderczo i Sophie mogłaby przysiąc, że przez krótką chwilę uśmiechał się.

- Jesteś tutaj - oznajmił, nie przestając wpatrywać się w nią intensywnie. - I to wcześniej.

- Dzyń, dzyń, znowu dobrze. Stanowisz dzisiaj istną skarbnicę prawidłowych odpowiedzi - mówiła dalej Sophie, podchodząc bliżej, a jej gustowne pantofle stukały o marmurową posadzkę. - Pech chciał, że przypadł nam odrobinę szybszy statek z Francji. Dziurawa balia zbita gwoździami i połatana starymi szmatami, o ile dobrze widziałam. Ale doniosła nas jakoś do Stanów, więc mogłam sprawić ojcu niespodziankę. - Urwała, jakby nagle coś nasunęło jej się na myśl. - Skąd wiedziałeś, że będę w Bostonie?

Ten wysoki, władczy mężczyzna przez moment wydawał się Sophie zmieszany czy też zaskoczony jej pytaniem, ale po chwili wrażenie to minęło.

- Twój ojciec mi powiedział.

- Och, więc sprawa wyjaśniona. Skoro zaś wiesz tak dużo, to powiedz, dlaczego nie ma tu mojego ojca? - A potem, nie czekając na odpowiedź, dodała: - I dlaczego ty tu jesteś?

Wyraz zakłopotania wrócił na twarz Graysona, po czym w jego oczach pojawiło się na kształt gniewu.

- To ty nie wiesz?

Spoglądali na siebie wzajemnie, Sophie czuła się dziwna zmieszana jego spojrzeniem.

- Nie, nie wiem, Graysonie. Gdybym wiedziała, to bym nie pytała.

Graysona patrzył na Sophie tak, jakby stanowiła jego własność. Miała wrażenie, jakby tarł otwartą dłońią po jej skórze. Przeszły po niej ciarki, jej dusza i ciało stały się aż nadto świadome obecności tego mężczyzny.

Lubiła jego towarzystwo bardziej, kiedy oboje byli młodzi i chodziła za nim jak cień. Ich rodziny łączyła zażyła przyjaźń.

Cień uśmiechu zabłąkał się na usta Sophie, kiedy przypomniała sobie swego ojca w towarzystwie ojca Graysona, palących cygara w gabinecie. I matkę Graysona w towarzystwie jej matki, gdy sączyły herbatę w Hawthorne House.

Dziwne, że nigdy nie podkochała się w jego braciach, w Matthew ani Lucasie. Wprawdzie bardzo ich lubiła, jednak tylko Grayson ją pociągał, i to od samego początku. Tylko przy nim czuła się swobodnie. Ale teraz, kiedy dorosli, atmosfera między nimi była stała się napięta, duszna, jak wtedy na bankiecie z okazji urodzin jej ojca.

- Ja tu mieszkam - oświadczył Grayson.

Sophie zamrugała ze zdumienia.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że ja tu mieszkam.

- Mieszkaśz tutaj? - spytała. - W *moim* domu?

Poczuła, że serce jej wali z całkiem innego powodu niż władcze oczy, a jednocześnie żarliwe spojrzenia Graysona. Nie zamierzała jednak ustępować.

- Masz kłopoty, co? - rzuciła kpiąco. - Przykro mi to słyszeć. Ale to duży dom. Zawsze powtarzam, że im więcej ludzi, tym weselej.

Koniecznienie musiała odnaleźć ojca.

Zebrała swoje długie spódnice i zaczęła się odwracać. Ale Grayson przytrzymał ją z zaskakującą delikatnością za łokieć wystający spod szerokiego rękawa. Sophie nie pozostało nic innego, jak tylko przyglądać się jego oliwkowej skórze, która odcinała się na tle jej własnej.

I znowu przez chwilę Sophie na powrót stała się dzieckiem, niezgrabną, rozczochraną dziewczynką, płonąca rumieńcem, ilekroć Grayson strzepywał palcami piasek z jej podrapanego kolana. Jej drogi, słodki Grayson. Jej rycerz w błyszczącej zbroi. Jedyny człowiek, który zawsze był na miejscu, kiedy go potrzebowała - poza tym jednym razem, kiedy potrzebowała go najbardziej.

Zadarła głowę i omiotła go wzrokiem. Był taki wysoki i silny, nie dostrzegła w nim nawet śladu jakiegokolwiek słabości.

- Jak mogłeś jej pragnąć? - wyszeptwała.

-Co?

Kiedy przypomniała sobie, że minęło pięć lat, a ona znajduje się w Łabędziej Gracji, poczuła, że boleśnie dławi ją w gardle, a jej oddech stał się świszczący. Nikt nie wiedział o nocnej wizycie, jaką złożyła Graysonowi przed laty. I niech już tak zostanie.

Śmiech Sophie zabrzmiał pusto nawet w jej własnych uszach, kiedy próbowała wyswobodzić rękę.

Lecz Grayson ścisnął ją mocno, a w dodatku palcem drugiej dłoni ujął Sophie pod brodę.

- Nie mam zielonego pojęcia, skąd to całe zamieszanie, ale ja nie jestem stołownikiem, Sophie. Jestem teraz właścicielem Łabędziej Gracji. Sądziłem, że wiesz.

Dobry humor, na jaki się siliła się Sophie, zniknął bez śladu.

- To absurd - rzekła, oswobadzając rękę.

- Dano mi do zrozumienia, że Conrad rozmawiał z tobą na ten temat. - Oczy Graysona pociemniały jeszcze bardziej i teraz pojawiły się w nich niepokojące błyski, jakby zaraz miał powiedzieć coś jeszcze gorszego. - Kupiłem ten dom od twojego ojca trzy miesiące temu.

Cały świat przed nią zawirował i Sophie omal nie zaczęła się dusić. Nie mogła znieść aż takiej dawki pewności siebie, jaka zabrzmiała w jego głosie.

Ale zdołała wziąć się w garść.

- To śmieszne. Ojciec nie mógł sprzedać domu.

- Niestety, mógł.

- On należy do mnie! - Z głosu Sophie przebijał paniczny lęk.

- Ale był zapisany na jego nazwisko. Kontrakt...

- Nie! - wybuchnęła, przerywając mu w pół zdania. - Owszem, był na jego nazwisko, ale tylko z powodu tego idiotycznego kontraktu, który podpisałam w dniu moich osiemnastych urodzin, przekazując ojcu władzę nad moimi sprawami. - W owym czasie wydawało się to bardzo niską ceną za wolność. Za możliwość opuszczenia Bostonu i wstąpienia do Konserwatorium Lipskiego w Niemczech. Ale ojciec nigdy nie sprzedał by domu, była o tym święcie przekonana.

Uspokój się, nakazała sobie w duchu.

- Kontrakt czy nie, ojciec przez lata ani razu nie spróbował wtrącić się w moje życie. - Mówiła to ze świadomością, że nie kłamie, i tak jak sobie nakazała, zaczęła się uspokajać. - Widocznie zaszło jakieś nieporozumienie. Wszystko wyjaśnimy z ojcem, kiedy tylko go odzyskam.

Roześmiała się, poczuła ulgę i odzyskała równowagę psychiczną. Spontanicznie wyciągnęła rękę, aby poklepać Graysona po ramieniu. Natychmiast przeniósł spojrzenie na jej palce odcinające się na tle ciemnego surduta i Sophie mogłaby przysiąc, że poczuła drżenie przenikające jego ciało - jak gdyby ten wyniosły mężczyzna był wrażliwy na jej dotyk. Ciekawe, co by przeżywała, gdyby złączyła swoje

palce z jego palcami. I mocno je zacisnęła, poczuła jego ramię obejmujące ją w pół tak jak kiedyś.

Cofnęła rękę i powiedziała:

- Bądź spokojny, jeśli faktycznie zaszła jakaś pomyłka i pieniądze zmieniły właściciela, dopilnuję tego, żeby ojciec zwrócił, ci wszystko co do centa.

Grayson znieruchomiał, podniósł głowę i przyglądał jej się chłodnym, taksującym wzrokiem. Miała wrażenie, że przenika ją na wskroś i penetruje od środka. Zawsze aż za dobrze umiał czytać w jej myślach, jak gdyby potrafił zaglądać w najskrytsze zakamarki jej duszy. Z najwyższym trudem starała się, aby nie zamknąć oczu.

- Nie chodzi mi o pieniądze.

- No i dobrze. Więc nie będzie żadnych problemów. Tymczasem jesteśmy zmęczeni. Chodźcie wszyscy. - Im prędzej Sophie oddali się od niego, tym lepiej. Drżenia i emocje, zagładanie w głąb duszy? Dobry Boże, za chwilę zamieni się w ośmioletnią dziewczynkę, sielankową i romantyczną, i naprawdę uwierzy w rycerzy w błyszczących zbrojach.

Świat jednak nie był sielankowy ani romantyczny. A już na pewno nie istniał żaden rycerz w jakiegokolwiek zbroi.

Podróżni ruszyli w kierunku schodów.

- Sophie - odezwał się Grayson, jakby wydawał cichy rozkaz.

Zatrzymała się przed pierwszym stopniem. Rzeźbione rysy Graysona wydawały się jeszcze bardziej ponure.

- Tak? - spytała.

- Nie możecie tutaj zostać.

Jego słowa odbiły się echem po całym holu, aż Sophie poczuła serce w gardle. Nie wiedziała, dokąd pójść, poza tym nie miała pieniędzy na żadną kwaterę.

- Dlaczego?

Pytanie to powściągnęło nieco Graysona. Stał chwilę w bezruchu i gapił się na Sophie, ten beczelny arogant, a rysy jego przystojnej twarzy zakrzepły. Najwyraźniej toczył jakąś walkę sam ze sobą.

- Umówmy się na razie, że to niestosowne, aby niezamężna kobieta miała nocować w domu kawalera - odparł gładko.

Na te słowa usta Sophie powoli rozchyliły się w uśmiechu, w końcu naprawdę odzyskała równowagę. Odeszła od schodów i przesunęła prowokacyjne czubkami palców po rękawie surduta Graysona, ignorując żar spojrzeń, jaki buchał z jego oczu.

- A więc to prawda. Faktycznie zmieniłeś się w wiktorjańskiego świętoszka.

Jego twarz przez chwilę wyrażała osłupienie, szczęki szybko zacisnęły się i stężały. W powietrzu aż zaiskrzyło od napięcia i Sophie stojąca tuż obok Graysona czuła ciężki, rozgrzany zapach olejku sandałowego.

- Niestety - dodała, odsuwając się najszybciej, jak potrafiła, bez wywoływania wrażenia, że ucieka. - Kicham na moją reputację. Ale jeśli zależy ci na twojej, hotel Vendome jest tylko o parę kroków stąd. Na pewno uda ci cię dostać tam odpowiedni pokój.

Grayson zastukał mosiężną kołatką do masywnych frontowych drzwi wspaniałego pałacu z marmuru i wapienia w Fens. Ulica była pogrążona w wieczornej ciszy, towarzystwa dostrzymywały mu wyłącznie latarnie gazowe. Było już późno, zbyt późno na składanie wizyt. Ale Grayson nie zamierzał czekać aż do rana na spotkanie z Conradem Wentworthem.

Załomotał niecierpliwie kołatką jeszcze raz, krążąc w kółko po tarasie wyłożonym szarymi kafelkami. Wreszcie usłyszał w środku jakiś rumor i po chwili drzwi uchyliły się z trzaskiem.

Przez szczelinę wyjrzał Raymond, kamerdyner Wentworthów. Miał twarz pomiętą od snu, spodnie i kamizelkę narzucone pośpiesznie na ciało. W ręku trzymał lichtarz z migoczącą świecą, która rozjaśniała werandę nikłym blaskiem.

- Pan Hawthorne - powiedział zaskoczony.

- Chcę się zobaczyć się z waszym chlebodawcą.

Raymond cofnął się, otwierając drzwi szerzej.

- Ale pan Wentworth już położył się do łóżka - jęknął.

- No to powiedzcie mu, żeby z niego wstał.

Kamerdyner wyraźnie nie wiedział, jak powinien się zachować w tych okolicznościach, ale kiedy Grayson ruszył do środka, nie zatrzymywał go.

Na marmurowych płytkach zastukały obcasy, a Grayson przeszedł obok siedzących w holu dwóch alabastrowych lwów wysadzanych drogimi kamieniami. W przeciwieństwie do większości bostończyków Conrad Wentworth nie miał nic przeciw demonstrowaniu swojej zamożności.

Zamożności? Akurat! Gdyby jednak kupował mniej klejnotów i strojów dla żony, być może nie znaleźliby się w takiej sytuacji.

Grayson ucieszył się niezmiernie na wieść, że Wentworth postanowił sprzedać Łabędzia Grację, zanim rezydencja przejdzie w obce ręce. Teraz jednak radość na nic mu się oczywiście nie przydała.

- Ależ, proszę pana...

- Zawezwijcie go, Raymondzie...

Kiedy na podeście schodów zapaliło się światło, kamerdyner został uratowany od konieczności podejmowania decyzji.

- Co tam się dzieje na dole?

Grayson odwrócił się i zobaczył gospodarza wciągającego jedwabny szlafrok na nocną koszulę.

- Dobry Boże, Grayson. Co się stało?

- Chcę się dowiedzieć, dlaczego, u diabła, podpisałeś akt notarialny o sprzedaży domu należącego do twojej córki, nie pytając jej o zgodę.

Wentworth zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył dalej schodami w dół. Przeszedł przez hol, szurając miękkimi kapciami i wygładzając zmierzwione od snu siwe włosy. Kiedy przemówił, jego głos mógł być wzorem opanowania:

- Podpisałem ten dokument, ponieważ miałem wszelkie prawo to zrobić.

Grayson przesywał go ostrym spojrzeniem.

- Powiedziałaś, że się zgodziła. - Hamował się, by nie wybuchnąć gniewem na starszego od siebie człowieka. - A skoro nie poinformowałaś jej o domu, to mogę się tylko domyślać, że nie powiadomiłaś jej również o zaręczynach.

W holu zaległa cisza.

Conrad Wentworth przestępował niespokojnie z nogi na nogę. Machnięciem ręki odesłał kamerdynera, a potem przeszedł do sąsiadującego z hołem gabinetu. Tutaj panowała ciemność, ale niebawem lampa gazowa zdołała rozjaśnić eleganckie, wyłożone drewnem wnętrze. Gospodarz wskazał Graysonowi jeden z dwóch wysokich foteli stojących przed pięknie rzeźbionym mahoniowym kominkiem. Ale Grayson nie miał zamiaru siadać.

Wentworth obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- Nie, nie poinformowałem jej o zaręczynach. Mylisz się jednak co do zakresu mojej władzy nad nią. Jako ojciec Sophie mam wszelkie prawo kierować jej życiem.

- Dopóki była dzieckiem, ale nie odkąd stała się dorosłą kobietą.

- Sophie nie jest zwykłą kobietą. Stała się dorosłą kobietą powszechnie znaną, przedtem zaś była cudownym dzieckiem, a takie kobiety rozmaici ludzie starają się wykorzystywać. Mam nadzór nad funduszem powierniczym ustanowionym dla Sophie po śmierci jej matki, obejmujący Łabędią Grację. Właśnie to daje mi prawo decydowania o jej sprawach.

- Jeśli czujesz się taki pewny co do tego funduszu, to dlaczego nie zajmowałaś się jej sprawami wcześniej?

Wentworth wykrzywił usta.

- Co innego miałem na głowie.

- Rozumiem. - Grayson aż zakipiał. - Ale przecież to twoja córka.

- Sophie nie jest moją jedyną córką.

- No, tak. Masz nową rodzinę. Jak mógłbym zapomnieć?

Wentworth zaczerwienił się, przyjmując postawę obronną.

- Dałem Sophie szansę spełnienia jej marzeń jako zawodowego muzyka. Odniosła sukces. Ta rozkładówka w czasopiśmie jest tego dowodem. Teraz jednak przyszedł czas, aby wróciła do domu i zaczęła prowadzić odpowiednie dla niej życie. Stała się dorosłą kobietą, na miłość boską. Nie może być już dłużej muzykiem. Co więcej, na pewno zaprzestanie wojaży po świecie z tą bandą darmozjadów, o których wspominał reportaż. A gdy tylko pojawi się w Bostonie, zamierzam poinformować ją o podjętych przeze mnie krokach.

- Pojawi się - prychnął ironicznie Grayson. - Sophie już tu jest.

- Co? Przecież miała wrócić dopiero za tydzień.

- Sophie jest w Bostonie, w domu na Commonwealth Avenue, i czeka na ciebie - wycedził Grayson przez zęby.

- Do diabła, Conradzie, nie byłeś nawet łaskaw poinformować jej, że się wyprowadzasz.

Starszy pan zrobił zmartwioną minę.

- Chciałem wyjaśnić jej również i to, kiedy odbiorę ją ze statku i przywiozę tutaj, do Fens - odparł. Spojrzenie wyraźnie mu już zmiękło. - Zamierzałem przejechać się po Public Gardens, a może nawet wysiąść z powozu i obejrzeć łyżwiarzy ślizgających się po zamarzniętym stawie. Chciałem powiedzieć jej o wszystkim.

- I uważasz, że to by wystarczyło? Szybkie wyjaśnienie w czasie przechadzki po parku? Po podpisaniu dokumentów?

Miękkość rysów twarzy Wentwortha zniknęła w jednej chwili i gospodarz zmierzył Graysona gniewnym wzrokiem.

- Sophie skończyła już dwadzieścia trzy lata i najwyższa pora, by zrozumiała, że życie nie ogranicza się do muzyki. Ktoś musi nadać temu kierunek. Jako jej ojciec mam obowiązek dbania o to, by mogła żyć dostatnio. Zajmuję się tym teraz i jeśli będę musiał sięgnąć do tego funduszu powierniczego, aby dopiąć celu, to sięgnę. Sophie będzie mieszkać tam, gdzie jej miejsce, dopóki nie wyjdzie za mąż.

Grayson przeciągnął palcami po włosach.

- Boże, co za zamieszanie. - Wpatrywał się w starszego pana, tracąc resztki cierpliwości. - Na pewno rozumiesz, że takim sposobem nie skłonisz swojej córki do tego, żeby się ustatkowała. Sophie będzie tylko walczyć z tobą. - Grayson zmrużył oczy do cienkich jak ostrza sztyletów szczelinek. - To znaczy, że będzie walczyć również ze mną.

- A niech walczy. Wszystko jedno, czy zechce to uznać, czy nie, ja działałam w jej najlepiej pojętym interesie. - Wentworth szarpnął za pasek na biodrach, aby go mocniej zacisnąć. - Wyjaśnię córce sytuację. Jutro z samego rana pójdę do niej.

- Powiedz jej o domu - rzekł Grayson, trzymając nerwy na wodzy. - Ale nie pogarszaj sprawy, mówiąc jej o zaręczynach. - Sztyletował starego wzrokiem spod przymrużonych powiek, głos miał zimny i twardy. - Sam jej powiem o małżeństwie. Jeśli się dowie, że na domiar złego zaręczyłeś ją bez jej zgody, spłoszy się, a wtedy już nie zdołasz nad nią zapanować. Odrzuci mariaż jedynie po to, żeby ci się przeciwstawić.

- Jestem jej ojcem. Nie przeciwstawi mi się!

- Najwyraźniej zapomniałeś, jaka jest Sophie.

- Nie zapomniałem - mruknął Wentworth. - Jest uparta jak kozioł. Zawsze taka była.

- Do tego właśnie zmierzam. Teraz ja będę musiał rozplątać ten węzeł.

3

- Miałem wrażenie, że zaręczyny zostały ogłoszone - powiedział następnego ranka od progu swego gabinetu Bradford Hawthorne, patriarcha czcigodnego rodu Hawthorne'ów.

Grayson stał przy gotyckim oknie rodzinnej siedziby zwanej Hawthorne House. Milczał w napięciu, nie uze-

wnętrzniając własnych myśli, a ostry głos jego ojca przecinał powietrze gabinetu.

Nazajutrz Grayson obudził się w hotelu Vendome, a przypomniawszy sobie Conrada Wentwortha, spochmurniał. Potem przypomniał sobie córkę starego i jego nastrój się zmienił, choć bynajmniej nie na lepsze.

Sophie.

Stały element jego życia od dnia, kiedy przyszła na świat. Chodziła za nim jak cień, bez przerwy coś paplała i zameczała go niekończącymi się pytaniami. Istna karuzela zabaw i kłopotów, z których wyciągnął ją tyle razy, że trudno byłoby zliczyć.

Nadszedł jednak taki dzień, kiedy ona próbowała ocałić jego.

Na wspomnienie tych chwil Graysonowi serce stopniało jak wosk. Tak jak zawsze, ilekroć myślał o Sophie.

Przed trzema miesiącami mariaż jawił mu się jako idealny pomysł. Dwie stare bostońskie rodziny łączą się ze sobą. Ukoronowanie wspólnoty przeżytych lat.

Ale wczorajszego wieczoru Sophie była całkiem inna. Zmieniła się. A może Grayson sam siebie oszukiwał?

Prawdę mówiąc, na gali z okazji urodzin Conrada uśmiechała się ze szczerością i jednocześnie skromnością dosyć rzadko spotykaną u płci pięknej. Na zewnątrz wydawała się wzorem wszelkich cnót, nosiła oszałamiającą, choć dziewczęco bezpretensjonalną sukienkę, włosy miała skromnie upięte, a klejnoty niewyszukane. Natomiast iskry syjące się z jej oczu wyrażały coś zgoła nieprzyzwoitego, jakby starannie podsycany płomień namiętności.

Prawdę mówiąc, w Sophie zawsze była pewna doza zuchwałości. Już jako dziecko odznaczała się zamiłowaniem do swobody. Najwyraźniej u kobiety dorosłej cecha ta urosła do rozmiarów niemożliwych do okiełznania przez większość mężczyzn.

Aż zmarszczył czoło, świadom, że przecież to najbardziej go w niej pociągało. Pociągało go do tego stopnia, że

omal nie wrócił wczoraj do Łabędziej Gracji, aby, łamiąc wszelkie zasady przyzwoitości, nocować w tym samym łóżku co Sophie. Już na samą myśl o niej krew w jego żyłach na zmianę burzyła się i zastygała. Pragnął przytulić ją mocno, ująć jej krągłe pośladki i przycisnąć jej ciało do swojego, patrząc głęboko w te brązowe, nakrapiane zielenią oczy, i obserwując, jak stopniowo ciemnieją świadomością tego, co za chwilę nastąpi.

Grayson przeklął w duchu, powściągnąwszy wyobraźnię.

Nie wrócił do Łabędziej Gracji. Była możliwość, że Sophie powiadomi wszystkie gazety w mieście, że pozostał na miejscu. Do diabła, pewnie napisałyby artykuł własnoręcznie - jakby potrzebowała jeszcze większego rozgłosu niż ten, który zyskała dzięki rozkładówce na swój temat w „The Century”.

Widocznie Sophie nie uznawała obowiązującego dogmatu, że nazwisko przyzwoitej kobiety może trafić do prasy tylko - bagatela - dwa razy: kiedy wychodzi za mąż i kiedy umiera. Ponadto ostatnią rzeczą, której Grayson potrzebował, był skandal.

Pokiwał głową. Ostatnio rodzinę Hawthorne'ów spotykało za dużo skandali. Jego młodszy brat Matthew wplątał się w aferę, która wstrząsnęła porządnymi bostończykami, a jej pikantne szczegóły przykuły mieszkańców Nowej Anglii do prasy codziennej na długo. Matthew był już żonaty z intrygującą kobietą, która odmieniła jego życie. Hawthorne'owie uwielbiali Finneę. Nawet Bradford Hawthorne przyznał w końcu z niechęcią, że nadawała się na żonę dla jego średniego syna. Ale nie zawsze tak myślał.

Poza tym był jeszcze Lucas, najmłodszy. Ten nie wywołał żadnego skandalu. Ale jako jedyny właściciel męskiego klubu Wrota Słowika wiódł skandaliczne życie. Grayson nie zamierzał dolewać oliwy do ognia.

Wiedział, że ojciec liczy na jego małżeństwo z Sophie. Połączenie dwóch starych, szacownych rodów stanowiłoby symbol odnowy moralnej. Był to jeden z niewielu przy-

padków, kiedy intencje Graysona nie kłóciły się z nieustannie przez ojca snutymi planami i koncepcjami naprawienia opinii o rodzie Hawthorne'ów. Przynajmniej tak się sprawy miały do wczorajszego wieczora. Teraz Grayson nie był co do tego taki pewien.

- Niech to szlag, ciekawe, czym tyś się zajmował przez ostatnie trzy miesiące - powiedział Bradford Hawthorne, wrywając syna z zadumy. - Myślałem, że kontrakty zostały dawno podpisane, a ty nagle stajesz przede mną i oznajmiasz, że wszystko wisi w powietrzu? Gadaj zaraz, co się tu dzieje?

Grayson przeszył ojca ostrzegawczym spojrzeniem.

- Moje problemy to nie twoja sprawa.

- No właśnie - odciął się Bradford Hawthorne. - Przez ostatnie dziesięć lat masz wyłącznie jakieś problemy. Czas, żebyś ustatkował się i ożenił. U licha, Matthew ma już żonę, a jest o rok młodszy od ciebie.

- Lucas żony nie ma - zauważył Grayson.

- Niech to diabli - zachnął się Bradford. - A która by go wzięła?

- Z tego, co słyszę, niejedna wzięłaby Lucasa - stwierdził Grayson, wruszając ramionami.

- Chodzi o kobietę odpowiednią, a nie jakąś lafiryndę z nocnego klubu, która zatopiłaby swoje szpony w Lucasie Hawthorne.

Grayson chciał zaprotestować, ale postanowił nie strzępić języka. Tyle lat już spierał się na temat życia, małżeństwa i swojego młodszego brata, że trudno byłoby je zliczyć. Nie znalazł jeszcze argumentu, którym mógłby bodaj naruszyć przekonania ojca.

Jedynie Matthew potrafił kiedyś dokonać wyłomu w sposobie myślenia Bradforda Hawthorne'a. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że ulubionym dzieckiem Bradforda był średni syn. Kiedyś Matthew mógł rozmawiać z ojcem w taki sposób, o jakim Grayson mógłby tylko marzyć.

Ale to wszystko się zmieniło, kiedy Matthew uległ wypadkowi, w którym pokieroszował sobie twarz.

Grayson opuścił ręce z rezygnacją. Mało go obchodziły ojciec i fakt, że nie jest w stanie sprostać jego wymaganiom. Lecz bardzo zależało mu na Matthew i Lucasie.

Ponieważ, o czym wciąż pamiętał, było ich trzech. Bracia, przyjaciele, powiernicy. Opiekunowie ich kruchej matki, która snuła się po domu niczym zjawa. Choć jeśli wierzyć plotkom, w młodości Emmaline Hawthorne z domu Abbot była osobą energiczną i dzielną.

Ale jakieś straszne przeżycie sprawiło, że od dawna przestała się uśmiechać.

Grayson wrócił myślami do Public Gardens. Kiedy zjawił się tamtego ranka i zapytał o swoją matkę, pokojówka milady wyjaśniła, że pani nie czuje się najlepiej i nie chce nikogo widzieć.

- Jesteś najstarszy - ciągnął ojciec ostrym tonem. - Musisz spłodzić dla mnie sukcesora, aby linia nie wygasła.

- Przecież Matthew spłodził już dziecko dla ciebie.

- Dziewczynkę! - sapnął ciężko Bradford Hawthorne, ale zaraz wyraźnie się uspokoił. - Choć to słodka istotka, wychodząc za męża, Mary nie zatrzyma nazwiska Hawthorne. Ja potrzebuję chłopca. Tylko chłopiec może sprawić, że nazwisko Hawthorne nie wygaśnie. Musisz spłodzić mi dziedzica.

Grayson tracił cierpliwość, ale ostatnim wysiłkiem woli zachował zimną krew. Nie chciał kłótni z ojcem, więc skierował się w stronę wyjścia.

Lecz Bradford Hawthorne go zatrzymał.

- Znam cię. Wyjdiesz za te drzwi i postąpisz, jak zechcesz. Ale ja wcale nie żartowałem. Sfinalizuj te umowy z Conradem. Chcę ślubu.

- Nie wątpię - odparł chłodno Grayson. - Ożenię się, ale dopiero wtedy, kiedy będę do tego gotowy.

- Lepiej się pośpiesz - mruknął ojciec. - Nie jestem coraz młodszy. Jeśli pozostawię ten obowiązek tobie albo Lu-

casowi, nazwisko Hawthorne z pewnością wygaśnie - przynajmniej z prawowitej strony. Potrzebuję wnuka. Jesteś mi winien wnuka. Do diabła, jesteś mi to winien!

Mężczyźni skrzyżowali spojrzenia; mrok stalowych oczu stał się z surowością niebieskich. Grayson odezwał się pierwszy, dając wyraz odprężeniu, którego wcale nie odczuwał:

- Jestem ci coś winien? Niby dlaczego? Kiedy miałem szesnaście lat, wypędziłeś mnie z domu.

Słowa te padły z jego ust, nim zdążył się powstrzymać. Rozpięły się w powietrzu między ojcem a synem wstrząsająco i boleśnie.

Bradford Hawthorne poprawił się nerwowo, odwracając wzrok. Na jego twarzy malowała się nieustępliwość.

- Powinieneś mi za to podziękować. Dowiedziałeś się, że życie nie jest łatwe. Zostałeś wojownikiem, nauczyłeś się pokonywać przeciwności losu.

- O, tak, metodą „płyń-albo-idź-na-dno”.

Stary Hawthorne wrócił spojrzeniem do syna.

- A jednak masz u mnie dług.

Tylko długie lata ćwiczeń trzymały emocje Graysona na wodzy.

- Naprawdę, ojcze? Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego.

- Bo syn zawsze ma dług u ojca.

Zimowe słońce stało już wysoko na niebie, kiedy Grayson zatrzasnął za sobą frontowe drzwi. Wodził się z ojcem za łby od niepamiętnych czasów. Nawet gdy próbował dogadać się ze starym, udawało mu się tylko doprowadzić obu do szewskiej pasji. I nigdy nie rozumiał dlaczego. Nigdy nie rozumiał także, dlaczego ojciec zmusił go do opuszczenia domu w wieku szesnastu lat. Wyjaśnienie, że musiał nauczyć się pokonywać przeciwności losu, brzmiało nieprzekonująco. Jako nastolatek pracował ciężiej od innych, miał lepsze oceny, ambitniejsze plany. Ale to w ogóle nie miało znaczenia.

Zszokowany i oszołomiony Grayson musiał odtąd żyć samodzielnie. Znalazł jakąś zaszczurzoną mansardę po drugiej stronie rzeki w Cambridge, niedaleko Harvardu, na który już wcześniej zamierzał wstąpić. Początkowo musiał walczyć o przetrwanie, a gdyby nie Sophie i podrzucane przez nią koszyki z mięsem i serem, chlebem i mlekiem oraz z nieodłącznym kawałkiem ciasta, musiałyby chyba kraść, aby nie umrzeć z głodu.

Po opuszczeniu Hawthorne House całymi miesiącami jedynym oparciem dla Graysona były te koszyki, dostarczane ukradkiem przez służących. Oraz maszyna mówiąca. Głos Sophie i jej prezenty w postaci jedzenia podtrzymywały go przy życiu. Grayson aż zacisnął powieki na wspomnienie losu młodego chłopca, którym był przez pierwsze tygodnie. Zaleźnionego. Raz po raz obracającego korbą maszyny mówiącej w swojej mansardzie, gdzie ściany były cienkie i gdzie panowały silne przeciągi. Słowa dziewczyny otaczały go ze wszystkich stron, zagłuszając wrzaski i odgłosy bójek między dorosłymi mężczyznami na korytarzu.

W czasie studiów na Harvardzie, gdzie uzyskał dyplom na wydziale prawa, zarabiał na swoje utrzymanie. Lecz aż do śmierci będzie pamiętał, że tylko Sophie pośpieszyła mu z pomocą, kiedy znajdował się w największej potrzebie.

Teraz zamiast przywołać dorożkę, ruszył pieszo przez Public Gardens, rozległy teren z mnóstwem krętych ścieżek, kładek oraz sprowadzonych z całego świata krzewów i drzew.

Kiedy wszedł na mostek, z którego ścieżka prowadziła w stronę centrum i gmachu sądu, gdzie zamierzał się udać, Grayson skręcił w prawo i skierował się na Commonwealth Avenue. Oraz do Sophie.

Sophie.

Powoli i głęboko Grayson nabrał powietrza do płuc. Wbrew sobie pragnął się Z nią zobaczyć. Musiał się z nią zobaczyć.

Przeklinał to pragnienie, ale jakoś nie potrafił zmusić się

do zawrócenia z drogi. Wytłumaczył sobie, że po prostu musi otrząsnąć się ze wspomnienia bezczelnej, wyzywającej kobiety, którą ujrzał poprzedniego wieczora.

Musiał znaleźć dowód, że nie popełnił najgorszego błędu w życiu spowodowanego idiotycznymi wspomnieniami o młodej dziewczynie i jej dawnej szlachetności. Czyżby tęsknił za kimś, kto już od dawna nie istnieje? Czyżby naprawdę czekał na powrót Sophie przez długie lata jej nieobecności? A kiedy nie wracała, czyżby to on pokierował sprawami w taki sposób, że jednak wróciła?

Kiedy wyszedł za bramę i ogrodzenie z kutego żelaza, otaczające park, musiał zatrzymać się, by przepuścić powozy tarasujące Arlington Street. Bulwar był zatłoczony, a chodnik szczelnie wypełniony ciepło ubranymi przechodniami. Widząc lukę między pojazdami, Grayson zszedł z granitowego krawężnika na krzywo wybrukowany pas dla pieszych. Zatrzymał się jednak, przepuszczając jadącą co koń wyskoczy dorożkę. Mógłby przysiąc, że pasażerką była jego matka.

- No, prędzej, nie blokuj pan drogi - warknęła z tyłu jakaś praczka.

Ale Grayson nie poruszył się. Rój ludzi, którzy czekali na przejście, rozdzielił się niczym morze i pośpiesznie ruszył, omijając go, na drugą stronę. Grayson spoglądał w ślad za oddalającą się dorożką. Potem jednak potrząsnął głową. To nie mogła być jego matka. Emmaline Hawthorne nie korzystała ze środków transportu publicznego. Poza tym, zdaje się, że leżała jeszcze w łóżku.

Grayson ruszył dalej przed siebie i kiedy dotarł do Łabędziej Gracji, przeskakując po dwa stopnie frontowych schodów naraz, nie pamiętał już o kobiecie jadącej w przy-padkowej dorożce.

Wszystkie jego myśli zajęła muzyka.

Grayson stał przez chwilę, chłonąc dźwięki. Reagował żywo i spontanicznie na wszystkie tony. Nigdy przedtem nie słyszał tego utworu, ale głębokie i tęskne brzmienie wiolon-

czeli chwyciło go za serce. Melodia była rzewna, poruszająca i powoli zaczął się domyślać, czemu Sophie zyskała sławę.

Podszedł do drzwi i zatrzymał się. To był jego dom, jego biuro, ale ponieważ w środku znajdowała się Sophie, odczuwał potrzebę zapukania, a więc zapukał. Żadnej reakcji. Zapukał powtórnie. I jeszcze raz, wreszcie przekręcił gałkę, stwierdzając, że zamek został wyłamany. Już wiedział, w jaki sposób Sophie i jej świta dostali się wczoraj do domu. Kiwnął głową z uśmiechem. Do diabła, ależ zrobiła się z niej narwana dziewczucha.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza, napełniając dom serią krótkich, szybkich tonów. Grayson skierował się w stronę źródła dźwięku, przechodząc obok gabinetu, gdzie stało jego biurko. Muzyka całkowicie stłumiła odgłos jego kroków. Odnalazł Sophie w bibliotece. Mimo panującego na dworze zimna okna były otwarte na całą szerokość, a zasłony rozsunięte do końca. Meble stały pod ścianą bez ładu i składu, natomiast jego książki zajmowały całą powierzchnię ścian.

Grayson wyposażył gabinet na tydzień przed powrotem Sophie. Był skromny, ciemny, wypełniony prawniczymi woluminami. Stało w nim również biurko dla sekretarki, która, jak pamiętał, akurat dzisiaj miała wolny dzień. Jeden problem do załatwienia mniej.

Ale nie poświęcił temu zbytnej uwagi, skoncentrował się bowiem na Sophie. Siedziała pośrodku tego wszystkiego w blasku zimowego słońca, owiewana lekkim wiatrem. Grała, marszcząc w skupieniu czoło. Włosy miała luźno związane, skórę kremową, trochę zaczerwienioną od wysiłku. Ale o szczególną uwagę Graysona prosiła się wciśnięta między nogi Sophie wiolonczela. Na ten widok poczuł wybuch namiętności.

Cudownie było patrzeć na Sophie, taką piękną i urzekającą, mrużącą oczy, zatraconą w muzyce.

W pokoju znajdowały się również obie kobiety, które Sophie ze sobą przywiozła. Jedna, wysoka, rozwałała się

w jego eleganckim, głębokim, obitym skórą fotelu, a druga, ubrana jak czupiradło, siedziała sztywno i notowała coś najszybciej, jak umiała. Mina Henry'ego natomiast doprowadziła Graysona do białej gorączki. Najwyraźniej wionlonczela między nogami Sophie rozpałała w tym facecie identyczną, nienasyconą żądzę.

Wentworth nie mylił się co do jednego. Ta banda dar-mozjadów musi zniknąć.

Grayson raz jeszcze zrozumiał z całą wyrazistością, że nie tego pragnie - i nie dla swojej żony. W tym momencie jednak Sophie podniosła wzrok i zobaczyła go. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie. A także radość, aczkolwiek ta trwała tylko przez krótką chwilę, a potem smyczek wydobył ze strun nieczystą nutę i muzyka umarła gwałtowną, zgrzytliwą śmiercią.

Patrząc teraz na Sophie Grayson odczuwał w swojej duszy tę samą niewytłumaczalną zmianę. Sophie napełniała go czymś, czemu trudno byłoby zaprzeczyć.

- Nie przerywaj sobie z mojego powodu - powiedział, nie odrywając od niej wzroku i czując, jak zaczyna w nim wrzeć krew.

Wysoka kobieta wyciągnęła szyję, aby mu się przyjrzeć, lecz nie pofatygowała się, żeby zsunąć nogi z oparcia fotela. Czupiradło upuściło notatnik, a potem zaczęło kręcić się po całej podłodze, zbierając papiery. Henry patrzył przed siebie z rozweseloną miną. Sophie nawet nie drgnęła.

- Co grałaś? - spytał Grayson, pochłaniając wzrokiem jej pełne, lekko rozchylone wargi, w których można było dostrzec perłowobiałe zęby i koniuszek różowego języka. Graysona ogarnęła chęć pochylecia głowy i posmakowania warg tej kobiety.

Jego słowa wyrwały Sophie z marzeń o jakichś niebieskich migdałach, bo nagłe mrugnęła powiekami i zamknęła usta.

- Wyjątek z *Traviaty* zaaranżowany specjalnie dla mnie.

- Z tej opery? Sądziłem, że opery się śpiewa.

Sophie wyduła wargi się w bolesnym uśmiechu, jakby Grayson czymś ją uraził.

- Popularne arie operowe często przerabia się na utwory instrumentalne. Muzycy postępują tak przez od dawna. Z pewnością nawet sam Pablo Casals kiedyś to zrobił.

Grayson nie wiedział, na czym to polegało, odniósł jednak wrażenie, że rozmowa dotyczy delikatnej materii.

- Z pewnością. Tak czy owak twoja interpretacja była przepiękna. Podziwiam ogrom wysiłku, jaki trzeba w to włożyć.

Wysoka aż jęknęła. Czupiradło wydało syk. Sophie rzucała głową w stronę niskiego człowieczka.

- Henry, a mówieś, że osiągnęłam idealną lekkość stylu! Mężczyzna zrobił zmieszaną minę.

- *Ma petite*, co mogłem zrobić? Jesteśmy tu dopiero pierwszy dzień po długiej podróży. Potrzebujesz czasu, aby się rozluźnić.

- To miał być komplement - wyjaśnił Grayson, a cztery pary zagniewanych oczu obróciły się ku niemu.

Promień słońca padł na Sophie i Grayson po raz pierwszy spostrzegł na jej twarzy wyraz znużenia i smutku, jakby w ogóle tej nocy nie spała. Poczul mimowolny przypływ troski.

Sophie westchnęła, jakby opanowując gniew, a potem skinęła głową.

- Dziękuję, ale słuchacz nigdy nie powinien odnosić wrażenia, że artysta musi ciężko pracować. Słuchacz może zdawać sobie sprawę, że jakiś utwór jest trudny, ale instrumentalista powinien osiągnąć taką biegłość, by muzyka wydawała się przedłużeniem jego samego.

Sophie odstawiła wiolonczelę, a smyczek położyła na małym, mahoniowym stoliku. Błat pokrył się drobnym, białym jak kreda pyłem żywicznym.

- Powinieneś być zdawać sobie sprawę tylko z dźwięków i emocji, które w tobie wywołują. Rozumiesz?

Ale nim zdążył odezwać się bodaj słówkiem, ona ponownie przeszła go wzrokiem.

- A poza tym, czy rozumiesz, że należało zapukać? - spytała i buńczucznie zmarszczyła swoją gładką twarz.

Zdławił chichot, dziwiąc się, że napięcie w nim zelżało. Sophie była piękna, może tylko nieco pyskata.

Oparł się plecami o futrynę i założył ramiona na piersi.

- Po pierwsze, zapukałem, a po drugie, raczej nie musiałem tego robić, ponieważ jest to w końcu mój dom.

Sophie podniosła do ust filiżankę herbaty, którą naląła jej Margaret.

- Ciągłe to powtarzasz. Niedługo czymś rzucisz i zaczniesz tupać jak trzyletni bachor.

Tamci roześmiali się. Grayson tylko spojrział na Sophie, decydując się nie połykać zarzuconego przez nią haczyka. Sophie siedziała z podwiniętymi nogami, zerkając na niego znad filiżanki herbaty. Przypominała wyzywającą nimfetkę.

- Wczoraj wieczorem poszedłem zobaczyć się z twoim ojcem - powiedział spokojnie.

- Po co? - zadrwiła. - Żeby narobić plotek?

Zmarszczył brwi.

Sophie przyglądała mu się, wykrzywając złośliwie usta. Wyraźnie rozgrzewała się w miarę dyskusji.

- Chociaż, prawdę mówiąc, nigdy nie byłeś typem plotkacza. Więc może to się nie zmieniło, ale naprawdę wydajesz się jakiś inny. Ee... Wyglądasz tak samo. - Przez chwilę mierzyła go wzrokiem od stóp do głów. - To chyba twoje włosy. Są dłuższe, niż można by się spodziewać. - Nagle przewróciła oczami. - A może ty jesteś szlifibrukiem, Graysonie Hawthorne?

Kiedy drobny człowieczek parsknął śmiechem, Grayson zacisnął szczęki, a jego najlepsze intencje, aby zachować spokój, wyfrunęły przez otwarte okno.

- Szlifibrukiem? - nachmurzył się.

- No, dochodzi już południe, a ty nie jesteś w pracy. - Sophie wzięła kostkę cukru z talerzyka i włożyła sobie do ust. - Straciłeś i firmę i dom, więc przeniosłeś się tutaj, żeby zaoszczędzić pieniądze. Ojciec pewnie wyjechał z mia-

sta na cały tydzień i pozwolił ci tu zostać, a duma nie pozwala ci się przyznać, że tkwisz po uszy w długach.

- Och - zadumał się Henry. - Materiał na świetne opowiadanie.

- Reportaż - zaproponowała Margaret.

Deandra przyglądała się skórkom przy swoich paznokciach.

- „Niezły prawnik schodzi na psy”. Dobrze brzmiący nagłówek dla jakiejś popołudniówki.

- Nasza Dea to geniusz przykuwania uwagi - wyjaśnił Henry.

- Tak - odparł sucho Grayson. - Przekonałem się o tym wczoraj wieczorem.

Sophie zadarła głowę, jej oczy iskrzyły się wesoło.

- Powinieneś ją wynająć. Z Deą u swego boku na pewno zyskałbyś szalony rozgłos i większą liczbę klientów, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Zdziwiłbyś się, ilu ludzi przyznaje się do ciebie, gdy trafisz na łamy gazet. - Sophie spojrzała krzywo na Deandrę. - Ale nie mogę zagwarantować jakości klientów, których mogłaby ci dostarczyć.

- Biznes to biznes - odparła wysoka kobieta, lekceważąco wzruszając ramionami. Odstawiła filiżankę i aż podskoczyła na krześle z wesołym śmiechem.

- Święta prawda. A teraz powiedz nam, drogi Graysonie, co ty tutaj robisz? Naprawdę stoczyłeś się na samo dno i jesteś bez dachu nad głową?

Odsunął się od framugi, jego oczy zwęziły się do cienkich szparek. Resztki spokoju ducha i poczucia humoru ulotniły się ostatecznie.

- Przyszedłem po *moje* akta z *mojego* gabinetu w *moim* domu w *moim* wolnym czasie.

Sophie omiotła przyjaciół wzrokiem.

- Gdybym była hazardzistką, założyłabym się, że zaczytna zgrzytać zębami.

- Ja nie zaczynam zgrzytać zębami, Sophie.

Jeśli sądził, że onieśmieli ją stanowczym tonem głosu, to grubo się mylił. Sophie ruszyła żwawo do wyjścia wśród szelestu swoich długich spódnic, ale kiedy go mijała, pochyliła się bliżej i przystanąła.

- Doprawdy, za bardzo mi to ułatwiasz - szepnęła, - Dajesz się podpuszczać jak małe dziecko.

Uśmiechnęła się wyzywająco i cofnęła. Ale kiedy ruszyła dalej, Grayson przyłożył dłoń do framugi, blokując jej przejście.

Sophie odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na niego wyczekująco, jej złociste, nakrapiane zielenią oczy miały wyraz, którego Grayson nie mógł odgadnąć. Przez jedną kłopotliwą chwilę była znowu młodą dziewczyną, która niewinnie ciągle za nim chodziła. Którą zapamiętał na zawsze. Nie wyzywającą. Nie zaczepną. Po prostu Sophie.

Ale naraz w jej oczach błysnęło coś, czego nie potrafił określić - jak u aktorki wchodzącej w nową rolę, przemknęło mu przez myśl. Jej wargi rozchyliły się. Spojrzenie skierowało się niżej, na jego usta, i już nie była młodą dziewczyną. Grayson poczuł eksplozję pożądania do kobiety, w jaką się przeistoczyła. Bez zastanowienia wyciągnął rękę i jak najwolniej przeciągnął opuszkami palców po jej policzku. Sophie chwyciła gwałtownie haust powietrza. Najwyraźniej wytrącił ją z równowagi.

Owinał wokół palca jeden długi kosmyk jej włosów. Czuł, że cała drży. W tym momencie nie wiedział już, czy woli ją udusić za takie postępowanie, czy pocałować, aż złagodnieje w jego ramionach.

Wybawiono go jednak od podjęcia decyzji - bo chyba nie od popełnienia błędu, zważywszy na szmerek publiczności za ich plecami - kiedy w holu pojawił się Conrad Wentworth.

Wzburzone spojrzenie Sophie zmiażdżyło nagle i przeszło w wyraz czułości.

- Papa - szepnęła, jak gdyby czas zatoczył krąg i znowu

stała się dzieckiem. Grayson odsunął się na bok, a ona rzucała się w ramiona swojego ojca. - Ach, papciu!

Starszy pan wziął córkę w ramiona i mocno wyściskał, a potem cofnął się o krok, obdarzając ją łagodnym i tkliwym uśmiechem.

- Niech ci się przyjrzę. Wyrosłaś na najładniejszą pannę w okolicy - stwierdził, zerkając na Graysona. - Czyż nie tak?

Grayson skinął potakująco głową.

- Potwierdzam.

Sophie spiekła raka.

- Co to takiego? - odezwał się Henry, patrząc pytająco na Deandrę. - Czerwienimy się?

Sophie przycisnęła dłonie do policzków i roześmiała się na całe gardło, nie odmawiając sobie celnej riposty.

- Mieszkanki Bostonu mają prawo czerwienić się w reakcji na komplement jak każda piękność z Południa.

Wentworth zakasłał nerwowo.

- Dlaczego nie dałaś znać, że zjawisz się wcześniej?

- To miała być niespodzianka - przyjemna niespodzianka.

- A propos przyjemna. Sophie, musicie się spakować. Naprawdę nie możecie tu zostać. - Wentworth obrzucił wzrokiem trzyosobową asystę córki. - Na pewno twoim... hm, przyjaciołom będzie wygodnie w hotelu Vendome.

- O Boże - przemówił dramatycznie Henry. - Ten przybytek robi kokosowe interesy. Najpierw stanął tam nasz okrutnik pan Hawthorne. A teraz kolej na nas. Chyba powinniśmy tam zainwestować.

Sophie puściła to mimo uszu.

- Papo, co się dzieje?

Wentworth musiał w końcu oderwać niedowierzający wzrok od wykwintnie ubranego, drobnego człowieczka.

- Zamierzałem, Sophie, wyjaśnić ci to po drodze z portu, ale zjawiałaś się w domu wcześniej i nie dałaś mi szansy.

- Co wyjaśnić? Poza tym gdzie mieszkasz z Patrice i dziewczynkami, jeśli nie tutaj?

- Otóż wybudowałem nowy dom w Fens. Piękna okolica, w samej rzeczy. Na pewno ci się spodoba. - Wentworth uśmiechnął się z przymusem. - Czyż nie wspominałem ci o tym?

- Nie, papo, nie wspominałeś. Zresztą, co to ma wspólnego z Łabędią Gracją? Pan Hawthorne utrzymuje, że mu ją sprzedałeś.

Sophie spoglądała na ojca swoimi złocistobrazowymi oczami, które pociemniały z uczucia bezsilności. Grayson uzmysłowił sobie, że w głębi serca rozpaczliwie pragnęła, aby ojciec zaprzeczył jej słowom. Żeby okazały się nieprawdziwe i przestały ranić jej duszę.

Wentworth wahał się, rozglądając na wszystkie strony, wreszcie odwrócił się twarzą do córki.

- No, jakby to powiedzieć, księżniczko... Sprzedałem. Sophie zamarła.

Grayson spostrzegł w złocistej otchłani jej oczu zapalające się ogniki bólu i poczucia, że haniebnie ją zdradzono. Nie wiedzieć dlaczego coś ścisnęło go za serce na ten widok i ogarnął go głęboki żal, że tak niedawno śmiała się wesoło, złośliwie mu dogadywała i cieszyła z powrotu do domu.

Będzie musiał powiedzieć jej prawdę o domu i zaręczynach, wyciągnąć wreszcie tę wiadomość na światło dzienne. Ale chwila była niestosowna.

- Jak wszędobylski Henry był łaskaw zauważyć - Grayson usłyszał własny głos - mieszkam w hotelu Vendome i z przyjemnością zabawię dłużej w jego progach, kiedy będziemy to wyjaśniać.

- Wyjaśniać? - powtórzył ze zdziwieniem Wentworth.

- Tak, Conradzie. - Grayson przeszywał starego wzrokiem. - Będziemy to wyjaśniać.

- No dobrze, a co z bankietem?

Sophie przenosiła nerwowe spojrzenia z ojca na Graysona.

- Bankietem? O czym wy mówicie?

Ojciec uśmiechnął się majestatycznie. Najwyraźniej za-

pomniał już o niedawnym wzburzeniu, przystroił bowiem swoje słowa w koronkę ekscytacji:

- Twoja macocha i ja wydajemy huczny bankiet w Fens z okazji wa...

- Waszego przyjazdu do domu - wtrącił Grayson, przerywając Wentworthowi w pół słowa.

Stary rozdziawił usta, złość zwięzła mu oczy, a twarz pokryła czerwonymi plamami. W końcu jednak miał tyle rozumu w głowie, że nie zaprzeczył o wiele młodszemu i silniejszemu mężczyźnie.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Mogę tylko dodać - wydusił wreszcie - że trzeba sprawę wyjaśnić jak najprędzej - rzekł, mrugając znacząco do Graysona. - Bankiet odbędzie się w najbliższą sobotę.

Wszystko zostanie wyjaśnione, pomyślał Grayson. Ale nie tutaj, przy patrzącej błędnym wzrokiem Sophie.

4

Emmaline Hawthorne, żona Bradforda, matka Graysona, Matthew i Lucasa, wyciągnęła dłoń okrytą białą rękawiczką, podając stangretowi pół dolara i pięć centów napiwku. Przez chwilę siedziała jeszcze w dorożce, jej sztywno wyprostowany kręgosłup przylegał do rozdartego, skórzanego oparcia. Tego ranka poświęciła dużo uwagi swojemu strojowi. Nałożyła jedwabną brzoskwińową suknię i ulubioną zimową pelerynę obszytą futerkiem.

Już od lat nie była sama poza domem. Minęło sporo czasu, zanim uświadomiła sobie, że stangret nie pomoże jej wysiąść.

Ale brak dobrych manier u tego mężczyzny nie popsuł jej humoru. Przeciwnie, uśmiechnęła się radośnie, że może bawić w mieście i otrzeć się o rozmaitych ludzi.

Kilka minut wcześniej, kiedy torowała sobie drogę łokciami, przedzierając się w kierunku małego budynekczku w South End, była mniej podekscytowana. Ale nawet i to nie złamało jej ducha. Przecież zebrała się na niesłychaną odwagę, by poczynić niezbędne przygotowania. Oznajmiła służącej, że jest chora i nikogo nie przyjmuje. Bradford byłby wściekły, gdyby się dowiedział, co ona najlepszego wyczynia.

Ale mężowska złość bladła w porównaniu z eksplozją dręczącego uczucia, które dopadło Emmaline miesiąc wcześniej. Życie mijało niepostrzeżenie. Było to tak, jakby pewnego ranka obudziła się i zadała sobie pytanie, co ona właściwie tutaj robi. Mąż jej nie potrzebuje, zresztą była mu zbędna już od chwili, kiedy wniosła posag, który pozwolił mu odbudować rodzinny majątek Hawthorne'ów. Swym kochanym synom także nie była już potrzebna. Podobnie jak ich ojciec od początku byli samodzielni. Już Bradford tego dopilnował. Niech Bóg broni, by miał przyłapać któregokolwiek na wtulaniu się w ramiona matki.

Ale to była przeszłość, tego zaś ranka, kiedy obudziła się i zadała sobie pytanie, co też robi ze swym życiem, Emmaline przywiodła na pamięć dawne lata. Lata, kiedy była dziewczyną. Lata miłości i radosnego śmiechu. Pewnie nikt w Bostonie nie dałby wiary, że lubiła kiedyś pędzić konno na złamanie karku wiejskimi gościńcami poza miastem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś ją widział, jak śmieje się na całe gardło albo rozpuszcza swobodnie swoje długie włosy.

Z pewnością nie własny mąż. Bradford przestał interesować się jej ciałem, gdy Emmaline urodziła najmłodszego syna. Wciąż pamiętała tę noc, kiedy poszła do sypialni męża, a ten odprawił ją z niczym, oznajmiając, że porządna kobieta uprawia miłość jedynie z obowiązku, a nie z potrzeby ciała.

Ale przecież *była* porządną kobietą. Kierowała rozmaitymi komitetami opiekuńczymi, chodziła do kościoła i wyszywała obrusy na ołtarze. Zainteresowała bogatszych mieszkańców miasta bostońską biedotą i założyła fundację

dla odnowienia historycznych budowli i pamiątek Bostonu. Wszyscy z towarzystwa stawiali ją za przykład, na którym powinny wzorować się ich małżonki i córki.

Dlaczego więc ocknęła się wczesnym rankiem z paskudnym uczuciem pustki w sercu? Ogarnięta cielesnym pożądaniem?

Przez pierwsze dwa tygodnie doznawała poczucia winy, że nie okazuje należytej wdzięczności za to, co ma. Kiedy dręczące Emmaline wątpliwości mimo to nie chciały ustąpić, przez następne dwa tygodnie zachodziła w głowę, co z tym fantem począć. Nie trzeba było dużo czasu, aby zrozumiała, czym chce się zająć. Powrócić do rzeźbiarstwa.

Skończyła już pięćdziesiąt lat. Ale lustro pokazywało nadal gładką, może tylko lekko pomarszczoną skórę. Nadal miała smukłe ręce. Ciało wciąż nie było pozbawione krągłości. Wciąż starczało Emmaline siły na pracę w glinie.

Teraz przebiegła ostatnie stopnie schodów przypominającego szopę domu, który od dziesiątków lat dawał schronienie artystom. Kiedy była dorastającą panienką, ojciec pozwolił jej studiować rzeźbiarstwo. Kochany, dobrotliwy ojciec pragnął, aby marzenia córki były pełne polotu. Nie chciał, by trzymano ją w rygorze, jakie socjeta narzuca płci pięknej.

Czasami aż trudno uwierzyć, że Bradford Hawthorne, mężczyzna, który wdarł się w życie Emmaline, tryskając energią i zapałem, mógł odebrać jej marzenia i podrzeć je na strzępy. Iluzje miłości o wiele za wcześniej rozwiały się w ich wspólnym życiu.

Kiedy Emmaline przecisnęła się przez ciężkie frontowe drzwi, uderzył ją w nos silny zapach gliny. Przestronny pokój wypełniony był ludźmi. Kilka osób siedziało przy kołach garncarskich, naciskając pedały w jednostajnym, hipnotycznym rytmie. Inni pracowali nad będącą w różnych fazach przemiany gliną rzeźbiarską, czasami w postaci dużych bloków, ledwo muśniętych ręką artysty, a czasami go-

tową, modelowaną przez mistrzów schylających się nad nią w twórczym uniesieniu.

Wszyscy starali się ująć w kształt myśli, które chodziły im po głowie, a potem oddać je w plastycznym tworzywie, które formowali swoimi rękami.

Emmaline doskonale pamiętała to uczucie, mimo że upłynęły dziesiątki lat, odkąd przestała pracować w glinie.

- Pani czegoś szuka?

Emmaline okręciła się na pięcie, aż jej długie suknie omiotły zakurzoną podłogę. Stała twarzą w twarz z kobietą o długich, siwych włosach zaplecionych w warkocz, który spoczywał na jej plecach. Żadnego afektowanie skromnego koka ani zwykłego węzła, które powinna nosić uczciwa kobieta w wieku powyżej osiemnastu lat.

- Tak, przyszłam zobaczyć się z panem Springfieldem. Kobieta obrzuciła ją impertynenckim wzrokiem.

- Jego dorosłe modelki zazwyczaj nie przychodzą tutaj. Proszę do niego napisać, a jeśli będzie chciał panią zobaczyć, to wyznaczy spotkanie w jednej z tych modnych herbaciarni, odwiedzanych przez kobiety pani pokroju.

Niespodziewana i trudna do ukrycia wrogość rozmówczyni zaszokowała Emmaline. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, i chciała wyjść. Potem jednak przypomniała sobie długie, bezsenne godziny.

- Pan Springfield spodziewa się mnie.

- Tutaj? - roześmiała się kobieta.

- Tak, tutaj. - Emmaline poczuła przypływ odwagi, której brakowało jej od lat. - Na pewno jest w swojej pracowni na górze. Zaraz tam do niego pójde.

Emmaline wyraźnie zaskoczyła kobietę znajomością domu. Nie czekając na pozwolenie, ruszyła w kierunku schodów.

Ledwo zdążyła położyć dłoń na poręczy, kiedy otworzyły się na oścież jakieś drzwi.

- Emmaline!

Wyciągnęła szyję do góry i ujrzała wychyloną zza poręcz głowę Andre Springfielda.

- Andre.

- Nie wierzyłem, że naprawdę przyjdiesz.

- A więc uwierz. Jestem tutaj.

Niski, okrągły mężczyzna stoczył się ze schodów, złapał ją za rękę i dosłownie zaciągnął do swojej pracowni na piętrze. Gdy tylko zatrzasnął drzwi, umieścił Emmaline w wiązce światła, chwycił jej dłonie i przytrzymał przed sobą w nader teatralnej pozie.

- Niech ci się przyjrzę!

Zataczał wokół niej koła, a ona nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Po kilku chwilach odnosiła wrażenie, że wszystkie lata małżeństwa odeszły w niebyt, że w ogóle nigdy tego miejsca nie opuszczała. Andre miał mniej włosów i z pewnością nie wyglądał na osiemnastolatka. Jednak to było bez znaczenia.

- Siadaj, siadaj! Musisz mi opowiedzieć wszystko, co robiłaś przez ostatnie długie lata. - Zaprowadził ją do krzesła, po czym rzucił się do drzwi, otworzył je na całą szerokość i wrzasnął: - Collette, przynieś nam herbaty!

Nadal rozpierała go energia; Emmaline uśmiechnęła się na myśl, że nie wszystko uległo zmianie.

- A teraz opowiadaj.

- Boże, będziemy tu siedzieli cały dzień.

- Wybornie! Nie potrafię wyobrazić sobie nic lepszego od przebywania w twoim towarzystwie.

Emmaline spuściła głowę, patrząc na swoje dłonie w białych rękawiczkach. Andre wyciągnął rękę i pogłaskał ją po brodzie.

- Co to ma znaczyć? Emmaline Abbot się rumieni?

- Teraz Emmaline Hawthorne.

- Tak, tak. Jak mógłbym nie wiedzieć? Wszystkie gazety rozpisują się o twoim mężu. Albo bierze do galopu jakiegoś biednego polityka, albo podpisuje nowy kontrakt,

żeby zarobić kolejne tysiące dorców. Widać go wszędzie, gdziekolwiek człowiek się obróci. Ale nie chcę o nim rozmawiać. Zepsuje mi to cały dzień.

Andre mówił i uśmiechał się figlarnie, a Emmaline nie mogła powstrzymać się od cichego chichotu, by go zanadto nie urazić. Springfield taki już był. Mógł powiedzieć najbardziej niewłaściwe rzeczy i zawsze uchodziło mu to na sucho.

Zerknął na drzwi.

- Gdzie herbata? - ryknął.

W tym momencie drzwi się otworzyły, ale do środka wcale nie weszła Collette. Na progu stał wysoki, barczysty mężczyzna. Miał gęstą czuprynę włosów lekko siwiejących na skroniach. Jego skóra była opalona na brązowo, jakby spędzał czas na słońcu. Oczy miał ciemne i przejrzyste. Patrzył wprost na Emmaline i po dobrej minucie wyszczerzył do niej zęby w szerokim uśmiechu.

Emmaline dosłownie znieruchomiała i nie mogła złapać tchu. Czuła zawroty głowy, a serce podskoczyło jej do gardła.

- Witaj, Em. Minęła kupa czasu.

5

Trzask zamykanych drzwi sprawił, że Sophie aż drgnęła, podnosząc głowę znad ksiąg rachunkowych. Z jej dłoni wypadł ołówek i potoczył się po kartce.

Wyprostowała się w fotelu, na biurku przed nią leżały zagryzłone liczbami papiery. Przez zaciągnięte portiery do sypialni wciskał się długi promień jaskrawego słońca.

Było wcześniej i normalnie leżałaby jeszcze w łóżku. Jej świta spała w najlepsze. Ale wskutek kłopotów finansowych Sophie tej nocy prawie nie zmrużyła oka. Perspektywa utraty Łabędziej Gracji przyprawiała ją o migrenę.

Na razie jednak miała dużo pilniejsze troski. Rachowała na wszystkie sposoby, stale jednak wychodziło jej to samo - że nie starczy na utrzymanie czterech dorosłych osób aż do maja, gdyby musiała opłacić ich zakwaterowanie - zarówno w Bostonie, jak i Europie.

Oczywiście wiedziała o tym od początku, ojciec dał wyrażenie do zrozumienia, że Deandra, Henry i Margaret nie są mile widzianymi gośćmi w jego nowym domu, Sophie jednak nie chciała zostawiać przyjaciół na lodzie. Tak więc jedyną deską ratunku było zatrzymanie się w Łabędziej Gracji, dopóki nie skłoni ojca do pozytywnego załatwienia sprawy. Ojciec na pewno sprawę załatwi. Łabędzia Gracja należała do niej.

Tymczasem musi znaleźć jakiś sposób na zatrzymanie domu, w którym mieszkała jako dziecko. Ale czy to okaże się łatwe? Cóż, w końcu Grayson to stary przyjaciel. Poza tym, ile czasu musi spędzać prawnik w swoim domu? Czyż nie chodzi na rozprawy? Czyż nie spotyka się z sędziami, czyż nie udziela rad swoim klientom - a przecież to wszystko odbywa się zapewne w budynkach sądowych i miejskich urzędach?

Była zła na siebie, że wczoraj Graysonowi dokuczyła. Nie najlepszy początek wkradania się w łaski. Ale właśnie jego obecność tak na nią podziałała, rozdrażniła ją, wyprowadziła z równowagi.

Obiecała sobie, że dzisiaj zachowała się lepiej. Będzie słodka jak landrynka, a Graysonowi nie pozostanie nic innego, tylko pozwolić im zostać na dobre.

Przez chwilę Sophie medytowała nad pogłoskami o jego rychłym ślubie, które przyniosła Margaret. A jeśli Grayson ma już żonę, którą gdzieś ukrywa i będzie chciał wprowadzić do Łabędziej Gracji przed majem? Po namyśle odrzuciła to przypuszczenie. Grayson nie był człowiekiem kapany w gorącej wodzie, a już na pewno nie ożeniłby się potajemnie. Na pewno przedtem ogłosiłby zaręczyny, a później nastąpiłby długi i bardzo przyzwoity okres narzeczeństwa. Ona

do tego czasu odzyska już Łabędią Grację i pieniądze na zapłacenie rachunków.

Kiedy słońce zaczęło mocno świecić, Sophie poczuła wielką ulgę. Wszystko dobrze się skończy. W ciągu dnia Graysona prawie nie będzie, a noce mógłby bez trudu spędzać w hotelu Vendome. Przecież sam powiedział jej ojcu, że to żaden problem.

Na parterze ktoś zatupał butami, a donośny odgłos kroków odbijał się od ścian i wibrującym echem poniosł aż na samą górę. Sophie skrzywiła się na myśl, że to pewnie Grayson, który w tym momencie swym przybyciem właśnie obala jej plan. Odrzuciła jednak taką ewentualność. Grayson nigdy nie tupie.

Spoglądała na wielkie łoża z baldachimem, które przedtem należało do jej ojca, a teraz używał go Grayson. Całą sypialnię wypełniała jego garderoba. Eleganckie garnitury, wypucowane do połysku buty. Kaszmirowy szlafrok.

We wczesnych godzinach rannych wciągała go na siebie i dokładnie się nim owijała. Materiał przesiąknął zapachem Graysona, czystym i piżmowym. Chwilami miała wrażenie, że bierze ją w ramiona, a jej po plecach przebiega słodki dreszcz.

Był już mężczyzną, a nie chłopcem, i ziścił nadzieje, jakie wiązano z nim przed laty.

Sophie aż jęknęła na wspomnienie Graysona. Doprawdy, ten człowiek zburzył jej spokój nie na żarty. A decyzja zamieszkania w pokoju wypełnionym jego osobistymi przedmiotami nie należała do rozsądnych. Utrwalała go w jej pamięci jeszcze bardziej - podważała jej determinację, by stać się kobietą niezależną. To zaś doprowadzało ją do szału.

Faktem było, że nie miała pojęcia, jak można zostać kimś innym. Matka nauczyła ją korzystania z wolności i nigdy nie poczyniła najmniejszej wzmianki o tym, jaki należy spełniać wymagania mężczyzn zgodnie z regułami obowiązującymi w towarzystwie. Sophie nie znała się na prowadzeniu gospodarstwa domowego ani na przyrządzaniu posiłków.

Ani na dzieciach.

Z całej siły zacisnęła powieki, oczami duszy widząc nagle samą siebie, jak trzyma na rękach małe dziecko, dziecko Graysona. Tulące się do niej i bardzo ją kochające.

Sophie otrząsnęła się z tej wizji. Wzdragała się na myśl o koszmarze, w jaki zamieniłaby Graysonowi życie. Zresztą nie po to pracowała pięć długich lat, aby położyć krzyżyk na swoich sukcesach, gdy tylko poczuła na ramionach kaszmirowy szlafrok mężczyzny. Materiał był miękki i przytulny. Grayson, mężczyzna, był tego zupełnym przeciwieństwem.

Dochodzące z dołu tupanie wyrwało ją z zadumy. Aby wyjaśnić, co się dzieje, ścisnęła mocniej pasek w talii, odnalazła na podłodze swoje puchowe kaptcie i poszła na dół.

Kiedy jej kapeć dotknął najniższego schodka, Sophie znalazła się twarzą w twarz z jakąś kobietą robiącą srogą minę i wyglądającą na sto lat albo i więcej. Nosiła skromny kapelusz na stalowosiwych włosach i nakrochmaloną suknię, przy której pruderyjną toaletę Margaret można by nazwać skandalizującą.

- Wygląda pani zbyt schludnie jak na złodziejkę - stwierdziła bez zbędnych wstępów Sophie, podwijając za długie kaszmirowe rękawy. - Zechce pani wyjaśnić, co właściwie tutaj robi?

- Nie będę niczego wyjaśniała osobom pani pokroju - prychnęła gniewnie nieznajoma, lustrując Sophie od stóp do głów. - Nie zniosę bezwstydnicy, która kręci się po domu szanowanego mężczyzny. Zmiataj stąd, dziewucho, i wiedz, że ja już porozmawiam z paniczem Hawthorne'em.

Panicz Hawthorne, jakby nadal był chłopcem w krótkich spodenkach. Co to za babsztyl?

Sophie z rozkoszą wybuchnęła śmiechem, gdyby nie była tak zaskoczona.

Zanim jednak zdążyła zareagować, otworzyły się frontowe drzwi i stanął w nich Grayson. Nosił eleganckie wełniane palto, a dla rozgrzewki klaskał w dłonie, na których

miął rękawiczki. Razem z nim do środka wtargnął podmuch zimnego powietrza.

Przechodząc przez próg, Grayson popatrzył na zamek u drzwi, następnie podniósł wzrok i zauważył dwie kobiety. Sophie zwróciła uwagę, że na jej widok oczy Graysona pociemniały lekko. Obrzucił ją wzrokiem, przyglądając się własnemu szlafrokowi, a jego spojrzenie wędrowało po niej jak pieszczoła, a potem uśmiechnął się zadziwiająco promiennie i serdecznie, zważywszy ponury nastrój, w jakim się z nią wczoraj rozstawał.

- Proszę zanotować, żeby naprawiono ten zamek, panno Pruitt - rzekł, po czym trzasnął drzwiami i ruszył w stronę kobiet.

Wyglądał tak pięknie, że Sophie z zachwytu zamarło serce. Mimo mrozu włosy miał jeszcze mokre po kąpieli i poruszał się z takim wdziękiem, jakim niewielu mężczyzn mogło się pochwalić. Resztką sił pohamowała się, aby nie oddać mu uśmiechu.

Naprawdę trudno jej było nie ulec czarowi Graysona, jeśli już postanowił z niego skorzystać. Lecz ani na chwilę nie mogła osłabić czujności, stali przecież po dwóch stronach barykady. Grayson posiadał Łabędzia Grację, a ona chciała ją odzyskać.

Grayson zatrzymał się i przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą.

- Widzę, że panie zdążyły się już poznać.

Panie przesywały się wzrokiem.

Grayson zaśmiał się nieznacznie.

- Byłem ciekaw, co się stanie, kiedy staniecie twarzą w twarz. Załatwmy to oficjalnie. Panno Altimo Pruitt, niech mi wolno będzie przedstawić pannę Sophie Wentworth.

- Co się tu dzieje? - zapytała Sophie.

Panna Pruitt wzruszyła swymi szerokimi ramionami.

- Nie będę tu pracowała, jeśli chce pan zabawiać... - szu-

kała właściwych słów - *takich gości pod moim nosem* - wyrzuciła z siebie nareszcie.

- Zapewniam, panno Pruitt, że nigdy nie nadużyłbym pani cierpliwości. - Grayson położył swe mocne ramię na silnych barkach kobiety. - Panna Wentworth jest córka Conrada Wentwortha i mieszka tutaj wraz osobami towarzyszącymi - rzekł, krzywiąc się przy wypowiedaniu ostatnich słów. - Ja tymczasem stanąłem w hotelu Vendome. Czy teraz możemy liczyć na pani przepyszną kawę?

Altima posłała Sophie ostre i nieprzyjazne spojrzenie, zdjęła energicznie kapelusz, powiesiła go starannie na specjalnym kołku i skierowała się do kuchni.

Sophie odprowadziła ją wzrokiem, po czym zwróciła się do Graysona:

- Jacyśmy dziś serdeczni?

Natychmiast pożałowała fałszywego tonu. Przecież obiecywała sobie, że będzie dla niego miła!

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zadowolić pannę Pruitt. - Grayson wyszczerzył zęby. Jego uśmiech był ciepły i figlarny. - Ta kobieta pisze na maszynie jak huragan, stenografuje jak gazela i kieruje moim życiem z dyskretną, nienarzucającą się skutecznością, niczym królowa pszczół w plastrze miodu.

- Wystarczy już tych zoologicznych analogii. - Doprawdy, Grayson potrafił obudzić w niej wszystko, co miała w sobie najgorszego, - Kim jest ten brylant bez skazy?

- To moja sekretarka, a ściśle mówiąc, kobieta, którą ubóstwiam - odparł, przyciskając zamasyżycie dłoń do serca. - Jednym słowem, jest najlepszą sekretarką, jaką w życiu miałem. A miałem niejedną.

- Masz sekretarkę? Tu? - Sophie aż pisnęła.

- W rzeczy samej. Prowadzi moją kancelarię.

- Mówisz o tej kancelarii w śródmieściu? - podpowiedziała z nadzieją w głosie.

- Nie. Doradzam klientom tutaj, w Łabędziej Gracji. Nie

narzekam na brak klientów, Sophie. To dzięki nim jestem człowiekiem wypłacalnym i mogę regulować rachunki, nie staczając się na samo dno, o co niedawno mnie podejrzewałaś.

Grayson podszedł bliżej i bezczelnie przebiegł palcami po klapach kaszmirowego szlafroka.

- Myśl, co chcesz - powiedział basem. - Nie potrzebuję pieniędzy twojego ojca.

Jego palce zatrzymały się tuż nad piersiami Sophie. Nie była w stanie rozsądnie myśleć, a tym bardziej powiedzieć czegoś sensownego. Płonęła wewnętrznym żarem, który skupiał się gdzieś w dole brzucha w sposób, którego nie pojmowała. Czy Grayson domyślił się, że nie miała nic pod spodem? Czy wyczuwał gwałtowne kołatanie jej serca?

Jego palce się nie cofnęły, ciemne oczy wżerały się w jej duszę i Sophie przez chwilę myślała, że zamierza ją pocałować. Już miała nadstawić usta, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, ale nagle Grayson opuścił ręce. Z wymuszonym uśmiechem obrzucił wzrokiem jej skromny przydziewek.

- Nawiasem mówiąc, lada chwila może się tu zjawić jeden czy drugi klient. Choć rozkosznie ci do twarzy w moim szlafroku, lepiej, żeby cię w nim tutaj nie widziano.

Fala żaru oblała jej policzki, mieszając się z uczuciem trwogi. Nie miała pojęcia, jakie emocje w niej wzbudził. Pożądanie? Przestrasz?

Zadrzała, spoglądając przez okno na powozy, które jakby nigdy nie toczyły się swoim normalnym rytmem. Była już tak blisko poskładania swego życia w całość, wprawdzie inaczej, niż to sobie wyobrażała w młodości, niemniej będącego jej własnym dziełem. Od niepamiętnych czasów marzyła o sławie, o tym, żeby przestać już być niezgrabną Sophie Wentworth. Ileż to razy oczami duszy widziała siebie, jak urzęduje wystawne przyjęcia w Łabędziej Gracji czy koncertuje w Music Hall? Wykonując Bacha.

Zrezygnowała z Bacha i w zamian za to grała pod publiczność. Pożegnała się z marzeniem o koncertowaniu

w Music Hall, a zamiast tego urządzała widowiska w Europie. Ale niczym nie mogła zastąpić marzenia o życiu w jedynym prawdziwym domu, jaki znała.

Grayson i przejście Łabędziej Gracji w jego ręce wywołały zamęt w resztkach wciąż jeszcze żywych marzeń Sophie.

Ale czy to ważne? Wiodła ekscytujące życie. Ludzie na całym świecie ją wielbili i nie uwierzyliby nigdy, że kiedyś los tak ciężko ją doświadczył.

Sophie przechyliła głowę, obrzucając wzrokiem czarno-białą, marmurową posadzkę holu, okazałe, żłobkowane kolumny i wspinałe luki schodów. Jako dziecko chodziła po nich tam i z powrotem, ciągnąc za sobą długi ręcznik umocowany do ramion, co czyniło z niej królową w sukni z trenem.

Dotyk Graysona ocknął Sophie z zadumy. Gwałtownie wstrzymała oddech. Ujął ją za podbródek i zmusił, by podniosła na niego wzrok.

- Co to jest? - szepnął, spoglądając na nią poważnie swoim mrocznym spojrzeniem. - Co takiego widzę stale w twoich oczach?

Przez jedną oślepiającą chwilę pałała głupią chęcią, by uzewnętrznić swe marzenia, zwierzyć się ze wszystkich kłopotów, z jakimi od tak dawna borykała się sama. Zbyt długo jednak musiała polegać wyłącznie na sobie i teraz nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Ponieważ prawda była taka, że Sophie nie była już dzieckiem, małą dziewczynką, o którą Grayson byłby się zatroszczył, wiedząc, kim się teraz stała. Kobieta niezależną i wyzywającą. Przekraczając wszelkie granice. Kim jak kim, ale przyzwoitą damą z pewnością nie była. Wiedziała też, że nie może rozstać się z marzeniem o Łabędziej Gracji.

Zduśiła w sobie pragnienie, by podzielić się z Graysonem swoimi zgryzotami. Uniosła dumnie podbródek i wyszczerzyła zęby niczym primadonna do publiczności.

- Nigdy bym się nie domyśliła, że na starość zrobisz się taki romantyczny. Dostrzegasz różne rzeczy w cudzych

oczach. Doprawdy, Graysonie, niedługo będziesz się roz-
pływał nad moimi ustami, mówiąc, że są niczym płatki ró-
ży, i pocałunkami słodszy niż wino.

Grayson przeniósł wzrok niżej.

- Twoje usta to istne róże - powiedział, a potem, jakby
nie mogąc się powstrzymać, przechylił głowę i przyłożył
swoje wargi do jej warg. Lekki dotyk, najwyżej muśnięcie
starczyło, by Sophie poczuła, jak bardzo pragnie jeszcze...

Po chwili Grayson cofnął głowę.

- A twój pocałunek *jest* słodszy niż wino.

Przesunął opuszkami palców po wystającym spod szla-
frocka obojczyku, ledwo, ledwo, delikatnie, sprawiając, że
jej ciało przebudziło się do życia i stawało w powolnym,
zmysłowym ogniu.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia Sophie ujrzała nagle sie-
bie jako żonę Graysona, która leży pod nim zaplątana
w pościeli, podczas gdy jego dłonie błądzą pod kaszmiro-
wym szlafrokiem.

Kogo on wybrał? zachodziła w głowę, czerwieniąc się
po uszy od gwałtownego żaru. Kim jest jego wybranka?
Pierwszy raz od pięciu lat błysnęła jej iskierka żalu, że wy-
brała taką, a nie inną drogę. Wyrzucała sobie, że powinna
była zrozumieć i przyjąć reguły gry, które zawsze wyda-
wały się bez sensu.

Tyle tylko że Sophie zawsze była inna niż wszyscy i pró-
ba zmiany po takim czasie byłaby absurdalna. Już raz zbłądzi-
ła, przed pięciu laty. Nie mogła zapomnieć, kim jest obecnie.

Grayson zaczął coś mówić, ale przerwał mu dzwonek
do drzwi.

- Ja otworzę - oznajmiła panna Pruitt z głębi domu, po
czym dało się słyszeć ciężkie stąpanie jej praktycznych
pantofli.

To wszystko działo się zbyt szybko i Sophie czuła się
jak przygwożdżona. Grayson zdawał się to rozumieć.

Owinął kosmyk włosów wokół jej ucha.

- Wszystko się wyjaśni, Sophie - powiedział łagodnie. - Porozmawiamy o tym później. Ale na razie idź już.

Odwrocił ją i lekko popchnął. Sophie machinalnie poszła na górę. Na podeście odwróciła się i zobaczyła, że do domu wchodzi jakiś elegancko ubrany mężczyzna, po czym obaj panowie wchodzi do gabinetu, zamykając za sobą gładkie, podwójne drzwi.

Grayson nigdzie się stąd nie ruszy. Okopał się na dobre. Nie zamierza się dokądkolwiek wyprowadzać.

A *jego* pocałunek smakował lepiej niż wino, odbierając jej zmysły. Sprawiając, że chciała jeszcze.

Naprawdę musiała pomówić z ojcem, by w jakiś sposób unieważnił akt sprzedaży domu. Nie mogła pozwolić, by Grayson pozostał w jej życiu już na zawsze.

Co rano przez trzy kolejne dni Sophie posyłała ojcu wiadomość. Każdy liścik wracał z adnotacją, że ojciec nie może się z nią zobaczyć. Początkowo było jej przykro, później wpadła w złość. Czwartego już dnia broniła się rękami i nogami, aby nie ulec panice. Po co ją tu ściągnął, skoro nie mogła zamieszkać wraz z rodziną?

Na domiar złego codziennie rano w Łabędziej Gracji z punktualnością zegara zjawiał się Grayson. Z wybiciem ósmej przychodziła również niecna panna Pruitt i zostawała do aż piątej, nie licząc się zupełnie z Sophie i jej swiątą, jakby stanowili stado niesfornych gęsi.

Każdego takiego dnia Sophie unikała Graysona jak zarazy. Była pewna, że jeśli tylko dopadnie ją bez świadków, obiecana rozmowa sprowadzi się do kategorycznego żądania, aby wyniosła się stąd raz na zawsze. Kiedy po nią posyłał, zawsze udawało jej się od tego wymigać - akurat była poza domem albo cierpiała na migrenę. Henry dał jej znać, że kiedy ostatnim razem przyniósł Graysonowi odpowiedź odmowną, ten dosłownie ryknął ze złości.

Henry był tym zachwycony. Sophie nieco mniej. Na-

tomiast cierpliwość Graysona była już na wyczerpaniu.

Tylko raz, pod koniec pewnego długiego dnia, Sophie miała okazję go zobaczyć. Siedziała właśnie w saloniku i czytała nuty z zapisem nowej aranżacji *La Boheme* na wiolonczelę, nieświadoma faktu, że Grayson znajduje się po drugiej stronie holu w swoim gabinecie. Panna Pruitt wyszła z biblioteki, zapukała w podwójne drzwi, po czym weszła. Sophie rzuciła okiem w tamtą stronę i zobaczyła siedzącego za biurkiem Graysona. Był pochłonięty klientem, który coś do niego mówił, stojąc plecami do Sophie. Sekretarka położyła świeżo przepisane dokumenty przed swoim chlebodawcą. W pewnym momencie Grayson podniósł wzrok i zauważył Sophie. Ich spojrzenia spotkały się ze sobą spojone jakimś nieczytelnym, podskórnym nurtem. Przez cały ten czas klientowi nie zamykały się usta.

Grayson odchylił się do tyłu w swoim fotelu i przyglądał się badawczo Sophie przez wysmukłe palce, jak gdyby uważał, że coś zrozumie, jeśli tylko będzie patrzył na nią odpowiednio długo. Jego oczy płonęły żarem. Poczuciem własności.

Sophie drgnęła nerwowo, podniosła się z otomany i udała na poszukiwanie Deandry. Ten drobny incydent sprawił, że poczuła się fatalnie, kolana się pod nią ugięły, a serce trzepotało w piersiach.

Na domiar złego ojciec nadal nie chciał się z nią widzieć.

Wreszcie zeszłego wieczoru, na niecałe dwa dni przed zapowiadaną galą, Sophie zdobyła po prostu nowy adres ojca i poszła do niego niezapowiedziana. Kiedy dotarła na miejsce, przez krótką chwilę nie pamiętała, w jakim celu właściwie się zjawiła.

Fens było ostentacyjnie piękne, ale Sophie szczególnie poruszyły dekoracje. Jeśli wierzyć ojcu, były one przeznaczone na huczny bankiet z okazji jej powrotu do domu. A więc ojcu jednak na niej zależało?

Niestety wszelkie uczucie zachwytu szybko z Sophie

wyparowało. Prócz spóźnionego spotkania z drogimi siostrami przyrodnimi wizyta okazała się katastrofą. Ojciec odmówił bezwzględnie zwrotu Łabędziej Gracji, a na domiar złego dodał, że sprawa została już definitywnie załatwiona. Zbijał wszelkie argumenty Sophie.

Zachowywał się agresywnie i odpychająco, aż Sophie w końcu szepnęła:

- Dlaczego? Dlaczego mi to robisz?

Ojciec westchnął ciężko, sprawiając znienacka wrażenie człowieka o wiele starszego.

- Dlatego, że tak jest najlepiej.

- Dla kogo? - wybuchnęła, próbując cokolwiek zrozumieć.

Gniew ojca powrócił z całą siłą.

- Dla tej rodziny! Teraz posłuchasz mnie i przeniesiesz się tutaj, do Fens. I odeślesz tych... tych darmozjadów tam, skąd pochodzą.

Sophie wpadła w złość, odmówiła ojcu, uciekła z Fens i wróciła do Łabędziej Gracji. Z większą niż do tej pory determinacją myślała tylko o tym, aby odzyskać swój dom.

- Co wy tu robicie? - W myśli Sophie wdarł się rozdzierający krzyk panny Pruitt.

Sekretarka wparowała do biblioteki w praktycznym kapelusiku na głowie. W obu dłoniach ścisnęła torebkę jakby ze strachu, że ktoś z obecnych może ją ukraść.

- Ach - wycedził Henry ze swego ulubionego wyściełanego krzesła stojącego w kącie pokoju, który od podłogi do sufitu zapełniały sterty książek. - Nasza kochana panna Chan. Czy możemy się zwracać do kochanej pani po imieniu, Dżyngis, żeby było krócej?

Deandra roześmiała się z uznaniem, podnosząc wzrok znad swoich wymanikiurowanych paznokci, którym się uważnie przyglądała. Kiedy prostowała kolana na krześle, tkanina jej lśniącej sukni zaszeleściła głośno.

- Henry, potrafisz być taki dowcipny.

Nawet Margaret nie zdołała ukryć uśmiechu.

Usta panny Pruitt zmarszczyły się jak suszona śliwka, oczy zwięzły z gniewu. Momentalnie jednak rozszerzyły z przerażenia, kiedy przez otwarte okno do pokoju wtargnął wichur, czyniąc spustoszenie wśród leżących na biurku papierzysek.

- Patrzcie, czegoście narobili! - krzyknęła, rzucając się do okna, aby je natychmiast zatrzasnąć.

- Były aż takie ważne? - zdziwił się Henry, podnosząc pierwszą z brzegu kartkę. - Pan James Lampman, zamieszkały na Huntington Avenue 155, poprzednio na Mount Vernon Street 212, pozywa przed sąd niejakiego Paula Redmana za zaszarganie reputacji i doprowadzenie do bankructwa firmy...

Kobieta szarpnęła za kartkę tak gwałtownie, że omal nie rozerwała jej na pół.

- Nikomu nic do tego - warknęła. - A teraz precz mi stąd! Precz! Precz! Precz! To moje biuro!

Starła się ich przegnać, ale Margaret nie ustępowała.

- Nie może nas pani wypędzić. Nasza Sophijka musi ćwiczyć.

Codzienna dawka muzyki była Sophie nieodzowna do życia jak powietrze. Jeśli nie trzymała w rękach swojej wiolonczeli, muzyka rozbrzmiewała w jej głowie. Słyszała w myślach pasażę bez względu na to, co aktualnie robiła, z przyzwyczajenia, instynktownie.

- To będzie musiała ćwiczyć gdzie indziej - oznajmiła panna Pruitt. - To znaczy, jeśli nazywacie muzyką ten jazgot, którego muszę bez przerwy wysłuchiwać. - Rzuciła spojrzenie Sophie, która nawet nie drgnęła. - Szkoda czasu na te rozmaite *Gniazda miłości*.

Stwierdzenie to zaskoczyło Sophie do tego stopnia, że parsknęła śmiechem. Panna Pruitt okazała się szcwanym lisem. Sophie zerwała się z krzesła i oddała Henry'emu instrument.

- Niech pani to powie tym wszystkim facetom, którzy płacą krocie za oglądanie moich występów, panno Pruitt.

- Już ja wiem, za co oni pani płacą - odparł babsztyl,

patrząc na Sophie wzrokiem osoby nieźle zorientowanej.

W bibliotece zaległa cisza. Sophie i panna Pruitt przeżywały się wzrokiem. Henry, Margaret i Deandra wpatrywali się w obie panie.

Milczenie przedłużało się, wreszcie Sophie znowu się roześmiała.

- Chodźcie, dzieci. Kiedy ta kobieta ma rację, to ją ma. Większość mężczyzn, którzy chodzą na moje występy, nie widzi różnicy między Bachem i Beethovenem a bostońską babką bakaliową.

Deandra i Henry wymienili pytające spojrzenia, a potem wybiegli z biblioteki w ślad za Sophie.

Sophie, choć skwitowała na słowa panny Pruitt śmiechem, wcale nie była na nie tak odporna, jak chciała to zasugerować swoim przyjaciołom. Nie mogła zapomnieć czasów, kiedy wykonywała muzykę poważną i często wracała myślami do Bacha.

Gdyby spróbowała, gdyby rzeczywiście spróbowała, czy umiałaby to jeszcze zagrać? Czy porwałaby tłum własną interpretacją suity wiolonczelowej Bacha?

Szukając samotności, Sophie udała się do gabinetu - a raczej kancelarii Graysona - i zamknęła za sobą drzwi. Tego ranka Grayson był w sądzie i miał wrócić dopiero po południu.

Rozsiadła się w stojącym za biurkiem fotelu. Przypominał mebel, w jakim przesiadywał jej ojciec, kiedy była nastolatką. Ten był zupełnie inny, nowy. Jak wiele rzeczy w jej życiu.

Czasami chciała wsiąść na pierwszy statek do Francji i już nigdy nie wrócić do Ameryki. Ale to i tak właściwie nie miało znaczenia. Brakowało jej pieniędzy na bilet. Musiała tkwić w Bostonie, póki nie dostanie zaliczki na poczet honorarium za planowane czerwcowe występy w Paryżu.

Wstała z krzesła zniechęcona i podeszła do bocznego okna. Rano założyła prostą, jasnoniebieską sukienkę z długimi, wąskimi rękawami. Ale mimo słońca czuła potrzebę energicznego rozmasowania zmarzniętego ciała.

- Widzę, że jest ci zimno.

Odwrociła się gwałtownie; w drzwiach stał Grayson. Miał na sobie ciemny garnitur i kamizelkę, biała koszula i kołnierzyk były nakrochmalone, a lekkie, wełniane spodnie uwydatniały silne uda. Czy piorunujące działanie jego obecności kiedykolwiek się zmniejszy? Czy uda jej się kiedykolwiek oswoić z tym jego wzrostem i mrokiem spojrzenia? Z naturalną swobodą, będącą tylko cieniutką warstwą patyny na ledwo hamowanej żywiołowości? Czy uda jej się kiedykolwiek oswoić z emocjami, które w niej wywoływał?

Czmychnęłaby przez drzwi, gdyby ten diabeł wcielony nie blokował drogi. Poza tym nie będzie się przecież plamić tchórzostwem.

Z największą obojętnością, na jaką mogła się zdobyć, podeszła do biurka Graysona, usadowiła się w jego fotelu, założyła nogę na nogę i zaczęła machać stopą w wąskim pantofelku. Rozpaczliwie próbowała udawać stoicki spokój, podczas gdy wszystko się w niej gotowało.

- Nie. Ani ani. Ty zaś miałeś wrócić dopiero za kilka godzin?

Wszedł do gabinetu i usiadł w fotelu naprzeciwko Sophie, jakby ona była adwokatem, a on klientem. Odchylił się do tyłu, skrzyżował nogi w kostkach i spojrzał taksująco na Sophie.

- Rozprawa została odłożona. Zresztą musimy porozmawiać.

Przyszedł czas. A więc stało się. Zaraz każe jej spakować manatki i wynieść się do hotelu. Sophie zaczęła się zastanawiać nad przyszłością. Dokąd się wyniosą? Jak przeżyją aż do maja?

Zdenerwowana zacisnęła palce na wiecznym piórze, żeby ręka jej nie drżała.

- Oczywiście, że musimy porozmawiać. Ale powiedz mi najpierw, czy widziałeś te kwiaty? - Wszystko, by tylko odwlec nieuchronny koniec.

Grayson przez chwilę siedział nieruchomo, po czym spojrzał do tyłu na korytarz.

- Trudno ich nie zauważyć. Co one tu robią?

Pióro znieruchomiało w półobrocie.

- One są dla mnie - wyjaśniła, po czym wróciła do kreślenia wzorków. - Poza kwiatami i słodczyce. Różne ozdóbki i błyskotki. Żeby nie zapomnieć o tuzinach zaproszeń.

- Jaka to okazja?

Podniosła wzrok, jej usta wykrzywił grymas uśmiechu.

- Mój przyjazd do domu. Rozeszła się pogłoska, że córka marnotrawna wróciła.

Grayson uniósł się i sięgnął po pióro. Ich palce zetknęły się ze sobą - jego długie i silne, jej drobniejsze, z krótkimi, zaokrąglonymi paznokciami, aby mogła swobodnie przyciskać struny wiolonczeli.

Grayson wyjął pióro z jej dłoni i odłożył na bok.

- Nie nazwałbym cię marnotrawną.

Rozparła się, zagryzając wargi, i poruszyła palcami, których przed chwilą dotykał.

- A jakbyś mnie nazwał?

Grayson obszedł fotel dookoła i stanął między Sophie a biurkiem, opierając się o krawędź blatu. Czuła, że serce w niej zamiera, i dyskretnie odsunęła się dalej. Ale Grayson tylko patrzył na nią dłuższą chwilę, podczas gdy Sophie ogarniał lęk.

Nieoczekiwanie w ciemnych oczach Graysona dostrzegła czułość.

- Nazwałbym cię bardzo skomplikowaną.

Sophie zaprotestowała.

- Jestem prostą dziewczyną i to wszystko.

Uniosła się, próbując się wycofać. Ale kiedy wstała, Sophie znalazła się tak blisko Graysona, że jeszcze cał, a dosłownie wpadliby na siebie.

Jego ciemne oczy jarzyły się jak węgielki.

- Można cię określić na wiele sposobów. Ale prostota do nie należy do cech twojego charakteru.

Sophie chciała się sprzeciwić, lecz gdy Grayson delikatnie musnął koniuszkami palców jej ramię, zaniemówiła.

Znajdował się za blisko, odczuwała to zbyt intensywnie. Skrzyżowała ramiona na piersiach i próbowała się wyswobodzić. Ale Grayson jej nie puszczał.

- Działam na ciebie - wyszeptał. - Powiedz, dlaczego.

- Ty działasz na mnie? - Mówił prawdę, ale w Sophie wzięła górę duma. Opuściła ramiona i powiedziała: - Nie sędzę.

Zachichotał, a jego wargi ułożyły się w taki sposób, że z trudem powściągnęła pragnienie, by nie obwieść palcem ich konturu.

- No dobrze, skoro nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego na ciebie działam, to powiedz mi chociaż, od kogo są te wszystkie prezenty. Od przyjaciół z dzieciństwa? Od znajomych twojego ojca?

- Od adoratorów.

Nagle węgielki jarzące się w jego oczach stanęły w ogniu. Wszelka czułość zniknęła, pozostała jedynie irytacja. *No i dobrze.*

- Od adoratorów? Masz tu adoratorów? Już?

- Tak - odrzekła z satysfakcją. - Wygląda na to, że mam ich krocie. - Faktycznie miała, całkiem niespodzianie zresztą. Mężczyzn, którzy jako chłopcy zawsze ją ignorowali. - Nie jesteś ciekawy, kto mi złożył wizytę?

- Nie, nie jestem - odparł sztywno. - Nie powinnaś przyjmować niczyich zalotów.

- Och, doprawdy? - spytała, wspierając dłonie na biodrach. - A czemuż to?

Grayson patrzył na nią z tą samą dziwną furią w oczach, która szalała w nich tamtego pierwszego wieczoru. Sophie wzdrzgnęła się, opuszczając ręce wzdłuż ciała. Ciekawe, czy już znał prawdę o jej występach. Czy właśnie dlatego dotykał jej w taki sposób? Bezcelnie, nazbyt zuchwale.

Domyśliła się, że Grayson chce jej oznajmić coś bardzo

ważnego, i znowu poczuła w dłoniach dziwne mrowienie. Co to będzie? Ostra reprimenda? Przemowa?

- Sophie, jesteś tu już prawie tydzień, a wcale ze sobą nie rozmawialiśmy.

Słyszając te słowa, Sophie odczuła lęk. Po co się pochwalila tymi adoratorami?

Grayson ujął ją za rękę.

- Znamy się od dawna - powiedział łagodniejszym tonem. Na jego pełnych, cudownych wargach igrał uśmiech. - W gruncie rzeczy, poza moimi braćmi i rodzicami, nikogo nie znam dłużej od ciebie. Więc nie będę niczego owijać w bawełnę.

Serce Sophie zaczęło kołatać.

- Łatwo ci to przyjdzie, bo ja zawsze będę cię pamiętała owiniętego w kaszmirowy szlafrok - odparła, zdobywając się na uśmiech.

- Skończ już z tymi żartami, Sophie. Musimy porozmawiać o przyczynach, dla których twój ojciec poprosił cię o powrót do domu.

Jakiś dźwięk zawirował w jej głowie, przeciągłe buczenie, niczym jęk wiatru zawodzącego wśród topoli. Ojciec wezwał ją do powrotu dlatego, żeby weszła do jego nowej rodziny; nie mogło być innego powodu.

- Chyba wiesz, że zawsze mi na tobie zależało - ciągnął Grayson. - Mam nadzieję, że również tobie...

- Wielkie nieba! Spójrz na zegar. - Sophie wyswobodziła się z jego uścisku i ruszyła pędem ku drzwiom ze śmiechem, choć wcale nie było jej wesoło. - Jestem spóźniona, absolutnie, definitywnie, niewybaczalnie spóźniona. Wiem, że to rozumiesz, bo przecież najbardziej interesują cię terminarze i harmonogramy. Porozmawiamy później. Naprawdę.

- Sophie!

Nawet nie zwolniła kroku. Wypadła jak burza z gabinetu, czując nieustannie na swoich plecach mroczne, badawcze spojrzenie Graysona.

6

Grayson stał w oknie swojego gabinetu, spoglądając niewidzącym wzrokiem na zaśnieżoną ulicę. Nie wiedział, co myśleć o Sophie i jej gwałtownej rejteradzie.

Westchnął, przyczesując palcami włosy. Był zawiedziony i zaczynał wątpić, czy słusznie postąpił, wybierając swoją narzeczoną. Musiał jednak przyznać, że coraz bardziej pragnął zakosztować smaku jej ust. Szybkie muśnięcie warg Sophie pozostawiło tylko uczucie niedosytu. Jak zawsze już samo myślenie o niej burzyło w nim krew.

Tamtego ranka, kiedy zastał ją chodzącą w jego własnym szlafroku, zorientował się, że nie miała nic pod spodem. Przez krótką chwilę wyobrażał sobie, że rozchyła poły szlafroka, ujmuje w dłonie obnażoną krągłość jej piersi i pieści kciukami różowo zakończone brodawki. A jego sekretarka krząta się tylko o parę kroków dalej, w kuchni.

Zaklął pod nosem. Ledwo jego wybranka znalazła się w domu, a już przeinaczała jego uczciwe myśli i zamiary w jakieś spekulacje nie do przyjęcia.

Conrad Wentworth stale go naciska, aby poinformował Sophie o zaręczynach. On i Patrice, nie wspominając jego własnego ojca, chcieli ogłosić połączenie obu rodzin w sobotę wieczorem na bankiecie - prawdę mówiąc, był to jedyny powód do jego wydania. Ale Sophie o tym nie wiedziała.

Specjalnie wrócił z sądu wcześniej, żeby ją poinformować. I byłby to zrobił, gdyby dała mu szansę.

Na myśl o tym Graysona ogarnęło uczucie zniecierpliwienia. Sophie była kobietą, z którą postanowił się ożenić. W związku z tym ułożył i podpisał znakomicie zredagowa-

ne dokumenty notarialne. Kobieta, która będzie mu rodzić i wychowywać dzieci. Do diabła, zdaje się, że na razie jej przydałaby się odrobina dobrego wychowania. Świadomość tego faktu nie spłynęła po Graysonie jak woda po gęsi.

Sophie oznaczała kłopoty, a on nie chciał żadnych kłopotów.

Nie potrafił jednak wymazać jej z pamięci.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi, a potem zobaczył, jak Sophie wybiega na chodnik. Nosiła grube, wełniane rękawiczki i dziwnie, krzywo zapięte palto. Otworzyła parasolkę dla ochrony przed zimowym słońcem i weszła w pośpiechu na brukowaną ulicę.

Przez chwilę nie chciało mu się wierzyć, że miała dokąd pójść. Tak samo nie wiedział, czy już się domyślała, co chciał jej powiedzieć.

Obserwował, jak przechodziła przez jezdnię i ruszyła szybkim krokiem po kamiennym chodniku, który biegi wzdłuż sięgającego jej do pasa czarnego ogrodzenia z kutej żelaznej kraty. Jego ostre zakończenia stanowiły raczej element zdobniczy niż odstraszający. Grayson mimowolnie zaczął się uśmiechać. Sophie była zuchwała i oburzająca, a jednocześnie piękna w sposób nie do opisania.

Włosy miała niczym nie przykryte, w wolnej ręce trzymała fantazyjny kapelusz z dzwonekami i kokardkami, potargane złociste loki falowały jej na głowie. Graysona swędziały palce, aby pociągnąć za tasiemkę, która trzymała tę burzę włosów ze sobą. Chciał poczuć dotyk włosów i ust Sophie. Przypomniał sobie jej duże, brązowe oczy, ozdobione tu i ówdzie plamkami złota i zieleni. Nieokrzesane i dzikie. Gdy tylko o tym myślał, jego ciało nabrzmiało pożądaniem.

Nagle Sophie przystanąła. Grayson wyteńczył wzrok, różne domysły zaczęły się kłębić w jego głowie, ale natychmiast znikły, ponieważ Sophie usiadła powoli na chodniku obok wyłamanego odcinka ogrodzenia. Czując, że sztywnieją mu ramiona, patrzył, jak Sophie chwyta za wy-

gięty żelazny pręt i wkłada głowę do środka, przyglądając się jakimś krzakom. Działo się coś dziwnego.

Sophie podniosła się i rozejrzała energicznie na wszystkie strony. Grayson już chciał wybiec za nią na ulicę, gdy wtem znieruchomiał ze zdumienia, albowiem Sophie rzucała kapelusz i parasolkę na chodnik, uniosła rąbki swoich spódnic i zaczęła przeciskać się przez dziurę w płocie. Zaraz jednak w niej utknęła i nie mogła się poruszyć.

Grayson wciąż stał nieruchomo, częściowo ogłuszony nadmiarem wrażeń, ale też i wściekły. Sophie szamotała się w lewo i prawo, pogarszając tylko sytuację, aż wreszcie wykrzywione pręty przedziurawiły obfite fałdy jej palta na wylot. Została na dobre uwięziona.

Kilka chwil później Grayson otworzył kopniakiem frontowe drzwi.

Na Commonwealth Avenue panował ożywiony ruch, w powietrzu niósł się stukot jadących po bruku i żużlu kół dorożek i powozów, rywalizujących o prawo przejazdu. Nie zważając na mróz, Grayson przeciął wąski zaułek, skrawek trawiastej promenady pokrytej śniegiem i lodem, a potem wszedł przeciwległą uliczkę.

Maszerował w kierunku Sophie, a ta z wysiłkiem próbowała się uwolnić. Już z daleka Grayson słyszał, że mamrotała nieprzyzwoite słowa. Słyszając je, nawet pijany marynarz zarumieniłby się ze wstydu. Zdołała jednak tylko zakleszczyć się jeszcze bardziej. Grayson ruszył biegiem, kiedy jakiś mężczyzna zagwizdał z wrażenia. Dopiero teraz Grayson spostrzegł, że kiedy jej spódnice uwięzły i rozdarły się na płocie, wyeksponowała się bielizna.

- Jakież problemy? - zawołał do Sophie nieznajomy, wysiadając z bryczki, którą zatrzymał przy chodniku.

Grayson dostał szału.

- Wynocha, bo inaczej sam pan będziesz miał problemy - warknął na niego.

Mężczyzna odwrócił się, naprężając ciało do walki. Był

krępy, a jego nieregularne rysy twarzy i krzywy nos wskazywały, że pojedynki na gołe pięści nie były mu obce. Ale jeden rzut oka na Graysona odebrał mu odwagę. Nie wiadomo, czy powstrzymało go władcze spojrzenie, szerokie bary, czy prawie dwumetrowy wzrost, w każdym razie Graysonowi było wszystko jedno.

- Dobry Boże. On tylko chciał mi pomóc - rzekła Sophie, wyciągając szyję, żeby spojrzeć na Graysona.

- To jakiś filut.

- Nic dziwnego - powiedziała oschle, podejmując przerwane Wysiłki, żeby się uwolnić. - Myślisz, że często spotyka kobietę z rozprutą o płot spódnicą?

Graysonowi stężały rysy.

- Głupiec ze mnie. Powinienem być cię zostawić na jego łasce.

- Wystarczy - rzuciła. - Bądź łaskaw pomóc mi się stąd wydostać.

Grayson dłuższą chwilę patrzył na Sophie z posępną miną, następnie zrobił kilka ostatnich kroków, które ich jeszcze dzieliły, i wziął się do rozplątywania spódnicy Sophie.

- Szybciej, Graysonie.

- Robię, co mogę, nie drąc twoich ciuchów na strzępy - wycodził przez zęby.

- Pal diabli ciuchy. Jeśli się nie pośpieszysz, to zaraz sama je porwę.

Klnąc pod nosem, Grayson szarpnął za materiał, prując szwy z głośnym trzaskiem.

Uwolniona z pułapki Sophie znalazła się wśród gąszcza pokrytych zlodowaciałą powłoką krzewów. Znajdowali się teraz po dwóch stronach ogrodzenia. Nawet mu nie podziękowała, tylko od razu upadła na kolana.

- Sophie, co ty, u diabła, robisz?

- Szybko, potrzebuję twojej pomocy.

Grayson nie pojmował, jaki Sophie mogła mieć kłopoty, ale nie ulegało wątpliwości, że było to coś poważnego.

Kiedy jednak mruczając pod nosem przekleństwa przesadził ogrodzenie i kucnął, aby się dobrze przyjrzeć, znieruchomiał na widok, jaki się otwierał przed jego oczami.

Pod krzakiem leżała zakrwawiona i zmaltretowana suka.

- Lepiej chodźmy stąd - powiedział, cofając się i pociągając Sophie za sobą.

Sophie wyswobodziła rękę, a na jej twarzy malowała się stanowczość.

- Musimy jej pomóc.

- Sophie, ta suka zaraz zdechnie. Nie pozostaje nam nic innego, tylko odejść stąd i zawiadomić władze.

Sophie spojrzała na niego przez ramię. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że miała w oczach łzy.

- Nie - zaprotestowała z żelaznym uporem.

Grayson zaklął pod nosem, jeszcze raz obrzucając wzrokiem psinę, która zbolałymi oczami czujnie przyglądała się Sophie. Suka była osłabiona - na pewno z głodu, myślał Grayson, ale także z upływu krwi. Wkrótce oczy zwierzęcia zamknęły się, a jego głowa opadła w końcu na ziemię. Sophie próbowała ostrożnie podnieść zwierzę.

- Sophie - przestrzegł ją ostro.

Sophie spojrzała na niego z determinacją i błyskiem żalu w oczach, który Grayson natychmiast rozpoznał.

- Nie zostawię jej tutaj na pewną śmierć - oświadczyła napiętym, choć stanowczym głosem. - Jeśli ma umrzeć, to nie w samotności.

Patrzyli na siebie wzajemnie, w spojrzeniu Sophie była nieustępliwość, Graysonowi drgały mięśnie twarzy.

- Niech to diabli, sam zaniósę tego cholernego psa.

W oczach Sophie odmalowała się identyczna czujność jak wcześniej w ślepiach suki. Ale zdołała powściągnąć język i patrzyła, jak Grayson unosi zwierzę. Złocista sierść zwierzęcia była umazana błotem, krwią i brudnym lodem, tak że poplamiła Graysonowi garnitur z Saville Row. Kiedy stanął prosto, suka leżała bezwładnie w jego ramionach,

a Sophie patrzyła na niego z takim skupieniem, że aż ścisnęło mu się serce. W milczeniu pokręciła głową, jakby słowa mogły coś zdradzić.

Z powodów, których nie rozumiał, uświadomił sobie, że troska Sophie o tego psa miała dużo głębszą podstawę, niż można by sądzić. Nagły mrok w jej złotych, brązowych oczach był o wiele wymowniejszy niż wyzywająca pozycja w czasie gry na wiolonczeli, niż oburzające zachowanie, które zarzucał jej ledwie kilka minut wcześniej. Ale jakie obrazy przeszłości mogły sprawić, że w jej oczach malował się aż taki ból?

- Zaniesiemy ją do domu. - Sophie podniosła się z ziemi, nie zwracając uwagi na plamy i dziury w swoim ubraniu.

Zapominając o kapeluszu i parasolce, ruszyła na drugi koniec podwórza. Wyszli przez furtkę na Commonwealth Avenue i zanim Grayson zdołał ją powstrzymać, wbiegła na jezdnię, zmuszając woźniców do ściągnięcia wodzy, aby jej nie stratowali.

Nie zwracała uwagi na rozgniewanych mężczyzn, którzy poderwali się ze swoich siedzeń i w podnieceniu wyzywali ją od najgorszych.

- Szybciej, Grayson - zawołała ze środka jezdni.

Wszedł na bruk Commonwealth Avenue. Raptem gniewna wrzawa ucichła na widok zakrwawionego psa leżącego bezładnie w ramionach Graysona.

Szedł w nagłej, niesamowitej ciszy. Żadnego dźwięku, żadnej myśli, jedynie dotyk psa wijącego się z bólu na jego pierśsiach. Grayson był pewien, że do śmierci nie zapomni brzmienia tej ciszy i poczucia, że oto na jego rękach gaśnie życie.

Sophie pchnęła na oścież drzwi Łabędziej Gracji i minęła w pędzie zaskoczono Henry'ego, który stał w holu w swojej bonzurce, sącząc kawę z porcelanowej filiżanki. Zaprowadziła Graysona tylnymi schodami na dół do piwnicy, gdzie mieściła się pralnia.

- Połóż ją tutaj - poleciła.

Grayson nie zdążył jeszcze ułożyć sukki, kiedy w drzwiach pojawił się Henry ze skwaszoną miną.

- Przynieś kilka ręczników, Henry - powiedziała Sophie.

- Ja? - Chambers aż pisnął, grzechocząc filiżanką na spodku.

Został jednak wybawiony od zrobienia czegokolwiek, bo do pralni wpadła energiczna kobieta o imieniu Margaret. Graysona odepchnięto na bok, a Sophie i Margaret pochyliły się nad zamaltretowanym psem, jakby robiły to przez całe życie.

Tymczasem zwierzę ledwo już oddychało. Oczy Graysona zwięziły się z nadmiaru niespodziewanych emocji, które zawładnęły jego duszą od chwili, gdy wziął zwierzę na ręce. Nie chciał się przywiązywać. Suka i tak zdechnie. Już jako chłopiec nauczył się, że ulubione zwierzęta odchodzą, więc ojcowie nie pozwalają się synom przywiązywać. Nawet jeśli Sophie to rozumiała, niczym się nie zdradziła.

- Napalę w piecu, żeby rozgrzać pralnię - powiedziała Margaret.

Odeszła od psa, wzięła ręcznik i zaczęła wycierać dłonie. Grayson stał nieruchomo przez cały czas, odkąd weszli do środka.

- Ja to zrobię - odezwał się znienacka.

Sophie i Margaret omiotły Graysona zdumionym wzrokiem, jakby bredził.

- Ja rozpalę ogień - powtórzył tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Sophie spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem, najwyraźniej próbowała go zrozumieć. Ale nim zdążyłby się rozmyślić, pokazała mu porządnie ułożoną stertę drewna.

- Opał leży tam - rzekła i ponownie zajęła się psem.

Grayson obserwował ją przez chwilę, jej czułe dłonie, które umiejętnie, a zarazem łagodnie opatrywały rany zwierzęcia. Naraz w jego pamięci odżyło wspomnienie sprzed wielu lat. Był wtedy małym chłopcem, cztero-, a może pięciolet-

kiem, i oberwał cieżgi od gangu zadowolonych z siebie starszych kolegów. Krwawił, bolało go całe ciało, pulsowały mu nadgarstki, a po policzkach płynęły ciurkiem łzy. Po tym wszystkim jego ojciec, stojąc nad nim jak wielkolud z gniewną miną, kazał mu wziąć się w garść i przestać mazgać.

Grayson pozbierał się jakoś, ale kiedy chciał biec do matki, ojciec mu tego zabronił. *Tylko dzidzius potrzebuje matczynych pieszczot.*

W końcu sam obmywał swoje rany w łazience na piętrze. Brudne policzki spływały mu łzami, a ojciec podał mu jedzenie z taką miną, jakby chłopiec popełnił zbrodnię. Rany i siniaki zagoiły się z czasem. A Grayson nigdy już więcej nie zapłakał.

Grayson nie rozumiał ani dziwnego kołatania swego serca, ani dlaczego przypomniał sobie raptem o tamtym przykrym incydencie - dlaczego w ogóle wspomnienia osaczają go ze wszystkich stron. Obowiązkiem ojca było wychowanie syna na prawdziwego mężczyznę, silnego i zahartowanego. Grayson posiadał obie te cechy.

Nagle zadał sobie pytanie, co on tutaj jeszcze robi. Po co mu to wszystko; nie aprobował postępowania Sophie: tego oburzającego zachowania, włóczenia się po świecie w asyście bandy darmozjadów, tarzania się w śniegu i błocie dla jakiegoś psa, któremu i tak śmierć sądzona. Raz na zawsze zrozumiał, że nie tego oczekuje od swojej przyszłej żony.

Pragnął odpowiedzialnej pracy, życia w świecie uporządkowanym, w ciepłym, przytulnym domu, do którego będzie wracał wieczorem. Chciał życia, na którego budowaniu spędził ponad piętnaście ostatnich lat.

Ale kołatanie jego serca nie ustawało i Grayson cisnął drewno do ognia z większą siłą, niż to było konieczne.

Kiedy Margaret i Sophie zrobiły już wszystko, co w ich mocy, ciężko oparły się plecami o ścianę. Margaret niebawem się pożegnała, a kiedy Sophie powiedziała Graysonowi, że nie potrzebuje już niczego więcej, patrzył na nią do-

bre parę chwil, mówiąc do siebie, że powinien już iść. W końcu zmusił się do opuszczenia Łabędziej Gracji.

Wrócił miarowym krokiem do hotelu, z najwyższym trudem wymazując z pamięci ostatnie wydarzenia. Pomyślał o wąskim łóżku i ograniczonej przestrzeni pokoju hotelowego. Musiał umyć się w małej misce u siebie, ponieważ wspólna łazienka na korytarzu była szczelnie wypełniona.

Grayson wykrzywił usta, robił skwaszoną i posępną minę, wreszcie ściągnął wargi w wąską kreskę. Wezbrały w nim wspomnienia młodości spędzonej na mansardzie, kiedy doznał szoku na widok obskurnych korytarzy i wspólnych wanien ze rdzawymi naciekami wody kapiącej z nieszczelnych kranów, oraz występnych mężczyzn, którzy równie łatwo mogliby ukraść mu brzytwę, jak i poderżnąć mu nią gardło. Był wdzięczny losowi, że w wieku szesnastu lat nie musiał się zbyt często golić.

Próbował się roześmiać, ale nie udało mu się znaleźć nic, co bodaj trochę mogłoby go rozweselić.

Kiedy podszedł do małej hotelowej szafy, żeby się przebrać, uzmysłowił sobie, że nie ma niczego na zmianę i jest skazany na ostatnią parę spodni i wczorajszą koszulę.

Przeżywał ostrą frustrację, choć nie tyle z braku czystej odzieży, ile z nadmiaru wspomnień. Życie wymykało się mu nagle spod kontroli.

Sytuacja wymagała środka zaradczego, i to jak najprędzej. Ale czego on właściwie chciał? Jak naprawdę zamierzał postąpić w związku z Sophie i zaręczynami? Na te pytania odpowiedzi nie znał.

Grayson zawsze należał do ludzi szybko podejmujących decyzje. Kiedy raz już jakąś podjął, parł naprzód, zdecydowanie dążąc do celu. Ale odkąd znowu pojawiła się Sophie, chwilami nie mógł się wprost doczekać poślubienia jej, a chwilami chciał się jej pozbyć ze swego życia.

Jeszcze raz wyszedł z Vendome, postanawiając wstąpić

do swojego klubu. Nie chciał rozmyślać - o Sophie, o psie, o przeszłości.

Zamiast jednak machnąć na dorożkę, która mogłaby go zawieźć do śródmieścia, Grayson skrzył w stronę Łabędziej Gracji. Niczym ćma przyciągana do ognia.

Sophie nadal była zajęta suką. Mimo to Grayson nie zawrócił do klubu, tylko udał się do swego gabinetu, aby pracować. Niestety, nie mógł się skoncentrować. Co kilka minut rzucał robotę i schodził na dół do piwnicy.

Sophie siedziała w promieniach słońca, które sączyły się z małego, wysoko położonego okna. Grayson stał i nie mogąc odwrócić wzroku, patrzył, jak Sophie czule i delikatnie głaszcze psa. Wędrowała palcami po sierści na głowie zwierzęcia, gdzie nie było żadnych ran. Nie przejmowała się tym, że może skaleczyć się w palce, a przecież możliwość gry na wiolonczeli zależała od ich sprawności. Szeptła coś do zwierzęcia tak cichutko, że Grayson nic nie słyszał. Ale wszystko dobrze rozumiał. Domyślał się w jakiś sposób. Sophie wierzyła w to, że zdoła sukę uleczyć. Jakaś przybłądę. Jakaś zmaltretowaną duszyczkę, której los był przesądzony.

Grayson wszedł głębiej do pralni. Sophie obróciła się i zerknęła na niego, jej oczy przepełniało nieme pytanie. Odpowiedział na jej spojrzenie, przysunął sobie krzesło z oparciem i usiadł obok niej. Przez jedną krótką, ulotną chwilę Sophie uśmiechnęła się ze zmęczeniem, ale i z wdzięcznością. A później odwróciła się z powrotem do psa.

Grayson nigdy już jej nie opuści.

Po południu macocha Sophie zeszła po schodach do piwnicy.

- Sophie, jesteś tutaj?

Sophie odwróciła się, a Grayson wstał.

Patrice Wentworth była niewątpliwie kobietą piękną, dużo młodszą od swojego męża, niewiele starszą niż sama Sophie. Teraz stała na progu ubrana w ciemnoniebieską

suknię z tafty, która znakomicie pasowała do jej oczu, oraz misternie wyszywany niebieską i brązową nicią wełniany szal. Jej włosy były czarne jak noc, a skóra biała i czysta niczym miseczek kremu. Grayson spotkał się z nią tylko raz, zanim wyszła za Conrada Wentwortha. Ale od ślubu stała się klejnotem bostońskiej socjety i uczęszczała na wszystkie najbardziej wytworne imprezy towarzyskie.

Patrice skrzywiła się, omijając stertę zużytych ręczników. Na jej ręce huśtała się ozdobiona cekinami torebka.

- Wielkie nieba, co ty tu robisz?

Żadnych przywitań, żadnych uścisków.

- Witaj, Patrice - odparła Sophie z posępnym i bolesnym błyskiem oczu. Ale po chwili oczy jej zaszczyły łzami i na twarzy pozostał tylko smutny uśmiech. - Przyprowa-
dziłaś ze sobą dziewczęta? - spytała.

Patrice podeszła bliżej, odgłos jej kroków zadźwięczał delikatnie na kamiennej posadzce. Trzymała kurczowo swój szal, jak gdyby stanowił osłonę przed panującym w piwnicy mrokiem.

- Nie, nie przyprowaodziłam dziewcząt... Och, pan Hawthorne, nie miałam pojęcia, że pan tu jest.

- Dzień dobry, pani Wentworth - przywitał się Grayson z formalnym skinieniem głowy.

Kobieta przygładziła włosy, a jej starannie pomalowane usta rozchyliły się w pięknym uśmiechu.

- Nie widziałam pana od wieków.

- Od czasu, kiedy odwiedzała pani moją matkę w Hawthorne House - odrzekł chłodnym i kąśliwym tonem. Nie za bardzo lubił panią Patrice Wentworth.

- Ach, tak. Pańska matka. - Najwyraźniej Patrice straciła zainteresowanie. - Co u niej słyhać?

- Wszystko w porządku. Choć ostatnio jest trochę niedysponowana.

- Pan nie mówi poważnie - rzekła, unosząc ze zdziwienia brwi. - Mogłabym przysiąc, że widziałam Emmaline

nie dawniej jak w zeszły poniedziałek. - Patrice uśmiechnęła się i westchnęła. - Wyglądała przepięknie w sukni z brzoskwiowego jedwabiu ozdobionej skromną flandryjską koronką i wspianałej pelerynie ze śnieżnobiałej wełny obszytej futerkiem.

Grayson zmarszczył czoło z zakłopotaniem.

- Widziała pani moją matkę w poniedziałek?

Patrice położyła na łokciu swoją dłoń odzianą w rękawiczkę, wyrównując fałdy rękawa.

- Och, tak. Wyglądała oszałamiająco. Niepodobna, aby była chora.

- Pani z pewnością się myli. Matka nie wychodzi z domu.

Grayson czuł na sobie pytające spojrzenie Sophie. Nie mógł jednak utrzymać w ryzach gwałtownej gonitwy myśli w jego głowie.

- No cóż - zamyśliła się Patrice. - Miałam wrażenie, że to była ona. - Potrząsnęła głową i roześmiała się. - Ale mogłam się pomylić.

Patrice przeniosła uwagę na Sophie.

- Dziewczęta nie mogły przyjść, bo są zbyt zajęte sprawami, którymi zajmują się młode damy. - Patrice urwała nagle. - Ale stałe zapominam, że ty byłaś zanadto zajęta muzyką, by angażować się w... bardziej prozaiczne strony życia młodej damy. **Skan Anula43, przerobienie pona.**

Sophie stężała, co Grayson natychmiast zauważył.

- Ty zawsze tylko grałaś, grałaś, grałaś - mówiła dalej macocha, świdrując wzrokiem Sophie. - Oczywiście moje dziewczęta nie mają krztyny talentu, jeśli chodzi o instrumenty muzyczne. A ty go masz co niemiara. Zastanawiam się czasami, kto ma więcej szczęścia. Ty ze swoim talentem czy moje dziewczęta ze swoimi wypełnionymi po brzegi karnetami narzeczeńskimi. - Patrice syknęła. - Podejrzewam, że opłaciła ci się skórka za wyprawkę. Zwłaszcza teraz, kiedy wszyscy czytaliśmy ten skandaliczny reportaż.

- Czytałaś go?

- A jakże, ma się rozumieć.
- Ojciec też go czytał?
- Żebyś wiedziała - odparła krótko Patrice.

Grayson patrzył, jak policzki Sophie płoną wdzięcznym rumieńcem.

- Co o tym sądził? - spytała, jakby koniecznie musiała się tego dowiedzieć.

Uśmiech na twarzy Patrice wyraźnie zdradzał, że macocha odnotowała dobrze zmieszanie swojej pasierbicy.

- Będiesz musiała sama go o to spytać, moja droga. Nigdy nie pozwoliłabym sobie na taką zuchwałość, żeby przemawiać w jego imieniu.

- Ma się rozumieć - wycedziła Sophie.

- Dość już o tym reportażu. Przyszłam, aby się upewnić, że będziesz na bankiecie. Rozumiem, że wczoraj wieczorem omówiłaś tę sprawę z ojcem. - Patrice potrząsnęła wykwintnie głową. - Nie jestem bynajmniej zaskoczona. Ty zawsze miałaś silną wolę. Ale bankiet jest już przygotowany i nie ma odwrotu. Zresztą co by ludzie pomyśleli, gdyby nie było na nim naszych gości honorowych?

- *Gości honorowych* - spytała zmieszana Sophie.

Grayson przyłapał Patrice na tym, że spogląda na niego z gniewem.

- A gości, gości. Zawsze powtarzam, że im więcej, tym lepiej. - Patrice zerknęła wyzywająco na Graysona. - Pan też na nim będzie, Hawthorne?

- Tak - wycedził przez zęby.

Ale Patrice prawie nie zwróciła na to uwagi, bo raptem gwałtownie nabrała powietrza do płuc, a jej subtelna twarz pobladła na widok tego, co leżało na stole.

- Dobry Boże! Co się stało tej suce?

Sophie spojrzała na zwierzę.

- Jest ranna.

Patrice natychmiast przestała się uśmiechać.

- Nic dziwnego, że przesiadujesz w tej piwnicy i doglą-

dasz jakiegoś cholernego psiaka - rzekła, a w jej oczach błysnęła irytacja.

Kobiety spoglądały po sobie w milczeniu, aż wreszcie Patrice odwróciła się i pośpiesznie wyszła, przyciskając do ust misternie haftowaną chusteczkę.

Gdy tylko z góry doleciał odgłos zatrzaskiwanych drzwi, Sophie zrobiła głęboki wdech.

- Mnie też cię było miło widzieć, Patrice - rzuciła w stronę pustych schodów.

Grayson spojrział do góry na zamknięte drzwi, dopiero potem odwrócił się ku Sophie. Miała czerwony nos, koczek włosów już dawno opadł jej na szyję, ale w tym momencie Grayson wiedział tylko jedno: pożądał Sophie. Chciał jej posmakować; przytulić ją mocno i błędzić palcami po całym jej ciele, aż zapragnie go tak gorąco, jak on pragnął jej.

Samo patrzeć na Sophie sprawiało, że pożądał jej z namiętnością, która sprawiała mu ból niczym jakimś uczniakowi.

- Musisz trochę odpocząć - powiedział, nakazując swojemu ciału spokój. - Ślęczysz nad nią od wielu godzin.

- Nie - szepnęła, dotykając jedyne zdrowego miejsca na czole zwierzęcia.

Grayson chwycił Sophie za ramiona i delikatnie obrócił twarzą do siebie. Wewnętrzna strona swojej dużej dłoni odgarnął włosy z jej twarzy.

- Pozwól suce odejść, Sophie.

Odnalazła spojrzenie Graysona, w jej oczach malowała się zawziętość.

- Nie! Jestem jej potrzebna. Ja ją uratuję - zawołała, po czym odsunęła się od Graysona.

Słowa Sophie zawirowały w jego umyśle. *Ja ją uratuję.* Grayson nie wierzył, że pies przeżyje do następnego ranka.

Ale w jakiś czas potem, kiedy Sophie prawie zasypiała na siedząco, suka nagle otworzyła oczy.

Grayson aż zamarł z wrażenia. Sophie niczego nie za-

uważyła. Przez dłuższą chwilę samotności siedział w pralni spokojnie, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, i z bijącym sercem przyglądał się rannej suce. A potem, delikatniej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu, wyciągnął do niej rękę. Z widocznym wysiłkiem suka ostrożnie obwachała jego palce i polizała go po dłoni.

Dreszcz przeszedł przez plecy Graysona, a w pamięci błysnął mu obraz Sophie przynoszącej na mansardę koszyki z jedzeniem. Jej dziecinne próby ratowania go niewiele różniły się od wysiłków mających na celu ratowanie życia tej suki.

Drżącymi palcami pogłaskał na głowie zwierzęcia zdrowe miejsce, którego tak często dotykała Sophie.

- Jak myślisz, czy mnie też zdoła uratować? - szepnął w ciszę zalegającą pralnię.

Odchylił się na krześle i przeciągnął palcami po twarzy, z gardła wydobył mu się zduszony jęk. Nie pozwalał, by ktokolwiek wiedział o lęku i pustce, które odczuwał, gdy ojciec wyrzucił go z domu. To nie ambicja była siłą wiodącą go do sukcesu, tylko desperacka walka o to, aby już nigdy więcej nie zaznać głodu ani zimna. Ani strachu. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział o tym, że dziś jeszcze budzi się czasem w środku nocy zlany zimnym potem i odczuwa nie dający się wymazać z pamięci dotyk szczurów, które ocierają mu się o stopy i gryzą go. Oraz straszliwą samotność. To nieludzkie cierpienie mogło się mierzyć jedynie z dojmującym głodem.

Wyzwolił się od tego. Dziś miał pod dostatkiem jedzenia i wysokie konto w banku. Nie poddawał się emocjom. Był człowiekiem sukcesu.

Teraz jednak z niezrozumiałych powodów przeszłość została wywleczona na światło dzienne i Grayson nie robił nic innego, tylko rozpamiętywał swoją młodość. Cofał zegar do czasów, kiedy myślał już, że nie przetrwa.

Wziął głęboki, uspokajający oddech, a potem z całym niepokojem, jaki go dręczył, musnął palcami policzek Sophie.

Kiedy zaś drgnęła całkowicie rozbudzona i popatrzyła na niego ze zmieszaniem, Grayson bez słowa pokazał na psa.

Sophie zaczerpnęła gwałtownie powietrza i odgarnęła sobie włosy z twarzy. Suka skamlała cicho i próbowała machnąć ogonem - ledwo nim poruszyła, ale to już było coś.

Na ten widok Sophie rozpląnęła się we łzach. Zarzuciła Graysonowi ręce na szyję i pocałowała go serdecznie w usta.

- Och, Graysonie! Uratowaliśmy ją - szepnęła, po czym ostrożnie wtuliła twarz w sierść na psiej szyi.

Raptem Grayson zerwał się z krzesła. Sophie zawołała coś w ślad za nim, ale on się nie zatrzymał. Pobiegł schodami na górę, nie zastanawiając się, gdzie jest. Chciał tylko uciec jak najdalej.

Ruszył prosto do sypialni, którą uczynił swoją własną. Ale niespodziewany widok rzeczy należących do Sophie przywołał go do rzeczywistości. Sypialnia wyglądała tak, jakby mieszkali razem. Jego najlepsze buty z cholewami stały w tym samym miejscu, w którym je postawił, zanim się tutaj wprowadziła. Jej przezroczysty peniuar wisiał niedbale na oparciu krzesła, a biurko było zarzucone stosem papierów.

Na łóżku leżała zmięta pościel, szuflady były na wpół otwarte, bielizna osobista Sophie zmieszana razem z jego. Poczuł rozlewającą się w nim falę gorąca. Tłumaczył sobie, że sprawiła to złość z powodu bałaganu, zaprzeczając faktowi, że intymność przedmiotów należących do Sophie podziałała na niego w zupełnie inny sposób.

Wiedział, że powinien wrócić do hotelu lub pojechać do klubu. Może nawet do lokalu klubu Lucasa na kieliszek mocnego koniaku. Wiedział jednak, że tego nie robi. Zamknął drzwi, zrzucił koszulę i podszedł do głębokiej szafy, w której trzymał odzież. Już nie zaskoczył go widok sukienek Sophie wiszących obok jego garniturów, delikatnego aksamitu i atłasowego jedwabiu obok szorstkiej wełny.

Grayson miał niejedną kobietę przez te wszystkie lata. U żadnej jednak nie zostawał na noc. Wolał być rankiem

sam, kiedy się budził. Nie zakosztował towarzystwa kobiety leżącej obok niego w łóżku ani banalnego widoku ich ubrań splątanych ze sobą w nogach łóżka. Grayson otrzymał patriarchalne wychowanie - matka była dla chłopców owocem zakazanym w najbardziej dosłownym sensie.

Zmusił się do opróżnienia mózgu z wszelkich myśli. Wybrał świeżą koszulę, a potem cisnął ją na łóżko, poszedł do swojej łazienki i odkręcił kran nad umywalką. Po kilku chwilach trysnęła ciepła, parująca woda. Grayson bez zbędnych ceregieli ubił mydlaną pianę, wyjął najlepszą brzytwę, naostrzył ją na przymocowanym do ściany pasku i zaczął się golić. Automatyzm wykonywanych czynności spowodował, że Graysonowi stopniowo rozjaśniło się w głowie. Zapanował w niej porządek. Taki, jak trzeba.

Spirala napięcia powoli zaczęła się rozkręcać.

Grayson spłukał twarz, opuścił głowę, zmoczył dłonie w wodzie i zgarbił się nad porcelanową umywalką, nie wypuszczając brzytwy z ręki.

Co Sophie z nim wyprawiała?

Jak to możliwe, że jego idealnie uporządkowany świat przewraca się nagle do góry nogami?

Ale kiedy podniósł wzrok, zobaczył w lustrze nie swoje odbicie, tylko twarz Sophie. Stała na progu łazienki i patrzyła na niego.

- Martwiłam się - szepnęła dziwnie ochrypłym głosem. - Wyszedłeś tak nagle.

- Nie ma powodu do zmartwień - odrzekł.

Nie zważając na swój nagi tors, Grayson zmusił się odwrócenia wzroku od lustra, mimo że pragnął chwycić Sophie w ramiona i wtulić twarz w jej włosy. Sprawić, aby obiecała, że nigdy go już nie opuści.

Zduślił w sobie przekleństwo i zaczął się znowu golić, ale Sophie podeszła do niego.

- W mężczyźnie, który się goli, jest coś niewiarygodnie intymnego.

Ręka zastygła mu w bezruchu.

- Można by rzec, że trudno znaleźć niezamężną kobietę, przynajmniej pewnego pokroju, która ma okazję widzieć mężczyzn przy goleniu - odparł.

Ton jego głosu miał podziałać na nią deprymująco.

Ale Sophie tylko się roześmiała, a potem sięgnęła i przeciągnęła palcem po białej pianie, zostawiając ślad na policzku Graysona.

- Nie jestem kobietą *tego pokroju*, Graysonie. - Teraz twarz jej spoważniała. - Już od dawna zresztą.

Odwrócił się na pięcie w jej stronę.

- Chcesz powiedzieć, że doświadczałaś takiej intymności z mężczyznami?

Sophie wzruszyła ramionami, ale nie spojrzała Graysonowi w oczy.

- Cóż, niezupełnie. Właściwie nie widziałam żadnego przy goleniu oprócz ciebie.

Grayson nastroszył brwi.

- Kiedy byliśmy młodzi. Pamiętasz? - spytała.

Jakżeby mógł zapomnieć. Widział to teraz tak wyraźnie. Sophie nieoczekiwanie pojawiła się w drzwiach jego pokoju w Hawthorne House. Liczyła sobie dopiero osiem lat, on zaś udawał, że już regularnie się goli. Nosiła sukienkę ponad miarę obszytą falbankami, kolana miała podrapane, zapewne próbowała grać w palanta z chłopakami mieszkającymi przy tej samej ulicy. Sophie zawsze chciała robić to samo co inne dzieci. Ale inne dzieci nie chciały się z nią bawić.

Czyżby rozumiały, że Sophie była inna? Mądrzejsza? Zdolniejsza? A może odstręczały je sukienki z falbankami dziewczynki i poczucie wyższości jej matki?

- Wtedy nie byłeś taki pruderyjny, o ile dobrze pamiętam - wyrwała go Sophie z zadumy. - Nie taki stateczny.

- Miałem szesnaście lat.

- Byłeś wesoły.

Grayson poczuł, że przyśpieszył mu puls. Spojrzał na jej

usta. Krew się w nim zagotowała, kiedy Sophie, rozchylając wargi, przeniosła spojrzenie niżej. Chwycił ręcznik i otarł z twarzy resztę piany do golenia. Nakazywał sobie w myślach, żeby się odwrócić, ale to było ponad jego siły. Odrzucił płat tkaniny i wyciągnął rękę. Musnął delikatnie usta Sophie, przesuwając koniuszkiem palców po jej nabrzmiąłych wargach.

Te poruszyły się i ułożyły w nieme słowa.

- Naprawdę? - zapytał półgłosem.

Zmarszczyła czoło, zmieszana.

- Byłem wesoły? - Grayson czekał na jej odpowiedź. Musiał ją usłyszeć.

Rysy jej złagodniały.

- Tak - szepnęła. - Ale to nie wszystko. Byłeś silny i subtelny.

Grayson wsunął palce we włosy Sophie, ujmując jej głowę z obu stron. Przyciągnął ją do siebie, jakby zabrakło mu silnej woli, i mocno przytulił do piersi. Chciał już zakląć albo parsknąć śmiechem w reakcji na jej odpowiedź, ale słabość jego natury sprawiła, że się wzruszył. Te słowa oznaczały zbyt dużo.

- Sophie - wyszeptał miękko w jej włosy.

Położyła dłonie na jego klatce piersiowej. Grayson muskał ją po głowie i zaglądał jej w oczy. Tak wiele miał do powiedzenia, ale nie wiedział, od czego zacząć. Słowa na wpół uformowane w jego głowie ulotniły się jak dym, z nim zdążył je uchwycić. Wiedział tylko jedno: że bez względu na wszystko nie może pozwolić jej odejść.

Podjął decyzję. Ożeni się z Sophie.

Teraz ją pocałował, bez pośpiechu, tkliwie, aż jęknęła. I to go zgubiło. Przebiegając ręką w dół jej pleców, Grayson czuł drzenie przenikające jej ciało. Pogłębił swój pocałunek, a kiedy Sophie odpowiedziała tym samym, jej ramiona uniosły się do góry, obejmując go za szyję. Wpijała się w jego usta, jakby połączyła ich ta sama, nierozzerwalna siła. Myśl ta sprawiła Graysonowi

prawdziwą satysfakcję. Mimo upływu tylu lat nie był Sophie obojętny.

Grayson skubnął zębami język dziewczyny i poczuł na twarzy jej gorący oddech. Cytrusy zimą. Delikatne i słodkie, ale człowiek rzadko ma okazję ich skosztować.

Wędrował palcami do góry po obu stronach jej ciała, a potem jedną dłonią nakrył i ujął jej pierś. Nagle wszystko uległo zmianie.

- Nie - sapnęła Sophie, po czym gwałtownie odskoczyła do tyłu, a w jej oczach zapaliły się dzikie błyski.

Lecz równie prędko się uspokoiła, jak gdyby przewróciła stronicę w książce i odtąd stała się nową postacią utworu.

- No, Graysonie - powiedziała drżącym głosem - z nas dwojga ty jesteś człowiekiem kryształowym. Chyba nie muszę szczegółowo wyjaśniać, dlaczego nie powinnam przebywać z tobą w łazience, kiedy jesteś prawie nagi. Chciałam ci tylko podziękować za pomoc w uratowaniu psa. To było uprzejme z twojej strony, nie dałabym sobie rady bez ciebie.

Sophie nie zaczęła na odpowiedź. Wyszła niespodziewanie, tak samo jak się pojawiła, a Grayson został sam, wpatrując się w puste drzwi. Kim właściwie była Sophie Wentworth?

Odwrócił się, napotykając w lustrze swoje odbicie. Kim był *on*?

Kiedyś życie wyglądało inaczej. Kiedyś starałby się tego psa uratować. Ale życie się zmieniło, a on zmienił się wraz z nim. Sophie przypisywała mu zasługi, do których się nie poczuwał. Przecież nikogo nie uratował.

Zostawiłby tego psa na pewną śmierć - i nigdy by się w ogóle nie dowiedział, że duszyczki skazane na zagładę można niekiedy ocalić.

7

Sophie stała w progach wspianiałego domu swego ojca i wyglądając nieprzebrane fałdy swoich taftowych spódnic, czuła dreszczyk miłego podniecenia. Pałac wypełniały dwie setki przedstawicieli bostońskiej elity, z których każdy bez wyjątku przyszedł zobaczyć właśnie ją.

Huczny bankiet na jej cześć.

Sophie wypatrywała w tłumie twarzy Graysona, a potem zasepiła się, uświadomiwszy sobie, co robi. Przecież miała nadzieję, że Grayson nie przyjdzie. Zupełnie odebrał jej odwagę w łazience w Łabędziej Gracji. Ten pocałunek. Ta intymność.

Z ogromnym wysiłkiem zdołała Sophie jakoś odbudować psychiczny mur niedostępności, jakim odgrodziła się od świata. Nie mogła pozwolić, aby ten mur znowu runął.

Ze szczególną dbałością podeszła do swojego stroju. Suknię miała szykowną, ale skromną, kołnierzyk wysoki, rękawy długie, ze stosownymi białymi rękawiczkami zasłaniającymi jej dłonie. Od dawna nie liczyła się z niczym zdaniem na własny temat. Dzisiaj jednak było ono dla niej ważne. Dzisiaj chciała przynieść ojcu zaszczyt.

Przeszła przez hol wyłożony włoskim marmurem i znalazła się w pałacu. Kryształowe kandelabry jaśniały blaskiem. W ręcznie rzeźbionych lichtarzach z brązu, importowanych z Francji, płonęły świece. Monarszy przepych, tłumaczyła Patrice. Wszystko, co ojciec miał najlepszego.

Sophie często uważała, że ojciec powinien być królem. Braki genealogiczne nadrabiał ekstrawaganckim manifestowaniem bogactwa. Zarobił tyle pieniędzy na transporcie morskim, dowiedziała się kiedyś od matki, że nawet

najbardziej błękitnokrwisci bostońscy purytanie nie mogli na niego wybrzydząć.

Sophie torowała sobie drogę w tłumie, ale wszelkie próby szybkiego pokonania sali okazały się niewykonalne. Wszyscy chcieli ją pozdrowić, zagadywali o podróż do domu bądź prosili o skomentowanie reportażu w „The Century”.

A jeszcze ci mężczyźni. Każdy bez wyjątku wołał na Sophie, bez różnicy czy kawaler, czy żonaty. Jako chłopcy nie zamienili z Sophie ani słowa. Teraz każdy błagał ją o taniec lub poświęcenie mu choć minutki jej drogocennego czasu.

Wieczór zapowiadał się na wspaniałą sukces. Sophie była u siebie w domu i wszystko wskazywało na to, że miała Boston u swych stóp.

Pośrodku sali zobaczyła człowieka, którego wcześniej wskazała jej macocha. Niles Prescott, długoletni kapelmistrz bostońskiej Music Hall. Miał siwe, zaczesane do tyłu włosy, a rysy jego twarzy świadczyły raczej o sile witalnej niż starości. Prescottta łączyła kiedyś zażyła przyjaźń z matką Sophie. Zbyt zażyła, szeptano po kątach. To właśnie on odebrał Sophie obiecany debiut solowy i dał go komuś innemu.

Sophie zamrugała nerwowo na wspomnienie druzgocącej wiadomości, kto zagra solo na Wielkim Debiucie. Audytorium Music Hall było wypełnione po brzegi uczniami i ich rodzicami. Niles Prescott wszedł na podium. Sophie wprost nie mogła się doczekać, kiedy usłyszy swoje nazwisko, zerwie się z krzesła i wkroczy na estradę wśród ogłuszających wiwatów publiczności. Całe życie czekała na tę chwilę.

Jeszcze teraz odczuwała pieczenie na skórze policzków, przypominając sobie, jak wstawała na dźwięk cudzego nazwiska. Sens słów Prescottta zapadła w jej świadomość dopiero kilka sekund później. Widok największej rywalki Sophie wchodzącej zamiast niej na estradę. Tryumfalny uśmiech. Zażenowanie, groza.

Później kapelmistrz niewiele miał jej już do powiedzenia. Ale wystarczyło. *Nie sądziłem, że potrafisz zagrać Bacha.*

Kłamstwo.

Sophie wiedziała, że to nie miało nic wspólnego z Bachem. Myślała o swojej matce i o tym mężczyźnie. O złożonych przez niego obietnicach, których nie musiał już dostrzymywać po śmierci jej matki.

Ale wiedząc o tym, Sophie pierwszy raz w życiu zaczęła w sobie wątpić. Czy to faktycznie było kłamstwo? Raptem zaczęły ją nachodzić przewrotne myśli, które stały się nie do odróżnienia od prawdy.

Nim Sophie zaczęła grać pod publiczność, Bach zawsze był jej ukochanym kompozytorem. Kiedy przepadł wymarzony debiut, na który tak liczyła, Sophie zaczęła zastanawiać się nad tym, co robiła i jak to robiła.

Uciekła do Konserwatorium Lipskiego w Niemczech i zapisała się na kurs czteroletni. Analizowała i studiowała, ćwiczyła i grała, chodziła pilnie na każde i uczyła się wszystkiego, czego tylko poszczególni profesorowie mogli ją nauczyć. W końcu dostała swój koncert debiutancki, ale nie w Bostonie, tylko w Amsterdamie. I skończyło się to katastrofą.

Sophie była jednym kłębkim nerwów, odczuwała straszną treść. Publiczność przyjęła ją dość chłodno, recenzje w porannej prasie były miażdżące. Występ Sophie uznano za nudne wycieczki kolejnego cudownego dziecka. Ale wszystko się zmieniło, odkąd Sophie wyrobiła sobie nowy styl. Splendor i blask. Klejnoty i suknie.

Może to nie był Bach, ale po raz pierwszy wszyscy ją kochali.

Wcześniej tego popołudnia Patrice wspomniała, że Niles chce się z nią zobaczyć. Sophie nie miała pojęcia, w jakiej sprawie, i wcale nie była tego ciekawa. Nie potrafiła przewidzieć swojej reakcji, kiedy stanie twarzą w twarz z Prescottem po tylu latach.

Zdołała jakoś wyminąć grupkę gości, po czym dosłownie wpadła na Bradforda i Emmaline Hawthorne'ów.

- Nasza Sophijka - ucieszył się stary Hawthorne, cału-

jąc jej dłoń szarmancko jak szlachcic z epoki renesansu.

Był to wysoki, dystygowany mężczyzna o szerokich ramionach. Potrafił być czarujący, ale Sophie zbyt dobrze pamiętała czasy, kiedy zachował się nikczemnie, wypędzając Graysona z domu i pozostawiając syna własnemu losowi. Wówczas znienawidziła Bradforda i wciąż nie mogła zdobyć się na to, aby mu przebaczyć.

- Doprawdy, Bradfordzie - odezwała się Emmaline Hawthorne, wyciągając do niej dłoń. - Sophie nie jest już małą dziewczynką. - Przytuliła ją serdecznie do piersi, a potem odsunęła na długość ramienia. - Wyrosła na piękną, młodą damę.

Emmaline była łagodna i marzycielska, a z wiekiem jeszcze nabrała wdzięku i dostojeństwa, na które młodość nigdy by nie pozwoliła. Matka Sophie nie była aż tak piękna i Sophie zawsze podziwiała eteryczną urodę Emmaline.

Twarz starszej pani złagodniała w uśmiechu.

- Wiem, że twoja matka byłaby z ciebie dumna. Tak mi przykro, że nie może podziwiać twoich sukcesów.

Żal chwycił Sophie za gardło. Ogarnęła ją tak straszna tęsknota za matką, że omal nie zasłabła ze wzruszenia.

- Dziękuję, pani Hawthorne - zdołała powiedzieć. - To wiele dla mnie znaczy.

Nagle ktoś im przerwał, wołając Sophie po imieniu.

- Sophie! - krzyknęła jakaś kobieta, zmierając ku niej w obłoku migoczących spódnic i roziskrzonych biżuterii. - Wyglądasz kapitalnie - zawołała, a potem cmoknęła ekstrawagancko powietrze tuż przy obu policzkach Sophie.

Minęła dłuższa chwila, zanim Sophie poznała Megan Robertson. Megan była niższa od Sophie i okrąglejsza w nader zmysłowy sposób. Miała duże, brązowe oczy i ciemnobrązowe włosy zakręcone w burzę loczków, pukli i kędziorów. Będąc kobietą dorosłą, nabrała uroczych rubensowskich kształtów, ale kiedy była osiemnastolatką, nazywano ją „kochaniem” - i nagrodzono solowym popisem na Wielkim Debiucie w miejsce Sophie.

- Witaj, Megan - odparła bez zająknięcia Sophie, z trudem znosząc rozlewającą się w niej duszy fali niechęci, jak gdyby wcale nie przeminęło pięć długich lat. Musiała sama przywołać się do porządku, że przecież teraz cieszyła się wielkim powodzeniem.

Megan pośpiesznie przywitała się z Hawthorne'ami, którzy przeprosili obie młode damy, po czym zostawili je w spokoju. Teraz Megan odwróciła się twarzą do Sophie.

- Musisz pójść ze mną! Wszyscy rozmawiają wyłącznie o tobie. Chcę cię przedstawić.

Megan uczepliła się ramienia Sophie i jak koleżanka z tej samej klasy zaczęła ją oprowadzać po rezydencji Wentworthów od jednego pokoju do drugiego. Sophie nie wiedziała, co myśleć o dziewczynie, która zawsze była jej konkurentką i odgrażała się, że pewnego dnia okaże się lepsza. Czyżby naprawdę Megan próbowała być uprzejma po tych wszystkich latach?

Sophie omal nie roześmiała się na cały głos z zadowolenia, że ta najpopularniejsza kiedyś dziewczyna okazuje jej teraz przyjaźń. Ostatecznie były już kobietami, a nie dziećmi.

- Pamiętasz Jamesa Willisa? - powiedziała Megan, machając na jakiegoś młodzieńca i pociągając Sophie w jego stronę.

- James, kochanie. Pamiętasz Sophie, prawda?

- Jakżeby inaczej. - Młodzieniec nosił kosztowny, choć lekko zmięty wieczorowy garnitur, natomiast używanej przezeń pomadzie do włosów nie udało się poskromić koguta na czubku jego głowy. - Kopę lat.

Sophie poczuła szatański uśmiech błakający się na jej wargach.

- Tak, kopę lat. Nie widziałam cię od dnia, kiedy wrzuciłeś mi za kołnierzyk żabę.

James poczerwieniał jak burak, a Megan roześmiała się wesoło i trzepnęła go po rękawie swoim modnym wachlarzem.

- A bodaj cię!

- O ile sobie przypominam - dodała Sophie - pomagałaś mu w tym, Megan.

- Ach, tak - śmiała się dalej Megan. - Jakże mogłabym zapomnieć? Wiłaś się i skręcałaś jak oparzona. Zawsze byłaś urodzoną aktorką. - Megan podniosła rękę. - Thomasie! Thomasie Redding. Spójrz, kogo przyprowadziłam.

Sophie poczuła, że zaczyna zgrzytać zębami. To tyle, jeśli chodzi o nadzieję na dobre intencje Megan.

Thomas Redding był wysokim i chudym mężczyzną. Jako chłopiec większość czasu spędzał, czytając książki, a jego okragłe okulary wydawały się częścią ciała w takim samym stopniu jak nos. Sophie wiedziała, że w ostatnich latach stał się ogólnie szanowanym radnym miejskim.

Redding złożył oficjalny ukłon i uściśnął dłoń Sophie.

- Panno Wentworth, cieszę się, że znowu panią widzę. I niech mi wolno będzie dodać, że fotografie w czasopiśmie nie dają należytego pojęcia o pani urodzie.

Meganomal nie odepchnęła jej na bok i biedny Redding zamiast palców Sophie cmoknął powietrze.

- Thomas stał się taki pompatyczny. Ale ma rację, rzecz jasna. Jesteś po prostu boska. Kto by pomyślał, że mała Sophijka Wentworth okaże się taką pięknoską? - Megan rozglądała się po sali. - O, popatrz, jest Grayson. Jego na pewno pamiętasz.

Sophie znieruchomiała nagle i serce w niej zamarło. Grayson stał w pokoju przyjęć, jego ciemne włosy lśniły pod kryształowym kandelabrem, biały uroczysty krawat marszczył się lekko, a czarny wieczorowy surdut podkreślał jego szerokie ramiona. Stał otoczony kręgiem osób, ale przebywał jakby poza tłumem. Emanowała z niego energia, przyciągająca ludzi siłą, która jednocześnie kazała im się trzymać na baczności.

Grayson jak zawsze wyglądał diabelsko przystojnie, ale zarazem był ostatnim człowiekiem, którego Sophie chciała widzieć po wymianie całusów w łazience. Już na samo wspomnienie jego pieszczot dostawała dreszczy na całym ciele i nabierała ochoty na jeszcze.

Po tylu latach Grayson wciąż urzekał Sophie jak nikt inny. W trakcie wielomiesięcznego tournée Sophie po Europie zalecali się do niej książęta krwi i brytyjscy dyplomaci, ale tylko Grayson naprawdę ją pociągał. Miała pecha, że trafiła na mężczyznę, który miał w sobie tyle radości, ile lodowata kałuża w mokry, zimowy dzień. Aż wzdrygnęła się na myśl o wspólnym życiu, oczami wyobraźni widziała Graysona kładącego się do łóżka przed ósmą z nieodłączną butelką gorącej wody przy stopach i ciepłą szlafmycą na głowie.

A może byłoby inaczej?

Przypomniała sobie pocałunek Graysona i czując zdradziecką falę ciepła rozlewającą się w jej łonie, natychmiast straciła pewność siebie.

Nagle u boku Graysona pojawiła się Patrice, kładąc bezczelnie dłoń na jego ramieniu i szepcząc mu coś do ucha. Kiedy macocha uśmiechnęła się i przysunęła do Graysona jeszcze bliżej, Sophie poczuła mdłości. Para rozmawiała przez chwilę, potem jednak Grayson podniósł wzrok, jakby wyczuł obecność Sophie. Spoglądali na siebie z dwóch przeciwległych końców pokoju.

Sophie miała wrażenie, że minęła wieczność, zanim Grayson oderwał wreszcie ramię od Patrice. Po chwili macocha jakby zrozumiała, dokąd Grayson zmierza. Jej błękitne oczy stwardniały, po czym odwróciła się i czym prędzej oddaliła.

- Grayson! - zawołała Megan.

Sophie natychmiast chciała odejść w przeciwną stronę, ale ta pozornie delikatna Megan miała żelazny uścisk.

- Patrz, kogo tu mam - zaszczebiotała. - Kiedy ostatni raz widziałeś naszą biedną Sophijkę?

Grayson nawet nie spojrzął na Megan. Jego ciemne oczy, nagle takie zmysłowe i zniewalające, zaczęły wędrować po Sophie i przewiercać ją na wylot.

- Nie dawniej jak wczoraj.

Słowa te omyły Sophie niczym muśnięcie palcami po jej stosie pacierzowym.

Megan uniosła podbródek.

- Wczoraj? Widziałeś się już z Sophie po jej powrocie? - Megan potrząsnęła głową, następnie się roześmiała. - Choć nie powinnam się dziwić. Co robiła? Czekwała zaczajona przed twoim domem, tak jak zawsze?

Minęło kilka chwil, zanim słowa Megan dotarły do świadomości Sophie, ale kiedy to się stało, czuła, że jej policzki błyskawicznie rozpalily się dziecięcym rumieńcem wstydu. Grayson powoli przeniósł taksujące spojrzenie na niższą kobietę.

- Tak się złożyło, że to ja czekałem na pannę Wentworth, kiedy wróciła do Bostonu - powiedział niemal ostrym tonem.

Megan patrzyła w punkt położony w połowie drogi między Graysonem a Sophie.

- Doprawdy... - rzekła, jeszcze bardziej zaintrygowana.

Sophie ogarnęło przerażenie i aż jęknęła w duchu. Tyłko tego brakowało, aby Megan doszła do wniosku, że między nią a Graysonem coś jest. Jak zły duch uczepiłaby się tego bez wątplenia i znalazła jakiś sposób, by ją publicznie skompromitować.

Zanim jednak cokolwiek zostało powiedziane, otoczyła ich grupka mężczyzn.

- Panno Wentworth!

- Sophie!

- Jest pani objawieniem!

- Marzeniem!

Sophie poczuła kojący balsam znajomych słów i jej niechęć natychmiast się ulotniła. Zapomniała o Megan. Zaczęła się uśmiechać, po czym wyszczerzyła zęby jeszcze szerzej na widok Graysona, który dostał chyba skureczu mięśni twarzy. Spoglądał na każdego z tych mężczyzn z taką miną, jakby zastanawiał się, któremu najłatwiej będzie porachować kości.

Kiedy jednak zobaczył uśmiech na twarzy Sophie, uniosł brwi i oparł się o kolumnę, jak gdyby chciał powiedzieć: *W tej grze mogą uczestniczyć dwie osoby.*

Sophie omal nie parsknęła śmiechem na tę myśl. Grayson mógłby opanować się przez jedną lub dwie sekundy, ale w trzeciej byłby już gotów kogoś udusić. Mianowicie ją.

- Panowie, panowie - powiedziała na głos, wchodząc w znajomą rolę, jak gdyby właśnie zarzucała na plecy pelerynkę przed wyjściem na estradę. - Czy to ty, Dickie Webster? I Devon Bly? Mój Boże, toż to Wade Richmond we własnej osobie.

Wyrośliście na takich przystojnych mężczyzn.

Młodzieńcy z namaszczeniem szarpali za kłapy swoich surdutów i przyglądali włosy, pusząc się jak pawie. Grayson splótł ręce na piersiach i przyglądał im się z miną ni to posępną, ni to rozbawioną.

Megan natomiast nie miała bynajmniej wesołej miny.

- Oczywiście, wszyscy pamiętacie się nawzajem - powiedziała z wymuszonym uśmiechem Megan. - Jak ktokolwiek z nas mógłby zapomnieć Sophie? Zwłaszcza po tym pamiętnym dniu, kiedy wszyscy słuchaliśmy jej głosu wydobywającego się z patefonu. Głupia dziecinna zabawka, naprawdę, dostarczająca głupiej, dziecinnej rozrywki. Ale było wesoło.

Dick Webster i Devon Bly roześmiali się ze zrozumieniem. Grayson odszedł od kolumny i przenikliwym wzrokiem spojrzał nagle w oczy Sophie. Megan znowu patrzyła gdzieś pomiędzy nimi, oczy jej błyszczały pod kandelabrami niczym dwa klejnoty.

- Pamiętasz ten dzień, Sophie? Prawda, kochanie? - spytała Megan słodziutkim głosem z ledwo maskowanym odzieniem zachwytu.

Sophie zabiło serce. Czy pamiętała? Jak mogłaby zapomnieć? Dziecięcy figiel, ale jeden z takich, które potrafią upokorzyć młodziutką dziewczynę nie umiejącą jeszcze żeglować po niepewnych wodach dorastania ani nawiązywać przyjaźni. Muzykę rozumiała zawsze. Muzyka miała sens. Ale dziecięce zabawy i psikusy pozostawiły w jej duszy wyłącznie przykrość i ból.

Wiedziała, że nie powinna się przejmować. Jako osoba dorosła powinna śmiać się beztrudnie z przeszłości. Ale Sophie zapamiętała tylko to, że Megan skłoniła ją podstępem do wypowiedzenia w głąb mosiężnej tuby kilku słów, które były dla niej takie ważne. Potem Megan zabrała patefon i odtworzyła nagranie w obecności roześmianych rówieśników - oraz Graysona. Sophie szczególnie martwiła obecność w tym gronie Graysona.

Najgorsze było to, że Grayson w ogóle nie zareagował. Tylko patrzył. Tylko się gapił. Jak w czasie ataku furii jego oczy zwięziły się w nieprzyjemnym blasku gazowej lampy, malującym wszystkich jego przyjaciół złotą poświatą.

Po co on tam stał? Dlaczego się nie odezwał?

Sophie otrząsnęła się z tych pytań, a migoczące, kryształowe światełka zogniskowały się w jednym punkcie. Patrzyła na Graysona i wymyślała sobie od najgorszych. Że też taki dziecięcy psikus wciąż ma moc zadawania jej bólu!

Oderwała wzrok od Graysona, opanowując rumieńce, które koniecznie chciały powrócić na jej policzki.

- Nie umiem powiedzieć, czy faktycznie pamiętam, Megan. - Sophie parsknęła wyćwiczonym specjalnie na takie okazje miodowo-jedwabistym śmiechem,

- Doprawdy? - odrzekła Megan, unosząc brwi. - Gdybym zdołała odnaleźć tę mówiącą maszynę, puściłabym ci to dla przypomnienia. Na pewno pękłabyś ze śmiechu. Ciekawe, co się z nią stało? Chyba nie widziałam jej od tamtej pory.

Sophie miała nadzieję, że nikt już tej piekielnej maszyny nie ujrzy na oczy.

Patrice wybrała właśnie ten moment, aby do nich dołączyć, ciągnąc za sobą kapelmistrza. Prescott był wciąż wysokim, eleganckim mężczyzną. Sophie pomyślała o swojej matce, z ledwością opierając się pokusie zaciśnięcia powiek.

Macocha. Prescott. Megan, a nawet Grayson. Poczuli się nagle niedorajdą, brzydkim kaczątkiem przebierającym nogami w wodzie jak szalone, aby utrzymać się na powierzchni.

- Sophie - zanuciła Patrice. - Pamiętasz pana Nilesa Prescotta, prawda? - spytała, uśmiechając się do kapelmistrza. - Podobno cieszy się wielką sławą w świecie muzycznym.

- Panna Wentworth - powiedział oficjalnie starszy pan, składając głęboki ukłon, jak gdyby prawie Sophie nie znał.

A przecież tyle razy wpadał do Łabędziej Gracji na podwieczorek. Tyle razy częstował matkę cudownymi opowieściami o latach spędzonych w Europie za pulpitem dyrygenckim. O latach, kiedy grał Bacha. A Sophie chłonęła każde słowo, rozmiłowując się w ekscytującym życiu, jakie prowadził.

Gdyby matka spędzała mniej czasu w jego towarzystwie, czy ojciec zapłonąłby taką miłością do Patrice?

Prescott wyprostował się i przeszył Sophie swoimi jasnymi oczami.

- Jak cudownie znowu cię widzieć. Przeczytałem ten artykuł w „The Century” i byłem równie zaintrygowany jak reszta świata.

- Dziękuję, panie Prescott. Widzę, że cieszy się pan wielkim powodzeniem. - Sophie nie potrafiła powstrzymać się od złośliwej aluzji. - Mam nadzieję pójść na jakiś koncert w Music Hall przed powrotem do Europy w maju.

Sophie bardziej wyczuła, niż dostrzegła lekkie napięcie nerwowe Graysona. Trochę ją to speszyło, gdyż Grayson powinien oniemieć z zachwytu, że będzie miał Łabędzia Grację tylko dla siebie.

Kapelmistrz wyrwał Sophie z zadumy.

- Właściwie miałem nadzieję, że to ty zaszczyisz nas swoim koncertem. Najwyższy czas, aby wybitnie utalentowana córka Bostonu dała oficjalny koncert w naszym mieście.

Sophie zatrzepotało serce. Koncertować w Bostonie. Wyjść na estradę Music Hall w blasku jupiterów skierowanych tylko na nią. Jakże często o tym marzyła.

Ale tak się nie stanie. Już za późno. Nie zagra dla mieszkańców Bostonu, ponieważ wzbudziłoby to ich obrzydzenie, jak bezceremonialnie zauważyła Deandra. Wróciła, że-

by naprawić stosunki z ojcem, a nie żeby je na zawsze zniszczyć.

- Niestety, to niemożliwe - odpowiedziała.

Kapelmistrz aż zeszywniał, Patrice gwałtownie nabrała powietrza do płuc, nie będąc w stanie ścierpieć podobnego afrontu. Grayson dalej taksował Sophie wzrokiem.

Skorzystała z pierwszej okazji, aby od nich uciec.

- O, spójrzcie - zawołała. - Chyba podają kolację.

Patrice natychmiast rozejrzała się dookoła. Faktycznie, lokaj zapraszał wszystkich do stołu. Sophie uniosła fałdy swoich spódnic i bez słowa ruszyła w te pędy do jadalni.

Kapelmistrz natychmiast odzyskał przytomność.

- Może uda mi się zmienić twoją decyzję - rzekł, wyciągając ramię. - Pozwolisz, abym ci asystował przy kolacji?

W tym jednak momencie Grayson wysforował się na przód i chwycił Sophie pod łokieć.

- Dzisiaj ja będę asystował panie Wentworth.

Niles zaczął mamrotać coś pod nosem, aż musiała się odezwać Megan.

- Niles, kochanie, będziesz taki dobry i odprowadzisz mnie do jadalni? - spytała. - Nigdzie nie widać jakoś mojego męża.

Kapelmistrz wzruszył ramionami, skinął głową i z Megan u swego boku ruszył do pokoju stołowego.

Natychmiast po ich wyjściu Sophie oswobodziła rękę.

- Wielkie dzięki - powiedziała szczerze do Graysona. - Brakuje mi tylko awansów Nilesa Prescottta przez okrągły wieczór.

Sophie skierowała się w stronę pokoju stołowego, ale stanęła w miejscu, czując dłoń Graysona zaciskającą się na jej łokciu.

- Ja wcale nie żartowałem, mówiąc Prescotttowi, że będę ci dziś asystował.

- A niby po co?

- Żeby zatrzymać w przyzwoitej odległości długą kolejkę zalotników.

Sophie roześmiała się z ulgą i bez zastanowienia włożyła rękę w zgięcie jego łokcia.

- Dziś kolejka będzie nadzwyczaj długa, nie uważasz?

Grayson zrobił nachmurzoną minę.

- Czy nie nauczono cię pięknej sztuki skromności?

- Ależ naturalnie - rzekła Sophie z wesołym błyskiem w oczach. - Lecz to chyba strata czasu. Przynajmniej w twojej obecności.

Grayson przyciągnął ją bliżej do siebie, wydając dźwięk niepokojąco podobny do warknięcia. Sophie wybałuszyła oczy i spojrzała na jego usta.

- Znów mnie pocałujesz, tu i teraz, na oczach nieskazitelnej elity Bostonu? - spytała zdumiona spokojnym brzmieniem swojego głosu.

- Nie - odburknął Grayson. - Nie tutaj. - Przesunął silnymi dłońmi w górę jej ramion, muskając ją opuszkami kciuków po wargach, jakby składał obietnicę. - Ale już niedługo.

Na przekór sobie poczuła, że słowa Graysona wywołały w niej przyjemny dreszczyk oczekiwania. A kiedy brał ją pod łokieć, nie stawiała oporu; rozumiała już, że mimo jej najlepszych chęci mur, który z takim trudem wznosiła przez lata wokół swoich emocji, wyraźnie się obniżył.

Imponująca jadalnia była wypełniona dwudziestoma okrągłymi stołami, dokoła każdego siedziało dziesięcioro gości. Kilkunastu lokajów wносиło nieprzerwanym strumieniem półmiski z najbardziej wyszukаныmi potrawami.

Sophie i Grayson zajmowali miejsca przy głównym stole w towarzystwie ojca Sophie, Conrada Wentwortha, i jego żony Patrice. Siedzieli tu również Emmaline i Bradford Hawthorne'owie. Obaj starsi panowie pograżyli się w ożywionej konwersacji, było jednak jasne, że Emmaline czyni wysiłki, żeby porozmawiać z Patrice. Przynajmniej na niektórych obszarach Patrice nie zdołała zająć miejsca Genevieve Wentworth, pomyślała z dziecięcą satysfakcją Sophie.

Wolałaby siedzieć przy jednym stole z Deandrą, Henrym i Margaret. Ale jej świta nie została zaproszona i żadne prośby nie zmieniły tego faktu. Sama też omal nie zrezygnowała. Przyjaciele nalegali jednak, że nie po to przepłynęli ocean, aby teraz Sophie kręciła nosem na coś, na czym jej przede wszystkim zależało - na okazaniu przez Conrada Wentwortha ojcowskich uczuć.

Wentworth siedział pomiędzy Sophie i Patrice, a Grayson po lewej stronie Sophie. Sophie była aż nazbyt świadoma obecności Graysona. Pocierał ręką o jej dłoń, czy to sięgając po nóż, czy obejmując długimi palcami wysoki, kryształowy kieliszek. Sophie zdwajała wysiłki, by zasklepić pęknięcie na murze, który wzniosła wokół swego serca. Tak będzie najbezpieczniej, po co się przywiązywać? Przywiązanie na ogół kończy się smutno.

Natomiast w żadnym razie nie pozwoli się Graysonowi bagatelizować. Pochyliła się bliżej i rzekła:

- Ostatnio niepodobna przed tobą uciec.

Spodziewała się parsknięcia śmiechem albo jeszcze lepiej - skwaszonej miny. Nie doczekała się ani jednego, ani drugiego. Wręcz przeciwnie, Grayson popatrzył na nią uważnie, zahaczając bezczelnie palcem jej podbródek, nie bacząc na tłumy ludzi siedzące wokół nich.

- Ty naprawdę chcesz przede mną uciec, Sophie?

Speszona sprzecznymi uczuciami, jakie w niej wywołał - poczuła się zrazu przekornym dzieckiem, a następnie pożądaną kobietą - Sophie gwałtownie odsunęła się do tyłu.

- Tak, chcę uciec.

Tym razem Grayson się uśmiechnął.

- Kłamczucha - powiedział i przeniósł uwagę na kobietę siedzącą po jego lewej stronie.

Sophie skoncentrowała się na ręcznie rzeźbionych kandelabrach, które rozjaśniały salę. Wypolerowane do połysku srebro stołowe błyszczało w jasnym świetle. Filiżanki były misternej roboty, a talerze inkrustowane złotem i drogimi

kamieniami, podobnie jak znajdujące się na sali kobiety.

Obiad składał się z dziewięciu dań. Sophie prawie nie dostrzegąta jedzenia, choć przede wszystkim starała się nie widzieć Graysona. Ale kiedy odwrócił się w jej stronę i poczęstował ją dekadenccko sutym czekoladowym sufletem z gałką cukrzonego koniaku, omal nie przewróciła swojego kieliszka i nie wylała wina na śnieżnobiały obrus.

- Nie, dziękuję - zdołała wykrztusić, odwracając raptownie głowę na pierwszy odgłos przemądrzałego chichotu Graysona.

Na koniec rozsunięto wielkie, składane drzwi i ukazała się imponująca sala balowa z kryształowymi kandelabrami i białymi, przewiewnymi portierami podniesionymi sprzed otwartych drzwi balkonowych, za którymi zionęła aksamitno czarna noc. A potem rozległa się muzyka. Niesamowity walc Dworzaka w wykonaniu dwunastoosobowej orkiestry zaprosił gości na parkiet.

Na widok baśniowej scenerii tłumowi dosłownie zaparło dech w piersiach. Patrice spoglądała w dal, na jej twarzy malowała się świadomość niebывałego towarzyskiego tryumfu.

Wentworth uśmiechnął się do gości, po czym rzekł:

- Mam ochotę zatańczyć z moją dziewczynką.

Z moją dziewczynką.

Tymi słowami ojciec zwracał się do Sophie, kiedy była małym dzieckiem. A teraz zaśpiewały one wspaniałe w jej duszy. Zapowiadając wspaniały taniec. Conrad Wentworth okazał ojcowskie uczucia. Nie zapomniał.

Sophie wstała od stołu z miłością w oczach, ale zamarała w pół kroku, wstała bowiem również macocha, którą ojciec wziął ją pod rękę i zaprowadził na parkiet.

Nad stołem zapadła cisza, napięcie wibrowało dokoła małego kręgu osób jak fale ciepła nad rozgrzanym w letniej spiekocie bruku na Boylston Street.

Ale zanim inne głowy zdążyły się obrócić i przyłapać Sophie w żenującej pozycji, Grayson podniósł się ze swe-

go miejsca i dotrzymał biedaczce towarzystwa na parkiecie. Przyciskał ją do siebie tak mocno, że aż poczuła drżącą w nim siłę.

Sophie chciałyby zniknąć bez śladu, schować się do mysiej dziury.

- To przykre, że wszystko tak bardzo się zmieniło, odkąd wyjechałaś - powiedział Grayson tonem szczerego żalu. Jego słowa spowijały Sophie niczym tony muzyki. - Conrad źle rozegrał twój powrót do domu.

Poczuła się fatalnie, pojmując, że Grayson rozumiał jej ból, na pewno dostrzegł go w jej oczach.

- Wielkie nieba, Graysonie - odparła, zdobywając się na nutę dumy w głosie. - Nawet przez chwilę nie sądziłam, że mój ojciec zamierza ze mną tańczyć. Po prostu wybierałam się do toalety dla pań. Byłabym tam teraz, gdybyś nie porwał mnie do tańca.

Widać było z jego miny, że nie uwierzył w ani jedno jej słowo.

- Nie pochlebiaj sobie - zakpiła. - Nie potrzebowałam twojej pomocy. - Sophie uspokoiła się powoli, wruszając ramionami z doskonale wyćwiczonym wyrazem obojętności. - Ale skoro wykazujesz przesadną aktywność, skoro wymaga tego od ciebie męska duma, to kimże ja jestem, aby ci się przeciwstawić?

- Męska duma? - zapytał niskim głosem, którego wibrację odczuła całym swoim jestestwem. - Sophie, czy uważasz, że jestem *męski*?

Nie miała bladego pojęcia, czy sobie żartował, czy nie, ale nie spodobało jej się, że tak mocno przyciskał ją w tańcu, że obejmował ją z taką pewnością siebie i siłą. Skóra Sophie stała się nadwrażliwa w tych miejscach, gdzie Grayson badał dotykiem jej ciało.

- Nie patrz tak na mnie, Graysonie Hawthorne - ostrzegła.

- To znaczy jak? - spytał, szczerząc zęby lubieżnie.

- No... po męsku.

- To znaczy, o tak? - Grayson cofnął się o pół kroku i powiódł swoimi ciemnymi oczami niżej, gdzie ich ciała prawie się stykały.

- Jesteś niemożliwy. - Sophie nie chciała niczego odczuwać i próbowała się wyswobodzić.

Ale Grayson tylko zachichotał.

- Nie mam ochoty cię puścić, serdeńko. Jeszcze nie skończyliśmy naszego tańca ani rozmowy. O ile pamiętam, mówiłaś, że jestem bardzo męski.

Sophie była zaskoczona. Omal nie parsknęła śmiechem na myśl, że Grayson się do niej zaleca. Grayson Hawthorne w takiej roli to coś godnego odnotowania w księdze rekordów. Ale Sophie nie zareagowała śmiechem, zastosowała tylko nową taktykę w celu zmuszenia tego dystygowanego pana, aby odprowadził ją z powrotem do stołu.

Przeciągnęła powoli językiem po swojej górnej wardze.

- To miałam zrobić? Powiedzieć ci, jakiś ty męski?

Sophie przysunęła się bliżej, a Graysonowi pociemniały oczy.

- Chcesz, żebym ci to pokazała właśnie tutaj? - sprowokowała Graysona aksamitnym i roznamiętnionym głosem. - Na parkiecie?

Grayson nawet na moment nie odrywał od niej wzroku i Sophie dałaby głowę, że zastanawiał się nad jej propozycją. Niestety, odpowiedź Graysona sprawiła jej niespodziankę.

- Czy już tak zawsze będzie między nami? Będziemy sobie wzajemnie dokuczać? Stawiać sprawę na ostrzu noża, żeby się przekonać, które z nas pierwsze spuści z tonu?

Grayson dotknął palcami policzka Sophie i prześledził zarys dolnej szczęki, zmuszając swą partnerkę do spojrzenia mu w oczy.

- Nie jestem zainteresowany konfliktami, Sophie. Może byśmy zaczęli od początku?

Sophie przez chwilę nie odpowiadała, wreszcie odsunęła się, a tłum tańczących wokół nich zaczynał gęstnieć.

- Na tym właśnie polega różnica między nami. Moim zdaniem konflikty ubarwiają życie.

- Życie to coś więcej niż konflikty.

- Na przykład?

- Dom i rodzina.

Sophie spojrzała na ojca tańczącego z Patrice.

- Możliwe.

- Oraz dzieci.

Przeszyła Graysona wzrokiem.

- Więc to prawda? Szukasz żony?

Grayson zawahał się.

- A jeśli nawet?

- Chyba pęknę ze śmiechu.

Wyczuła, że aż zeszytniał, i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nie wydaje mi się, by moje plany matrymonialne miały budzić wesołość.

- Słusznie. A wzięwszy pod uwagę mnóstwo plotek, które obiły mi się o uszy, niejedna mamusia chętnie podsunęłaby ci swoją latorośl. Powiedz, czy poważnie rozważasz kandydaturę Moniki Redmond?

- Kto i co naopowiadał ci o Monice Redmond?

- Nikt i nic. Tyle tylko, że przyłapałam cię na rozmowie z nią, a nawet udało mi się podsłuchać, że masz już na oku jakąś dobrą partię... - zrobiła skromną minkę - chociaż jesteś bez środków do życia i musisz kwaterować u mnie.

Grayson wyszczerzył groźnie zęby.

- Fakt, że płacę pokaźne sumy za pokój w Vendome, nie oznacza jeszcze, że mieszkam u *ciebie*.

- Może i nie śpisz pod moim dachem, ale okrągły dzień przesiadujesz w Łabędziej Gracji.

- Mam tam moją kancelarię - oznajmił.

- Prawda, ale to idiotyczne miejsce do pracy. A te kilka świstków papieru, które widziałam na twoim stole, nie są warte zachodu.

Grayson przymrużył oczy i rysy twarzy mu stwardniały.

- Szperałaś w moich rzeczach?

- No jasne - odrzekła. Nie potrafiła powstrzymać drżenia warg. - A co, myślałeś, że nie poniżę się do grzebania w twoich rzeczach, jeśli trafi się okazja? Liczyłam jednak, że znajdę gorsze brudy. Na przykład dokumenty rozwodowe jakiejś nieszczęsnej duszyczki bądź jeszcze lepiej - pikantne szczególiki drastycznego procesu sądowego. Może w dodatku jakiś nakazik aresztowania. Chyba nawet twoi klienci łądają czasem w kiciu.

Grayson stał jak skamieniały, jego twarz stężała w maskę niedowierzania.

Sophie aż zachichotała. Cieszyła się, że to właśnie ona sprawiła mu przykrość. *Nareszcie.*

- Wpadłeś w złość.

- Nie sądzę, aby to słowo oddawała właściwie stan moich uczuć.

Przygryzła wargę, aby nie parsknąć śmiechem, po czym zerknęła spod rzęs na Graysona.

- Jeśli przyniesie ci to ulgę, możesz przyjść i pogrzebać w moich rzeczach.

Specjalnie przeciągnęła ostatnie słowo, aby zabrzmiało w jej ustach jak zaczepka. Liczyła, że Grayson wpadnie we wściekłość, a gdyby miała szczęście, to mógłby nawet oblać się rumieńcem.

Lecz Grayson tylko oniemiał ze zdziwienia, a potem wyraz jego twarz był już wyprany z wszelkich emocji.

Sprytny, pomyślała, gładki w obejściu, umie prowadzić grę lepiej, niż jej się zdawało. Nagle poczuła jego dłoń zsuwającą się w okolice tego miejsca na sukni, które okrywało fragment ciała zwany wzniosie *tymi rzeczami*.

Po chwili Grayson wyprowadził ją w tanecznym rytmie przez otwarte drzwi na taras wyłożony kamiennymi płytkami. Szczerniałe niebo wypełniał zimny i jaskrawy blask księżyca.

- Przecież ty już próbujesz dobrać się do mnie, panie

Hawthorne - odparła z udawaną sztucznością. - Jeśli sądzisz jednak, że to będzie takie łatwe, znaczy, że przez ostatnie Jata zadawałeś się z niewłaściwymi kobietami.

- Albo ty z niewłaściwymi mężczyznami.

Wbrew samej sobie Sophie roześmiała się z uznaniem.

Ale na rzeźbionej twarzy Graysona odmalowała się powaga. Żadnego namiętnego uśmiechu ani zmysłowego głaśkania po skórze. Miał twarz taką, jaką zapamiętała, oblicze młodego chłopca, którego znała przez całe życie, mroczne i surowe.

- Naprawdę nie pamiętasz tej mówiącej maszyny? - spytał nieoczekiwanie.

To pytanie zaskoczyło Sophie. Przechyliła głowę zmieszana raptowną zmianą tematu.

- Mówiącej maszyny? - powtórzyła jak echo. Serce zaczęło jej walić.

- Tak, tego patefonu Megan Robertson.

Teraz serce podeszło Sophie do gardła i poczuła, jak ogarnia ją bezradność, której poprzysięgła sobie nigdy więcej nie odczuwać.

- Naprawdę nie przypominasz sobie, co powiedziałaś na mój temat do tej tuby?

Sophie wlepiła wzrok w Graysona i zapytała, nie mogąc się powstrzymać:

- A ty pamiętasz?

- Powiedziałaś, że mnie kochasz. - Wymówił te słowa z naciskiem, jakby rzucał jej wyzwanie.

Sophie odwróciła wzrok, nie pierwszy raz tego wieczoru przenosząc się myślami wstecz.

- Powiedziałam dokładnie, że cię kocham. Już na zawsze. Kocham cię całym moim sercem. I pewnego dnia zostanę twoją żoną.

Odwróciła się do niego z powrotem i zobaczyła w jego oczach coś, czego nie potrafiła określić. Żal, pożądanie?

Sama odczuwała jedno i drugie, a także nienawidziła na

zmianę i jednego, i drugiego. Ponieważ *na zawsze* to masa czasu, a niekiedy sprawy potrafią się tak bardzo zagmatwać, że stają na zawadzie.

8

- To już trwa zbyt długo. Należy Sophie poinformować.

Patrice przemierzała z nachmurzonym czołem gabinet swojego męża, ciemny kok jej włosów lśnił w przyćmionym świetle. Było późno, bankiet dawno się już skończył i goście poszli do domu. Ale Patrice nadal wyglądała olśniewająco w swojej migoczącej sukni.

- Ależ, kochanie - odezwał się Wentworth, wyglądający na każde ze swoich pięćdziesięciu dwu lat. - Rozmawiałem z Graysonem kilkakrotnie. Przecież nie mogę go popędzać. Musimy pozwolić mu działać w jego własnym tempie. On to robi. Jestem pewien. Poza tym mamy mnóstwo czasu. Sophie wróciła dopiero tydzień temu. Nawet ja teraz rozumiem, że oczekiwałem zbyt szybkiego toku wydarzeń.

- Jak na mój gust szybciej toczyć się już nie mogły. Przez ostatni tydzień udało jej się wzbudzić zainteresowanie wszystkich nieżonatych mężczyzn w Bostonie. Nie potrafię ci powiedzieć, ilu kawalerów mnie prosiło, żebym ich dzisiaj przedstawiła. Oczywiście nie spełniłam ich życzeń - rzekła, prychnąwszy pogardliwie. - Zwróciłam jej uwagę tylko na Nilesa Prescottta.

Wentworth zamarł na wzmiankę o tym panu, na wspomnienie pierwszej żony. Nie zamierzał wcale Prescottta zapraszać. Po co rozdrapywać stare rany? Ale Patrice postawiła na swoim.

- A wiesz, co twoja córka ośmieliła się zrobić?

Conrad Wentworth westchnął przeciągle.

- Odrzuciła propozycję koncertu w Music Hall! Dobry Boże, jeździ z występami po całym świecie, ale nie zagra w rodzinnym mieście. - Chłodne spojrzenie Patrice zapłonęło żarem emocji. - Ci ludzie od początku udzielali jej poparcia i rozwijali jej talent. A nie to stado zubożałych, zdegenerowanych parweniuszy, którzy każą się nazywać europejskimi monarchami.

- Jeśli chodzi o ścisłość, właściwie to matka Sophie rozwijała jej talent, a nie Boston czy Europa, przynajmniej do dziś. Jeśli się nie mylę, pierwszy koncert Sophie w Europie zakończył się klapą. Nie wiem, skąd taka różnica.

Patrice spojrzała niecierpliwie na męża, a potem ruszyła dalej na spacer od ściany do ściany.

- Wszystko jedno, dzisiaj twoja córka cieszy się wielkim powodzeniem. Niles powiedział, że gdyby zagrała, byłoby to historyczne wydarzenie. Odbyłyby się liczne gale poprzedzające występ. Wystawne bankiety i kolacje. Byłyby to wielki sukces towarzyski.

- Czyj? - spytał Wentworth z zaskakującą wnikliwością.

- Mój!

Patrice zatrzymała się raptownie, wymieniając z małżonkiem spojrzenia, podrapała ozdobionymi piękną biżuterią palcami po staniku swojej kosztownej sukni i wzięła głęboki oddech.

- Nieważne, kto udzielał albo nie udzielał jej poparcia. Mój drogi, Sophie jest coś winna Bostonowi.

Wentworth odwrócił wzrok. Myślał o jedynym dziecku, które urodziła mu pierwsza żona.

Kochał Genevieve, tak jak żonę powinien kochać mąż. Ale zanim umarła, całymi dniami była zaabsorbowana wyłącznie Sophie oraz jej muzyką. Niewiele czasu poświęcała mężowi i powiększaniu rodziny.

Niedługo po jej śmierci ożenił się powtórnie. Między Conradem a jego nową żoną była *znaczna* różnica wieku, ale Patrice okazała się kobietą fantastyczną, urzekła Con-

rada i pozwoliła mu zapomnieć o tym, ile ma lat. Mieli trzy śliczne córki, słodkie i... zwyczajne w najlepszym sensie tego słowa. Dzięki ci za to, Boże.

Sophie zwyczajna bynajmniej nie była.

Już jako dziecko żyła wyłącznie muzyką. Jako dorosła wciąż żyła tylko muzyką. Ale jak Conrad Wentworth powiedział Graysonowi, najwyższa pora, aby Sophie się ustatkowała. Obowiązkiem ojca było dopilnowanie tego - obojętnie, co będzie musiał zrobić, aby osiągnąć cel.

- Jeszcze lepiej, że odmówiła Nilesowi - powiedział do żony. - Chyba nie powinna więcej grać na wiolonczeli, przynajmniej publicznie. Jest już kobietą dorosłą. Pora, by zaczęła myśleć o mężu i dzieciach.

Patrice obróciła się na pięcie.

- Wyśmienicie! - wykrzyknęła z blaskiem w swoich błękitnych oczach. - Ale w takim razie musimy przestać owijać wszystko w bawełnę i powiadomić ją o zaręczynach. Najwyższy czas, Conradzie, i tak jesteście już mocno spóźnieni.

Rozległo się pukanie. Conrad przekręcił gałkę, otworzył drzwi i zobaczył syna swojego najlepszego przyjaciela.

- Graysonie, sądziłem, że już dawno cię nie ma - powiedział do niego ze zdziwieniem.

Grayson spojrział na Patrice, uniósł pytająco brwi, po czym wszedł do pokoju.

- Wyznaczono mi tutaj spotkanie z tobą.

Na twarzy Conrada odmalowało się zmieszanie i zaczął go ogarniać potworny strach. Przeniósł wzrok na żonę:

- W czym rzecz, Patrice? - spytał kategorycznym tonem.

- Mówiłam ci, mój mężu, że to ciągnie się już za długo.

Oczy Graysona zwięziły się groźnie. Uniósł ramiona i splótł je na swojej szerokiej klatce piersiowej.

Grayson Hawthorne był mężczyzną o wielkim majątku i władzy. Miał reputację człowieka nieposzlakowanej uczciwości, ale i niezrównanej bezwzględności w obliczu każdego, kto wchodził mu w drogę. Ze sposobu porusza-

nia się, sposobu mówienia, a nawet rzeźbionych delikatnie rysów mrocznego oblicza emanowała siła.

Wentworth szarpał poły swojego pogniecionego, wieczorowego surduta. Twarde spojrzenie młodszego mężczyzny napawało go lękiem.

- Co ciągnie się już zbyt długo? - spytał Grayson zwo-
dniczo miękkim głosem.

Gdy tylko zadał to pytanie, dostrzegł trawiący Conrada niepokój. A jednocześnie oczy jego żony pały żarem wielkiej radości. Domyślił się od razu, że Patrice nie poprze go w tej rozmowie.

Wszedł głębiej do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Powoli ogarniała go irytacja.

Wentworth spojrział nerwowo na żonę, a potem zwrócił się do Graysona:

- Dyskutowaliśmy z Patrice o waszych zaręczynach.

Na kominku płonął ogień, rzucając refleksy na wspaniałe olejne obrazy i odlane z brązu rzeźby. Zbadawszy stan majątkowy Conrada, Grayson dowiedział się, że finanse ojca Sophie nie przedstawiały się tak dobrze jak kiedyś.

- Na co czekasz, synu? Im bardziej odwlekamy sprawę, tym trudniej będzie jej powiedzieć. Chyba się nie rozmyśliłeś, co? - spytał ostrożnie Wentworth.

Grayson nie odstąpił od zamiaru poślubienia córki tego człowieka. Mimo że była uparta i dawała jasno do zrozumienia, że nie zamierza zostać stateczną damą, nie potrafił z niej zrezygnować.

Teraz stał teraz w gabinecie Conrada otoczony regałami, które ugięły się pod ciężarem grubych woluminów ze złotymi tłóceniami na delikatnie wyprawionej skórze. W młodości Grayson przeczytał każdą książkę z biblioteki swojego ojca. Ostatnią skończył tydzień przed tym, nim wyrzucono go z domu i musiał przejść na własne utrzymanie.

Lektura pomogła mu niejednokrotnie przetrwać długie noce w Cambridge. Gdy obcy mężczyźni wymyślali sobie

na wilgotnych korytarzach albo urządzali bijatyki na ulicach, Grayson wracał myślami do wędrówek Odyseusza i wojen Juliusza Cezara, do ich przygód i triumfów, aby zapomnieć o otaczającym go świecie.

Ale po kilkunastu tygodniach lektura takich książek nie była mu już potrzebna. Nauczył się chronić samodzielnie. Jak Odyseusz. Jak Cezar. Nauczył się używać pięści, pokonywać silniejszych od siebie; ogarniały go jakieś nieznane, pierwotne emocje, które przysparzały mu więcej sił, niż mogło ich normalnie dostarczyć ciało szesnastoletniego chłopca.

Zanim skończył siedemnasty rok życia, wszyscy dookoła wiedzieli, że Graysonowi Hawthorne'owi lepiej nie wchodzić w drogę. Kiedy skończył prawo na Harvardzie, musiało minąć wiele lat, aby zdołał stępić w sobie ostrze brutalności. Wiele długich lat bezlitosnej samokontroli, aby pozbyć się dzikości serca. To z jej powodu ludzie go omijali. Wszyscy, prócz Sophie.

Koszyki z jedzeniem z czasem ustąpiły miejsca listom i różnym drobiazgom. Koszuli albo swetrowi. Pojawiały się zawsze wtedy, kiedy potrzebował ich najbardziej. Dary Sophie stanowiły ośnowę jego życia na równi z codzienną walką o przetrwanie i gorliwym studiowaniem.

Ale pewnego dnia, kiedy skończył osiemnaście lat, prezenty oraz listy przestały się pojawiać. Niebawem dowiedział się, że Sophie opuściła Boston. To głupie, ale Grayson przeżył rozczarowanie, że wyjechała bez słowa. Doznał zawodu i poczuł się dziwnie osamotniony. Od tak dawna Sophie była częścią jego życia. A teraz nagle jej zabrakło.

Ilekcję miał wrażenie, że bardzo jej pożąda, odrzucał to uczucie od siebie. Chciał Sophie, owszem, ale bynajmniej jej nie potrzebował. Zamierzał po prostu uczynić pannę Wentworth swoją kobietą. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył.

- Nie rozmyślałem się - powiedział do Conrada. - Ale musimy dać jej możliwość poznania mnie na nowo. Już o tym mówiliśmy.

- Niech to diabli, chłopcze, ona cię zna całe życie.

- To prawda, lecz aż do zeszłej niedzieli widziała mnie tylko raz w ciągu pięciu lat, zresztą na tej gali z okazji twoich urodzin, którą wydała Patrice.

Odkąd Grayson pamiętał, kobiety zawsze go pragnęły. Do niedawna nie poświęcał tym sprawom zbyt wiele uwagi - to znaczący do dnia powrotu Sophie.

Nie był głupcem. Chciałby mieć chętną żonę w swoim łóżku. Dlatego musi zabiegać o jej względy bez pośpiechu. Zadziwiająco, przyłapał się na tym, że nie może się już tego doczekać.

Poza tym, rozumował Grayson z butą mężczyzny przywykłego do zaspokajania wszystkich swoich życzeń, na pewno uda mu się zjednać sobie Sophie. To tylko kwestia czasu.

- Jest mniej kłopotliwa, niż ci się zdaje - stwierdził Wentworth.

Grayson spojrział na niego z niedowierzaniem.

- No, dobrze - ustąpił Wentworth. - Jest trochę kłopotliwa.

- Trochę?

- Do diabła, Sophie potrzebuje kogoś, kto nie dopuści, aby sprawiała kłopoty - zachnął się Wentworth.

- Czy jest jeszcze coś, co przede mną ukrywacie? - spytał Grayson.

Conrad poczuł się nieswojo i skupił uwagę na małej ryćcinie, która leżała na jego biurku. Sophie z tą swoją wionlonczelą. Tutaj wyglądała bardzo młodo, mieszanina dumy i wewnętrznej przekory wprost rzucała się w oczy nawet w ciemnym, brązowym odcieniu.

- Nie - odparł wreszcie. - Ale pamiętasz Sophie i jej dawne wyczyny. - Starszy pan przygładził swoje rzędzące włosy. Wydawał się zmęczony i zrezygnowany. - Ona ze wszystkiego robi dramat. Zawsze taka była.

Grayson szybko przypomniał sobie, ile prawdy było w słowach Wentwortha. Z Sophie nic nie przychodziło łatwo.

- A więc rozumiesz, dlaczego powinna wyjść za mężczyznę, który ma głowę na karku i któremu mogę zaufać, że zawróci moją córkę ze złej drogi. - Wentworth wzruszył ramionami. - Im prędzej, tym lepiej.

- Powinniśmy poinformować ją dziś wieczorem - wtrąciła z prowokującą miną Patrice.

Grayson tylko zerknął na nią i przeniósł z powrotem uwagę na jej męża.

- Nie, Conradzie. Jeszcze nie teraz.

Stwierdzenie to zabrzmiało jako cichy, ale stanowczy rozkaz. Panowie wymienili spojrzenia.

- Jak już mówiłem, najpierw niech pozna mnie na nowo. Na razie nie musi dowiadywać się o zaręczynach. Później sam jej o tym powiem - rzekł Grayson, przeszywając Wentwortha ostrym wzrokiem. - Rozumiemy się?

Ledwie zdążył o to spytać, gdy znowu rozległo się pukanie do drzwi. Obaj panowie odwrócili się nie w stronę wejścia, lecz w stronę Patrice, która uniosła wyzywająco podbródek i zawołała:

- Proszę!

Wentworth rzucił się do drzwi, nie spuszczać oczu z żony.

- Nie waż się powiedzieć ani...

Ale nie zdążył dokończyć zdania, ponieważ drzwi tymczasem stanęły otworem.

- Papo - powiedziała Sophie, wchodząc z błogim uśmiechem do gabinetu. - Wielkie dzięki za bankiet.

Sophie wcale nie żartowała. Chociaż bankiet nie wypadł dokładnie tak, jak na to liczyła, czuła wdzięczność wobec ojca, że się starał. Jeszcze teraz w jej żyłach rozlewała się fala radosnego podniecenia.

Wentworth zarumienił się.

- Miło mi, że się dobrze bawiłaś, kochanie. Ale prawdę mówiąc, to nie jest moją zasługą. To dzieło twojej macochy.

Serce Sophie załała dziecięca gorycz na myśl o tej ko-

biecie, ale szybko się z tego otrząsnęła i zwróciła się do żony swojego ojca:

- Dziękuję, Patrice.

Uraza poszła w niepamięć, zastąpiło ją coś mniej skomplikowanego niż „zapał-na-zakończenie-wieczoru”.

- Już od lat nie widziałam tylu przyjaciół z czasów mojej młodości. - Sophie roześmiała się wesoło, wirując dookoła pokoju, jakby wciąż tańczyła.

Wtem zatrzymała się, ujrawszy Graysona, ale nawet i on nie zdołał stłumić jej radości.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Muszę coś omówić z twoim ojcem. Mogłabyś wybaczyć na chwilę?

Sophie przechyliła głowę na bok, zdając sobie raptem sprawę z dziwnego iskrzenia, które naelektryzowało cały pokój.

- Ależ ja dostałam karteczkę z prośbą o przyjście do gabinetu.

- Tak, ale to była pomyłka.

Grayson obrzucił Patrice spojrzeniem, które potrafiło napędzić strachu najpotężniejszym ludziom w Bostonie.

Sophie nie miała pojęcia, co się dzieje, lecz, szczerze mówiąc, była wciąż zbyt rozradowana, aby się tym przejmować. Zresztą padała z wyczerpania i podniecenie mijającym wieczorem powoli mijało. Marzyła, aby wślizgnąć się pod chłodną pierzynę i zapaść w spokojny sen.

- Świetnie - powiedziała, wzruszając niedbale ramionami.

- Poproszę Jetersa, żeby mnie zawiózł do Łabędziej Gracji. - Zawirowała znowu i się roześmiała. - Chcę już iść do łóżka, aby jutro w południe obudzić się rześka i wypoczęta. - Ruszyła do drzwi i otworzyła je na oścież, jak gdyby tańcząc z nimi, jej pantofle na niskich obcasach zastukały o drewnianą podłogę obok perskiego dywanu. - Jutro po południu Donald Ellis zabiera mnie na piknik do Brookline. A potem Allan Beekman zaprosił mnie na kolację w Locke-Ober's.

- Wybij to sobie z głowy! - rzuciła Patrice.

Słowa macochy rozległy się niby syk, zatrzymując Sophie w pół kroku z ręką na gałce od drzwi.

- Patrice - ostrzegł ją złowieszczo Grayson.

- Co się tu dzieje? - spytała Sophie. - Odkąd weszłam, zachowujecie się bardzo dziwnie.

- Nigdzie z żadnym mężczyzną nie pojedziesz, zrozumiano? - wycedziła macocha.

- A to czemu? Co jest złego w pikniku z mężczyzną, którego znam, odkąd chodził w krótkich spodenkach, albo obiedzie w towarzystwie starego przyjaciela rodziny?

- Już pora, żeby ktoś ci powiedział, że kobiety zaręczone nie jeżdżą na pikniki z mężczyznami, którzy nie są im przeznaczeni - dodała Patrice.

Sophie dosłownie zamarła. Wentworth aż jęknął.

Pokój rozgorzał ogniem emocji. Sophie czuła to przez rozpaloną do czerwoności skórę.

Zdołała jakoś zdławić uczucia i roześmiała się na cały głos.

- To śmieszne. Nie jestem w domu tak długo, bym zdążyła kogoś poznać, a tym bardziej się zaręczyć. Kto, u licha, rozsiewa takie plotki? - Spojrzała na Graysona, karcąc go wzrokiem. - Znowu próbujesz narobić mi kłopotów?

Grayson nie odpowiedział. Przypominał mocno skrecony bicz, gotowy w każdej chwili się rozwinąć, a jego przystojne oblicze było posępne i mordercze.

W końcu przeciągnął dłonią po swoich czarnych jak węgiel włosach.

- Chyba dobrze wiesz, że nie jestem plotkarzem, Sophie.

- Więc kto to wymyślił? I z kim podobno jestem zaręczona?

- Z Graysonem - odezwała się tryumfalnie Patrice, ale nie spojrzała na Sophie. Oczy miała utkwione w mężczyźnie, o którym mówiła.

Sophie zeszytniała. Czując drżenie wszystkich nerwów w swoim ciele, gapiła się zaszokowana na macochę.

Zdobyła się na jeszcze jeden uśmiech, tym razem płytki i bolesny, po czym wbiła wzrok w Graysona.

- Dość tych żartów.

- To nie żart, Sophie - odparł po dłuższej chwili milczenia Grayson. Jego twarz trawił wyraz głębokiego i szczerzego żalu. - Jesteśmy zaręczeni.

Resztki dobrego humoru Sophie zniknęły.

- Musiałeś postradać zmysły. Odkąd jestem w Bostonie, nie zamieniliśmy ze sobą bodaj jednego uprzejmego słowa, a już na pewno nie na temat małżeństwa.

Odrzuciła się impulsywnie w stronę ojca.

- To prawda - odezwał się Wentworth nie pytany. - Dokonałem niezbędnych ustaleń, zanim wróciłaś do Bostonu.

Słowa Wentwortha były dla Sophie ciężkim ciosem. Przeszywała ojca ostrym wzrokiem.

- To dlatego kazałeś mi wracać, tak? Chciałeś mnie wydać za mąż, żebym nie mogła być razem z...

Dalsze słowa zamarły jej na ustach, Sophie cudem przełknęła je z powrotem.

W jej życiu były takie chwile, kiedy rozumiała, że następne wypowiedziane przez nią zdanie zmieni jej przyszłość raz na zawsze. Uświadomiła sobie teraz, że nadeszła właśnie jedna z owych chwil; gdzieś w zakamarkach duszy wiedziała, że zna już odpowiedź na swoje niedokończone pytanie.

W życiu ojca wciąż nie było dla niej miejsca.

Czuła, że serce jej pęka, z chłodną obojętnością rozdzielane na strzępy jak gruby, kolorowy papier w czasie układania dziecinnej kompozycji.

Na dodatek zadanie zmiany jej życia ojciec wziął na siebie. Nieodwołalnie i bez jej zgody. Jeszcze raz ją zdradził.

Kolana się pod nią ugięły, gdy zrozumiała, że o jej dalszych losach zdecydowano jakiś czas temu, a ona o niczym nie miała zielonego pojęcia. Hasała swawolnie całymi dniami, biorąc wszystko za dobrą monetę, a to od początku było kłamstwo. Nie była wolna. Nie była kochana.

Jak dawno temu ojciec zmienił jej życie? Miesiąc? Rok?

Czy w momencie, gdy dostała list od ojca, poczuła w głębi duszy, że jej życie uległo zmianie? Czy możliwe, że już wtedy dostała jakąś wskazówkę i rozumiała, że poza miłością są jeszcze inne powody, dla których ojciec wzywa ją do powrotu?

Sophie otrząsnęła się z tych myśli. Nie chciała słuchać Graysona, nie zaakceptowałaby ani jednego jego słowa. Jeśli będzie się zachowywała tak, jakby niczego nie ujawniono, zdoła niespodziewaną wiadomość anulować.

- Jestem potwornie zmęczona - rzekła półprzytomna, czując chaos w głowie. - Poza tym w południe przyjeżdża po mnie Donald. Muszę choć troszkę wypocząć.

Patrice wstrzymała oddech.

- Nie słyszałaś ani słowa z tego, co tu dzisiaj powiedziano? Nie pojedziesz na żaden piknik.

- Mam nadzieję, że spadnie śnieg. Nie ma jak piękna zimowa wycieczka konnym powozem na wieś, gdy cała okolica pokryta jest świeżym, białym puchem.

Ruszyła z powrotem w kierunku drzwi, czując dziwną pustkę w głowie.

- Dajże spokój - rzuciła za nią macocha.

- Może wezmę ze sobą wiolonczelę oraz kosz z owocami i serem.

- Co ci strzeliło do głowy? - odezwał się ojciec.

- Dobrze byłoby nawet zabrać grzane wino. We Francji ludzie żółpią wino jak wodę. Wiedzieliście o tym?

- Sophie.

Pokój wypełnił głos Graysona, przywołując Sophie do porządku.

- Co? - zapytała. - Czego ode mnie chcesz?

Wyciągnął dłoń, by ująć ją za ramię i przyciągnąć blisko do siebie, tak jak to czynił wiele razy po jej powrocie do Bostonu. Gestem człowieka sięgającego po swoją własność. Teraz wiedziała, dlaczego. Grayson czuł, że już do niego należała.

Oswobodziła rękę i patrzyła, jak przybiera srogą minę.
- Jesteśmy zaręczeni, Sophie, i nie pozwolę ci jechać na piknik z Donaldem Ellisem ani na kolację z kimkolwiek innym.

Czuła, jak zimna stal wbija się w jej duszę, jej twardość powitała z radością.

- To *odręcz* nas. Dobry Boże, w życiu nie znałam dwojga ludzi gorzej dobranych niż my.

- Nie zgadzam się - odparł.

Odwróciła się z powrotem do ojca, serce kołatało jej tak mocno, że na pewno wszyscy to słyszeli.

- Więc ty to załatw, papo.

Wentworth wydał wargi, po czym rzekł:

- Nie mogę. Boże, co za zamieszanie!

- Dlaczego? - spytała podniesionym głosem. - Powiedz, dlaczego nie możesz naprawić niewybaczalnego zła?

Wentworth wyglądał tak, jakby chciał się zapaść pod ziemię, natomiast Patrice nie była nadto przejęta.

- Twój ojciec nie może cofnąć zaręczyn, ponieważ pieniądze przeszły już z rąk do rąk.

Sophie wyprostowała plecy, poczuła w sercu niewyobrażalny ból, ale na moment nie odrywała oczu od ojca.

- Jeśli dałeś mu jakiś posag, to każ mu oddać.

Wentworth zaczerwienił się.

- Właściwie to Grayson zapłacił pieniądze nam, najdroższa Sophijko. Zresztą większość już wydałem.

Pieszczota słowna najwyraźniej przynagliła Patrice do działania.

- W czasie kiedy zabawiałaś się w Europie, mieliśmy rachunki do zapłacenia - powiedziała.

- Rachunki do zapłacenia? - powtórzyła Sophie zmieszana. - Ojciec ma więcej pieniędzy niż sam Krezus. Wszyscy o tym wiedzą. Gdybyście nie mieli dość pieniędzy na zapłacenie rachunków, to przecież nie kupilibyście domu. Dobry Boże, sale inkrustowane drogimi kamieniami, a służby tyle, co w największym hotelu.

Serce trzepotało się w jej piersi.

- Rachunki są właśnie z powodu *tego* domu - szepnęła, kiedy brutalna prawda ukazała się jej w jasnym świetle. - Sprzedaliście mnie i Łabędzia Grację bez mojej wiedzy i zgody, żeby zapłacić za ten... za to monstrum.

- Nie nazwałabym mojego domu monstrum - odcięła się Patrice.

- A jak byś go nazwała? Jak byś nazwała to istne mauzoleum, które opłaciliście moimi pieniędzmi, moim domem - moją duszą!

- Boże Przenajświętszy, Sophie - zaśmiała się Patrice. - Nie bądź taka dramatyczna.

- Dramatyczna? - powtórzyła zgryźliwie Sophie. - No, tak. Sophie jest zawsze taka dramatyczna. Wszystkich innych uznano by za zdenerwowanych albo rozwścieczonych - wzburzonych złem, które im uczyniono. Ale ja zawsze jestem dramatyczna. No, zaraz się przekonacie, jaka potrafię być dramatyczna. - Zwróciła się do Graysona. - Nie jestem na sprzedaż temu, kto da więcej. I jeśli będę musiała, sama spłacam dług. - Spłaci go, nawet gdyby zajęło jej to resztę życia. - Ile tego jest? Oddam co do centa z procentami. Możesz sporo zarobić na swojej inwestycji - dodała na koniec lodowato.

- Nie chcę twoich pieniędzy. Chcę ciebie jako moją żonę.

- Ale ja nie chcę ciebie! - Nie jako męża, nie jako człowieka, który będzie rościł sobie pretensje do władzy nad nią. Nie zniosłaby tego; nie pozwoli się ukształtować na wzór jakiejś niewolnicy, którą nie potrafiła zostać - osoby niezdolnej do kierowania własnym losem, uzależnionej od innych, niezdolnej do spełnienia swoich marzeń. Czy on tego nie rozumie? Grayson, który od tak dawna zna ją na wylot? Czy jej długoletni przyjaciel nie rozumie, że nie pozwoliłaby się zamknąć w złotej klatce? Bez względu na to, jak bardzo ją pociągał.

Prawda była taka, że Grayson wcale jej już nie znał. Tylko tak mu się zdawało. Nie miał zielonego pojęcia, kim się stała.

Bez słowa patrzył na nią z ponurą determinacją w oczach.

- Będę walczyć - rzekła. Przystała chodząc z kąta w kąt i obrzucała gniewnym wzrokiem troje osób. - Nie jestem przedmiotem do frymarzenia.

- Możesz walczyć, ale nie wygrasz - szepnął z powagą Grayson. - Osobiście zreagowałem ten kontrakt. Tylko ja mogę cię od niego uwolnić.

- Więc zrób to!

Grayson spoglądał na nią przez całą wieczność, emocje, których nie pojmowała, zniekształcały rzeźbione rysy jego twarzy - walczył sam ze sobą, pewnie chciał ją uwolnić, ale nie mógł.

- Nie, Sophie. Nie mogę tego zrobić.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- To bez znaczenia. Skutek jest taki sam. Ale dam ci czas na przyzwyczajanie się do tej myśli. Obiecuj, że nie będziesz postępowała nierozważnie.

- Mogę ci tylko obiecać, że nigdy za ciebie nie wyjdę. Nieważne, że masz jakiś kontrakt. Nieważne, że mnie kupiłeś i już nawet zapłaciłeś.

Z tymi słowy odwróciła się z największym spokojem, na jaki tylko mogła się zdobyć, powstrzymując łzy, które błyszczały w jej oczach, i ruszyła za drzwi. W ostatniej chwili przystanęła i odwróciła się z powrotem do Graysona.

- Jeszcze jedno. Niles Prescott prosił mnie o koncert w Music Hall.

- A ty odmówiłaś.

- Zmieniłam zdanie. Powiedz mu, że się zgadzam.

Patrice zaklaskała w dłonie, jej nastrój natychmiast uległ zmianie.

- Przewspianiała wiadomość. To będzie wielkie wydarzenie! Każdy, kto jest kimś, będzie chciał przyjść.

Sophie wbiła oczy w macochę

- Każdy, kto jest kimś? - powtórzyła, dając upust goryczy. - Jeszcze ci mało? Musisz rozkochać w sobie każdego

faceta? Czy mój ojciec nie jest wystarczającą zapłatą? Nie wystarczyło wkraść się do Łabędziej Gracji, żeby pielęgnować moją matkę, a zamiast tego zajmować jej miejsce?

- Sophie. - Wentworth wstrzymał oddech.

Patrice zwięzła oczy.

- Kiedy twoja matka jeszcze żyła - oznajmił Wentworth - między Patrice a mną nie było niczego niestosownego.

Być może w sensie fizycznym, pomyślała Sophie. Ale tylko dlatego, że Patrice była na to za sprytna.

- W tej chwili przepros macochę - zażądał Wentworth.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. Dostanie swój koncert i cała śmietanka towarzyska stawi się niezawodnie. To powinno ją udobruchać - odparła, krzyżując spojrzenia z macochą. - Zresztą... - dodała, unosząc podbródek i już zastanawiając się, którą suknię założyć: tę z czerwonego aksamitu z głębokim dekoltem, czy tę ze szkarłatnego atłasu, która więcej odsłania niż zakrywa. - Mam nadzieję, że koncert będzie istotnie wielkim wydarzeniem, którego Boston długo nie zapomni.

Teraz spojrzała na Graysona.

- Skoro jesteś taki dobry w redagowaniu kontraktów, zredaguj również i ten. Chcę znać dokładną datę koncertu i wysokość honorarium. Wolałabym, żeby Niles Prescott nie rozmyślił się i nie próbował się wycofać. Mój czas jest cenny - oznajmiła, rozpływając się w najlepszym scenicznym uśmiechu ze swego repertuaru. - Zapewne nie miałeś pojęcia, że chodzę po sto dolarów za godzinę?

Następnie Sophie opuściła gabinet, pozostawiając ojca, macochę i Graysona z klinicznymi objawami całkowitego osłupienia.

9

W dłoniach Emmaline glina wydawała się miękka, gładka i chłodna, posłuszna jej dotykowi.

Emmaline siedziała na wysokim stołku odziana w prostą bawełnianą sukienkę, długi warkocz siwych włosów miała upięty z tyłu głowy. Powietrze było przesycone zapachem gliny. Gliny i szkliwa. Ognia i ciepła.

Emmaline zaczerpnęła głęboko powietrza do płuc i wyprostowała się. Było wczesne przedpołudnie dnia przypadającego nazajutrz po gali wydanej przez Wentworthów w Fens, która okazała się imprezą dziwnie nerwową. Emmaline miała wrażenie, że jedyną osobą, która w ogóle się tam bawiła, była Sophie.

Droga, słodka Sophijka.

Emmaline wiedziała, że Bradford dąży do ślubu Graysona i Sophie. Powtarzał, że dobre małżeństwo omijają wszelkie skandale. Nawet ona musiała przyznać, że Matthew i Lucas mają spory udział w głośnych skandalach. A Bradford karmił się nadzieją, że dzięki Graysonowi Boston zapomni o wyczynach jego braci.

Tak, małżeństwo z Sophie mogłoby to sprawić. Ale nie ono było przedmiotem troski Emmaline. Wierzyła, że Sophie potrafi dać Graysonowi szczęście. Grayson przeżył zbyt wiele lat jako mężczyzna stateczny i odpowiedzialny, który narzuca sobie żelazną dyscyplinę. Sophie zaś spędziła zbyt wiele lat jako kobieta samodzielna i nieokiełznana. Emmaline wierzyła, że, będąc razem, odnajdą idealną równowagę. Żadna para nie powinna być zanadto podobna do siebie.

A jeśli jej syn postępuje wobec Sophie tak samo, jak

Bradford postępuje wobec niej, i próbuje wtłoczyć narzeczoną we własny szablon, który zresztą nigdy dobrze do niej nie pasował?

Emmaline odpędziła złe myśli. Grayson był wprawdzie człowiekiem wymagającym, ale stawiał wymagania przede wszystkim sobie, a nie osobom, które go otaczają. Był dobry i subtelny i doskonale nadawał się dla Sophie. Sophie na dodatek była silna i pewna siebie. Jak inaczej mogłaby odnosić takie sukcesy bez niczyjej pomocy?

W rezultacie, kiedy Bradford poinformował Emmaline o rychłym ślubie, nie napomknęła mężowi ani słowa o pogłoskach, które słyszała przed laty w kółkach kobiecych na temat jej serdecznej przyjaciółki i tego okropnego Nilesa Prescottta.

Emmaline nie mieściło się w głowie, aby ktoś pamiętał takie stare plotki i insynuacje. Ale Bradford mógł patrzeć na to inaczej.

Tymczasem rozprostowała mięśnie nieprzywykłe do wielogodzinnego siedzenia na wysokim, pozbawionym oparcia taborecie. Kiedy pracowała, zapominała o bożym świecie, skupiając się na kawałku leżącej przed nią gliny.

Stan odosobnienia psychicznego nie pomagał jej bynajmniej w pracy, uznała, wpatrując się w bezkształtną bryłę. Emmaline robiła więcej błędów niż postępów, a mimo to przyjemnie było po tylu latach pracować rękami.

Skrzywiła się na wspomnienie bajeczki, którą wymyśliła specjalnie, aby zostawiono ją w spokoju, tak by bez przeszkód mogła wyjść z domu. Zmyśliła atak migreny. Musiała to zrobić, bo mąż upierał się zawsze, że winna pokazywać się w mieście tylko z osobą towarzyszącą. To znaczy, z przyzwoitką.

Emmaline nachmurzyła się na tę myśl. Syn na pewno nie okazałby się aż tak wymagający jak jego ojciec.

Jednak sztuczka ze straszną migreną się powiodła. Bynajmniej nie dlatego, że trudno było Emmaline odizolować się od ludzi, zwłaszcza od męża. Bradford nie przychodził do jej pokoju, a tym bardziej do jej łóżka, od dnia

urodzenia się Lucasa. To znaczy od blisko trzydziestu lat.

Przez dłuższy czas Emmaline mało uwagi poświęcała nieobecności męża. Była zbyt zajęta wychowywaniem trzech chłopców, nadzorowaniem służby, układaniem menu i działalnością charytatywną. Kiedy wreszcie nieobecność męża zaczęła Emmaline intrygować, była zbyt zmęczona wieczorem, aby się tym martwić. Miała nadzieję, że gdy tylko synowie bardziej się usamodzielnią, a pozycja Hawthorne'ów w kręgach finansowych ustabilizuje się na odpowiednim poziomie, wróca do siebie z identyczną namiętnością, jaką Bradford obdarzał ją w czasie zalotów.

I co do tego Emmaline się pomyliła.

Jeszcze teraz wstyd różowił jej policzki na wspomnienie chwil, kiedy próbowała kokietować męża. Uwodzicielska halka. Intymne kolacyjki tylko we dwoje. Ale kiedy miły wieczór dobiegał końca, Emmaline dostawała obowiązkowy pocałunek w czoło i odsyłano ją do łóżka jak małe dziecko.

A teraz przygryzała wargi i wyglądała przez brudne okno, wspominając pewną noc, kiedy zdusiła w sobie poczucie godności, zebrała się na odwagę i czując serce w gardle, powędrowała do łóżka męża. Bradford stał akurat w samej koszuli obok okna, był taki przystojny, taki silny. Ale kiedy odwrócił się do niej, Emmaline zobaczyła w jego spojrzeniu twardość, którą jeszcze do dziś potrafiła wymazać z pamięci. Wraz ze słowami, które skierował do niej mąż.

- O co chodzi, pani Hawthorne?

Nawet intymność małżeńskiej sypialni nabrała oficjalnego charakteru.

Odwaga zaczęła ją opuszczać, ale Emmaline zabrnęła już za daleko, by się wycofać.

- Pomyślałam... No, ewentualnie... Może byśmy, albo raczej, że może ty byś chciał...

Słowa z trudem przechodziły Emmaline przez gardło, tymczasem Bradford mierzył ją pogardliwym wzrokiem od stóp do głów. Przez chwilę Emmaline ponownie na-

brała odwagi, ale wówczas ich spojrzenia się spotkały.

- Będę udawał, że nie rozumiem, o co tu chodzi, pani Hawthorne. Z przykrością stwierdzam, że moja żona doszukuje się w niecnym aspekcie życia czegoś więcej niż obowiązku płodzenia dzieci. Dałaś mi trzech synów. Twój obowiązek został spełniony - powiedział Bradford, odwracając się z powrotem w stronę okna.

Emmaline wręcz zamarła, zastygła w bezruchu, poczuła się odepchnięta, chciała nawymyślać człowiekowi, który odwrócił się do niej plecami. Jej obowiązek został spełniony, ale to przecież nie znaczy, że nie miała potrzeb. A może różniła się od innych żon? Może faktycznie była kobietą bezwstydną i nieprzyzwoitą? Czy inne żony naprawdę nie oczekiwały już niczego od swoich mężów po urodzeniu dzieci?

Emmaline nie zadała Bradfordowi żadnych pytań. Nie postawiła mu jakichkolwiek żądań. Po prostu odwróciła się pomału, a potem uciekła do swego pokoju-

Nazajutrz rano jej rzeczy przeniesiono na drugi koniec Hawthorne House.

- Emmaline, kochanie! Tak się cieszę, że jesteś tu i pracujesz! Twoja rzeźba jest... bardzo ciekawa!

Emmaline ze zdziwienia aż podskoczyła na taborecie, omal z niego nie spadając. Ale Andre Springfield zdołał ją przytrzymać.

- Bujałaś w obłokach, racja? - spytał z uśmiechem radosnym jak blask poranka.

- *Mea culpa* - odparła, wspomnienia o Bradfordzie stopniowo znikły. - Poza tym zbyt pochlebnie wyrażasz się o moim dziele. Jest ciekawe, o ile intryguje cię bezkształtny kawałek gliny.

Springfield odrzucił do tyłu swoją lwią czuprynę i roześmiał się na cały głos, strasząc pozostałych rzeźbiarzy przebywających w przestronnej sali.

- Chodź - powiedział, ciągnąc Emmaline za rękę. - Napij się ze mną herbaty. Collette wszystko przygotowała.

- Andre, ja nie mogę.

- Ależ możesz.

Springfield nie zwracał uwagi na jej reakcję. Po prostu wyciągnął Emmaline z pokoju na oszklony tylny taras, który wychodził na ciągnące się poniżej uśpione ogrody. Wiosną byłoby tu pięknie.

Podał Emmaline krzesło, a potem przysunął drugie dla siebie. Nalał obojgu herbaty do starych, wyszczerbionych filiżanek z delikatnej porcelany. Z kieszeni wyciągnął butelkę.

- Osłodzić ci herbatkę? - spytał, przykładając szyjkę butelki do filiżanki.

Swobodne zachowanie Springfielda wywołało uśmiech na twarzy Emmaline. Przypomniała sobie długie letnie dni, kiedy usiłowała zostać artystką. Wino i ser. Niekończące się rozmowy w narożnych kafejkach. Ale te dni dawno minęły.

- Nie, Andre, ale ci dziękuję.

- Tym więcej zostanie dla mnie - roześmiał się Springfield i wlał do swojej filiżanki sutą porcję czegoś, co przypominało koniak.

Nie zwracał sobie głowy mieszaniami. Sięgnął do drugiej kieszeni, z której wyjął fajkę i paczkę tytoniu. Wprawnie nabił fajkę, po czym westchnął i rozsiadł się wygodnie, zapalając zapałkę. Kiedy jednak przybliżył ogień, zawahał się, spoglądając na Emmaline zza pomarańczowego płomienia.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę, moja droga?

- Zapal sobie.

- Dzięki - mruknął Springfield, zapalając tytoń i ciągnąc dym z cybucha. - Boże, życie jest piękne - westchnął, pykając z fajki. - Może i nie mam pieniędzy, ale wiodę bardzo satysfakcjonujące życie. - Przez chwilę zajmował się poprawianiem porcelanowej zastawy i zapałek, po czym spojrzał na Emmaline. - Czy możesz powiedzieć to samo o sobie, moja słodka Emmaline?

Zirytowana wyprostowała się gwałtownie, uderzając plecami w oparcie krzesła i krzywiąc się z bólu, kiedy jej

kręgosłup trafił w odstający pręt metalowego siedziska.

Andre pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Widzę, że nie możesz tego powiedzieć.

- Po tym, jak o mały włos nie odniosłam śmiertelnej rany z powodu kawałka metalu, nie traktuję grymasu bólu jak odpowiedzi. Rozmyślałam.

- Pewnie nad tym, że niestety mam rację.

- Mam urocze życie. Moi chłopcy są wspaniali. Dom jest piękny. Życie spełnione. - *Ale nie satysfakcjonujące.*

Niewypowiedziane słowa krążyły w powietrzu.

- A twoje małżeństwo? Czy ono też jest spełnione?

Emmaline miała ochotę wykrzyknąć całą prawdę, podzielić się wreszcie utrzymywanym w tajemnicy rozczarowaniem. Ona i Andre zawsze umieli rozmawiać o sprawach, o których mężczyźni i kobiety nie rozmawiają ze sobą. O miłości. O życiu. O nadziejach i marzeniach. Uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej tej przyjaźni.

Ale wieloletnie nieokazywanie w jej małżeństwie uczuć, a tym bardziej milczenie o nich, spowodowało, że głos nie chciał jej przejść przez gardło. Nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Moje małżeństwo jest spełnione, dziękuję - powiedziała sztywno. Jej słowa przeczyły trochę faktom, skoro siedziała przy stoliku z obcym mężczyzną, na dodatek sącząc w południe koniak.

- Więc dlaczego jesteś tutaj? - Springfield pochylił się bliżej, opierając nieuważnie łokcie na chybottliwym stoliku i rozlewając przy okazji herbatę. - Sądziłem, że jak tylko spotkasz Richarda Smythe'a, więcej cię już nie zobaczę.

Emmaline odwróciła wzrok.

- On nadal na ciebie działa. To dlatego naprawdę tu przychodzisz?

Odwróciła gwałtownie głowę, napotykać spojrzenie Andre.

- Przychodzę tu, aby rzeźbić. Nic więcej. Nie zależy mi na tym, by kiedykolwiek widywać Richarda.

- Może powinnaś mu to powiedzieć.

- Jestem mężatką, Andre. Nie mam obowiązku niczego Richardowi mówić. Ale powiem, jeśli trzeba.

- Myślę, że powiesz. Za chwilę będziesz miała okazję.

Wstrzymując oddech, Emmaline patrzyła, jak Andre rozsiada się i odwraca głowę w kierunku wejścia.

Obróciła się i ona w tę stronę. U wejścia na taras stał Richard. Opierał się o futrynę podobnie jak zaledwie tydzień wcześniej, kiedy nagle się pojawił. Wesoły. Arogancki. Zabójczo przystojny. Emmaline o mało nie rzuciła mu się na szyję.

- Em, wiedziałem, że wrócisz.

Choć czuła się zlekceważona przez niego przed laty, serce mocno jej zabiło. Próbowała wstać od stolika. Krzesło było jednak zbyt ciężkie, a jej długa spódnica zahaczyła o wystającą poręcz.

- Pomogę ci - rzucił Richard. Już był obok niej i Emmaline poczuła jego oddech na swoim uchu.

Klepnęła go w rękę i zdołała się wyswobodzić.

- Tylko mi nie mów, że znowu uciekniesz. - Richard uśmiechał się od ucha do ucha, odsłaniając proste, białe zęby. - Próbowałem pomówić z tobą zeszłym razem, ale wymknęłaś się frontowymi drzwiami na ulicę, zanim zdążyłem cię złapać.

- Nie masz powodu mnie łapać. - Słowa Emmaline zabrzmiały sztucznie, nawet ona to usłyszała.

- Ba... Nigdy nie miałem powodu cię łapać. Ani teraz, ani wtedy.

Emmaline miała wrażenie, że każde słowo Richarda parzy ją w skórę.

- Oboje wiemy, że był dzień, kiedy miałem taki powód.

- Przestań! - Przycisnęła dłonie do uszu. - Przestań natychmiast - dodała ciszej. - Nie przychodzę tu dla ciebie!

Richard wyciągnął ręce i delikatnie odsunął jej dłonie od głowy, ale ich nie wypuścił.

- Jeśli to prawda, to o co tu chodzi? Przecież musiałaś wiedzieć, że przyjdę.

Teraz Emmaline odwróciła się do niego twarzą, aroganckie domysły Richarda wyzwoliły w jej duszy długo hamowany gniew.

- Musiałam wiedzieć? Niby dlaczego? Skąd? Wiem tylko jedno: kilka lat temu zniknąłeś bez pożegnania i bez słowa wyjaśnienia.

Emmaline wyszarpnęła ręce z jego uścisku, czuła, że wypada jej spinka do włosów i długie kosmyki swobodnie zsuwają się na twarz. Pięćdziesięcioletnia Emmaline stała w warsztacie garncarskim z rozpuszczonymi włosami niczym rozkapryszona uczennica.

- Nie stercz tak i nie opowiadaj mi, co wiem, a czego nie wiem. Jestem tutaj, aby rzeźbić. Tylko po to.

Naprawdę po to tu była. Chciała czegoś dla siebie. Potrzebowała czegoś jeszcze w swoim życiu, czegoś, co mówiłoby o niej więcej. Potrzebowała czegoś innego niż pełnienie roli najpracowitszej członkini Korporacji Kobiet lub matki swoich dzieci. Albo żony Bradforda. Emmaline zacisnęła powieki. Żoną była tylko z nazwy.

- Jestem tutaj, aby rzeźbić - powtórzyła, w jej głosie nie było śladu słabości. - I jeśli będę musiała w tym celu udać się gdzie indziej, to trudno.

- Ale nie udasz się gdzie indziej - odrzekł Richard z uśmiechem w głosie, jakby nie powiedziała mu jednego złego słowa. - Wrócisz. A ja będę na ciebie czekał.

10

Jak oni śmieli?

Po bankiecie Sophie całymi godzinami przemierzała salon we wschodnim skrzydle Łabędziej Gracji, trzęsąc się z oburzenia. Jak ojciec i Grayson mogli zdecydować o jej

przyszłości, nie zadając jej bodaj jednego pytania o to, czego sama pragnęła? Dobry Boże, czyżby miała spędzić resztę życia na łasce mężczyzn?

Lecz po tej myśli inna myśl przyszła do głowy Sophie. Grayson wybrał właśnie ją.

Przez wzbierające w Sophie uczucie gniewu przebiła się szalona radość, lecz bezlitośnie ją w sobie stłumiła. Zdażyła się już przekonać, że Grayson jej pożądał, ale jego pożądanie było czysto fizycznej natury. A pociąg fizyczny to za mało.

Gdyby choć raz wspomniał o miłości, na pewno roztopiłaby się w jego ramionach, a wspomnień z owych pięciu długich lat zmagañ pozbyłaby się równie szybko i łatwo jak kaszmirowego szlafroka. Przecież jeśli ją kocha, to znaczy, że potrafi zaakceptować ją taką, jaka była naprawdę.

Ale nie wspomniał o tym ani słowem, nawet pośrednio. Sophie dobrze go znała i prawda niewątpliwie była taka, że Grayson postrzegał ją jako swój cenny nabytek. Mariaż między dwiema czcigodnymi, starymi rodzinami. Upatrywał w niej swoją własność, tak samo jak jej ojciec. Wykorzystana przez jednego, prehandlować przez drugiego, jakby była jedynie towarem oddanym na licytację.

Do duszy Sophie wkradło się poczucie, że została zdradzona.

Już dawno stwierdziła, że Conrad Wentworth żyje według określonych standardów, tradycji, zasad przyzwoitości, podporządkując im się nawet chętniej niż szlachetnie urodzeni członkowie bostońskiej elity. Było to jednak zjawisko częste wśród mężczyzn i kobiet urodzonych w zupełnie innym świecie niż ten, do którego pretendowali. Sophie przekonała się o tym, pobierając od życia lekcje trudniejsze niż ortografia czy muzyka. Tacy ludzie z gorliwością neofitów nabywali nowych manier, które tamci traktowali jak rzecz oczywistą. Podobnie zachowywał się ojciec Sophie, nie uznając żadnych wyjątków.

Poza tym jednym, gdy w miesiąc po śmierci matki Sophie ożenił się z jej pielęgniarką.

Ale czas minął i jak długo stary Wentworth miał pieniądze, Boston potrafił wybaczyć mu wszystko. Nawet Patrice.

Ale Sophie do końca swoich dni nie zapomni kobiety, która weszła do jej domu i wkradła się do ich życia, niszcząc to, co ich łączyło. Ojciec wydawał się nieświadomy manipulacji Patrice, która miała pomagać jego żonie, a faktycznie stopniowo zajmowała jej miejsce.

Serce Sophie zalewały fale goryczy i złości. Wiedziała, że kartą wstępu ojca na salony Bostonu było stare, szacowne nazwisko rodowe żony oraz jego grube konto w banku. Żony już nie miał, a gdyby stracił także swoją fortunę, bostończycy nie byłiby aż tak skłonni do wybaczenia, rozumowała Sophie.

Z tego powodu miała zastąpić ojcu srebro i złoto, które utracił. Miał również możliwość realizacji swojego pomysłu, gdyż Sophie podpisała kiedyś dokument, przekazujący ojcu władzę nad jej majątkiem oraz nad jej życiem.

Rozumiała teraz, że dała mu prawo swobodnego rozporządzania Łabędzią Gracją. Dała mu ponadto prawo zawierania kontraktów w jej imieniu. Ale w głowie jej nie powstało, że ojciec wykorzysta to do sprzedaży domu i oddania jej za pieniądze w zamążpójście. Taki pomysł wydawał się anachroniczny.

Poniewczasie Sophie nie mogła sobie darować, że okazała się aż tak głupia i podpisała taki dokument. Wydawało się to teraz idiotyzmem. Ale osiemnastolatka, która straciła matkę i obiecany Wielki Debiut - czując się kompletnie zagubiona - machnęła na to ręką. Kiedy zaś dowiedziała się od ojca, że Patrice będzie jej nową matką, była gotowa na wszystko, byle tylko wyrwać się z Bostonu. Podpis na tym dokumencie był jej przepustką do wolności.

Sophie siłą woli odegnała złe myśli i usiadła na dywanie, próbując grać. Musiała grać, musiała poczuć, że muzyka wypełnia pustkę w jej duszy.

Było wcześniej rano, słońce ledwie wyłaniało się zza ho-

ryzontu. Sophie zaczęła od kilku taktów aranżacji *Wesela Figara*, ulubionego utworu publiczności. Dzisiaj jednak nie wzbudzał w niej żadnego entuzjazmu.

Później spróbowała *Gniazda miłości*. Dalej nic. Żadnego uczucia. Wreszcie zagrała kilka pierwszych taktów prostej melodyjki zatytułowanej *Walc Łabędzicy*, którą napisał dla niej pewien kompozytor i wielbiciel. Dopiero teraz udało się Sophie zapomnieć. Długie C, kojące A. Przy G jej dusza zaczęła szybować w przestworzach. Czas zaginał, odnalazła ucieczkę od świata.

- Zdaje się, że miałaś ćwiczyć.

Serce jej stanęło w miejscu, ucieczka dobiegła końca. W duszę Sophie wdarła się świadomość wczorajszego wieczoru, a jej prawa dłoń zamarła nad strunami.

Spojrzała na drzwi, przez które wchodził do pokoju Henry. Obok niej na dywanie leżała złota labradorka, która z każdym dniem czuła się coraz lepiej.

Rozpuszczono wieści, że znaleziono sukę, ale na razie nikt się po nią nie zgłosił. Sophie stwierdzała z przykrością, że ją to cieszy. Nie powinna przywiązywać się do biednej sukki. I tak prawdopodobnie będą musiały się rozstać.

A co z Łabędzią Gracją? Czy mogłaby teraz zrezygnować z domu? Zrezygnować z jedynej ostoi w sytuacji, gdy jej życiem usiłowali manipulować mężczyźni? Czy mogłaby żyć ze świadomością, że utraciła Łabędzią Grację na zawsze?

- Przecież ćwiczę - odparła z wysiłkiem.

I aby tego dowieść, zaczęła od początku; pokój rozbrzmiał tonami wiolonczeli.

Henry trzymał w ręku filiżankę, nosił czarny, aksamitny surdut, eleganckie, szare flanelowe spodnie i kwiecistą apaszkę.

- Nie, ty grasz.

- Gram, ćwiczę, co za różnica.

- Lepiej ode mnie wiesz, co za różnica. Ćwiczenie to pra-

ca nad techniką i wyrabianiem biegłości. Granie palcówek - dodał uszczypliwie.

Sophie burknęła coś gardłowo i natychmiast rozpoczęła preludium innego ulubionego przez publiczność przeboju zwanego *Kręgiem miłości*. Już podczas przejmującego wstępu granego tylko na strunach G i C zaczęła nierówno odychać. Czuła, że napełnia ją intensywność nastroju i muzyczna pasja.

- Nie cierpię palcówek - sapnęła, zaczerpując powietrza w trakcie kolejnej zaimprovizowanej wstawki.

- Jasne, nikt nie lubi palcówek, ale trzeba je ćwiczyć.

Sophie grała dalej *Krag miłości*, jakby Henry nie zwrócił jej uwagi. Myślamy była już daleko, rozkoszując się fragmentem andantino, wspaniałym swingującym frazowaniem. Uwielbiała rytmy synkopowane.

-*Ja* doskonale swoją technikę, wyszukując nowe suknie i dopasowując je do olśniewającej biżuterii. Oboje dobrze wiemy, co moja publiczność chce oglądać.

Sophie przygryzła wargę, koncentrując się do finałowego ritardando. Przesunęła palec na wysokie trójdźwięki B-dur i b-moll, aby po chwili uderzyć w czyste F-dur, które zadźwięczało niczym słowiczy trel.

Na koniec zamaszystym gestem oderwała smyczek od instrumentu, odczuwając zadowolenie i radość. Utwór pasował idealnie do jej repertuaru. Był piękny, ale przystępny. Publiczność z pewnością zareaguje szmerem podziwu na tę sztuczkę i długo o niej nie zapomni. Był to jeden z powodów, dla których wykonywała słynne arie operowe zaaranżowane na wiolonczelę. Musiała wyrobić sobie całkowicie nowy styl gry.

Większość trudnych utworów koncertowych, na których wychowała się Sophie, ceniono za ich złożoność i wyrafinowanie, ale rzadko reagowano na nie szmerem podziwu. Z wyjątkiem suit Bacha. To prawda, że są trudne; to prawda, że są wyrafinowane i bardzo skomplikowane. Ale

autentycznie utalentowani muzycy grający na wiolonczeli mogą zawładnąć każdego pokroju publicznością - jeśli tylko potrafią czynić magię.

Kiedyś Sophie wierzyła, że potrafi czynić magię swoją wiolonczelą. Kiedyś wierzyła, że jest urodzoną bachistką. Teraz zaś czyniła magię swoją biżuterią i wydekoltowanymi sukniami.

- Chyba włożę diadem na mój najbliższy występ.

- Diadem! - krzyknął ze zdziwieniem Henry.

Nagły hałas poderwał głowę zwierzęcia leżącego na dywanie.

- Śpij, maleńka, wszystko w porządku. To tylko wujek Henry głośno się zachowuje.

Suka zastukała ogonem w miękką tkaninę i zwinęła się jeszcze wygodniej.

- Tak, brylantowy diadem.

- Czy planujemy kostiumy? - spytała Deandra, wchodząc do pokoju z własną filiżanką kawy w ręku. Kapsle ze strusich piór pasowały idealnie do ptasich piór na lamówce jej pikowanego szlafroka.

- Dzień dobry - powiedziała Sophie.

Deandra dopiła łyka i postawiła z brzękiem filiżankę na spodeczku. Rękaw obszyty strusimi piórami zsunął się Z powrotem na jej dłoń.

- Dzień dobry, moi drodzy.

- Ona chce diadem - oznajmił Henry.

- Cudowny pomysł - rzekła Deandra, upiwszy kolejnego łyka.

Weszła Margaret. Miała na sobie skromnie wyciętą, zapiętą pod samą szyję wełnianą sukienkę. W rękach trzymała tackę z naczyniami do herbaty.

- Wszyscy wcześniej dziś na nogach. Mam przygotować śniadanie?

Deandra potrząsnęła głową.

- Można by sądzić, że będzie się tu krzątać służba. Sko-

ro zostajemy aż do maja, to może przyjmimy kogoś?

- O, nie. - Sophie wypowiedziała te słowa zbyt prędko, co zwróciło uwagę trójki jej przyjaciół. Zdobyła się na uśmiech, myśląc o swoich ograniczonych funduszach, wskutek czego zakup diademu absolutnie nie wchodził w rachubę.

Niepewny uśmiech igrał na jej wargach.

- Lepiej poczekajmy na wyjaśnienie sprawy mojego domu, nim zaczniemy przyjmować służbę. Na razie możemy zakasać rękawy i sami zająć się wszystkim.

- Sami zająć się wszystkim? Sophie, czy ty się dobrze czujesz? - spytał Henry.

- Czuję się znakomicie. - Sophie z determinacją wróciła smyczkiem do strun, aby zagrać jeden fałszywy akord, a potem drugi.

- Bez wątpienia Sophie czuje się świetnie - powiedziała od drzwi Margaret. Jej napięcie wyraźnie zelżało, odkąd dostała od kuzynki zaproszenie na weekend w wiejskim domu. - Poza tym ma rację. Jeszcze nam tylko brakowało gromady ludzi. Wielkie nieba, my, a wśród nas służba, pan Hawthorne i ta jego sekretarka, nie mówiąc o klientach - dom zacznie pękać w szwach. - Patrząc rozszerzonymi oczyma, Margaret weszła do środka i odstawiła tacę. - A propos pęknięcia w szwach: jak przebiegł wczorajszy bankiet?

Smyczek ciął nierówno, zamieniając górne C w piskliwy jazgot.

- Aż tak dobrze? - spytał Henry, wślizgując się do bujanego fotela, nim zdążyła go zająć Deandra.

- Precz z mojego miejsca.

- Siadaj na dywanie - parsknął Henry.

Deandra wyprężyła się na cały swój słuszny wzrost.

- Tam leży to psie truchło.

- Trafił swój na swego...

Chwila ciszy aż zaskwierczała w powietrzu, po czym Dea zmrużyła oczy i rzuciła się na Henry'ego. Ale Sophie zdążyła ich rozdzielić, wymachując między nimi posmaro-

wanym kalafonią smyczkiem niczym białą flagą rozjemcy.

- Dzieci, dzieci.

Henry zachichotał i rozsiadł się w miękkim skórzanym fotelu, trzymając filiżankę z kawą przy piersiach niczym tarczę.

- Henry, postąpiłeś nie jak džentelmen - skarciła go Sophie.

Drobny mężczyzna krzywo się uśmiechnął.

- Odkąd to dbasz o dobre maniere?

- Odkąd tu zamieszkaliśmy - wtrąciła Margaret. - Nie zauważyłeś, że przez kilka godzin nie mogła się zdecydować, którą suknię założyć na wczorajszą galę?

- Co ty powiesz? - Henry wyszczerzył zęby.

- Ona ostatnio faktycznie się zmieniła - zauważyła Deandra.

- *Ona* siedzi tutaj pośród was - powiedziała Sophie. - I *ona* wcale się nie zmieniła.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę!

Z tymi słowy zagrała kolejną popularną melodię operową zaaranżowaną na wiolonczelę. Tony były niskie i płaczliwe, a gra Sophie szybka i zdradzająca zawziętość.

- Zdaje się, że wczorajsza gala nie była zbyt udana - domyśliła się Margaret.

W odpowiedzi Sophie grzmotnęła smyczkiem po strunach, wybijając agresywne Fis, wyraźnie odcinające się od wcześniejszych akordów.

- O Boże - westchnął Henry, następnie zerwał się z fotela, podszedł do dywanu i jakby nigdy nic usiadł obok suki.

- Gadaj, co się stało - rzekła Deandra, zapadając się w głęboki fotel.

W ciągu kilku sekund Margaret, Henry i Deandra otoczyli kręgiem Sophie, wyciągając z ciekawości szyje.

- Nie ma o czym mówić.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie zwrócili na to uwagi.

- Jak to nie ma? Przecież uwerturę do *Don Giovanni*-go grasz tylko w stanie najwyższej irytacji.

Znowu ktoś zapukał, a potem zadźwięczał dzwonek. Nikt nawet nie spojrział w tamtą stronę.

- Dużo tam wiesz - odparła gderliwie Sophie. - Zamierzalam włączyć ten kawałek do mojego repertuaru.

- To ja jestem królową angielską - zakpił Henry.

Deandra przeszła go spojrzeniem.

- Może *tobie* powinniśmy kupić diadem?

- Ale śmieszne, Deo.

- Tak też myślałam.

- Dosyć! - wtrąciła Sophie. - Należałoby sądzić, że po takim długim czasie nauczycie się żyć w zgodzie.

- Ach, przecież my żyjemy w zgodzie. - Henry zerwał się z miejsca, postawił kawę obok filiżanki Deandry, następnie porwał wyższą od siebie kobietę z fotela, otoczył ramionami i przytulił głowę do jej piersi. - Uwielbiam cię, Deandro - zawołał głosem stłumionym przez gruby materiał szlafroka.

Deandra roześmiała się, nawet Margaret nie mogła powstrzymać się od niepewnego wyszczerzenia zębów. Sophie pokiwała głową w nagłym przypływie miłości do garstki ludzi, którą zgromadziła wokół siebie. Jednocześnie rozległ się chrzęst przekręcanej w drzwiach gałki.

- Nie przeszkadzam?

Sophie, Deandra i Margaret odwrócili głowy. W drzwiach wschodniego salonu stał Grayson. Jego wejście uszło uwagi Henry'ego.

Grayson nosił rękawiczki na dłoniach, w których trzymał kapelusz; grube palto było zapięte na wszystkie guziki, wystawał jedynie skrawek wełnianego szalika. Jego postawna sylwetka wypełniała całe wejście. Sophie nienawidziła go za taki wspaniały wygląd, za emanujący z niego spokój, jakby jedynym grzeszkiem Graysona było zaproszenie jej na popołudniową herbatkę. Mógłby mieć choć tyle przyzwoitości, aby zrobić smutną minę.

- I owszem, przeszkadzasz - odparła.

Ale Grayson nie słuchał. Spoglądał na Henry'ego, któ-

ry wiercił się, ślinił i postękiwał na piersiach Deandry. Ta zaś chichotała, strosząc swoje delikatne brwi.

- Co się tu dzieje? - spytał Grayson.

W końcu Henry usłyszał, wyrwał głowę pomiędzy wydatnych piersi Dei i uśmiechnął się lubieżnie do Graysona.

- Właśnie uprzyjemniałem sobie czas. Przyszedł pan w samą porę, aby też spróbować.

Grayson wodził po nim spojrzeniem pełnym chłodu, Deandra parsknęła śmiechem, a Margaret zrobiła głupawą minę.

- Czego spróbować? - zapytała.

Sophie zuchwale odnalazła wzrok Graysona, a potem zwróciła się do przyjaciółki.

- Henry to po prostu człowiek zepsuty do szpiku kości, moja kochana Maggie.

Henry odstąpił od Deandry, wyszedł naprzód i skłonił się przed Graysonem.

- *Bardzo* zepsuty. Może zechcecie mi dać, panie, kilka klapsów?

W tym wypadku nie było pomyłki co do znaczenia jego słów.

- Henry! - wykrzyknęła Margaret. Jej pobladała w pierwszej chwili twarz spłonęła krwawym rumieńcem. - Co pan Hawthorne o nas pomyśli?

- Nie potrzebujemy zwracać sobie głowy jego myślami - stwierdziła Sophie, odstawiając wiolonczelę - jako że nasz *dostojny* gość sam nie jest wolny od złych, czy raczej - ośmielę się rzec, złych, ale starannie ukrywanych. - Uśmiechnęła się zjadliwie. - Czy wiernie opisałam pańskie dokonania, panie Hawthorne?

Twarz Grayson przybrała swój charakterystyczny wygląd - mięśnie napięte, zaciśnięte szczęki, oczy twarde i lodowate.

- Co on takiego zrobił? - spytał Henry, prostując się niczym scyzoryk.

Grayson nie zareagował; ograniczył się do wymiany spojrzeń z Sophie.

- Wziął i się zaręczył - oznajmiła.
- Z kim? - zaciekała się Margaret.
- Z *moi*.

Deandra, Margaret i Henry obrócili ku niej głowy niczym widzowie na meczu tenisowym.

- Co? - wykrzyknęli z niedowierzaniem.

- Powiedz im, kochanie - powiedziała Sophie w nagłym przypływie serdeczności do swego świeżo upieczonego narzeczonego.

Mimo to Grayson nie wykrztusił ani słowa, jego mina wskazywała natomiast wymownie, że nie jest zbyt zadowolony.

- No dobrze, sama im powiem, skoro nalegasz. - Sophie powiodła spojrzeniem po swych przyjaciółkach. - Okazuje się, że kupił mnie razem z domem - podpisane, przypieczone, zapłacone, i nie musiał nawet pytać mnie o zgodę. Ma się ten łeb do interesów.

- O Boże! - jęknęła Margaret. - Jak możesz spokojnie siedzieć i odnosić się do tego z taką nonszalancją?

- A co miałabym zrobić? - spytała Sophie, patrząc raczej na Graysona niż na Margaret. - Wypłakać morze łez i dostać ataku hysterii?

- Szczerze mówiąc, tak - odparła Deandra.

Sophie nie zamierzała im ujawniać, ile w tych słowach było prawdy, że owego ranka po przebudzeniu miała mdłości i zawroty głowy, że chciało jej się tylko wyć i płakać. Jak mogła wytłumaczyć, że chłopiec, którego uwielbiała, stał się mężczyzną będącym całkowitym przeciwieństwem ideału, jaki sobie wymarzyła? Grayson wyrósł na człowieka, który ustanawia reguły, ona zaś od początku pragnęła je łamać. Toteż łamała. Za często, by teraz mogła zawrócić.

Żałowała wprawdzie, że po śmierci matki życie zmieniło się tak radykalnie, iż musiała uciekać z Bostonu, nie mogła jednak zaprzeczyć, że możliwość kierowania własnym losem okazała się dla niej prawdziwym objawieniem. Czy

ktoś, kto nigdy nie zachłysnął się wolnością, zrozumie jej siłę przyciągającą - jej nałóg? Niezależność dała Sophie całkowitą wolność. Jak mogła się teraz wycofać? Nawet dla Graysona Hawthorne'a?

Nie pozwoli, żeby ani on, ani jej przyjaciele widzieli, jak jest nieszczęśliwa. Musiała tylko znaleźć jakiś sposób, aby jej sprawy w Bostonie wróciły do poprzedniego stanu.

- To straszne! - zawołał Henry. - Nie możesz wyjść za mąż.

- Bądź spokojny, nie wyjdę.

Te słowa przeszły powietrze niczym błyskawica, po czym zaległo kompletna cisza.

- Jak zamierzasz się od tego wykręcić?

W ciszę wdarł się głos Graysona, zapadając w duszę Sophie i czyniąc zamęt w jej myślach.

Potrząsnęła głową i zamachała smyczkiem.

- Pozwę cię do sądu - warknął.

Margaret całym ciężarem klapnęła na fotel.

Deandra zaczęła przemierzać pokój.

- Ee... Właściwie da się to obrócić na naszą korzyść. - Deandra uniosła ręce, rozczapierzając palce, jak gdyby układała w powietrzu nagłówek. - *Zdesperowany pan młody trafia na oporną narzeczoną*. Nie, zbyt nudne. A może: *Desperackie kroki zdesperowanego narzeczonego*

Henry złożył usta w trąbkę i zaczął myśleć.

- Brzmi całkiem nieźle jak na mój gust.

- Według mnie to pachnie oszczerstwem - powiedział Grayson drżącym głosem.

- A podobno jest pan adwokatem? - zakpiła Deandra. - Proszę mi łaskawie powiedzieć, gdzie w tych stwierdzeniach tkwi nieprawda?

Grayson przeszywał Deandrę takim wzrokiem, jakby chciał wtłoczyć jej język do gardła. Powoli rozpiął palto, odkładając kapelusz, szalik i rękawiczki na bok.

Deandra nie przerywała sobie.

- Przecież Sophie *jest* oporna, pan zaś, moim zdaniem, wygląda na zdesperowanego.

Oczy Graysona się zwęziły.

- Potwierdzam - wtrąciła Margaret.

- Na bardzo zdesperowanego - dodał Henry. - Wszyscy możemy to poświadczyć.

- Oboje wiemy, panie Hawthorne - ciągnęła Deandra - że oszczerstwo ma miejsce tylko i wyłącznie wtedy, gdy ktoś świadomie, w złych intencjach wyraża szkalujące opinie. O ile się orientuję, nasze opinie nie zawierają niczego poza świętą prawdą.

- Imponujące, Deandro - rozpromieniła się Margaret.

Henry zaklaskał w dłonie.

- *Bravo, mademoiselle!*

Sophie przygryzła wargę, aby nie uśmiechnąć się z miłością do trojga swoich przyjaciół.

- Nagłówki w gazetach nie będą konieczne, moi drodzy. Krótka wizyta u pierwszego z brzegu sędziego uwolni mnie od tego kontraktu w jednej chwili. W końcu jesteśmy u progu dwudziestego wieku. Co znaczy, że zostanę *odręczona*, a poza tym odzyskam dom. Gdybym była tobą, drogi Graysonie, pobiegłabym zaraz do najbliższego biurowca i poszukała nowego adresu dla swojej kancelarii.

- Właśnie o to chodzi, Sophie - odparł niskim, tubalnym głosem, od którego cała aż się zatrzęsała. - Nie jesteś mną.

Sophie wysunęła brodę i skarciła się w duchu za to, że drżała jak uczennica.

- No, no, jacyśmy mądrzy z samego rana.

- Wystarczająco, aby wiedzieć, że nie wygrasz. Na razie musimy porozmawiać. - Grayson popatrzył groźnie na jej switę i dodał: - W cztery oczy.

- Nie wyobrażam sobie żadnego powodu, który wymagałby takiej rozmowy, chyba że ruszyło cię sumienie i zamierzasz przyznać się do błędu. - Urwała, by tonem głosu nie zdradzić się z przypływu nadziei. - Dlatego przyszedłeś?

- Nie dlatego.

- No to nie ma o czym gadać.

- Wręcz przeciwnie. Mamy do omówienia kontrakt na twój koncert.

- Koncert! Jaki koncert?

Sophie poczuła pieczenie skóry na pokrywających się rumieńcem policzkach. Ale nie żałowała agresywnej dyskusji.

- Czyżbym zapomniała wam powiedzieć, że zagram w Music Hall?

- Jezus Maryja!

- Nie może być!

Deandra założyła ręce na piersiach i obrzuciła Sophie pytającym wzrokiem.

- Oto dzień pełen niespodzianek. Najpierw zaręczyny, a potem koncert w Bostonie. I to w samym Music Hall.

- Czy teraz możemy porozmawiać w cztery oczy? - spytał Grayson z napięciem, choć starał się mówić uprzejmie.

- Nie - powtórzyła, odstawiając instrument i przygotowując się do opuszczenia salonu. - Połóż dokumenty na biurku, później po nie przyjdę. Chodźcie, kochani.

Ruszyli przed siebie niczym stado gęsi, na czele maszerowała Sophie. Kiedy jednak podeszła do drzwi, Grayson zatrzymał Sophie. Henry i panie również się odwrócili.

- Wyjść! - warknął Grayson.

- Ani mi się ważcie! - krzyknęła Sophie.

Henry i panie przenieśli wzrok z Sophie na Graysona i z powrotem, robiąc głupie miny, a potem skierowali się do kuchni.

- Zdrajcy! - rzuciła za nimi Sophie.

- Nie - rzekł złowieszczo Grayson. - Po prostu słuchają głosu rozsądku.

- No, i kto tu jest dramatyczny?

Grayson nastroszył swoje ciemne brwi.

- Zdaje się, że jesteś czuła na punkcie dramatu.

- Bynajmniej. Po prostu wczoraj byłam zmęczona. -

Sophie dała nurka pod ręką Graysona i opuściła salon.

Niestety, Grayson ruszył za nią, ale Sophie wyczuła dokładnie moment, kiedy raptownie przystanął. Akurat wchodzili do środka, pod ścianą wyklejoną orzechową tapetą jak gigantyczna talia kart leżała sterta okropnych malowideł Graysona z psami myśliwskimi i martwymi bażantami. Na ścianie widniało kilkanaście plam kolorowej farby.

- Coś ty, u diabła, narobiła?

- Podoba ci się?

- Przypomina szkołę plastyczną, w której zabrakło kartonów do malowania palcami.

Uśmiechnęła się.

- Co za dowcip. Prawdę mówiąc, chcę go odnowić. - Za pomocą farby, a nie nowej tapety, ponieważ w piwnicy znajdowała się farba i na nic innego nie było pieniędzy.

Sophie nie mogła znieść ciemnego pokoju i beznadziejnych obrazów ani sekundy dłużej.

- Dopiero niedawno kazałem nakleić tę tapetę.

- Wielki Boże, już zapłaciłeś?

- Całkiem sporo.

- No to dałeś się nabrać. - Sophie obróciła się dokoła, patrząc na ściany. - Chyba chlapnę go na czerwono.

- Nie możesz malować pokoju na czerwono!

Sophie popukała się palcem w policzek, przyglądając się swemu otoczeniu, po czym wróciła wzrokiem do Graysona.

- Troszkę za intensywne, nie uważasz?

Zacisnął szczęki jeszcze mocniej, niż czynił to zwykle, kiedy się denerwował. W jego oczach malowała się wściekłość. Sophie omal nie zatarła rąk z radości, ale zaświtała jej pewna myśl. Może nie będzie potrzebowała sprawy sądowej ani koncertu, aby pozbyć się Graysona.

- Powinam raczej wybrać jakiś wesoły żółcień lub ładny, uspokajający błękit. - Przechyliła głowę, jakby pograżała się w głębokiej kontemplacji. - Jak myślisz? Na żółto czy na błękitno?

Przez krótką chwilę Grayson zdawał się rozważać jej pytanie, następnie potrząsnął głową i zrobił morderczą minę.

Ale Sophie była szybsza.

- Chyba uspokajający błękit. Wtedy oboje mogliśmy skorzystać z przemalowania. Ja bym grała w pięknej scenerii, a ty byś sobie siedział i rozluźniał te zaciśnięte szczęki. Zdenerwowanie twojemu zdrowiu.

- *Ty* szkodzisz mojemu zdrowiu - rzucił Grayson.

- Właśnie. Kolejny powód do odwołania tych idiotycznych zaręczyn i zwrócenia mi domu.

- Nigdy w życiu. Zapomnij też o swoich planach odnowienia pokoju.

- Dobry Boże, dlaczego się tak denerwujesz? Zgodnie z naszą wcześniejszą rozmową wydarzy się jedno z dwojga: albo odzyskam dom, albo za ciebie wyjdę. Którykolwiek scenariusz się spełni, będę tutaj mieszkała, a potrzebny mi pokój muzyczny. - Uśmiechnęła się diabolicznie. - Jest pan hazardzistą, panie Hawthorne? Chce się pan założyć, czy wypadnie orzeł, czy reszka?

- Prawdziwy hazardzista złożyłby pieniądze u adwokata, który zna prawo.

Uśmiech na twarzy Sophie zniknął.

- Będziesz żałował dnia, w którym zaręczyłeś się ze mną, Graysonie Hawthorne, prawdziwa *hazardzistka* postawiłaby na to.

Oczy Graysona się zwęziły.

- Uważaj, co robisz, Sophie.

- Już się boję. Czujesz, jak cała drzę?

Przez dobrą minutę jej słowa wisały w powietrzu bez żadnej odpowiedzi. Sophie dostrzegła w Graysonie zmianę, w jego oczach zapłonęły jaskrawe ogniki. Pochylił się na biurkiem, powoli wyciągnął dłoń i ujął Sophie za rękę, nim zdążyła odskoczyć, a potem wciągnął ją między swoje silne uda. Stanowczo i intymnie zarazem.

- Chciałbym poczuć cię pod sobą i sprawić, byś drżała z pożądania, które dostrzegam w twoich oczach.

Jego głos był niski, uścisk zaskakująco delikatny, ale i tak parzył ją w skórę. Zmiana w zachowaniu Graysona była szybka i tak wielka, że wytrąciła Sophie z równowagi. Patrzyła ze wstrzymanym oddechem na jego dłoń, która zsuwała się wzdłuż jej ramienia, wślizgując się pod rękaw. Zwyczajny dotyk jego palców na delikatnej skórze.

- W twoich snach - zdołała wyrzec.

Sophie dostrzegła ogarniający go spokój, niczym u szykującego się do walki wojownika, i zaczęła się lękać. Sprawy szły lepiej, kiedy był zdenerwowany. I kiedy ona nie znajdowała się w tej kłopotliwej sytuacji.

- Widzę cię w moich snach. Co noc.

Jego niski głos muskał jej zmysły, a jego palce wspinały się po jej ręce w kierunku szyi. Czuła bijące od niego ciepło, które przyciągało ją niczym ogień na mrozie. Pachniał jak wyschnięte na słońcu trawy rozkołysane lekkim wiatrem. Pachniał mężczyzną. Mrocznym, zmysłowym mężczyzną.

- A kiedy weźmiemy ślub, sprawię, że *będziesz* drżała. Odkoczyła od niego, zaciskając palcami uszy.

- Przestań! Nie wyjdę za ciebie. Teraz ani nigdy. Nie rozumiesz?

Bardzo delikatnym gestem odsunął jej dłoń od twarzy i przytrzymał przed sobą.

- Dlatego, że przed podpisaniem kontraktu nikt nie zapytał cię o zdanie? Dlatego tak się denerwujesz i uparcie mnie odrzucasz?

Jego palce obejmowały ją za nadgarstki. Wiedziała, że wyczuwał jej gwałtowne tętno.

- Nie tylko dlatego - wykrztusiła.

- To robota twojego ojca. Dał mi do zrozumienia, że się zgadzasz.

Znajdował się tak blisko niej, dotyk jego ciała czynił spustoszenie w jej myślach.

- I sądzisz, że to cię rozgrzesza?

- Czemu nie?

- Dlatego, że nie powiedziałaś mi o pułapce, którą próbowałeś na mnie zastawić, kiedy wrócę do Bostonu.

- To nie była pułapka - szepnął, muskając ją palcami po wrażliwej skórze.

- Stale to powtarzasz - wycedziła z wysiłkiem. - Ale powinienś być mi wszystko powiedzieć w chwili, kiedy zrozumiałeś, że nie mam pojęcia o zaręczynach.

- Powiedziałem ci o domu. - Grayson zamilkł i odwrócił jej dłoń, przyglądając się palcom. - Wtedy jeszcze nie wiedziałem, ile będziesz w stanie znieść.

Wciągnęła gwałtownie powietrze do płuc, z bólem serca tęskniła za dzieciństwem, które przepełniały nadzieja i obietnica.

- Słodka Sophijka.

Nie mogła już znieść łagodnego tonu jego głosu i spuściła wzrok.

- Zaczniemy wszystko od początku - dodał.

Uniosła wysoko głowę w przypływie nadziei.

- Wspaniale - wysapała. - Możemy zacząć od początku i tym razem załatwić wszystko, jak należy.

- Doskonale - powiedział, ujmując ją za ramię.

Pomyślała, że chciał pocałować wierzch jej dłoni, tymczasem Grayson odwrócił ją na drugą stronę i przycisnął wargi do skóry na stronie wewnętrznej. Poczwała dreszcz rozchodzący się każdym nerwem jej ciała aż do samych kolan.

- Czy sprawisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Sophie z całej siły zacisnęła oczy, a jej płuca wypełniały się prawie bólem. Zostać jego żoną. Ziścić dziewczęce marzenia. Chciała powiedzieć, że nie, zmuszała się, aby powiedzieć, że nie. Ale zapytała tylko:

- Czy ty mnie kochasz?

Te słowa go zaskoczyły, widziała to w jego spojrzeniu. Wyprostował się, a jego ciemne oczy stały się nieprzeniknione.

7 - Miłość nie jest koniecznym warunkiem małżeństwa - odparł niczym adwokat udzielający porady jakiemuś klientowi. - Będziesz miała mój szacunek i opiekę mojego nazwiska. Jako moja żona będziesz cieszyć się moimi największymi względami.

Doznała uczucia ostrego, gorzkiego rozczarowania. Zrobiło jej się głupio. Dobrze wiedziała, co Grayson jej odpowie.

- Będziemy idealną parą - dodał, choć te skromne słowa kosztowały go zapewne najwięcej.

Nie byli jednak idealną parą. Grayson teraz w ogóle jej nie znał.

- Nie - odrzekła, oswobadzając dłoń. - Nie masz zielonego pojęcia, jaką kobietą się stałam.

Usłyszała w swoim głosie drzenie, nie zdołała go powstrzymać. Ale mogłaby przysiąc, że jej głowa tylko odrobinię wsunęła się w silne ramiona Graysona, opadając na jego szeroki tors. Nie ośmieliła się spojrzeć w dół na jego wąską talię, nie pozwoliła mu zdekoncentrować się w jakikolwiek sposób.

- A zatem słucham. Powiedz mi, jaką kobietą się stałaś - nalegał.

Przez jedno uderzenie serca tańczyły jej na końcu języka słowa prawdy. Ostatecznie nie zdołała mu jednak powiedzieć o nieprzyzwoitych sukienkach i rozwiązłych koncertach. O swojej matce. Ani o Nilesie. Nie miała odwagi powiedzieć Graysonowi, że pewnej nocy poszła do jego mansardy i zastała go z inną kobietą. Nie zdobyła się na to. Odrzekła tylko:

- Nie jestem kobietą, którą można zamknąć w klatce.

Grayson wydał ostry dźwięk z głębi gardła.

- To tylko wymówka.

- Nazywaj to, jak chcesz, ale i tak nie wyjdę za ciebie, Graysonie.

Wyraz jego oczu stwardniał jeszcze bardziej, choć teraz

pojawiło się w nich coś jeszcze. Coś bardziej mrocznego, coś nieuchwytnego - identyczne spojrzenie jak tego dnia, kiedy ojciec wyrzucił go na bruk.

- Czym cię zniechęcam?

Sophie nie spodziewała się takiego pytania i jej odpowiedzią było milczenie. Grayson był doskonały, po prostu doskonały, prócz jednego - narzucał Sophie swoją wolę, tyranizował ją. Oczekiwał też od niej doskonałości. Ale nie miała zamiaru dzielić się z nim swoimi myślami.

- Nie jesteś tolerancyjny.

Aż zesztyniał.

- Tolerancyjny? - powtórzył jak echo, kręcąc głową. - Co ty wygadujesz?

- Wywodzę się ze starego i znakomitego rodu, który uzurpuje sobie prawo do sądenia ludzi, i na pierwszy rzut oka rozpoznaję osoby ze ścisłego kręgu wtajemniczonych - powiedziała Sophie. - Niektórzy akceptują odmienność drugiego człowieka. Ty natomiast masz wstręt do ludzi, którzy są inni. Nienawidzisz kobiet takich jak Deandra, wzdrygasz się na widok mężczyzny takiego jak Henry. I niewiele czasu poświęcasz kobietom takim jak Margaret.

Sophie urwała i w tym momencie przysła jej do głowy pewna myśl. Uważnie popatrzyła na Graysona i dodała:

- Nie masz pojęcia, że może istnieć inny sposób bycia.

- Nic o mnie nie wiesz - powiedział z naciskiem.

- Nie wiem? Czy nie szufladkujesz ludzi mechanicznie, nie wydajesz osądu na podstawie gotowego schematu - że albo są tacy sami jak ty... albo nie mają racji?

Nagle uzmysłowiła sobie z lękiem, że pragnęła, by zaprzeczył jej oskarżeniom, aby przyznał, że potrafi wznieść się ponad ludzkie wady. Ale on tylko patrzył na nią swoimi zimnymi, bezlitosnymi oczami.

I jeszcze raz doznała bolesnego rozczarowania.

- Och, Graysonie, chcesz mieć przyzwoitą żonę. Nie rozumiesz, kim się stałam, na dodatek zapomniałeś, kim by-

łam kiedyś - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Czy wskutek tego artykułu w czasopiśmie, czy też naszego spotkania na gali Z okazji urodzin mojego ojca, w każdym razie zaczęłaś widzieć we mnie kogoś, kim nie jestem.

- To niedorzeczne.

- Czyżby? Co pamiętasz z naszego dzieciństwa?

Nie odpowiedział.

- Pamiętasz, jak wszędzie za tobą chodziłam? Choć bardzo niechętnie, ale muszę przyznać, że Megan nie pomyliła się pod tym względem. A pamiętasz może, jak lubiłam pojawiać się bez ostrzeżenia, doprowadzając cię do szału?

- Nie doprowadzałaś mnie do szału.

- Nie? A kiedy poszłam za tobą do powozowni na Beacon Hill?

Oczy mu się zaświeciły.

- Nie pamiętasz, jak spadłam ze strychu, bo się za bardzo wychyliłam, żeby cię podejrzeć? Już zapomniałeś?

- Niekoniecznie - odparł zduszonym głosem.

Wiedziała, że pamiętał każdy szczegół.

- Myłeś się pod kranem w stajni.

- A ty zamarłaś i odjęło ci mowę!

- Tylko na chwilę, i to wyłącznie dlatego, że byłeś nagi jak cię Pan Bóg stworzył. - Na jej wargach igrał odważny uśmiech. - Wyglądałaś przepięknie.

Posiał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Nagi i taki ogromny. Spytałam, czy mogę cię dotknąć. Pamiętasz? Chcesz, żebym ci przypomniła coś jeszcze?

- Pamiętam wystarczająco dużo.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- To dobrze. I nie zapomnij. Oboje wiemy, że nie jestem taka jak ty. Nigdy nie byłam grzeczna i przyzwoita. Nie mogę żyć z człowiekiem, który będzie mnie zawsze uważał za kogoś gorszego.

Obrzucali się wzajemnie wzrokiem, ciemne oczy ścierały się ze złocistobrazowymi. Ale nie było już nic do dodania.

Sophie widziała w jego oczach, że w końcu zrozumiał prawdę kryjącą się w jej słowach. Już po wszystkim. Skończone.

Sophie spuściła wzrok i przeszła obok Graysona. Tym razem nie próbował jej zatrzymać.

Czuła ulgę, ale i jednocześnie ukłucie żalu. Po trosze wciąż była małą dziewczynką, która szeptała swoje tajemnice do mówiącej maszyny i ciągnęła za sobą swoją wionczelę, przez co rzucała się w oczy młodemu chłopcu, za którym wszędzie chodziła.

Kiedy jednak Sophie weszła na najniższy stopień schodów, dobiegł ją dźwięczny głos Graysona.

- Sophie.

Odwróciła się, niezdolna do uczynienia niczego innego. Na jej oczach twarz Graysona uległa przeobrażeniu. Mroczne oblicze przejaśniło się, wyraz gniewu ulotnił, zostawiając po sobie zuchwały uśmiech, który zapierał jej dech w piersiach.

- Ja nie poddam się tak łatwo - powiedział ze zwodniczą łagodnością wojownika. - Znasz mnie wystarczająco długo, by to rozumieć. - Podszedł do Sophie i delikatnie ujął jej twarz w swoje silne dłonie. - Jesteś już kobietą, nie dzieckiem. *Stanowimy* idealną parę. Po prostu zajmie mi to więcej czasu, żeby cię przekonać.

Słowa Graysona ledwie do niej docierały, tymczasem jego spojrzenie wędrowało na jej wargi i Sophie była pewna, że zaraz ją pocałuje. Miała suche usta i czuła mrowienie pod skórą w miejscach, gdzie jej dotykał. Ale Grayson nie pocałował jej, tylko pochylił się jeszcze bardziej, aż poczuła na swoim uchu jego oddech.

- Zostaniesz moją żoną - szepnął. - Obiecuję ci to.

Serce jej zadrżało; przeklęła w duchu ten fakt.

Nagle Grayson brutalnie odsunął ją od siebie na odległość wyprostowanej ręki.

- Na razie mam pilną pracę do wykonania. Może później wypijemy razem herbatę - rzekł, po czym najspokojniej w świecie ruszył żwawo przez drzwi do swego gabinetu.

Wyprowadzona z równowagi musiała kilka razy mocno potrząsnąć głową, żeby się opanować.

- Niedoczekanie twoje! - warknęła za nim z uczuciem najwyższej irytacji.

Miał czelność zachichotać.

11

Zgodnie z obietnicą Grayson przystąpił do zabiegania o Sophie z zachłanną pewnością siebie, która zarówno ją intrygowała, jak i napawała niepokojem. W przeświadczeniu, że i tak w końcu ją zdobędzie, starał się o jej względy bez pośpiechu, jakby dysponował całym czasem tego świata.

W zamian Sophie przystąpiła do uzmysławiania Graysonowi, że nigdy jej nie dostanie.

Ale na stanowczość Sophie Grayson odpowiadał jeszcze większą determinacją. Wzruszał niedbale ramionami i uśmiechał się pod nosem, kiedy zaczynała rzępolić, ilekroć przychodził do niego klient. Grayson nawet nie mrugnął okiem, kiedy faktycznie wymalowała bibliotekę w kiczowatym odcieniu czerwieni. Ograniczył się do grymasu niezadowolenia, kiedy aż nadto pracowita panna Pruitt spakowała manatki i z dnia na dzień się wyniosła. A kiedy Sophie i jej przyjaciele urządzili bankiet przy szampanie i kawiorze, Grayson podniósł spokojnie kryształowy kieliszek i wzniosł toast za zdrowie obecnych, po czym oddalił się do hotelu, zwróciwszy się do nich z grzeczną prośbą, aby nie puścili Łabędziej Gracji z dymem.

Wyglądało na to, że im skandaliczniej zachowywała się Sophie, tym większej Grayson nabierał większej pewności, że ją zdobywał.

Sophie natomiast była przekonana, że ją tracił.

Piątego dnia zabiegów Graysona, kiedy Sophie zasiadała do gry, akurat był cichy poranek. Na zewnątrz panowało zimno, na kominku palił się ogień rozgrzewający pokój. Sophie nosiła aksamitny, ciemnoróżowy szlafroczek ozdobiony strusimi piórami, pantofle z takich samych piór, strój nadający się bardziej do domu publicznego niż salonu.

W chwili kiedy zaczynała rozgrzewać się do nowego utworu zaaranżowanego z popularnej opery *Królowa baśni*, który chciała włączyć do swego repertuaru, do pokoju weszła Deandra.

- Postanowiłam wprowadzić do występu kilka zmian - powiedziała Sophie, zatrzymując smyczek nad strunami.

- Naprawdę?

Sophie odchyliła się do tyłu.

- Chcę wywołać jeszcze bardziej niezdrową sensację, pokazać się publiczności z większą pompą i splendorem. - Przesunęła językiem wzdłuż zębów, po czym uśmiechnęła się figlarnie. - Może nawet z mężczyznami.

- Z mężczyznami? - zdziwiła się Margaret, wchodząc za Deandą.

- Jednym lub dwoma. Jeden będzie podsuwał mi krzesło, a drugi podawał wiolonczelę. Rośli, przystojni panowie. Ubierzemy ich w eleganckie wełniane spodnie - troszkę przyciasne - i gustowne jedwabne koszule. Ma to wyglądać ekstrawagancko, czegoś podobnego nigdy dotąd Boston jeszcze nie oglądał.

- Czegoś podobnego nie oglądał nawet cyrk braci Ringling - stęknęła Margaret, potrząsając głową.

- Jeśli chcesz pójść na całość - odezwała się Deandra - to może wystrzelimy cię z armaty, a potem twoi panowie schwytają cię w powietrzu i wręczą publiczności jako upominek.

Sophie parsknęła śmiechem, Margaret jęknęła.

Deandra myślała, pukając się końcem ołówka w policzek.

- Wiecie co, właściwie to moglibyśmy...

- Nie dam się wystrzelić z armaty. Nawet ja nie prze-

kraczam pewnych granic. Chcę tylko pokazać czarno na białym, jaki jest charakter moich występów.

- Jakby ktoś miał jeszcze cień wątpliwości, kiedy zrzucasz z pleców pelerynkę. - Deandra bacznie jej się przyglądała. - O co tu chodzi? Już i tak posuwasz się tak daleko, że w przerwach należałoby publiczności rozdawać sole trzeźwiące zamiast szampana. Do czego ci potrzebna taka ekstrawagancja?

Sophie pociągnęła nosem, przyglądając się swoim panokciom.

- Chcę, żeby Grayson Hawthorne dostał ataku apopleksji, kiedy na własne oczy zobaczy w akcji swoją przyszłą żonę.

- Przecież miałaś podać go do sądu.

- Podam, jeśli trzeba. Jednak wczoraj wieczorem doszłam do wniosku, że proces mógłby trwać całe lata. A prawda jest taka, że Graysonowi tylko się wydaje, że chce się ze mną ożenić. Podobnie jak wydaje się bostończykom, że chcą, bym dla nich grała. Chcą mnie obejrzeć, bo moje zdjęcie zamieszczono w prasie i dowiedzieli się, że jestem sławna.

Deandra pokiwała nieznacznie głową, zaczynając rozumieć.

- Ale kiedy już zobaczą cię na scenie, wnoszoną przez gromadę krzepkich facetów...

Wtedy odzyska niezależność.

Lecz za jaką cenę?

Odpędziła tę myśl od siebie. Nie wyjdzie za mąż i nie straci Łabędziej Gracji. Będzie broniła swojej wolności i domu. Będzie walczyła o dwie rzeczy, których pragnęła z całej duszy. Będzie walczyła o życie, które dała jej matka.

A jeśli jeszcze przed koncertem Grayson Hawthorne nie wyrzuci rąk do góry na znak kapitulacji, to kiedy zobaczy ją na scenie, czmychnie gdzie pieprz rośnie. Stateczny mężczyzna z zawrotną szybkością wycofa się z zaręczyn z taką kobietą jak ona. I gdy tylko odda jej Łabędzią Grację, ona pozwoli *jemu* unieważnić kontrakt.

- Czego oczekujesz ode mnie? - spytała Deandra. - Możemy zapożyczyć kilka pomysłów z Nowego Jorku. Słyszałam, że Lily Langtree śpiewa w Carnegie Hall pod koniec lutego. Henry proponuje kupić bilety i pojechać koleją na jej koncert.

Jazda? Koleją? Podróż, która będzie kosztowała fortunę? Żołądek podszedł Sophie do gardła.

- Nie mogę - odezwała się Margaret.

Dzięki Bogu, pomyślała Sophie. Westchnienie ulgi wydobycło się z niej jak powietrze z przekłutego dziecięcego balonika.

Margaret i Deandra spojrzały na nią z ciekawością.

- Nie zważajcie na mnie, ja tylko ziewałam. - Potem faktycznie to zrobiła, przeciągając się ekstrawagancko. - Dlaczego nie możesz jechać, Maggie?

Brązowe oczy Margaret wypełniły się ledwo powstrzymaną ekscytacją.

- Bo w tym tygodniu moja kuzynka Lucinda zaprosiła mnie na wieś. Wygląda na to, że zjawi się połowa rodziny. Pozwolisz mi pojechać, co?

Myśli Sophie natychmiast przeskoczyły na inny temat, ze spraw pieniężnych na Margaret.

- Czy ci pozwolę? - Uścisnęła dłoń przyjaciółki. - Cieszę się wraz z tobą. Wiem, ile to zaproszenie dla ciebie znaczy.

W końcu Deandra wyszła z pokoju, a zaraz za nią Margaret. Kiedy Sophie została sama, jej serce wypełniło się mieszaniną uczuć, przeszłością i terażniejszością - czym było jej życie i czym się stanie, kiedy ten koszmar się skończy. Będzie tak jak dotychczas. Liczne podróże, koncerty. A kiedy odzyska Łabędział Grację, cały martwy sezon spędzi w swoim domu otoczona gronem przyjaciół. Pieniądze przestaną stanowić problem. Będą mogli przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy zechcą. Życie stanie się ciekawe i ekscytujące. Na sto procent, powiedziała do siebie stanowczo, pozbywając się resztek wątpliwości.

Kto wie, czy nie stanie nową Isabellą Gardner z jej skandalizującą sztuką i szalonymi bankietami? Kiedy Boston otrząsnął się wreszcie z szoku, jaki wywołała, w najlepszych salonach przyjmowano ją z otwartymi ramionami.

Zachęcona swoim pomysłem Sophie zauważyła, że jej dłonie zaczynają same się poruszać, odnajdując palcami frazy, których od lat nie grała. Zaskoczona tym, całym wysiłkiem woli powróciła do znajomych taktów *Łabędziego walca*.

Ale zanim się zorientowała, wydobyła G i gładkim, potoczystym ruchem smyczka na trzech górnych strunach zjechała do D. Preludium do pierwszej suity G-dur Bacha.

Czy umiała kiedyś to robić?

Czy odniosłaby tryumf, gdyby w dzieciństwie umożliwiono jej występ w Music Hall?

Czy wybrała najprostsze wyjście, gdy zamiast Bacha zaczęła grać wzywające, popularne melodyjki?

Może Niles Prescott miał przed laty rację, odmawiając jej Wielkiego Debiutu?

Sophie odsunęła rękę od gryfu jak oparzona, w pośpiechu trafiając smyczkiem w stół. Prawda była taka, że zagrała pierwsze takty Bacha i dźwięk zabrzmiał idealnie. Nawet ona poznała fenomenalną barwę, idealną czystość tonu.

Słuchała przez chwilę, upewniając się, że dom jest pusty. Deandra i Margaret wróciły na górę. Nikt jej nie usłyszy.

Wzięła głęboki oddech i ponownie zagrała pierwsze takty. Ręka zaczęła jej drżeć, w oczach stanęły łzy. Przeszłość powróciła i Sophie dosłownie czuła obecność matki koło siebie.

- Rozumiesz, mamó? - szepnęła. - Rozumiesz, czym i dlaczego się zajmuję? Byłaś moim łącznikiem z Bostonem, a teraz ciebie nie ma. Lecz Łabędzia Gracja jest mi potrzebna, muszę mieć świadomość, że stoi na swoim miejscu i należy do mnie.

Na dworze uśpione krzewy różane broniły się przed chłodem, a długie, nagie gałęzie wierzby tańczyły na wietrze niczym baletnice.

W pokoju jednak panowała martwa cisza, zapowiadająca brak jakiegokolwiek reakcji.

Sophie odchyliła się do tyłu, czując pod plecami twarde drewno oparcia. Matka odeszła, pytania pozostały bez odpowiedzi.

Oderwała plecy od krzesła, przyłożyła z powrotem smyczek do strun i skoncentrowała się nad *Łabędzim walcem*. Jeden takt, dwa takty. Nuty łatwe i liryczne. Ale muzyka nie chciała popłynąć. Melodia wydobywająca się z instrumentu mieszała się z dźwiękami, który Sophie słyszała w swojej głowie. G-D-B... A-B-D-B-D. Z tonami Bacha, które odciągały jej uwagę.

Gwałtownie przesunęła smyczkiem niżej. Uciekłaby z tego pokoju raz na zawsze, gdyby muzyka nie ogarnęła jej ze wszystkich stron. Niczym obietnica? Czy raczej przekleństwo?

Ręka nadal jej drżała, kiedy Sophie ostatni raz rzuciła okiem w stronę schodów. Poddając się wreszcie muzyce, zagrała pierwsze nuty. G-B... A-B-D-B-D. Powtarzała ten sam fragment raz po raz, dopóki nie zdołała wreszcie oderwać się od niego i z zamkniętymi oczyma grać dalej. Snując marzenia. Karmiąc się nadzieją. Siedząc uchem każdy dźwięk niczym brzemienista kobieta ruchy swego dziecka.

Nie myślała o niczym; grała jak w młodości. Zatraciła się w barwie dźwięku, w aksamitnej, donośnej wibracji akordów, które odczuwała całym ciałem. Pamiętała suitę tak dobrze, jakby grała ją dopiero wczoraj. Pracowała z takim zapamiętaniem, że nie usłyszała otwierania frontowych drzwi ani ciężkich kroków na progu pokoju. Nie słyszała niczego, dopóki nie przebrzmiała ostatnia nuta utworu.

- Boże, to było niewiarygodne.

Sophie wzdygnęła się zaskoczona, podrywając głowę do góry, a smyczek zsunął się po strunach.

- Grayson.

- Dzień dobry. - Na jego pełnych wargach igrał czarujący uśmiech.

Sophie spojrzała na niego, starając się skupić wzrok, serce waliło jej zarówno z podniecenia muzyką, jak i jego niespodziewanym przybyciem. Możliwość grania Bacha plus obecność Graysona były trudne do zniesienia.

- Co grałaś?

- Nic - odparła, ostrożnie kładąc smyczek na stole.

- Tego nie można nazwać niczym. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

Sophie zamachała ręką na odczepnego.

- To tylko początek suity wiolonczelowej Bacha.

- Naprawdę? - spytał zdziwiony. - Nie wiedziałem, że Bach pisał suity na wiolonczelę.

- Sześć, chociaż niewiele osób wie o ich istnieniu. Człowiek, które je odnalazł, myślał przez lata, że to tylko smyczkowe wprawki. Jakże się pomylił.

- Grasz je na koncertach?

- Niech Bóg broni, nie - odparła nieco za szybko. *Uspokój się*, nakazała sobie w duchu.

- Dlaczego?

Spokój nie chciał nadejść, za to dłonie miała mokre od potu.

- Bo są nudne.

Sophie nie znosiła spojrzenia Graysona; przesywał ją wzrokiem, jakby zaglądał na samo dno jej duszy.

- Więc co grasz?

- Trochę tego, trochę tamtego. Wszystkie utwory, które lubi moja publiczność. Po co przyszedłeś?

Grayson mógł ją zapytać, dlaczego próbowała zmienić temat. Ale niech jej tam. Nie miał pojęcia, dlaczego ta niesamowita muzyka miałyby wywołać rumieńce na policzkach Sophie, kiedy ją o to zagadnął.

Usłyszał tę muzykę na ulicy, kiedy wracał z sądu, spędziwszy w nim całe przedpołudnie. Szedł od strony Berkeley Street i wypatrzył Sophie w bocznym oknie. Z łatwością dostrzegł jej włosy płonące złotym blaskiem na kształt

języków ognia. Stojąc teraz przed nią, postrzegał ich piękno. Włosy miała ani jasne, ani ciemne, oczy wstrząsająco żywe, bez trudu przywodzące na myśl normańskich przodków Sophie - wojowników zaciekle walczących o zdobycz.

Czyżby miała w sobie więcej z ich charakteru niż z wyglądu fizycznego? I dlaczego stała się dla niego wyzwaniem?

A może wypełniała w jego życiu jakąś lukę?

Walcząc z otaczającą go pustką, Grayson przez całą lata odpychał od siebie pragnienie czegoś, czego nie potrafił określić. Znajdował sposoby na powstrzymywanie osaczających go myśli, na zapomnienie - w długich godzinach pracy, w objęciach kobiet. Ale efekty tego były krótkotrwałe. Wiedział już po wszystkim, że leżąca obok kochanka nie jest spełnieniem jego marzeń. Kobiety nie umiały zapełnić pustki w jego duszy; miłość fizyczna była tylko sposobem na chwilowe zapomnienie.

Były też inne sposoby. Muzyka. Zamaszyste crescendo i karkołomne diminuenda. Ale najczęściej była to praca. Myśli i energię Graysona pochłaniały umowy handlowe i procesy sądowe. Pracował jak szalony, dotarł do szczytu kariery. Ale będąc już tam, pytał samego siebie, co z tego ma?

Pracował przez całe życie, by zdobyć szacunek ojca. Jednak mimo swoich osiągnięć musiał przyznać, że nie osiągnął celu. Nienawidził tego uczucia daremności wysiłków. I wciąż nie wiedział, dlaczego nadal mu na tym zależało. Dlaczego ta potrzeba wciąż oplatała jego duszę. Bardzo go to osłabiało. A słabość była czymś absolutnie nie do przyjęcia. Tak uważał.

- Halo. Śpimy?

Grayson zamrugał nerwowo i ujrzał obok siebie Sophie. Kiwała mu przed nosem palcami, na których nosiła dyskretne pierścionki.

- Zamyśliłem się.

- Zbyt często to robisz.

Grayson obserwował, jak przechodziła przez pokój, a mi-

gocząca sukienka spływała za nią po podłodze niczym kaskada złocistego trenu. Rumieńce ustąpiły już z jej policzków, najwyraźniej Sophie odzyskała równowagę. W jednej chwili była rozogniona i bezczelna, a w drugiej krucha i delikatna.

Tego właśnie Grayson nie mógł w niej zrozumieć. Słyszał o genialnych muzykach, których talent splatał się z wielką zarozumiałością i wrodzonym egoizmem.

Ktoś, kto patrzył zbyt powierzchownie, mógł nabrać takiego mniemania o Sophie. Ale Grayson miał przed oczami obraz troskliwej, szczodrej dziewczyny.

Kiedy byli młodzi. A niedawno wobec psa. Dla tej, pożał się, Boże, grupy przyjaciół, którymi opiekowała się niczym kwoka piskletami.

- Nadal nie wiem, po co właściwie przyszedłeś - powiedziała i stukając obcasami o podłogę, przeszła na drugi koniec pokoju po tacę z naczyniami do podwieczorku.

- Wniosłem kilka poprawek do umowy z Music Hall, którą wcześniej ci przyniosłem, dodałem kilka punktów, o które prosiłaś. Stawiasz trudne warunki, ale zgodzili się na wszystko.

Sophie obróciła się na pięcie w jego stronę.

- Jak mogli?

Grayson omiótł ją wzrokiem, zastanawiając się nad jej reakcją. Czyżby doznawała uczucia zawodu?

- Sądziłem, że właśnie tego chciałaś.

- No, tak. Ale...

Sophie patrzyła na kartki papieru, które Grayson trzymał w rękach. Alabastrowe policzki miała tak blade, że widział drobniutkie piegi pokrywające jej nos.

- Coś nie tak? - spytał.

Drgnęła, podnosząc na niego wzrok.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Pomyślałam tylko... znaczy, nie przypuszczałam, że tak łatwo ustąpią.

- Ale ustąpili. Chcesz się wycofać?

Patrzył, jak unosiła podbródek.

- Nigdy. Gdzie mam podpisać?

Chwilę jeszcze patrzył na nią, a potem wyjął z sekretarzyka pióro i kałamarz. Rozprostował dokumenty na blacie i podał jej pióro.

Sophie przyjrzała się papierom, zamykając na krótką chwilę oczy, i zdecydowanym krokiem ruszyła w jego stronę. Sięgając po pióro, otarła się lekko o Graysona, ale jej dotyk przeniknął go do szpiku kości. Raptem zastygła. Stała nieruchomo, a Grayson pożerał wzrokiem jej smukłą szyję, delikatne kosmyki włosów wijących się na gładkiej skórze. Pachniała słodkim mydłem i wodą źródlaną, lekkimi perfumami.

- Masz pojęcie, jak bardzo pragnę cię teraz pocałować? - spytał.

Na te słowa myśli Sophie rozleciały się w drobne kawałeczki, ale nie odwróciła głowy w bok.

- Jestem wiolonczelistką, a nie jasnowidzem.

Grayson zareagował chichotem.

- Masz na wszystko odpowiedź?

- Staram się - rzekła oschle. - Zdziwiłbyś się, jaka potrafię być zabawna.

Grayson wahał się, co powiedzieć. Odechciało mu się dowcipkować.

- Zaczynam myśleć, że to nie ma nic wspólnego z zabawą. Używasz tego do samoobrony.

Tym razem nie padła gładka odpowiedź, a Sophie nabrała jakby wody w usta.

- Ach - bąknęła z wysiłkiem - uczeń doktora Freuda, jak widzę.

- Kogo?

Potrząsnęła głową, ale Grayson zdążył zauważyć, że odetchnęła głębok.

- Mniejsza z tym - odparła. - Nie mogłeś jeszcze o nim słyszeć.

- Znasz mnóstwo nazwisk i tytułów, których nie słyszałem.

Ruszyła do wyjścia, ale Grayson nie pozwolił jej odejść. Nie tym razem. Chwycił ją za rękę, pocierając delikatnie palcami po jej skórze.

- Nie będziesz trzymać mnie na dystans.

Dłoń Graysona powędrowała do góry na szyję Sophie, gdzie dołączyła zaraz jego druga dłoń.

- Nie pozwolę, byś mnie odepchnęła, Sophie - powiedział, ujmując jej twarz i muskając kciukami policzki.

Nie reagowała, tylko wpatrywała się w jego usta, takie pełne i zmysłowe, władcze. Czuła przenikające ją dreszcze, powoli rozlewającą się w jej żyłach falę ciepła. A jednak Graysonowi się udało, wzbudził w niej pożądanie.

- Przez lata twojej nieobecności - odezwał się niskim, tubalnym głosem - zbudowałaś wokół siebie wysoki mur.

Jego dłonie ześlizgnęły się po szyi na jej ramiona, były takie silne i godne zaufania. Sprawiały, że chciała się w niego wtulić - i przyjąć wszystkie pocałunki, jakimi podobno zamierzał ją obsypać.

- Jest w tobie dziwna mieszanina pyszałkowatości i wstydu... - Grayson odszukał długi kosmyk włosów i okręcił go wokół palca - zarozumiałstwa i poczucia niższości. Można to zrozumieć. - Jego oczy napotkały jej. - Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego. - Jego palec wynurzył się z włosów, a Grayson pochylił głowę i jego usta znalazły się tak blisko, że prawie stykały się z jej ustami. - Zamierzam się tego dowiedzieć.

Minęło kilka długich chwil, zanim jego słowa dotarły do jej świadomości, a kiedy to się stało, Sophie cofnęła się gwałtownie z biciem serca.

- Daj mi spokój, Graysonie. Nie życzę sobie, abyś wtrącał się w moje życie. A już na pewno nie chcę twoich pocałunków.

Skończyła kłamstwem, oboje o tym wiedzieli. Mierzyli się wzrokiem, wreszcie Grayson uśmiechnął się nieznacznie z tą swoją irytującą pewnością siebie i skinał głową.

- No dobrze, na razie - powiedział zmysłowym tonem. - Dam ci czas. Mówiłem to od początku.

Z tymi słowy Grayson obrócił Sophie w stronę dokumentów, ale nie była w stanie zebrać myśli. Puls jej kołatał i była zbyt świadoma obecności silnych dłoni Graysona na swoich ramionach - oraz jego zapewnienia, że wedrze się do jej życia. Czy znał prawdę o jej matce i Nilesie Prescottcie, czy wiedział, dlaczego uciekła z Bostonu? Czy znał jej przeszłość?

- Sophie?

Nawet nie drgnęła.

- Wypadniesz wspaniale. Jeśli zagrasz tak jak przed chwilą, Boston cię pokocha. Jak mogliby cię nie pokochać? Serce jej zaczęło walić.

- Podpisz kontrakt, Sophie. Mam masę spraw.

Próbowała skupić się na dokumentach, czuła się zapędzona w ślepą uliczkę. Czy wbrew wszystkim swoim planom mogła wywiązać się z umowy? Czy mogła pozwolić Bostonowi oglądać jej występ?

Kiedy tak stała bez ruchu, Grayson opuścił pióro, podszedł do niej i obrzucił ją spojrzeniem aż nadto pełnym ciekawości.

- Czego się boisz?

Błyskawicznie chwyciła za pióro.

- Nie boję się. Niczego! - Już dawno przestała się bać. Przyłożyła pióro do papieru i ze złością złożyła podpis. - Proszę, teraz jesteś zadowolony?

- Przecież to nie dla mnie, Sophie. Pytanie brzmi, czy ty jesteś zadowolona?

- Wniebowzięta.

Grayson patrzył na nią, próbując zrozumieć to, co widział w jej oczach. Czy na pewno miał rację, sądząc, że starała się jego i innych trzymać na dystans?

Nagle zauważył jakąś kartkę leżącą pod jej filiżanką herbaty. Zwróciło jego uwagę nazwisko Percy Walters.

- Co to jest? - spytał.

Sophie spojrzała na stolik, wyciągnęła spod filiżanki wilgotny papier i zaczęła powoli czytać. Przenosiła spojrzenie z kartki na Graysona, a na jej twarzy malowało się zadowolenie.

- Ach, tak. Zapomniałam. Przyszło wczoraj kolo południa. Może bliżej pierwszej. - Wzruszyła ramionami. - Przesunięcie jakiejś rozprawy sądowej jakiegoś Percy Waltersa w dniu dwudziestego z godziny pierwszej na jedenastą rano.

Podawała mu rozmiękłą kartkę.

Grayson poczuł, że jego umysł rozpała się do czerwoności.

- Wiesz, którego dzisiaj mamy?

Sophie mlasnęła językiem i rozejrzała się dookoła, jakby szukając kalendarza. Znowu odzyskała równowagę na myśl, że wciąż miała szansę uwolnić się od Graysona.

- Dwudziestego - wycedził.

- Rzeczywiście - bąknęła. Ulżyło jej, że przestał wdziierać się w jej przeszłość. Spojrzała na zegar stojący na kominiku. - O, popatrz. Za pięć jedenasta. Lepiej się pośpiesz, bo inaczej się spóźnisz.

Policzył do dziesięciu.

- Nie chcę się wtrącać, ale nie doszłoby do tego, gdybyś miał prawdziwą kancelarię z prawdziwą sekretarką.

- Mam prawdziwą kancelarię i miałem prawdziwą sekretarkę. A ty ją przegnałaś.

- Mogłabym nadać pannie Altimie Pruitt niejedno miano, ale *sekretarka* do nich nie należy. Baba w wozu, koniom lżej, jeśli o mnie chodzi. Ale masz szczęście, dopóki będziesz tu przebywał, mogę od czasu do czasu przyjąć jakąś wiadomość.

- Tego się właśnie obawiam.

Sophie uśmiechnęła się, dumna jak paw - jak paw, który w dodatku może zwyciężyć.

- Jeśli się pośpieszysz, to może jeszcze zdążysz.

Godzinę później, gdy panna Pruitt stała się już tylko złym wspomnieniem, Grayson przebywał w sądzie, a wszyscy inni wyszli, nie było komu odpowiedzieć na głośne: „Dzień dobry!”, które Sophie usłyszała w sieni.

Stukając obcasami o marmurową podłogę i wywijając puchowym boa, Sophie weszła do przedpokoju, gdzie zastała jakiegoś załamującego ręce mężczyznę w średnim wieku. Nieznajomy wybałuszonymi oczami patrzył na Sophie - a może na jej strój. Trudno powiedzieć.

- Przyszedłem zobaczyć się z panem Hawthorne'em - wyjąkał, rzucając okiem na pusty gabinet. - Jestem umówiony na dwunastą.

- Doprawdy? - spytała z rozpaczą w głosie. - Tak się składa, że zaszła przykra zmiana planów. Pan Hawthorne musiał pędzić do sądu.

- Czy spodziewa się pani, że prędko wróci?

Sophie zrobiła skrzywioną minę.

- Niestety, nie jestem pewny.

- Mimo to zaczekam.

- To może zająć kilka godzin.

- Pał sześć.

- Jak pan sobie życzy. - Sophie pokazała ręką na salon i oddaliła się w kierunku schodów.

- Czy mógłbym ewentualnie dostać filiżankę herbaty w trakcie czekania?

- Herbaty? Mam panu zrobić herbaty?

- Jeśli nie sprawi to kłopotu.

- Hmm - mruknęła, przyjmując zaskakującą prośbę ze wzruszeniem ramion.

Kiedy Sophie dorastała, matka kazała jej cały czas poświęcać graniu i ćwiczeniom. Sophie w ogóle nie nauczyła się prowadzić domu - aczkolwiek teraz szybko odrabiała zaległości, jako że nie było jej stać na służbę. Ale nie poczyniła jeszcze postępów w kuchni. To była domena Margaret.

- Czemu nie? Na pewno uda nam się wytrzasnąć filiżankę. Chodźmy.

Zdumiony gość poszedł za Sophie do kuchni.

Choć spędziła przy garnkach minimalną ilość czasu, udało jej się z łatwością sprokurować czajnik i filiżanki, odnaleźć puszkę z listkami herbaty i podłożyć do pieca, jak gdyby robiła to codziennie. Postawiła napar na stole, wyjęła z szafki swoje ulubione maleńkie herbatniki i podała je na miśnieńskim talerzu.

A potem napełniła dwie filiżanki.

- Cukier? - spytała.

- Nie, dziękuję. - Nieznajomy wypił jeden łyk. - Wyborna - westchnął, opierając się o stół. - Nie ma pani pojęcia, jaki miałem straszny tydzień.

Sophie mruknęła coś wymijająco, z pluskiem wrzuciła do herbaty kostkę cukru i zaczęła przetrząsać wyłożone aksamitem pudełko w poszukiwaniu łyżeczki.

- Miałem głęboką nadzieję, hm... rozwiązać dziś moje trudności - mówił dalej. - Albo przynajmniej wprowadzić w czyn jakiś plan działania.

- Doskonale rozumiem potrzebę wprowadzenia w czyn planu działania - odparła, sącząc herbatę, po czym wrzuciła drugą kostkę cukru. - Było nie było, Grayson niedługo wróci i na pewno rozwiąże wszystkie pańskie trudności.

- Tak pani sądzi?

Wreszcie Sophie skierowała wzrok na swojego gościa. Dopiero teraz dostrzegła jego poorane zmarszczkami czoło i ciemne kręgi pod oczami. Nie mogła znieść widoku człowieka znajdującego się w potrzebie.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się do niego, mieszając herbatę i postukując srebrną łyżeczką o porcelanę. - Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście, nawet jeśli człowiek przestaje w to wierzyć. - Sophie doszła do tego wniosku w ciągu kilku ostatnich dni.

- Nawet z rozwodu? - wygadał się mężczyzna, oblewając się rumieńcem.

- Ach, z rozwodu - cmoknęła zaskoczona i odłożyła łyżeczkę. - Przykro mi, panie...

- Cardwell. Willard Cardwell.

Pan Cardwell dał upust goryczy i po chwili Sophie została wtajemniczona we wszystkie aspekty jego trudnego położenia. Niechętnie słuchała intymnych zwierzeń, nie mieściło jej się w głowie, że można tak otwarcie opowiadać o swoim życiu. Była gorącą wyznawczynią teorii, że życie prywatne powinno pozostać prywatne.

Ale pan Cardwell najwyraźniej stosował się do zupełnie innych kanonów i Sophie dowiedziała się niebawem, że on i jego połówica są małżeństwem od pięciu lat, mają czworo dzieci, a pani Cardwell zaczęła ostatnio uskarżać się na ataki migreny. Sophie tak bardzo zasłuchała się w głos strapionego małżonka, że aż do końca opowieści nie zauważyła całkowitej niestosowności takiej rozmowy.

- Dobry Boże, panie Cardwell. Kto nie miałby ataków migreny, rodząc co roku przez cztery lata z rzędu dzieciaka. Tej kobiecie należy się odpoczynek!

Cardwell zachnął się, wywijając usta.

- Ale jestem mężczyzną i mam swoje... - urwał znienacka, czerwieniąc się po uszy.

- Jest pan mężczyzną i ma swoje potrzeby. Wiadomo.

- Więc sama pani rozumie, że nie pozostaje mi nic innego, tylko się rozwieść.

- Kto to panu powiedział?

- Pan Hawthorne.

- Grayson Hawthorne to panu powiedział? - spytała ze złością.

- Właściwie nie użył aż tylu słów. Stwierdził, że muszę wziąć sobie kochankę. Ale nie stać mnie na taką kobietę! Stać mnie tylko na żonę, a moja całkowicie przestała się mną interesować.

- Phi. Co on tam wie.

- Przecież to adwokat. Najlepszy w mieście.

- Coś panu powiem, panie Cardwell. Grayson Hawthorne może sobie być genialnym adwokatem, ale w ogóle nie zna się na kobietach. Na pańskim miejscu nie marnowałabym forsę na adwokatów ani na kochanki. - Sophie pochyliła się bliżej i poradziła mu na ucho, co powinien zrobić.

Porada Sophie dosłownie wstrząsnęła Cardwellem. Sophie pokiwała głową i westchnęła. Mężczyźni doprawdy byli niemożliwi.

- W razie trudności niech pan przynajmniej kupi jej luksusowy naszyjnik. Musi pan zacząć myśleć sercem. Niech pan ją uwodzi, panie Cardwell. Niech żona poczuje, że jest czymś więcej niż tylko rozpłodową kłaczą. Niech poczuje, że pan się o nią troszczy.

- Ale biżuteria drogo kosztuje.

- Tak samo jak Grayson Hawthorne. Widziałam, ile sobie liczy. - Faktycznie zobaczyła, kiedy grzebała w jego biurku, prawie pustym i utrzymanym w idealnym porządku, podobnie jak jego użytkownik. Tylko zamykany na klucz schowek znajdował się poza jej zasięgiem. Wprawdzie Henry zaferował Sophie swoje usługi, ale nawet ona znała pewne granice. Jednak często zachodziła w głowę, co też Grayson trzyma w tym schowku.

- To prawda, pan Hawthorne jest drogi. - Cardwell zamyslił się, po jego herbacie dawno nie zostało śladu. - Może trzeba by spróbować.

- Na pańskim miejscu poszłabym z nią także od czasu do czasu na kolację. Przynosiła jej kwiaty. Słodczyce.

Cardwell przyglądał się Sophie badawczo, jego twarz powoli zaczynała się rozchmurzać.

- I skorzystać... z... pani rady. Dziękuję, panno...

- Wentworth. Ale proszę mi mówić Sophie.

- Sophie, doceniam twoją otwartość.

Poklepała go po rękę.

- Zawsze chętnie pomagam.

Odprowadziła Cardwella do sieni. Kiedy jednak otworzyła frontowe drzwi, na szczycie granitowych schodów stanął zdyszany Grayson. Rozwiane włosy nadawały mu wygląd niepunktualnego uczniaka.

- Willard, najmocniej przepraszam za spóźnienie - rzucił do gościa. Spiorunował wzrokiem Sophie i przeciągnął palcami po włosach. W drugim ręku trzymał czarną skórzaną teczkę. - Nastąpiło małe zamieszanie z moim terminarzem.

- Nie ma sprawy, Graysonie. Zresztą panna Wentworth udzieliła mi najlepszej rady, jaką słyszałam od wielu lat. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będę już w ogóle potrzebował twoich usług. - Cardwell uchylił kapelusza i szybkim krokiem ruszył do czekającej nań dorożki.

Grayson powoli skierował na Sophie złowrogie spojrzenie.

- Coś mu powiedziała?

- To, co sam powinienesz być mu powiedzieć, kiedy po raz pierwszy do ciebie przyszedł.

- Mianowicie? - spytał, cedząc każdą sylabę przez zęby, aż Sophie uśmiechnęła się złośliwie.

- Żeby używał przyborów zapobiegawczych.

Grayson o mało nie padł z wrażenia. Stał tak kilka chwil z wyrazem niepewności w oczach.

- Przyborów zapobiegawczych? - Najwyraźniej Grayson zgubił się w plątaninie tych słów.

- Słyszałeś o nich, prawda? - spytała niewinnym głosem, strzepując swoje puchowe rękawy. - O tych przyborach, które panowie zakładają sobie na...

- Chryste! Powiedz, że to nieprawda - krzyknął, a jego na ogół surowe rysy twarzy stężyły w maskę niedowierzania.

- Prawda. - Sophie zarzuciła na plecy koniec boa. - Nie miałam pojęcia, że jestem taka dobra w dawaniu rad. Jeśli chcesz, to kiedy znajdę wolną chwilkę, mogłabym udzielić kilku wskazówek i tobie.

Graysonowi rozbłyły oczy i popatrzył na Sophie takim

wzrokiem, jakby zaraz miał ją udusić - i to z dziką rozkoszą.

- Rujnujesz mi praktykę adwokacką.

- Doprawdy, nie przystoi winić innych za własne niepowodzenia.

Graysonowi przebiegł po twarzy grymas irytacji.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że zdecydowałaś się z rozmysłem pozbawić mnie klientów.

- Ja miałabym ci to zrobić? - spytała, cedząc przesłodzonym tonem każdą sylabę.

- Tak, dla przyjemności. Niestety, nie mam teraz czasu zajmować się tobą. Za godzinę czeka mnie kolejne przesłuchanie. Jeśli ktoś się zjawi, nawet nie patrz w tamtą stronę. Gdyby się okazało, że *doradzałaś* następnemu mojemu klientowi, to...

- To co? Może oddasz mnie pod sąd? Może mnie za-skarżysz? - spytała prowokacyjnie.

Graysonowi drgały wszystkie muskuły warzy, ale nie zareagował.

- Tak myślałam - rzekła Sophie, uśmiechając się zuchwale, po czym obróciła się na swoim eleganckim obcasie i zniknęła za łukiem korytarza.

Tym razem nie zachichotał.

12

Tydzień później sytuacja zaczęła się zmieniać, aczkolwiek nie na jej korzyść.

W czwartek Henry i Deandra pojechali do Nowego Jorku obejrzeć Lily Langtree. Deandra koniecznie chciała zobaczyć występ, który mógł stać się źródłem inspiracji i pomysłów. Poza tym, dodała, mają tam znajomych, u których chcieliby się zatrzymać.

Sophie nie wiedziała, w jaki sposób poinformować przy-

jaciół, że skromne zapasy pieniędzy kurczą się szybciej, niż przewidywała.

Ale wyskrobała jeszcze parę dolarów na dwa bilety kolejowe, bo przecież i tak musi wyjść na jaw, że pieniądze ubywa. Dzięki Bogu, że Margaret wybierała się w odwiedziny do kuzynki w Lexingtonie. Kupno trzeciego biletu wpędziłoby ich w finansowe kłopoty. Na razie Sophie musiała naruszyć skromny kapitałik, który odłożyła sobie na czarną godzinę.

Powoli do duszy Sophie zakradał się niepokój. Nigdy dotąd nie musiała wyłudzać pieniędzy. Miała ten luksus, że kupowała co chciała i kiedy chciała. Bez skrupułów wzięła pożyczkę na poczet przyszłych dochodów, aby kupić klejnoty. Potraktowała to jako inwestycję na przyszłość. A inwestycja się opłaciła. Sophie została zaangażowana na cały nadchodzący sezon. Wkrótce będzie miała pieniądze.

Tylko że sezon nadchodził zbyt wolno, uzmysłowiła sobie teraz.

Wzięła głęboki oddech w nadziei, że dzięki temu zdoła się uspokoić, i z roztargnieniem głaskała słodką psinę po głowie.

Kiedy Henry i Deandra naciskali na konieczność wyjazdu do Nowego Jorku, aby obejrzeć występ Langtree, Sophie próbowała im się zwierzyć ze złej sytuacji. Ale słowa uwięzły jej gardle.

Zmarszczyła czoło, uświadomiwszy sobie, że mogą odejść, jeśli przestanie spełniać ich oczekiwania finansowe. A właśnie w tej chwili nie mogła sobie pozwolić na utratę jedynej namiastki rodziny, jaką posiadała.

Aż parsknęła głośno, uświadomiwszy sobie fakt, że musi kupować rodzinę. Lecz nawet zdając sobie z tego sprawę, nie była w stanie ujawnić swej kompanii gorzkiej prawdy. W rezultacie do poniedziałku będzie sama jak palec.

W nocy spadł śnieg, kto wie, czy nie ostatni tej zimy. Sadzę i błoto przykryła świeża, biała otulina. Zapowiadał się piękny poranek.

Sophie zarzuciła na plecy boa, wyjęła wiolonczelę i zaczęła grać. Suka wstała, przeciągnęła się, obróciła kilka razy, a potem zwinęła na miękkiej poduszce, gdy tymczasem dom wypełniły dźwięki muzyki.

Sophie grała, co tylko chciała, szybko i powoli, wesoło i nastrojowo. Próba przebiegała bez zakłóceń, ale Sophie z trudem skupiała się na czekającym ją koncercie. Zaczęła się szybko nudzić, a przyjaciele dopiero co wyjechali. Nawet myśl o przyjściu Graysona miała swój urok. Zbyt wielki, prawdę mówiąc.

Nagle Sophie usłyszała pukanie. Podekscytowana wbrew sobie, ruszyła biegiem do frontowych drzwi i otworzyła je na oścież. Dosłownie zdębiała na widok Nilesa Prescottta, który stał na wyłożonym kafelkami ganku. Jego wełniane palto miało pretensjonalnie karminowy odcień, szalik stanowił mieszaninę błękitu i złota, a siwe włosy przykrywał mu włożony na bakier melonik.

Prescott stał na progu, uśmiechając się do Sophie, jakby nie minęło pięć lat i wpadł po prostu na herbatę.

Co takiego widziała w Prescottcie jej matka, że sprowadziła go do Łabędziej Gracji?

- Chyba oboje wiemy, że tu jej nie ma - rzuciła i zaczęła zamykać drzwi.

Prescott przycisnął do nich dłoń w rękawicze i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Hola, hola, Sophie. Czy tak się traktuje przyjaciela rodziny?

- Nie udawajmy, że łączy nas przyjaźń, panie Prescott.

- Pfe, ty wciąż się gniewasz o Wielki Debiut.

Tupet Prescottta sprawił, że w Sophie zagotowała się krew.

- Gniewam się? - Sophie omal nie wybuchła. - Wkrada się pan do mojej rodziny, wykorzystuje hojność mojej matki, obiecuje mi solowy występ, a potem...

Zabrakło jej słów.

- Co zrobiłem? Dałem koncert innej?

- Tak - wybuchnęła. - To nie wszystko!

Prescott wzruszył obojętnie ramionami.

- Daję ci koncert teraz.

- I sądzi pan, że to wyrównuje rachunki?

- A nie? - Prescott strzepał jakąś nitkę z rękawa, a potem zerknął na Sophie wesołymi, szarymi oczyma.

Wzięła głęboki oddech, z trudem się opanowując.

- Proszę wyjść.

- No wiesz, Sophie.

- Powiedziałam, proszę wyjść. Nie mamy o czym rozmawiać.

- Ależ ja wcale nie przyszedłem do ciebie, moja droga. Mam się tutaj spotkać z panem Hawthorne'em w pewnej drobnej sprawie, a mianowicie kontraktu, którego sama bardzo roztropnie zażądałaś.

I na który zgodziła się jak idiotka. Świat jej zawirował w oczach.

- Graysona nie ma. A teraz żegnam.

Nim Prescott zdążył zaprotestować, Sophie zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem, a później z przyjemnością słuchała jego stłumionych krzyków i bębnienia pięściami w drewno.

Spacerowała od jednego pokoju do drugiego, czekając, aż Prescott sobie pójdzie. Po raz pierwszy się cieszyła, że Grayson kazał naprawić zamek. Zatrzymała się i wzdrygnęła na widok biblioteki. Pomalowanie tapet na czerwono faktycznie było dziecinadą, ale dzięki temu pozbyła się Altimy Pruitt.

Psina chodziła za nią krok w krok Kiedy walenie do drzwi w końcu ustało, Sophie nachyliła się i mocno przytuliła zwierzę.

- Sama słodycz z ciebie, psinko. No chodź, Słodka. Zrobimy coś do jedzenia.

Weszły do kuchni, ale okazało się, że półki są puste. Jednak Sophie nie powinna się temu dziwić. Kiedy Margaret zaproponowała przed wyjazdem uzupełnienie zapasów, Sophie doskonale wiedziała, że środki przeznaczone na je-

dzenie zostały już wydane na bilety kolejowe. Tak więc tylko rozplynęła się w jednym ze swoich słynnych uśmiechów i oznajmiła przyjaciółce, że nie ma potrzeby. Teraz jednak uświadomiła sobie, że przecież musi jeść.

Pomyślała o ulubionym miejscu matki w Beacon Hill, zwanym Sloan Market. Sophie uwielbiała robić tam zakupy, ponieważ nigdy stamtąd nie wracała z pustymi rękami, czasami miała torebkę cukierków, a czasami nawet kawałek sera. Poza tym matka nie musiała płacić na miejscu, tylko podpisywała się w specjalnej księdze, a rachunek przysyłało później.

W ciągu paru minut Sophie była ubrana i gotowa do wyjścia po zakupy. Kiedy przechodziła obok sądu, dotarło do jej świadomości, że wewnątrz może znajdować się Grayson. Ciekawiło ją, co też teraz robił, wyobrażała sobie, jak z godnością przekonuje ławę przysięgłych swoim budzącym respekt wyglądem oraz pięknym głosem.

Zaczęła się uśmiechać, po czym przeraziła się, co też przychodzi jej do głowy. Wymruczała przekleństwo pod adresem swoich głupich myśli, przyspieszyła kroku i niebawem znalazła się w ciepłym i kuszącym obrębie Sloan.

Grayson uściskał dłoń klienta w okrągłym budynku sądu, po czym obaj skierowali się do wyjścia. Grayson zapiął palto i ruszył w stronę Back Bay, ale zatrzymał się jak wryty w odległości czterech kroków od dużego okna z walcowanym szkła Sloan Market. Pokręcił głową z zakłopotaniem i zrobił cztery kroki do tyłu. Był pewny, że ma przewidzenia. Kiedy jednak ponownie spojrzął przez złote litery ciągnące się na przezroczystym szkłe, nie miał żadnych wątpliwości, że osobą stojącą przy ladzie na początku długiej kolejki zniecierpliwionych klientów jest jego własna narzeczona.

Sophie dałaby głowę, że jej policzki były równie czerwone jak odcień, w którym pomalowała bibliotekę.

- Przepraszam, panno...

- Wentworth - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. -
Z Łabędziej Gracji.

- Co za różnica? - zachnął się młody sprzedawca, z hu-
kiem zamykając grubą czarną księgę. - Nie może pani tak
po prostu podpisać się i wyjść z naręczem artykułów spo-
żywczych. Za kogo pani nas uważa?

- Mówiłam panu, że chodzi mi o kredyt - szepnęła tak
cicho, jak tylko można szepnąć przez zaciśnięte zęby. Sto-
jąca za nią kolejka była już na skraju buntu. - Rachunek
przyślecie później.

- Powtarzam pani, że nie mam w księdze żadnych Went-
worthów z Łabędziej Gracji. A teraz proszę mi dać pienia-
dze albo odłożyć zakupy na miejsce.

- Tak, szybciej, paniusiu! - zawołała z tyłu jakaś klient-
ka. - Nie będziemy tu sterczeć cały dzień.

Piekący wstyd użądlił policzki Sophie; przyglądała się
leżącym na ladzie sprawunkom.

- Ile razem?

- Dolar pięćdziesiąt.

Dolar pięćdziesiąt! Kto by pomyślał, że żywność może
być aż taka droga? Sophie przebiegła wzrokiem pudełko
z jej ulubionymi ciasteczkami - po co zawracać sobie gło-
wę wypiekaniem, skoro można je kupić? - oraz puszkę ulu-
bionych sardynek. Przecież nie kupowała kawioru.

Modląc się, aby udało jej się znaleźć w torebce więcej
pieniędzy, niż zapewne ich miała, wyjęła portmonetkę
z monetami i pogrzebała w środku palcem. Nędzne trzy-
dzieści pięć centów.

Z drewnianym uśmiechem sięgnęła do lady i odstawiła
słoik z konserwowanymi brzoskwiniami.

- No, a teraz?

W kolejce ktoś zajęczał. Sprzedawca prychnął gniewnie.

- Dolar dwadzieścia dziewięć.

Sophie wrzuciła nieznacznie ramionami, wzięła puszkę
sardynek i postawiła je obok brzoskwiń.

Jakaś kobieta nadepnęła jej na stopę.

- Przestań pani kupować eleganckie boa i kapelusze z ptakami, to może starczy na jedzenie.

- Niech to licha, odstaw pani te drogie ciasteczka, to będziesz mogła kupić to lub owo - warknęła inna jejmość.

Sophie odwróciła głowę i zaczęła coś mówić do natrętnych bab. Lecz usta jej zamurowało, a niewypowiedziane słowa utknęły na języku, kiedy zobaczyła Graysona. Stał na końcu kolejki, w jego oczach malowało się zmieszanie.

- Jakies kłopoty? - spytał, wychodząc do przodu.

- Nie, nie, żadnych kłopotów - powiedziała natychmiast, odwracając się twarzą do sprzedawcy. A to pech! Pochyliła się niżej i wyszeptała gorączkowo: - Proszę zapakować towaru tylko za trzydzieści pięć centów, i to szybko.

Grayson przeciskał się do kontuaru.

- Hej, mój panie, tu jest kolejka - burknęła nowa jejmość.

Grayson odwrócił się do niej i obdarował babinę uśmiechem, który mógłby stopić najtwardsze serce. Sophie pamiętała ten uśmiech dokładnie, w młodości Grayson bardzo często korzystał z niego do wyciągania jej z najgorszych tarapatów.

Skierował na nieznaną całą impet swojego nieodpartego uroku.

- Wiem, łaskawa pani, i do głowy by mi nie przyszło wciskać się bez kolejki. Ale jeśli pani pozwoli, chciałbym uratować... sytuację, a potem wszyscy będziemy mogli wrócić do swoich zajęć.

Sytuację.

Policzki Sophie spąsowiały jeszcze bardziej. Ale w tym momencie zobaczyła kobietę, która parę sekund wcześniej czyniła jej wymówki, a teraz niemal gotowa była paść bez zmysłów na podłogę w Sloan Market.

Sophie odwróciła się gwałtownie.

- Rozmyśliłam się, niczego nie potrzebuję.

Zatrzasnęła portmonetkę, wrzuciła ją do torebki i ruszyła do wyjścia.

- Bardzo dobrze - zadrwił ekspedient. - I może pani już nie wracać.

Nie zdołała jednak oddalić się na więcej niż pół kroku w stronę drzwi, kiedy Grayson zablokował jej przejście i przesunął zakupy z powrotem na środek lady.

Tymi samymi silnymi rękami, którymi kiedyś obdarzył ją pieszczotą, wyjął z kieszeni złotą pięciodolarówkę i zmierzył wzrokiem głupio uśmiechającego się sprzedawcę. Uśmiech zniknął z twarzy Graysona, kiedy ze złowieszczym brzękiem kładł monetę na wypolerowanej do połysku ładzie.

- Oto pańskie pieniądze - oznajmił. - Dziwne, że ktokolwiek tutaj kupuje i godzi się na takie aroganckie traktowanie. Chyba powinienem zamienić parę słów z panem Sloane.

Sprzedawca zabełkotał coś pod nosem, z brzękiem otworzył kasę i zaczął grzebać w środku w poszukiwaniu reszty.

- Z nikim nie będziesz zamieniał paru słów - rzuciła Sophie, chwytając zwrócone przez Graysona zakupy i odsuwając je na bok. - Zapłacę moim sposobem.

Grayson przewiercał ją spojrzeniem, ciemnym i zirytowanym.

- Dlaczego tak się upierasz?

Patrzyli wzajemnie na siebie, w sklepie odbywał się pojedynk na siłę woli.

- Nie jestem już dzieckiem, Graysonie - powiedziała niemal szeptem. - Mogę obejść się bez twojej pomocy.

Na jego twarzy odmalował się niepokój, nagle całe ciało stało się napięte.

- A jeśli ja nie mogę obejść się bez twojej?

Sophie wstrzymała oddech, a uczucie zmieszania zaćmiło jej umysł.

- Na miłość boską, prędeż, nie będziemy czekać cały dzień.

Sophie i Grayson drgnęli, kierując uwagę na stojących

w kolejce ludzi. Następnie, nim ktokolwiek *zdążył* dodać choć jedno słowo, Grayson zgarnął zakupy do pudła, oparł je na biodrze, położył ciężką dłoń na plecach Sophie i popchnął ją w kierunku drzwi.

- Halo, a reszta? - krzyknął za nim sprzedawca.

- Może pan zatrzymać.

Odetchnęli rześkim powietrzem, Grayson szedł bardzo prędko, niemal maszerował.

- Poczekaj, proszę! - zawołała, wlokąc się w tyle za nim.

Ale on szedł dalej, trzymając zakupy pod pachą. Wszystko się w nim gotowało. Nie mógł wprost uwierzyć, że wypowiedział te słowa na głos. W sklepie. Wobec Sophie.

Po kilku chwilach usłyszał, że próbowała go dogonić. Niebawem byli już obok siebie, ale żadne nie przestało iść.

- Co to znaczy, że nie możesz obejść się bez mojej pomocy?

Spojrzał na nią z niechęcią, której bynajmniej nie odczuwał.

- Tylko żartowałem.

- Nie wierzę.

Wzruszył ramionami, wcale nie myśląc kroku.

- Graysonie, porozmawiaj ze mną.

- Aha, teraz chcesz rozmawiać, bo tu chodzi o mnie, a nie o ciebie.

Skrzywiła buzię w podkówkę i wyglądała jak małe diabłatko.

- Nigdy nie twierdziłam, że jestem bez skazy.

- To widać.

- Więc nie powiesz mi, co miałeś na myśli?

- Dzyń, dzyń, dzyń, zdobyła pani główną nagrodę.

Użył tych samych słów, które wypowiedziała w dniu swojego powrotu do Bostonu. Sophie roześmiała się na całe gardło, aż po świeżym śniegu rozeszło się echo.

- W takim razie - zaczęła ostrożnie - nie pozostaje mi nic innego, tylko zmienić temat i podziękować ci, że ure-

gulowałeś rachunek za żywność. - Uśmiech na jej twarzy stopił się jak śnieg w wiosennym słońcu.

- Nie ma za co.

- Mogłam sama zapłacić.

Zerknął na nią, unosząc ze zdumienia brwi.

- Mogłam - upierała się.

Grayson zszedł z chodnika, żeby przepuścić dwie kobiety idące z naprzeciwka. Uchylił kapelusza i kiwnął głową, a panie uśmiechnęły się i zaszczębiotały coś pod jego adresem.

Sophie jęknęła i przewróciła oczami.

Tym razem Grayson się roześmiał i wydawał się aż nadto rozluźniony.

- Zazdrosna? - spytał, szczerząc zęby, po czym wrócił na chodnik.

- Nigdy, pókiś żyw.

- Kiedyś byłaś zazdrosna, gdy widziałaś mnie z innymi kobietami.

Przeszyła go spojrzeniem.

- Miałam osiem lat.

Uśmiechnął się z uznaniem.

- To prawda.

- I byłam kretynką.

- Ty? Wcale nie.

- Byłam - obstawała przy swoim. - Oboje o tym wiemy. Ale od tego czasu bardzo się zmieniłam.

- Wszyscyśmy się zmienili, Sophie.

- Zdaje się, że ty najbardziej.

- Chyba nie chcesz, żebyśmy znowu do tego wrócili.

Skręcili w lewo, Sophie popatrzyła uważnie na Graysona, zauważając, że uśmiech na jego twarzy nie jest już taki wyniosły.

- Nie zmieniłem się aż tak bardzo, Sophie.

A jednak bardzo się zmienił. O tym też oboje wiedzieli. Kiedy został wyrzucony na bruk, musiał coś udowodnić. Że potrafi osiągnąć sukces. Że jest chodzącą doskona-

łością. Sophie zadawała sobie pytanie, czy Grayson to rozumie.

Przystanąła na wzgórzu, które po południu zaroi się od hasających dzieci. Przenosiła wzrok z ośnieżonego pagórka na Graysona.

- Udowodnij, że się nie zmieniłeś.

Odwrócił głowę.

- Nie potrzebuję niczego udowadniać - powiedział tonem adwokata przemawiającego na sali sądowej.

Sophie się uśmiechnęła.

- Uratuję cię, Graysonie. Uratuję cię od życia, które ogranicza się do spisywania kontraktów, właściwego zachowania i przestrzegania dobrych manier. Wleję do twojego życia odrobinę entuzjazmu.

Grayson zacisnął szczęki.

- Zjedź z tego pagórka - dodała.

- Co będzie dowodem najwyżej mojej głupoty.

- Będzie dowodem, że jeszcze potrafisz wesoło się bawić.

- Nawet gdybym chciał, a nie chcę, nie ma tu żadnego środka transportu.

- Środka transportu? - powtórzyła, patrząc na niego z niedowierzaniem. Pokręciła głową, przyglądając się okolicy. W pobliżu spostrzegła jakieś sanki z czerwonych deseczek.

- Masz szczęście. Sanki to z pewnością wystarczający *środek transportu*.

Grayson bez zastanowienia upuścił zakupy na ławkę, śmignął w stronę sanek i chwycił za linkę.

Sophie dosłownie zamarła. Patrzyła w ślad za oddalającymi się plecami Graysona, który wspinał się na ośnieżone zbocze, ciągnąc za sobą czerwone sanki. Poły jego nad wyraz porządnego palta trzepotały, a w eleganckie skórzane trzewiki z pewnością wciskał się śnieg. Sophie doznała nagłego uczucia strachu, ale już w chwilę później roześmiała się pod niebiosa i ruszyła w te pędy za Graysonem.

Kiedy dotarła na szczyt, była zasapana od szybkiego bie-

gu. Grayson stał nieruchomo i nie zwracając uwagi na Sophie, spoglądał na miasto, które rozciągało się poniżej. Ten obraz sprawił, że zaparło jej dech w piersiach. Przeszłość zniknęła. Przyszłość nie miała znaczenia. Tylko ich dwoje było na tym wzgórzu, a uroda Graysona jak zawsze wprowaiała Sophie w zdumienie.

- Dlaczego wszystko musiało się zmienić? - szepnęła.

Odwrócił się do niej.

- Naprawdę żałujesz, że wszystko się zmieniło?

- Żałuję, że nie ma przy mnie mojej matki.

Grayson westchnął i otoczył Sophie ramieniem, przyciągając ją mocno do siebie. Dziwne, ale nie odczuwała potrzeby ucieczki. Smakowała bijący od Graysona zapach męczyzny i ciepło płynące od jego ciała mimo panującego zimna.

- To prawda, ale tyle już osiągnęłaś jako dorosła - powiedział. - Chciałabyś to wszystko oddać?

- W zamian za matkę? W jednej chwili.

Stali w milczeniu, Sophie ogarniał spokój.

- Ja bym nie wrócił do przeszłości - szepnął tak cicho, że ledwie go słyszała. - Nie chciałbym być znowu młody, aby ratować życie.

Młodość Graysona była straszna. Rozumiała to nawet Sophie, a przecież była od niego o wiele młodsza. Ale tak jak ona, Grayson nie potrafił zmienić przeszłości. Mogli posuwać się tylko do przodu i możliwie najlepiej budować swoją przyszłość.

Po raz ostatni Sophie wchłonęła nozdrzami cudowny zapach, a potem odskoczyła w bok.

- No, Hawthorne, wskakuj na sanki.

Grayson na moment zeszywniał, wracając do przytomności. Po chwili zerknął na czerwone sanki i skrzywił się, jakby nie mógł się nadziwić, skąd się tutaj w ogóle wziął.

- Może innym razem.

- Nędzny tchórz.

Grayson spojrział na Sophie zwężonymi oczyma.

- Cip, cip, cip - zadrwiła.
- Nie jestem małym dzieckiem, żeby mnie zachęcać do działania.

Sophie rozpostarła ramiona jak skrzydła i zaczęła okręcać się dokoła.

- Nie jestem tchórzem.
- Pewnie, że nie - odparła, unosząc podbródek i zadzierając wysoko kolana pod swoimi długimi spódnicami.

Wymamrotał pod nosem przekleństwo i pokazał na strome zbocze.

- Jeśli skręcę sobie kark, spotka mnie to, na co zasługuję - mruknął, sadowiąc się na sankach.

Ale był to rosły mężczyzna, który już dawno przestał być chłopcem, więc kolana sterczały mu nad sankami.

Sophie wybałuszyła oczy, śmiejąc się do rozpuku, aż łzy potoczyły się jej po policzkach.

Grayson szarpnął się, przybierając groźną minę.

- To jakiś absurd.
 - Cip, cip, cip.
 - No to wsiadaj razem ze mną.
- Sophie zaniemówiła.
- Ja zapewne nie muszę niczego udowadniać, jeśli chodzi o skłonność do zabawy.

Grayson wywinał usta.

- Cip, cip, kurczaczku - zakpił z Sophie.
- A niech cię, Graysonie Hawthorne - burknęła, a potem podbiegła i klapnęła na siedzenie.

Kilka sekund później Grayson usadowił się za Sophie. Dotyk otaczających ją ramion w pierwszej chwili wywołał w niej szok, który niebawem ustąpił miejsca szalonej radości, ponieważ zaczęli jechać w dół zbocza.

Późne, zimowe słońce zmieniło świeży śnieg w zaskorupały lód, toteż szybko nabierali prędkości. Boa powiewało za nimi jak futrzany sztandar. Wiatr wydał kapelusze Sophie, ściągając go z jej głowy. Przez moment próbowa-

li go we dwoje go przytrzymać, ale w końcu kapelusz sfrunął i potoczył się po śniegu.

Sophie wybuchnęła śmiechem, rozkoszując się chwila-
mi nieskrępowanej wolności. Raptem trafili na jakąś wy-
pukłość, wlecieli do góry, po czym runęli jak dłudzy na
śnieg i stracili kontrolę nad sankami.

Sophie wylądowała na plecach z głuchym łomotem. Za-
szokowana bała się poruszyć i tylko wpatrywała się w za-
chwycający błękit nieba, na którym płynęły powoli białe
baranki obłoków. Pragnęła zawsze już tak leżeć. Zaznawać
spokoju, oderwać się od rzeczywistości, która wyciskała na
niej swoje piętno. Nie mieć żadnych zmartwień.

Już po chwili Grayson pochylał głowę nad Sophie, od-
gradzając ją od chmur i słońca.

- Sophie - szepnął. Oczy pociemniały mu ze zmartwienia,
ale płatki śniegu, które pokrywały mu włosy i drogocenny,
kaszmirowy kołnierz sprawiały, że przypominał raczej śnie-
gowego bałwana niż statecznego, wiktoriańskiego adwokata.

- Sophie, żyjesz? - spytał ochrypłym głosem.

Zareagowała śmiechem, nie mogła się od niego po-
wstrzymać.

Grayson zamarł, po czym wolno przekręcił się na wznak.

- Mnie nic nie jest, ale może tobie się coś stało? - odparła.

- Mogłaś zginąć.

Sophie podniosła się na łokciach i uśmiechnęła.

- Nie zginęłam. Lecz gdyby wzrok mógł zabijać...

Grayson nachmurzył się jeszcze bardziej i zaczął się
podnosić, ale natychmiast zastygł w bezruchu trafiony
przez Sophie śnieżką w głowę. Zrobił taką minę, że Sophie
omal nie dostała nowego ataku śmiechu. Ze wzruszenia, ze
zdumienia. Nagle wyraz twarzy Graysona uległ zmianie,
a jego oczy zaczęły się zwięzać.

Sophie zwymyślała się w duchu, że powinna była ucie-
kać, kiedy jeszcze mogła. Tymczasem Grayson powoli
zbliżył się ku niej.

- Grayson - ostrzegła, cofając się.

Mimo to zdołał chwycić ją za kostkę. Miał niezwykle delikatne palce, ale na jej grubych, wełnianych pończochach przypominały one kajdany.

- Doprawdy, Graysonie. - Sophie zdobyła się na uśmiech.

- Co: doprawdy, Graysonie? - spytał gardłowo, przyciągając ją do siebie.

- Zachowujesz się nieodpowiedzialnie.

- Czyż nie na tym ci właśnie zależało?

Na tym.

- Nieważne, na czym mi zależy. Boję się po prostu o twoją reputację - argumentowała. - Znajdujemy się ostatecznie w publicznym miejscu.

- Jakoś nie pamiętałaś o reputacjach i publicznych miejscach, kiedy nakłaniałaś mnie do zjechania z tej górki.

- Nakłaniałaś? Wątpię, czy zdołałabym cię nakłonić do czegokolwiek wbrew twojej woli.

Grayson wzruszył ramionami, a kąciki jego ust zaczęły powoli wyginać się ku górze.

- Racja - wyszczerzył zęby jeszcze bardziej. - Zmusiłaś mnie do tego.

- Ja nikogo do niczego nie zmuszam.

Ostatnie słowo Sophie zamarło jej na ustach, znalazła się bowiem tak blisko Graysona, że prawie się stykali.

Grayson puścił jej kostkę, sięgając wyżej, muskając policzki Sophie palcami w eleganckiej rękawiczce.

- Brakowało mi ciebie - szepnął.

Sophie prychnęła nieśmiało.

- Jakoś nie brakowało ci mnie, gdy udzieliłam kilku rad twojemu klientowi.

Grayson zaśmiał się nerwowo, ale wciąż głąaskał policzki Sophie. Serce jej waliło i pragnęła uciec, ale nie była w stanie. Patrzyła na Graysona, a w jej głowie trwała gonitwa myśli.

- To było w zeszłym tygodniu - powiedział, zanim po-

ciemniała mu twarz. - Przez ciebie tracę pamięć... - zawa-
hał się. - Nigdy jednak nie zapomniałem koszyków, które
mi podsyłałaś, kiedy mieszkałem w Cambridge.

Sophie poczuła rumieńce wstydu na twarzy. Grayson
pamiętał.

- Boże, ależ ja byłam głupia. Podsyłałam ci jedzenie, jak-
byś nie miał własnego.

- Nie miałem.

Serce stanęło jej w piersi.

- Dzięki tobie nie musiałem kraść przez pierwsze mie-
siące, kiedy nie miałem ani centa przy duszy.

- Trudno mi sobie wyobrazić ciebie jako biedaka.

- A jednak spróbuj. Szkoda, że nie widziałaś tej nory,
w której mieszkałem.

- Ach, widziałam!

Tym razem Grayson zdębiał.

- Co ty wygadujesz?

Sophie natychmiast przeklęła się w duchu za to, że
ujawniła swoją nocną eskapadę do Cambridge przed laty.
Robiła wszystko, aby nie myśleć o tamtej nocy, kiedy pod-
kradła się do obskurnej mansardy i zobaczyła w niej Gray-
sona. Jego uderzającą urodę, jego nagie ciało w rękach ob-
cej kobiety.

Zaszokowana i zdruzgotana Sophie wycofała się wtedy
chyłkiem. Czary goryczy dopełniła poranna wiadomość
w prasie, że solowy koncert Wielkiego Debiutu przypadł
Megan Robertson.

Sophie uciekła do Europy pierwszym statkiem odpły-
wającym z Boston Harbor, podpisawszy przedtem doku-
ment, który oddawał ojcu kontrolę nad jej sprawami.

- Nic takiego - odparła, strzepując śnieg ze spódnicy dla
zajęcia rąk. - Przypadkowo byłam w tamtej okolicy.

- Dobry Boże, kiedy? - Grayson odchylił się w bok.

- Przed wyjazdem do Europy - powiedziała obojętnym
tonem. Ale bynajmniej nie odczuwała obojętności. Gdyby

Grayson był wówczas sam, jej życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

- Zawsze byłem ciekaw, dlaczego się nie pożegnałaś.

Słowa Graysona zaskoczyły Sophie, ponieważ wyruszyła do Cambridge nie po to, aby się pożegnać. Nie miała wówczas pojęcia, że sprawy ułożą się tak fatalnie.

Nagle Grayson uśmiechnął się szeroko, przypominając wypisz wymaluj małego psotnika. Sophie uzmysłowiła sobie, że odzyskał dobry humor.

- Wiedziałem, że nie mogłem się aż tak pomylić co do ciebie.

Jego radość była zaraźliwa. I nocna wizyta w Cambridge odeszła natychmiast w przeszłość. Sophie podzielała jego radość, doznawała poczucia więzi, jakby stanowili dwie połowy jednej całości. Naraz w porywie szczęścia obsypała Graysona nową garścią śniegu.

Teraz był na to przygotowany i kiedy spróbowała uciec na czworakach, także obsypał ją białym puchem, a potem popatrzył jej głęboko w oczy. Uśmiech na jego ustach znikł, teraz na twarzy malowała mu się uroczysta powaga.

Sophie mogła tylko oddać mu spojrzenie. Znienacka Grayson odgarnął śnieg i opuścił się niżej. Leżeli twarzą w twarz.

- Sophie, zaraz cię pocałuję.

Nie pozwól mu. Uciekaj. Zmykaj, ile sił w nogach.

Grayson przysunął się jeszcze bliżej, Sophie stuliła dłonie na zaśnieżonych klapach jego palta.

Pocałunek był słodki i delikatny i dusza Sophie wzleciała wysoko w przestworza. Grayson smakował wargami jej usta, muskając je z prawa na lewo i z lewa na prawo. W pewnej chwili odsunął się nieco, aby spojrzeć jej w oczy.

- Sophie.

Jego twarz straciła nieubłaganie twardy i bezwzględny wyraz, przez co Sophie jeszcze trudniej było stawiać Graysonowi opór. Ciemne oczy Graysona stały się nagle pełne rozpacz. Teraz wydawało się, że bardzo łatwo go zranić.

Wcześniej nie powstałoby jej w głowie, że Grayson może okazać się takim człowiekiem. Jego siła przyciągała ją i odpychała zarazem. Sophie nie mogła zaakceptować mężczyzny, który będzie chciał ją zdominować, bardziej przyciągała ją łagodność charakteru.

Serce Sophie ścisnęło się od uczucia, którego nie potrafiła określić. Paniki? Być może. Lecz było w tym także coś więcej. Jak gdyby sama chciała się temu uczuciu poddać. Mimo wszystko.

Naraz drgnęła, odwracając głowę na bok i przyciskając policzek do śniegu. Ale Grayson ujął jej brodę w dłonie i znowu przybliżył ku sobie. Widziała w jego oczach namietność.

Grayson przyłożył lekko swoje usta do jej ust, pojękując z cicha i tuląc Sophie w objęciach. I była stracona.

Skubnął zębami jej wargę, delikatnie, ledwo, ledwo. A potem mocno przywarł ustami do jej ust. Nie podobał jej się dreszcz namietności, który przebiegał jej po krzyżu, tym bardziej że wcale go nie rozumiała. Wiedziała tylko jedno, że pragnie dotyku Graysona, że w jakiś sposób stało się to dla niej potrzebą elementarną.

Grayson znowu jęknął, po czym wsunął swoje dłonie pod jej szyję. Sophie wyczuła dokładnie moment, kiedy jego pożądanie wzmogło się jeszcze bardziej. Rozkoszowała się świadomością tego faktu, choć wiedziała, że nie powinna.

Grayson rozpiął swoje palto i przyciągnął Sophie do siebie, otulając ją polami okrycia. Poczowała bijące od niego ciepło oraz drzemiącą w nim siłę. Dłonie Graysona wspinały się po jej biodrach, kciuki muskały pulsujące pod staniem piersi. Zwyczajny dotyk rozpałał w niej gwałtowne uczucie pożądania przenikającego ją do szpiku kości. Pojawiła się w tym jednak domieszka strachu i w pewnej chwili Sophie aż zeszywniała.

Grayson wyczuł zmianę nastroju i cofnął się trochę, by znowu popatrzeć na Sophie. Zobaczyła jego oczy, kochaną aż do bólu twarz, na której malowała się jakaś dziwna

rozpacz, jakiej nigdy wcześniej u niego nie dostrzegą - jakby Grayson potrzebował jej bardziej, niż mogła zrozumieć, i to w sposób, którego się nie domyślała.

- O co ci chodzi? - spytała, sięgając w górę do jego policzka.

Oczy Graysona zapłonęły mrocznie, ostro i przesywająco. Tęsknie. Odwrócił głowę i pocałował wewnętrzną stronę jej dłoni, wciągając powoli do ust jeden palec.

Kiedy przyłożył wargi do czułego miejsca tuż pod jej uchem, jakaś siła odepchnęła mrok i strach w najdalszy zakamarek jej duszy. Wszystko rozwiało się jak dym. Pozostał tylko Grayson oraz intensywność doznań, którą rozbudził w jej ciele właśnie teraz, kiedy tarzała się zimą na śniegu w centrum wielkiego miasta, do którego kiedyś przysięgała sobie nigdy nie powrócić.

Tymczasem Grayson zaczął się odsuwać, ale nie pozwoliła mu na to, przytulając się do niego jeszcze bardziej.

- Nie opuszczaj mnie - wyszeptła.

Grayson spojrzał jej w oczy.

- Nie zrobię tego.

Delikatnie podniósł Sophie w swoje ramiona, żadne z nich nie było świadome zimnego śniegu ani całego świata, który ich otaczał. Grayson obrócił się na plecy, porywając ze sobą Sophie, aż położyła się na nim całą długością swego ciała.

- Hej, proszę pana, co pan robi z moimi sankami?

Minęła dłuższa chwila, zanim słowa te dotarły do Sophie. Dopiero wtedy wyciągnęła szyję i zobaczyła małego chłopca pochylającego nad nimi z pretensją w oczach.

Grayson na moment zdrętwiał, a potem błyskawicznie podniósł się, pociągając Sophie za sobą.

Chłopiec wybałuszył oczy na widok imponującego wzrostu Graysona i jego wyraźnie kosztownego ubrania całego uwalanego śniegiem.

- Pożyczyłem na chwilę twoje sanki, młody człowieku. Dziękuję ci za ich wynajęcie.

Chłopiec cofnął się, przenosząc wzrok z Graysona na Sophie.

- Jasne, jasne - powiedział, następnie chwycił linę i ruszył biegiem po śniegu, a sanki zaczęły miotać się za nim we wszystkie strony.

Po chwili Grayson odwrócił się do Sophie z krzywym uśmiechem na twarzy.

- Mały już tu nie wróci przez dłuższy czas.

Sophie musiała najpierw dojść do siebie, starając się ogarnąć rozumem wydarzenia, które miały miejsce przed pojawieniem się chłopca.

- Jeśli w ogóle - zdołała wykrztusić, po czym ruszyła w kierunku ulicy.

Grayson złapał ją za rękę, a potem otoczył szczelnie swoimi ramionami. Roześmiał się głośno z zadowoleniem.

- Podobasz mi się, Sophie Wentworth.

Odchylił głowę Sophie do tyłu, pocałował ją namiętnie w usta, następnie puścił wolno, złapał pudło ze sprawunkami i skierował się w stronę Łabędziej Gracji.

Sophie odprowadzała go wzrokiem, czując, jak uginają się pod nią kolana. Sama już nie wiedziała, czy chciała biec za Graysonem, czy ulepić następną śnieżną kulę i cisnąć mu nią w łeb za tę jego arogancję. Podobasz mu się, myślałby kto.

13

- Ustaliłeś już datę?

- Ja też cię serdecznie witam - powiedział Grayson, wchodząc nazajutrz do gabinetu swego ojca w Hawthorne House, gdy na dworze rozszalała się późnozimowa burza.

Postukiwał obcasami o twardą, drewnianą podłogę, a kiedy wszedł na dywan, gruba warstwa wełny stłumiła je-

go kroki. Był piątek, dochodziło południe. Cały ranek Grayson spędził w sądzie. Zjawił się tutaj, ponieważ dostał od ojca zaproszenie na lunch.

Bradford mruknął pod nosem.

- Daruj sobie złośliwą ironię. Mam jej aż nadto od Lucasa.

- Więc rozmawiałeś z Lucasem? - zdziwił się Grayson, składając swoją potężną postać w jeden z wysokich foteli, które stały przed biurkiem.

Bradford Hawthorne właśnie skończył czytać jakiś dokument i podniósł wzrok na syna.

- Przed chwilą stąd wyszedł.

Grayson przygarbił się.

- To on tu był?

- Szukał cię. - Bradford Hawthorne wałnął pięścią o blat biurka, aż podskoczyły pióra i otwieracz do listów. - Ośmielił się przyjść i zakomunikować, że ma fantastyczny rok. Cholera, coraz więcej ludzi dowiaduje się z każdym dniem., że mój syn jest właścicielem tego klubu dla mężczyzn.

- Wątpię, czy wszyscy o tym wiedzą.

- Każdy, kto się liczy.

Grayson popatrzył na ojca. Przypomniał sobie nagle opinię Sophie o sobie. Jej zdaniem uważał, że ludzie powinni być tacy sami jak on, albo niech idą do diabła. A czy istnieje jakiś inny sposób przejścia przez życie? Czyżby przeistaczał się w osobę podobną do ojca, człowieka, którego ledwie tolerował?

Grayson harował jak wół, aby spełnić pokładane w nim nadzieje, a potem pracował jeszcze ciężiej, by dopasować się do świata swojej rodziny, póki nie uzna go za własny. Czyżby istniało coś pośredniego między dzikością a surowością duszy? **Skan Anula43, przerobienie pona.**

Grayson zaklął w duchu.

- Matka na pewno ucieszyła się, widząc Lucasa - rzekł, zdobywając się na zmianę toku myśli.

- Nie powiadomiłem jej o tym.

Grayson spojrział na ojca z niedowierzaniem, które wynikało z gorzkiego rozczarowania.

- Będzie wzburzona.

- Twoja matka robi to, co jej się każe - odparł ojciec ze złością, wrzucając pióro do futerału. - A ja nie pozwolę jej widywać Lucasa, jak długo chłopak nie zacznie się przyzwyczajanie prowadzić.

- A więc matka nigdy już nie ujrzy swojego najmłodszego syna. - Grayson zaciskał nerwowo dłonie na poręczach fotela, walcząc z nagłą pokusą uderzenia ojca pięścią. Obudziła się w nim rozpaczliwa wściekłość, która wypłynęła na powierzchnię w dniu powrotu Sophie.

- Niech to piekło pochłonie. Czym sobie zasłużyłem na tak straszny cios od własnego syna? Właściciel spelunki, na miłość boską.

- Męskiego klubu, tak to się chyba nazywa.

Starszy pan spojrział badawczo na Graysona.

- *Nazywaj ją, jak chcesz, a róża i tak pozostanie różą.*

- No proszę, poprawiasz nawet Szekspira. Czy istnieje ktoś, kto spełnia twoje wymagania?

- Co cię dziś ugryzło? - rzucił ojciec.

Grayson też chciałby to wiedzieć. Ostatnio przyłapywał się na kwestionowaniu wielu aspektów życia, które dotąd wydawały mu się niepodważalne. Elity towarzyskiej. Swojego w niej miejsca. Wymogów, jakie powinna spełniać jego przyszła żona. To Sophie sprawiła, że opadły go wątpliwości.

Odczuwał niepokój, a nawet jakiś lęk. I to wszystko z powodu Sophie. Nie zamierzał jednak anulować zaręczyn. Nie był w stanie.

Zdołał przekonać samego siebie, że Sophie stanowiła wyzwanie; że łączyła ich przeszłość, a ich rodziny dobrze się znają. Ale prawda była taka, że Sophie zapełniła w jego życiu pewną lukę, przepastną otchłan samotności, która nigdy nie przestała mu doskwierać.

Aż do teraz Grayson siedł przez życie, unikając więk-

szych komplikacji. Lawirował wśród raf codzienności, kierując się zimną rozważą, którą doprowadził do perfekcji. Nie mieściło mu się w głowie, że kotłował się na śniegu w miejscu publicznym z kobietą, z którą miał się ożenić. Faktem było, że przyszła panna młoda czyniła to wraz z nim, że wpijała się palcami w kłapy jego palta, wtulając się w niego. Ciało Graysona zareagowało gwałtownie na to wspomnienie.

Zaklął głośno.

- Co? - spytał ojciec.

- Nic.

- Ostatnie, czego mi trzeba, to kolejny synalek ordynus - wymamrotał Bradford Hawthorne. - Przecież tylko tego jednego nigdy ci nie brakowało. Dobrych manier.

Grayson zacisnął szczęki.

- Rzecz w tym - ciągnął ojciec - że po zniknięciu Matthew przyszłość nazwiska Hawthorne spoczęła na twoich barkach. Co każe mi wrócić do mojego pierwotnego pytania. Czy ustaliłeś datę ślubu?

- Jeszcze nie.

Szare brwi Bradforda nastroszyły się, po czym stary eksplodował.

- Niech cię diabli! Na co czekasz? Rozeszła się już nowina, rozgłoszona na pewno przez tę cholerną Patrice, że ślub się odbędzie. Niedługo cały Boston będzie wiedział, że masz się ożenić z Sophie. Poza tym jej ojciec to mój najlepszy przyjaciel i ważna figura w towarzystwie. Wszyscy czekają na oficjalny komunikat. Po panicznej ucieczce Matthew - nie mówiąc już o wiecznej hańbie Lucasa, jeśli małżeństwo nie zostanie wkrótce ogłoszone, wszyscy pomyślą, że ojciec Sophie się wycofał. I kto mógłby mieć do niego pretensję? - Bradford Hawthorne kiwnął z goryczą głową i przewiercił Graysona wzrokiem. - Spełnij swój obowiązek. Załatw wreszcie ten ślub i miej to już za sobą. Nie zniosę następnego skandalu, który splami nasze nazwisko. A zerwane zaręczyny dadzą ludziom to, na co tyl-

ko czekają, aby wziąć nas na języki. I to po raz kolejny.

Graysona ogarnęła bolesna i daremna złość.

- Powiadomię cię, kiedy termin zostanie ustalony - odpowiedział lodowato.

Bradford Hawthorne zmierzył syna wzrokiem, po czym burknął coś pod nosem i kiwnął głową w stronę drzwi.

- Lunch powinien być już gotowy.

Gdyby matka nie obiecała im towarzyszyć, Grayson byłby teraz wyszedł. Lecz tak rzadko ją widywał. W rezultacie i Grayson, i jego ojciec przeszli do pokoju stołowego. Jednak nigdzie nie było widać Emmaline.

- Gdzie matka? - spytał Grayson, kiedy lokaj podawał mu duży, ręcznie malowany, porcelanowy talerz. Obok na kredensie stał cały komplet naczyń i sztuców.

Bradford Hawthorne nałożył sobie sutą porcję tłuczonych kartofli, pieczeń oraz sos, a potem usiadł za stołem i z kryształowej szklancy wypił łyk miętowej herbaty.

- Przyjdzie. - Zerknął na Graysona. - Nie przepuści okazji zjedzenia lunchu ze swoim ukochanym pierworodnym synem.

W tym momencie Emmaline pojawiła się w jadalni otoczona chmurą cieniutkiego jedwabiu, a jej miękkie, srebrzystobiałe włosy ugięły się pod ciężarem pereł. Bradford nie czekał z rozpoczęciem swojego posiłku i ledwie zareagował na wejście żony.

Grayson pocałował ją w policzek i zorientował się od razu, że matka zachowuje się jakoś inaczej.

- Witaj, kochanie - zaszczębiotała bardziej jak uczennica niż dostojna matrona, którą znał przez całe życie.

Grayson przyglądał się matce uważnie, zastanawiając nad przemianą, jaka się w niej dokonała. Nagłe przypomniał sobie, że chyba zobaczył matkę w dorożce. Odrzucił jednak tę myśl w tym samym momencie, kiedy przyszła mu do głowy.

Bradford kontynuował posiłek ukryty za jedną w wielu gazet, które dostarczano mu codziennie.

- Wyglądasz pięknie, matko - powiedział Grayson, przytrzymując jej krzesło.

- Och, cóż, dziękuję - odparła Emmaline z nieśmiałym, choć radosnym uśmiechem. Ale ominęła krzesło, które jej podsunął, podeszła do wprost do męża, zawahała się przez chwilę, zrobiła głęboki wdech i położyła swoją delikatną dłoń na jego ramionach.

Bradford przechylił głowę do góry, marszcząc wygładzone kartki papieru w swoich mięsistych dłoniach.

- Co robisz, matko? - spytał.

Emmaline cofnęła się, ale nie dawała za wygraną.

- Zapowiada się ponury dzień. Zima potrafi być taka długa w Bostonie.

Bradford wyciągnął długą szyję, zerkając do góry na żonę.

- Źle się czujesz?

- Nie, nie, mój mężu - odparła Emmaline z nerwowym śmiechem. - Pomyślałam sobie tylko, że w takim dniu jak dzisiejszy... moglibyśmy urządzić piknik. - Emmaline odnalazła oczami wzrok męża i spojrzenie jej zmiękło. - Na oszklonej werandzie. Tak jak kiedyś.

- Jak kiedyś? Wielkie nieba, kobieto. Kiedy, na Boga, jeździliśmy na jakieś pikniki?

Palce Emmaline zeszywniały na ciemnej wełnie okrywającej ramiona Bradforda. Spojrzała ukradkiem na Graysona, policzki zabarwił jej rumieniec.

- Przed naszym ślubem, Bradfordzie. Wtedy, gdy się jeszcze do mnie zalecałeś.

Bradford mruknął coś pod nosem, wracając wzrokiem do swojej gazety.

- Ba, byliśmy młodzi i głupstwa się nas trzymały.

- Ależ ja wciąż czuję się młoda - rzekła cichutko Emmaline. Jej słowa wydawały się szmerem myśli.

- Co?

- Powiedziałam, że wciąż czuję się młoda - powtórzyła

Emmaline. Ręce jej opadły wzdłuż ciała, a na twarzy pozostał wymuszony uśmiech.

- Młoda to ty nie jesteś, pani Hawthorne - oświadczył Bradford - i lepiej o tym nie zapominaj.

Grayson poczuł się niezręcznie, że jest świadkiem takiej sceny.

Kiedy nudny posiłek dobiegł wreszcie końca, Bradford skierował się do swojego gabinetu, Emmaline ruszyła na schody, a Grayson skręcił w stronę drzwi. Ale całą trójkę powstrzymał natarczywy dzwonek do frontowych drzwi.

Po chwili do jadalni wszedł lokaj.

- Pani Hawthorne - zakomunikował wielkopańskim tonem. - List do pani.

Wysunął przed siebie srebrną tacę z białą marszczoną kopertą, opatrzoną pieczęcią z ładnym monogramem *R. S.*

Matka Graysona patrzyła na marszczony papier, jakby zwiastował śmierć. Ale kiedy Grayson sięgnął, aby go wziąć i przekazać matce, Emmaline zerwała się z miejsca i sama porwała list z tacy lokaja.

Następnie opadła ciężko na fotel, trzepocząc nerwowo powiekami.

- To na pewno nic ważnego.

Nikt nie odezwał się słowem, a Bradford chyba w ogóle nie zauważył, że jego żona raptem zachowuje się dziwnie. Pożegnał zdawkowo Graysona i ruszył do wyjścia z sali jadalnej.

Gdy tylko Bradford zniknął za drzwiami, Emmaline zerwała się z fotela.

- Nie czuję się zbyt dobrze. Muszę się położyć. Będziesz musiał mi wybaczyć.

Z tymi słowy opuściła salę, nie oglądając się za siebie.

Emmaline pędziła jak strzała po Charles Street. Na poły wściekła, na poły rozdygotana niczym motyl na wspomnienie treści listu:

Em!

Albo ty przyjdiesz do mnie, albo ja do ciebie. Czekam w składnicy księgarskiej na Old Corner.

Richard

Jak on śmie?

Mimo ogarniającej ją wściekłości serce Emmaline przepełniała radość, że niebawem ujrzy Richarda w tym samym miejscu, w którym spotykali się przed laty.

Ostatnio widziała się z nim kilka razy w pracowni rzeźbiarskiej. Za każdym razem była uprzejma, choć trochę sztywna, i trzymała Richarda na dystans. Ale tęskniła za nim, budził w niej namiętność, gwałtowną i żywiołową, jakby liczyli sobie nie więcej niż po siedemnaście lat.

Tego południa dotrzywała mężowi towarzystwa. Miała nadzieję, że uda jej się stłumić odżywające uczucie do innego mężczyzny. Ale Bradford nie odpowiedział na jej zachętę.

Przywołała *dorożkę i wsiadła* niecierpliwie, a stangret ruszył z kopyta przez zatłoczone śródmiejskie ulice. Pamiętała czasy, kiedy jako dziewczyna uciekała na wagary do lokalu, w którym lubili się spotykać Emerson i Longfellow. Old Corner Book Store był mekką szerokich kręgów literatów. W dodatku miejsce to wzbudziło w Emmaline potrzebę robienia czegoś więcej niż picie herbaty i szydełkowanie obrusów na kościelne ołtarze przez resztę życia.

Nigdy przedtem nie była poddana działaniu poglądów i koncepcji tak różnych od wszystkiego, o czym opowiadały guwernantki oraz inne młode damy w eleganckich salonach bostońskiej socjety lub w szkołach dla dziewcząt z bogatych domów. Właśnie w tej księgarni pierwszy raz wpadła na pomysł, aby rzeźbić - kształtować swoje wizje nie słowami jak pisarze, ale swoimi własnymi rękami. Tworzyć. Uwielbiała spędzać długie dni na rozmowach, delektowała się świadomością, że odkryła w sobie nieznanne dotąd pragnienia.

Ale spokój ducha i satysfakcja nie trwały długo, ponieważ Emmaline była już zaręczona z Bradfordem.

Dwumiejscowa dorożka wjechała w zator i musieli zatrzy-

mać się na dłużej. Wszczął się tumult, stangreci zaczęli się przekrzykiwać i złorzeczyć jeden drugiemu, żądając pierwszeństwa przejazdu. Wreszcie Emmaline straciła cierpliwość i poinformowała stangreta przez tubkę, że wysiada.

Nim mężczyzna zdążył zaprotestować, Emmaline wyskoczyła na brukowaną jezdnię, podała mu kilka monet z torebki, a potem ruszyła dalej pieszo, lawirując między końmi i powozami. Zatrzymała się dopiero na rogu Washington Street i School Street przed sklepem, którego dach kształtem przypominał stodołę. Czując serce w gardle, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Minęło sporo czasu, zanim oczy Emmaline przystosowały się do otoczenia, a wtedy się okazało, że nikogo tam nie ma. Weszła głębiej, zapach starych, spleśniałych ksiąg wywoływał z jej pamięci obrazy zupełnie innego czasu. Przymknęła oczy, oddając się gorzko-słodkim wspomnieniom z dalekiej przeszłości. Jak to wszystko kompletnie się zmieniło...

- Em?

Zamrugła nerwowo i wtedy go zobaczyła. Był taki wysoki. Wciąż bardzo przystojny, a siewające włosy dodatkowo podkreślały jego urodę.

- Cieszę się, że przyszaś.

Emmaline przycisnęła do ciała torebkę haftowaną cekinami, czując, że sztywnieje.

- Nie pozostawiłeś mi dużego wyboru.

Richard zaśmiał się i skłonił głowę ze skruchą.

- Nie, nie pozostawiłem, prawda?

Szczerłość Richarda stępiła nieco ostrze jej złości i Emmaline prawie się uśmiechnęła. *Richard, najdroższy imper-tynent.* Wciąż taki sam.

Byli jeszcze młodzi, kiedy Richard wtargnął w jej życie i zawrócił jej w głowie. Emmaline była wówczas zaręczona i przez wiele tygodni nie zwracała uwagi na jego umizgi. Ale Richard nie rezygnował, przychodził do pracowni garncarskiej Andre i cały czas mówił do Emmaline, nie bacząc na

jej milczeniu. Raczył ją opowieściami ze swego życia. O rodzicach, których bardzo kochał. O rodzeństwie. Z upływem dni Emmaline coraz bardziej cieszyła się na jego wizyty.

Po miesiącu wszystko się zmieniło. Pewnego razu Richard przerwał swą opowieść w pół słowa, a następnie oświadczył wprost:

- Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

Tylko tyle, i to nazajutrz po kolejnym hucznym bankiecie wydanym dla uświetnienia jej zaręczyn, na którym Bradford Hawthorne zajmował się ostentacyjnie gośćmi, całkowicie pomijając Emmaline. Tego dnia spojrzała inaczej na Richarda - i wkroczyła na ścieżkę, która omal nie zrujnowała jej życia.

Do świadomości Emmaline przesączały się zapachy gliny i palącego się w piecach ognia, które przed chwilą ożywiły w jej pamięci minione trzydzieści dwa lata.

Ujął jej dłoń okrytą rękawiczką, ale Emmaline cofnęła ją zdecydowanie.

- Gniewasz się na mnie? - zapytał jakby z przyganą.

- To oczywiste. Nie miałeś prawa stawiać mnie w takiej sytuacji. Ten liścik mógł wpaść w niepowołane ręce.

- Nigdy nie lubiłaś dostawać ultimatum. - Richard przesunął palcem wzdłuż rękawa jej futra. - Ale zawsze byłaś taka śliczna, kiedy się złościłaś.

- Prawienie komplementów nic tu nie da. Gdyby mąż przeczytał ten liścik, konsekwencje byłyby straszne.

Richard zmarszczył czoło.

- Nie niszczyć takiego cudownego dnia wspomnianiem o twoim mężu. Resztkami się próbuję zapamiętać, że on w ogóle istnieje.

- Jeśli choć przez chwilę wydaje ci się, że ja o tym zapomnę, to się grubo mylisz.

- Hmm, no cóż, wielka szkoda. Ale dość tego. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Mało mnie to obchodzi.

- Naprawdę? Jesteś absolutnie przekonana, że nie chcesz zobaczyć pierwszego wydania sonetów Henry'ego Jamesa, które udało mi się znaleźć?

Oczy Emmaline rozszerzyły się z wrażenia.

- Byłem pewny, że wzbudzą twoją ciekawość.

Emmaline wykazywała doskonałą obojętność.

- Nie interesują mnie sonety.

- Zawierają *Pieśń miłosną kruka*.

Tytuł był dla Emmaline niczym sztylet wbity w jej serce.

- Dlaczego? - spytała. - Dlaczego mi to robisz? Nie jestem już głupią smarkulą o wybujałej fantazji.

Richard spowaźniał.

- Dlatego, że nigdy cię nie zapomniałem.

Teraz z kolei Emmaline zmarszczyła czoło.

- Zachowaj swoje opowieści dla innej łatwowiernej kobiety. Nie jestem już taka naiwna.

- Ach, Em. - Richard sięgnął po dłoń Emmaline, a kiedy się odsunęła, przechylił głowę i powiedział: - Przepraszam, jeśli zadałem ci ból.

- Przepraszam!

Tymczasem z zaplecza wyłonił się księgarz, wszedł za kontuar i usiadł na wysokim taborecie. Słyszając Emmaline, młody mężczyzna aż podskoczył z wrażenia.

- Przepraszam - syknęła jeszcze raz przez zęby.

Richard ujął Emmaline pod rękę i zanim się zorientowała, wyprowadził ją z księgarni na School Street.

- Co ty wyprawiasz? - spytała, kiedy zaczął ciągnąć ją za sobą, nie zważając na zimno panujące na dworze.

- Musimy porozmawiać, ale nie w takim tłumie ludzi.

- Nie mamy o czym dyskutować. Co więcej, nie zamierzam przebywać z tobą sam na sam.

Przystanął, odwrócił się twarzą do Emmaline i spojrzał na nią z zaskakującą powagą. Patrzył tak przez całą wieczność, tylko patrzył, a potem spuścił wzrok na jej dłoń, którą nadal mocno ścisnął, muskając kciukiem rękawiczkę.

- Nigdy nie wymazałem cię z pamięci. Starałem się. Mój Boże, jak bardzo się starałem. Musisz mi uwierzyć. - Jego kciuk znieruchomiał i Richard podniósł oczy na Emmaline. - Naprawdę mi przykro, że zadałem ci ból. Ale ja musiałem odejść - szepnął. - Rzeczywiście musiałem. A teraz, gdy znowu cię spotkałem, nie mogę wprost uwierzyć, że cię kiedykolwiek porzuciłem.

Coś ścisnęło Emmaline za gardło.

- Tylko porozmawiaj ze mną. O nic więcej cię nie proszę. Usiądziemy w jakiejś kawiarni albo na ławce w parku czy gdzieś, gdzie nikt ze znajomych cię nie zobaczy. Błagam tylko o jedno, Emmaline, nigdy więcej nie uciekaj przede mną.

Emmaline zamknęła oczy, zaskoczona brzmieniem tkliwych słów, które otoczyły ją ze wszystkich stron. Kiedy ostatnio mówiono do niej w taki sposób, jakby komuś na niej zależało? Kiedy ostatnio ktokolwiek szukał jej towarzystwa? Mężowi nie była do niczego potrzebna.

Czy było to jej pisane, czy powrót Richarda był jej przeznaczony? Czy wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby tego ranka Bradford okazał jej przychylność?

Emmaline nie wiedziała, co myśleć; szła po prostu u boku Richarda skapaną w promieniach zimowego słońca, które zabarwiało ją złociście i odmładzało psychicznie o wiele lat. Poza tym nie mogła zaprzeczyć, że cała aż kipiała z podekscytowania.

To było okropne i niewłaściwe. Doskonale o tym wiedziała. Obiecała sobie, że na najbliższej przeczniczy zatrzyma dorożkę i natychmiast wróci do domu. Ale przecznicze mijały jedna za drugą, a Emmaline wciąż pozwalała się Richardowi prowadzić i trzymać dłoń na swym łokciu, tak jak nakazywała przyzwoitość, choć przyzwoite to nie było.

Richard okazał się bezczelny, a jego palce spoczywające na rękawie Emmaline działały na nią jak najgorętszy pocałunek.

- Opowiedz mi o swoim życiu - odezwał się raptem, pomagając Emmaline obejść szeroką kałużę.

- Nie ma o czym mówić.

- Ależ jest. Podziel się ze mną swoimi troskami. - Richard patrzył czule na Emmaline. - Swoimi marzeniami.

Dziwne, ale Emmaline spełniła jego prośbę. Minęli tyle przecznic, że odeszła jej ochota, by je liczyć. Z każdym krokiem coraz bardziej oddalali się od śródmieścia i życia, które przystoi osobom z jej sfery.

- Pewnie poświęcasz się filantropii i oczywiście kochasz swoich synów - powiedział Richard, gdy Emmaline zamilkła. - Ale co robiłaś dla siebie?

Pytanie to zaskoczyło Emmaline. Nie przyszło jej do głowy, żeby cokolwiek robić dla siebie. I to przez tyle lat, dopóki niedawno nie wróciła do rzeźbiarstwa.

Richard musiał wyczuć jej zmieszanie.

- Powiedz mi, Em, co lubisz? Czego pragniesz tylko dla siebie?

Emmaline nie potrafiła na to odpowiedzieć. Nie dlatego, że nie chciała, po prostu uświadomiła sobie nagle, że nie ma pojęcia. Znała potrzeby swojego męża i swoich synów. Wiedziała, czego potrzebują przyjaciółki i ludzie z jej otoczenia. Całe życie upłynęło jej na zaspakajaniu cudzych potrzeb. Ale nikt nigdy nie zapytał Emmaline o jej własne pragnienia lub kłopoty. Pierwszy raz od lat miała uczucie, że ktoś o nią zabiega, że jest komuś potrzebna, że jest rozpieszczana i doceniona. Na moment wymazała ze świadomości fakt, że wymknęła się z domu chyłkiem na schadzki z obcym mężczyzną.

- Chciałaś znowu rzeźbić - podjął Richard. - Po co w tym celu miałybyś się spotykać z Andre Springfieldem? - spytał, patrząc uważnie na Emmaline. - Chyba że tak naprawdę chciałaś zobaczyć mnie.

Emmaline posłała mu chmurne spojrzenie.

- Chciałam rzeźbić.

- Więc dlaczego nie przychodzisz częściej?

- Tak trudno wyrwać się z domu.

- Zasługujesz na to. Zasługujesz na to, żeby pomyśleć dla odmiany o sobie. A jeśli trudno ci wyjść z domu to przecież możesz wziąć prywatnego nauczyciela, który będzie przychodził do ciebie. Kobiety z dobrych rodzin zawsze tak to robią.

Na tę myśl zalążki entuzjazmu rozkwitły w duszy Emmaline. Czy Bradford na to przyzwoli?

- Mógłbym przychodzić do twojego domu i cię uczyć.

Emmaline odwróciła się twarzą do Richarda.

- Dobry Boże, nie!

Richard roześmiał się, po czym spojrzał niewinnie na Emmaline.

- Ależ, moja droga, nie sprawiałbym żadnych kłopotów.

- Tak jak nie sprawiłeś ich dzisiaj, przysyłając mi ten liścik.

Richard nie miał w sobie nawet tyle wstydu, aby zrobić zmieszana minę, tylko ponownie się roześmiał.

- No dobrze, może to i nie jest najlepszy pomysł, żeby odwiedzał cię w twoim domu. Ale częściej przychodź do Andre. Nie myśl o mnie. Rób to dla siebie, dla Emmaline Abbot.

- Hawthorne - poprawiła go ostrym tonem.

- Och, kiedyś byłaś Emmaline Abbot, piękną dziewczyną, która potrafiła kochać jak nikt na świecie.

- Emmaline Abbot, dziewczyną, którą porzuciłeś bez jednego słowa.

- Zawsze lubiłaś czepiać się drobiazgów.

Richard poprowadził Emmaline na drugą stronę chodnika, gdzie przystanął, aby kupić jej gorące kakao i ciastko owinięte w brązowy papier.

- Pamiętasz, jak wybraliśmy się do Brookline? - spytał Richard.

- Nie - rzuciła bardzo ostro.

- Myślę, że pamiętasz.

- No, może odrobinę. - Emmaline uśmiechnęła się niepewnie.

- Tańczyłaś na bosaka, o ile pamiętam.

Emmaline czuła, że płonie rumieńcem.

- Byłam głupią dziewczyną.

Richard odwrócił ją twarzą do siebie, zaskakując Emmaline.

- Byłaś piękną, młodą kobietą. - Richard przesunął dłoń do góry wzdłuż ramion Emmaline, muskając palcami jej obojczyki. - Wciąż jesteś piękna - dodał ochryple. - Niezwykle piękna. - Teraz wzrok Richarda przeniósł się na usta Emmaline.

Z zapartym tchem spuściła wzrok. Tak łatwo byłoby przysunąć się bliżej i poczuć swoich wargach męskie usta. Ileż to lat minęło, odkąd ostatnio ktoś ją pocałował? Czy naprawdę czuła do Richarda pożądanie, czy też po prostu od lat brakowało jej pieśzczot mężczyzny?

- Często o tobie myślałem - szepnął, podnosząc rękę ku twarzy Emmaline i dotykając jej policzka. - Byłem ciekaw, co robisz ze swoim życiem, czy jesteś smutna, czy wesoła. - Muskał ją opuszką palca po skórze.

- Nie chcę znowu cię utracić.

Pochylił się do przodu i Emmaline zrozumiała, że chciał ją pocałować. Czy poczuje to samo co kiedyś? Czy Richard rozbudzi w niej namiętność?

Serce jej zakolało, ale jednocześnie umysł wykrzyczał szaleńcze ostrzeżenie.

- Czy ty też mnie pragniesz?

Emmaline szarpnęła się gwałtownie.

- Nie! - zawołała.

Richard wziął ją łagodnie za rękę.

- Tak, myślę, że pragniesz mnie. Ale jeszcze nie teraz - westchnął, a potem podniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował.

Emmaline cofnęła się jak oparzona.

- Tak długo czekałem, Emmaline, ale nie chcę już dłużej czekać.

Emmaline odwróciła się gwałtownie, unosząc rąbek suk-

ni, i ruszyła pędem po granitowym trotuarze, nie oglądając się za siebie.

Dwukółka zatrzymała się przy ruchliwym skrzyżowaniu India Street i Atlantic Avenue. Wcześniej, kiedy Grayson machnął na przejeżdżającą dorożkę, zauważył niechęcy jakąś kobietę wymykającą się z Hawthorne House. Tknęło go złe przecucie pomieszane z głuchą złością, toteż kazał stangretowi pojechać za tą dwukółką.

Ale śledzenie okazało się niełatwe. Dorożkarz stracił dwukółkę z oczu w ruchu ulicznym wkrótce po wyjechaniu z Beacon Street. Grayson kazał mu jeździć tam i z powrotem po krętych uliczkach, ale nic to nie dało. Lecz kiedy Grayson był już bliski rezygnacji, odniósł nagle wrażenie, że widzi tę kobietę ponownie. W towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Wysiadł z dorożki, rzucił stangretowi monetę i ruszył dalej na piechotę. Przeszedł przez jezdnię, klucząc między zapręgami i wyciągając szyję, kiedy widok zasłonił mu jakiś omnibus reklamujący złotymi literami usługi przewozowe.

Czekał niecierpliwie, denerwując się, aż wóz przejedzie. Następnie poszedł dalej po bruku i stwierdził, że matka gdzieś zniknęła. Pozostał tylko nieznamy mężczyzna.

Zanim Grayson znalazł się po drugiej stronie ulicy, coś znowu zasłoniło mu widok. Tym razem było to sprzedawca pchający wózek z towarem. Po chwili droga była wolna, ale tajemniczy mężczyzna również zniknął.

Grayson puścił się biegiem, aż krew zaczęła mu pulsować w skroniach. Biegał od jednego przechodnia do drugiego, przyglądając się ich twarzom, w końcu złapał jednego od tyłu.

- Hej, co to ma znaczyć? - zaprotestował wysoki mężczyzna.

Grayson natychmiast stwierdził pomyłkę i odskoczył od Bogu ducha winnego człowieka jak od trędowatego.

Stał zdyszany na środku przelotowej ulicy. Na niebie

kłębiły się złowieszczo pociemniałe chmury. Przechodnie rozdzielali się na dwie grupy, obchodząc Graysona z obu stron, nie zwracając najmniejszej uwagi na co najmniej dziwny wyraz jego twarzy.

Zresztą niebawem lunęło, a matki i tajemniczego mężczyzny nigdzie nie było, rozwiali się jak dym na wietrze.

14

Grayson zjawił się w Łabędziej Gracji z zamętem w głowie. Z India Street udał się najpierw do Hawthorne House. Kiedy poprosił o widzenie z matką, w pierwszej chwili zrobiło się nerwowe zamieszanie.

- Jest zajęta, panie Hawthorne - odparła jedna pokojówka, a niemal jednocześnie druga powiedziała: - Pani położyła się do łóżka.

Służące najwyraźniej straciły głowy.

- Znaczy... Chciałyśmy powiedzieć... pańska matka jest zajęta kładzeniem się do łóżka.

Grayson wpadł w jeszcze bardziej ponury nastrój.

Wracając nabrał przekonania, że tajemnicza kobieta wcale nie była jego matką, że tylko mu się tak zdawało. Przecież nie widział jej twarzy. Ale z nerwowego zamieszania i sprzecznych odpowiedzi pokojówek Grayson wysnuł wniosek, że to jednak była Emmaline Hawthorne.

Parę minut później, kiedy jego matka zeszła po schodach w „domowym” ubraniu, a pokojówka westchnęła z wyraźną ulgą na widok swojej chlebobawczyni, Grayson porzucił niepokojące myśli. Zapytał matkę bez ogródek, czy była tego dnia w porcie. Emmaline roześmiała się, może trochę zbyt głośno, a potem zaprzeczyła. Oznajmiła, że przez okrągły dzień nie wychodziła z domu. Z całą pewnością nie mógł jej tam widzieć.

Czy to prawda? Dlaczego miałyby kłamać? A jeśli nie mówiła prawdy, to dlaczego ta nieskazitelna kobieta spotykałaby się w niecieszącej się dobrą sławą dzielnicy z mężczyzną który nie jest jej mężem?

Grayson wrócił do Łabędziej Gracji. Zatrzasnął frontowe drzwi, po czym wszedł do holu, stukając donośnie butami. Na ten dźwięk pojawiła się suka przygarnięta przez Sophie, przeciągając się, jakby dopiero co wstała.

- Sophie! - zawołał Grayson.

Musiał się z nią widzieć, traktował ją jak lekarstwo na uśmierzenie gonitwy myśli, która odbywała się w jego głowie. Nie lubił analizować swoich uczuć do Sophie. Silne i gwałtowne pożądanie nie przypominało niczego, czego doświadczył w przeszłości. Teraz nie mógł już bez Sophie żyć. Ta kobieta doprowadzała go do takiego samego szaleństwa, jakie ogarniało jego matkę.

- Sophie! - zawołał głośniejszym głosem, aż echo jego krzyku odbiło się o wysokie, marmurowe sklepienia.

Ale nikt nie przyszedł. Dom wydawał się pusty, nie licząc suki. Grayson zaklął w duchu.

Miał dużo pracy i powinien iść do swojego gabinetu, ale nie potrafił się uspokoić. Chodził od jednego pokoju do drugiego, a pupilka Sophie dotrzymywała mu towarzystwa, kuśtykając niezgrabnie obok niego. Grayson zaglądał wszędzie, ale nikogo nie znalazł. Sophie najwyraźniej nie było w domu.

Czekało go wieczorem ważne spotkanie towarzyskie, w którym musiał koniecznie uczestniczyć, a jego szafa w hotelu była pusta, ponieważ sterta brudnych ubrań, która uzbierała się obok niej, znalazła się wreszcie u praczki. Miał jeszcze mnóstwo odzieży na piętrze w Łabędziej Gracji.

Kiedy Grayson skierował się z powrotem do holu, suka znowu poszła za nim. Przystanął i popatrzył na nią z góry. Oddawała mu spojrzenie. Przedstawiali sobą niezły widok, zdawał sobie z tego sprawę. Dwie pompatyczne, źle dobrane dusze.

- No, idź stąd - powiedział do suki, pokazując ręką na kuchnię.

Suka tylko potrząsnęła łbem i ruszyła za Graysonem w stronę schodów.

Zatrzymał się na pierwszym schodku, słysząc jakąś bezradną szamotaninę. Odwrócił się do tyłu i zobaczył sukę, która usiłowała wejść na schody. Starła się. Nie żałowała trudu. Ale wymagała pomocy.

Serce omal nie pękło Graysonowi z bólu i aż jęknął. Ale kiedy suka znieruchomiała i spojrzała na niego żałośnie swoimi dużymi brązowymi oczyma, Graysonowi nie pozostało nic innego, jak jeszcze raz zakląć pod nosem i wrócić na dół.

- Jesteś tak samo irytująca jak twoja nowa pani - powiedział z większą złością, niż odczuwał, a potem chwycił psinę od spodu i ruszył z nią na górę, mamrocząc coś do siebie.

Nie pokonał nawet trzech schodków, kiedy stukot kołatki oznajmił o przybyciu jakiegoś gościa. Grayson wrócił na dół, delikatnie postawił sukę na podłodze i otworzył frontowe drzwi w tej samej chwili, gdy kołatka odezwała się ponownie.

- No, no... - powiedział gość - czyżbyś rzucił praktykę adwokacką i objął posadę lokaja?

Niepewny uśmiech zaigrał na ustach Graysona.

- Lucas - powiedział, wyciągając rękę na powitanie swojego najmłodszego brata.

Lucas wyszczerzył zęby, zignorował wyciągniętą rękę i porwał brata w objęcia, od których Graysonowi omal nie popękały wszystkie żebra.

- Co u ciebie słyszać? - spytał Grayson, cofając się, aby popatrzeć na Lucasa. - A właściwie, gdzieś ty się podziewał? Nie widziałem cię od wieków.

- Bywało się tu i tam - wzruszył ramionami Lucas.

- Wchodź.

- Nie mogę zostać. Spiesz mi się.

Lucas Hawthorne był wysokim mężczyzną, równie wy-

sokim jak Grayson, o takich samych ciemnych włosach i szerokich ramionach. Najbardziej różnili się kolorem oczu. Lucasa były niesamowicie błękitne, podobnie jak ich ojca.

Grayson był uderzająco przystojny, natomiast Lucas przypominał bardziej uroczego rozpustnika, którym zresztą był i któremu nie schodził z twarzy szatański uśmiech.

Był właścicielem cieszących się złą sławą Wrót Słowika, jedyne w Nowej Anglii męskiego klubu. Tańce, pijaństwo, hazard, towarzystwo pięknych kobiet, a wszystko w luksusowym otoczeniu. Przepustkę do wytwornego lokalu stanowiły pieniądze, i to niemałe. Grayson wiedział, że panowie z wyższych sfer ciągnęli tam całymi gromadami.

Najmłodszy Hawthorne zdobywał rozgłos w równej mierze jako posiadacz Wrót Słowika, jak i jako synalek szlacheckiego domu Hawthorne'ów. Mało która rodzina z wyższej sfery miała syna będącego właścicielem spelunki. Nawet gdyby takowego krewniaka posiadała, utrzymywałaby ten niefortunny stan rzeczy w najgłębszej tajemnicy.

I właśnie tak Bradford Hawthorne starał się postępować, choć najmłodszy potomek niweczył jego plany, z wielką przyjemnością rozpowiadając całemu światu o życiu, jakie prowadził. Bradford nienawidził go za to nie mniej niż za wszystkie inne sprawki. Było jednak publiczną tajemnicą, że nienawiść tę syn odwzajemniał z nawiązką.

Grayson też oczywiście o tym wiedział. Starał się godzić ojca z bratem i namawiał ich do szczerzej rozmowy, ale jeden dorównywał drugiemu zarówno pod względem uporu, jak i niechęci do omawiania przyczyn różnicy poglądów.

Lucas wyjął z kieszeni zaproszenie wytłoczone pięknymi literami na cieniutkim pergaminie. Najbardziej stateczni patriarchowie Bostonu nie postaraliby się bardziej.

- To dla ciebie.

Grayson przebiegł tekst wzrokiem.

- Bal maskowy... - powiedział, kręcąc głową - we Wrotach Słowika - dodał z surową miną. - Czy to rozsądne?

- Daj spokój, najstarszy bracie - podlizywał się Lucas. Był w szampańskim humorze, choć powinien się mitygować. - Zdziwiłbyś się, ile znanych osób, które doskonale znasz, weźmie udział w moim dorocznym balu.

- Wygląda na to, że policja bostońska będzie miała idealną okazję do zapełnienia swoich aresztów.

Lucas tylko się roześmiał, a potem spojrział w dół.

- A to co? - spytał, zaskoczony najwyraźniej widokiem zwierzęcia ocierającego się o idealnie odprasowane nogawki flanelowych spodni brata.

Grayson wydawał się tym równie zdumiony.

- Świeży nabytek dla gospodarstwa domowego - mruknął. Suka zamierdała ogonem i ziewnęła przeciągle.

Lucas przykucnął i przebiegł palcami po rzadko rozrzuconych kępach sierści.

- Widzę, że chyba mieszkałaś na ulicy i wpadłaś na zgrają łobuzów, moja droga.

- Suka była prawie martwa, kiedy Sophie ją znalazła - wyjaśnił bezwiednie Grayson, przypominając sobie ciężkie sapanie zwierzęcia na swoich piersiach.

Lucas wyprostował się, na jego twarzy odmalowało się zmieszanie.

- Sophie?

Grayson wydawał się równie zmieszany zainteresowaniem brata.

- Tak, Sophie. Wróciła.

- Mała Sophijka Wentworth. I Sophie ma psa. - Lucas roześmiał się na cały głos, po czym popatrzył uważnie na Graysona. - Faktycznie, wydajesz się taki wściekły, że tylko cię wiązać. Nie mów mi, że to przez tego psa.

- Skoro koniecznie chcesz wiedzieć, to Sophie doprowadza mnie do szaleństwa. Ale to nie ma nic do rzeczy.

Teraz Lucas parsknął śmiechem.

- Sophie zawsze umiała namieszać. Boże, nie widziałem jej od wieków. Wciąż wygląda tak samo? Kudły na głowie i za du-

że czy jak na swoją twarz? A te falbanki? Powiedz, że nie nosi tych wszystkich falbanek, przez co wygląda jak owieczka.

Grayson wydał wargi z czułością.

- Nie, nie wygląda jak owieczka. Wyrosła na piękną kobietę.

- Chciałbym ją zobaczyć.

- Trudno będzie o okazję, chyba że zechcesz wpaść czasami na obiad. Na pewno nie zobaczysz jej we Wrotach Słowika.

- Dlaczego? - roześmiał się Lucas. - Przyprowadź ją dzisiaj na maskaradę. Nikt się nie zorientuje, że to ty.

- Nikt się nie zorientuje, że to ja, bo to nie będę ja.

Lucas wybuchnął śmiechem.

- Któregoś dnia zawlokę cię tam, starszy braciszku.

Po wyjściu Lucasa Grayson stał w drzwiach przez kilka chwil, dopóki nie usłyszał pisku suki. Bez namysłu cisnął zaproszenie na stolik i przykucnął obok zwierzęcia.

- O co chodzi, mała?

Suka znowu pisnęła i wtuliła głowę w jego uda. Wbrew sobie Grayson uśmiechnął się i zaczął czochrać jej kudły.

- Potrzebujesz odrobiny czułości, prawda? Niestety, muszę uciekać. Najpierw jednak wskoczę w jakiś garnitur.

Grayson ruszył w kierunku schodów, ale tym razem, kiedy suka poszła za nim, wyciągnął rękę i powiedział:

- Zostań.

I suka została.

- Najwyraźniej ktoś cię wytresował, mała. Ciekawe kto. Nie masz może rodziny, która cię szuka?

Zwierzę poruszyło głową, po czym klapnęło na wyłożoną kafelkami posadzkę, a Grayson skierował się na schody.

Sophie wróciła, wpadając do domu na chwilę przedtem, zanim lunął deszcz. Policzki miała zaróżowione, a ręce skostniałe od zimna. Będzie musiała porządnie je rozgrzać, zanim usiądzie do wiolonczeli.

Zdejmując kapelusz, zobaczyła ku swemu zdziwieniu Słodką leżącą cierpliwie na podłodze w holu. Stan zdrowia Słodkiej, jak Sophie zaczęła nazywać zwierzę, które pokochała, znacznie się poprawił, suka wciąż jednak poważnie niedomagała.

Rozlepiono następny komplet ogłoszeń, ale nikt się nie zgłosił. Co prawda Sophie obiecywała sobie, że nie przywiąże się do suki, ale stało się jasne, że to już nastąpiło. Każdej nocy Słodka spała w jej pokoju, a co rano szła za Sophie na dół, żeby posłuchać muzyki. Jak cień. Jak członek rodziny. Jak ktoś, kto naprawdę ją kocha, dla niej samej, bez względu na to, jak wyglądała i grała.

Sophie przymknęła oczy, dziwiąc się łzom, które stanęły jej w oczach. Nigdy w życiu nie miała niczego tylko dla siebie, czegoś własnego, co mogłaby kochać. Wiolonczela się nie liczyła, ponieważ instrument nie potrafił odwzajemniać uczucia. I choć kochała swoją świtę, wiedziała, że to nie jest to samo. Lubili ją, być może z czasem zaczęło im na niej zależeć. Ale fakt faktem, że kiedy Sophie nie mogła wypłacać im pensji, *przyjaciele* natychmiast rozjechali się we wszystkie strony.

- Czekaaś na mnie przez cały czas? - spytała Sophie, wieszając kapelusz na kołku.

Słodka rozłożyła się na grzbiecie, dając do zrozumienia, że należy ją pieścić. Sophie roześmiała się, spełniając prośbę suki.

-- Ale tylko przez chwilę, a potem naprawdę, naprawdę muszę ćwiczyć. - Od kilku dni Sophie bardzo mało ćwiczyła. Zupełnie nie potrafiła przesunąć smyczkiem po strunach. Ilekroć brała się do *Walca łabędziego* albo nawet *Gniazda miłości*, zaczynała jej drzeć ręka, a potem Sophie budziła się nagle ze snu na jawie, w którym wykonywała Bacha.

Wyprostowała się energicznie, zrzuciła z siebie płaszcz i cisnęła go na bok, po czym ściągnęła rękawiczki i położyła je na stoliku. Uwagę jej zwróciło leżące na stoliku jakieś grube zaproszenie.

Pogoda robiła się coraz gorsza, słychać było odgłos ulewnego deszczu padającego z ołowianego nieba. Sophie żałowała, że ostatecznie nie wybrała się z przyjaciółmi do Nowego Jorku. Do diabła z pieniędzmi.

Nie znosiła deszczu. Zarówno kiedyś, jak i teraz.

Sophie musiała się czymś zająć - nie licząc oczywiście wysiłków, żeby grać na wiolonczeli.

Czując dreszczyk podniecenia, rozerwała kopertę, w której znajdowało się zaproszenie na bal maskowy w lokalu zwanym Wrotami Słowika. Sophie prawie codziennie dostawała zaproszenia na rozmaite bankiety albo imprezy towarzyskie. Nic jednak nie zapowiadało się tak cudownie dekadentcko jak maskarada. W sam raz na poprawienie nastroju.

Wtem rozległo się dyskretne pukanie do frontowych drzwi. Sophie chciała je zignorować, doszła jednak szybko do wniosku, że intruz mógłby się bardzo przydać. Pewnie jeden z klientów Graysona. Petent. Może nawet jakiś stary znajomy. W tym momencie wystarczyłyby jej ktokolwiek.

Kiedy jednak otworzyła drzwi, obok których powłóczyła nogami Słodka, Sophie dosłownie zdębiała. Na progu stał jakiś elegancko ubrany pan z chłopcem. Przez ułamek sekundy twarze obu były poważne, ale po chwili chłopiec krzyknął i rzucił się na kolana. Suka zaskamlała, kuśtykając prosto w jego ramiona.

- Złotko! - wybuchnął radością chłopiec i, zalewając się łzami, przygarnął sukę do piersi. - Co ci się stało?

Sophie nie była w stanie zebrać myśli, a tym bardziej czegokolwiek powiedzieć.

Chłopiec wtulił twarz w sierść na szyi Słodkiej; Sophie czuła na policzkach zarówno jego łzy, jak i swoje własne.

- Och, Złotko! - wołał zdławionym głosem.

- Znacie państwo tę sukę? - spytała niepotrzebnie Sophie.

Mężczyzna wyszedł naprzód i wyciągnął do Sophie rękę.

- Nazywam się Norville Green, a to jest mój syn, Dan-

ny. Zauważyliśmy pani ogłoszenie w sprawie Złotka. Dobry Boże, co jej się stało?

- Nie jestem pewna - zdołała wykrztusić Sophie. - Znalazłam ją raną kilka domów stąd.

Norville Green pokiwał głową.

- Byliśmy na pikniku w parku, kiedy Złotko zaczęła gonić za jakąś wiewiórką, po czym zniknęła. Szukaliśmy jej kilka godzin. Syn od tego czasu jest bardzo przygnębiony.

- Green przykucnął obok Słodkiej. - Z tego, co widzę, to cud, że przeżyła - stwierdził, podnosząc wzrok na Sophie.

- Jak możemy odwdziaczyć się pani za opiekę?

Wzruszenie chwyciło Sophie za gardło. Głupstwo, mówiła do siebie, to tylko pies. W dodatku cudzy. Powtarzała to sobie już od kilku dni.

- Nie musi się pan odwdzięczać. Cieszę się, że Słod... że Złotko ma kogoś, kto będzie ją kochać i troszczyć się o nią.

Sophie uklękła na oba kolana; godziła się z ciężkim sercem na rozstanie z suką, wiedziała jednak, że nie ma innego wyjścia. Słodka wydawała się rozdarta pomiędzy małym chłopcem a Sophie. Kuśtykała tam i z powrotem najzwinniej jak potrafiła.

Sophie ułatwiła jej zadanie. Najpierw serdecznie przytuliła sukę, a potem delikatnie wypchnęła za próg.

- No, cieszę się, że ją państwo znaleźliście. Proszę wpaść z nią tutaj od czasu do czasu.

Kiedy zatrasnęły się drzwi za Greenami, Sophie oparła się plecami o drewno, czując spoistość jego powierzchni całą długością kręgosłupa. Stała tak, zaciskając mocno powieki i nie wiedząc, co robić. Wreszcie poszła do gabinetu Graysona i usadowiła się w jego fotelu. Siedziała wciśnięta w skórzane obicie, wyobrażając sobie, że siedzi w objęciach Graysona.

Sophie czuła się uwięziona wśród tych murów przez coś gorszego niż deszcz. Nawet perspektywa balu maskowego nie załagodziła jej cierpienia. Czuła się strasznie samotna i miała za dużo czasu na myślenie.

Co ona robiła?

Czy naprawdę chciała wrócić do takiego życia, jakie prowadziła w Europie?

Kilka razy potrząsnęła głową. Europa była dla niej dobra. Kochała ją. Pragnęła jej tak jak nikt dotąd.

Ale teraz najwyraźniej pragnął jej Boston. Mili goście. Kwiaty. Nieustanne zaproszenia. To chyba o czymś świadczyło.

Sophie drażniła dręcząca niepewność. Ledwie parę tygodni pobytu w Bostonie sprawiło, że czas stanął w miejscu, po czym zawrócił do okresu, kiedy Sophie była odmieniec - słyszała w głowie muzykę, zapamiętywała każdy utwór, który choć raz zagrano w jej obecności, matka ją przekonywała, że była kimś wyjątkowym. Z tego powodu rówieśnicy od niej stronili. Dziewczynka chciała bawić się z rówieśnikami w zwykłe dziecięce gry, ale matka za każdym razem jej tego zabraniała, ponieważ mogłaby skaleczyć się w rękę.

Ileż razy przeklinała fakt, że jest cudownym dzieckiem? Ileż razy żałowała, że nie jest taka sama jak chłopiec lub dziewczynka, których akurat poznała? Lalki może i lubiła, ale zabawa lalkami nie sprawiała Sophie żadnej przyjemności. Gra w klasy, warcaby, w chowanego? Nuda. Szachy? Być może. No, a muzyka? Nuty i tempa, pauzy i tonacje? Odkąd sięgała pamięcią, właśnie to ją fascynowało. I właśnie dlatego inne dzieci uważały ją za dziwaczkę.

Sophie zamknęła oczy, starając się odegnać wspomnienia. Ale jednego nie udało jej się powstrzymać. Skończyła czwarty rok życia, kiedy dojrzały ponad swoje lata Grayson obroził ją przed rówieśnikami, a potem przyklęknął na jedno kolano, otarł jej łzy z oczu, pocałował nos, potargał włosy i kazał iść do domu. Sophie momentalnie się w nim zakochała i zaczęła stale chodzić za nim, kiedy tylko miała okazję.

Nagle uwagę Sophie zwrócił jakiś trzask w głębi domu. Zaciekawiona wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła Graysona stojącego przed otwartymi frontowymi drzwiami. Przyglą-

dał się ulewie, trzymając na ręku jakieś ubranie, o którym najwyraźniej w ogóle nie pamiętał.

Sophie przypomniała sobie natychmiast ową noc, kiedy zobaczyła Graysona z inną kobietą. Był nagi. Ciekawe, czy wciąż jest taki silny. Czy będzie mogła kiedykolwiek dotknąć jego ciała w intymny sposób?

Różne myśli przemknęły przez głowę Sophie, nim zdołała je powstrzymać, skupiając uwagę na władczych rysach twarzy tego przystojnego mężczyzny. Grayson nosił jak zwykle ciemny garnitur z odprasowanym białym kołnierzykiem przypiętym do białej, niemnącej koszuli. Dziś jednak Sophie dostrzegała przede wszystkim jego wełnianą kamizelkę w ekstrawaganckie prążki - znak, że Grayson potrafi jednak być na luzie.

Najwyraźniej nie był świadom obecności Sophie. Patrzył na posępne niebo zupełnie tak samo jak ona przedtem. Wyraz twarzy miał teraz inny, jakby pełen niepokoju, pozbawiony arogancji, aczkolwiek jego spojrzenie wciąż było władcze. Grayson nawet zatopiony w myślach emanował siłą, z którą trzeba było się liczyć.

Sophie spróbowała wymknąć się ostrożnie.

- Wiem, że tam jesteś.

- Musisz mieć oczy z tyłu głowy.

- A ty specjalne pantofle do skradania się cichaczem.

Sophie zerknęła na swoje pantofle od Louisa na modnym wygiętym obcasie wysokości pięciu centymetrów.

- Wcale nie - odparła.

Grayson odwrócił się powoli od drzwi, oparł plecami o drewnianą framugę i utkwiał wzrok w Sophie. Jak zwykle uderzyły go jej piękno i wewnętrzny żar, który płonął w jej duszy.

- Zapomniałaś, że kazałem naprawić zamek - oświadczył.

Sophie zmieszała się.

- No, wiesz, ten, który zepsuł Henry, kiedy włamywał się do domu.

- Ktoś mógłby się tu włamać i ukraść twoje skarby? - spytała, wzruszając ramionami.

Omiótł ją wzrokiem.

- Nie o papiery się martwię.

Miał wrażenie, że się zaczerwieniła. A jeśli nawet tak było, to szybko się opanowała i spokojnie weszła do holu.

- Nudzi mi się - oznajmiła. - Może zaprosisz mnie gdzieś na herbatę? Albo jeszcze lepiej zabierz mnie na tańce.

Grayson byłby się uśmiechnął, gdyby nie dręczące go myśli o matce i Lucasie.

- Nie jestem w nastroju do herbaty - odparł, wyrzucając rodzinę z pamięci. - Wątpię też, czy o tej porze jest w Bostonie otwarta jakaś sala taneczna. Co wcale nie znaczy, żebym cię tam zabrał. - Nawet on usłyszał, że jego głos zabrzmiał szorstko.

Sophie zmarszczyła czoło.

- Ho, ho! Jesteś zły. Czyżbym zachowała się zbyt bezpośrednio? Czy mój ojciec nie powinien najpierw zatelefonować do twojego i spytać, czy możesz wyjść z domu, żeby się rozerwać?

Na ustach Graysona pojawił się drwiący uśmieszek. Odłożył garnitur i ruszył w kierunku Sophie. Na każdy jego krok do przodu odpowiadała jednym krokiem do tyłu.

- Możemy się zabawić, jeśli chcesz - zaproponował, unosząc diabolicznie jedną ciemną brew. - Ale nie jestem pewny, czy powinniśmy pytać o to twojego ojca.

Tym razem nie mogło być wątpliwości, czemu na policzkach Sophie pojawiły się rumieńce.

- Niedługo zaczną się schodzić interesanci - rzekła.

Grayson przystanął z głośnym jękiem.

- Tylko mi nie mów, że znowu zapomniałaś powiedzieć mi o jakimś spotkaniu.

- O niczym nie zapomniałam - odparła. - Chociaż przyjmowałam zapisy przez okrągły tydzień.

Po kilku następnych krokach Sophie znajdowała się za biurkiem Graysona, a on przed nim.

- Czy to znaczy, że otwierałaś drzwi? - spytał.

Sophie rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Cóż miałam na to poradzić? Łatwiej odpowiedzieć na pytanie, niż je zignorować. Ludzie potrafią być natrętni. Chyba jesteś teraz bardziej wziętym adwokatem niż kiedyś. - Sophie pochyliła się nad biurkiem i dodała niskim głosem: - Pewnie jestem przynętą. Zdaje się, że mam do tego talent. Weźmy przemiłego pana Cardwella. Pamiętasz go, prawda? Udzieliłam mu porady w sprawie rozwodowej.

- Owszem, pamiętam. Nie wpadł może, aby oświadczyć, że wytacza mi proces o nadużycie zaufania?

Sophie parsknęła śmiechem.

- Nie. Załagodził spór z połowicą i znowu przeżywają idyllą małżeńską. Dzięki moim radom. Dowód, że ludziom wcale nie potrzeba nabzdyczonych, pompatycznych i nudnych doradców.

- Pewnie wolą nieokrzesanych i zuchwałych, takich jak ty.

Sophie wrzuszyła ramionami.

- Wystarczy, jak czasami się uśmiechniesz.

Graysonowi znowu pociemniała twarz, zniknęła z niej wszelka lekkość i ironia, a powróciła zboląta mina, którą Sophie dostrzegła na samym początku.

Przyglądała mu się uważnie, niezdolna do powstrzymania uśmiechu, który ożywił jej oczy.

- Ale tobie też jest bardzo wdzięczny za poradę. Jesteś najbardziej szanowanym adwokatem w Bostonie.

- Tak powiedział?

Sophie zmarszczyła nos.

- No, nie, ale zrobiłeś taką minę, że należało ci się kilka miłych słów.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem i kiwnął głową.

To tyle, jeśli chodzi o rozweselenie Graysona.

- A więc powiedz mi - ciągnęła Sophie, opierając rękę

na bibularzu i patrząc na Graysona roziskrzonymi figlarnie oczyma - cóż to za okazja? - Pokazała na jego kolorową kamizelkę. - Umówiłeś się na schadzkę?

- Schadzka to nie jest właściwe słowo, biorąc pod uwagę, że się z tobą zaręczyłem. - Grayson ruszył przed siebie wokół biurka.

- To ty tak twierdzisz - prychnęła całkiem nie po kobiecemu. - Więc po co przyszedłeś do Łabędziej Gracji? Chyba nie masz nikogo w terminarzu. I zwykle nie pokazujesz się tu tak późno w ciągu dnia. - Sophie skrzywiła usta. - Czy już nie czas, byś zrobił coś nudnego, na przykład uciął sobie drzemkę?

- Jeśli chcesz, to możemy iść na górę i wskoczyć do łóżka oboje. Ale nie jestem pewien, czy chce mi się spać.

Sophie roześmiała się z uznaniem.

- Naprawdę robisz się w tym dobry.

- Przez długie lata sposobielem się do „póki-śmierć-nas-nie-rozłączy”. Nawiasem mówiąc, musimy ustalić datę ślubu.

- Myślałam, że miałeś się do mnie zalecać.

- Próbowałem.

- Jeśli to są zaloty, aż boję się sprawdzić, czym one nie są. - Odprawiła Graysona machnięciem ręki, jak gdyby nawet przez chwilę nie wierzyła, że się z nią ożeni.

- *Zostaniesz* moją żoną, Sophie.

- Naprawdę? - spytała niskim i miękkim jak masło głosem.

Graysona przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Chcesz powiedzieć, że twoja żona może ubierać się prowokacyjnie? - ciągnęła Sophie, przechodząc wokół biurka. Zatrzymała się przed Graysonem, odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała mu prosto w oczy. Następnie wsunęła ręce pod surdut i położyła dłonie na jego kamizelce. - Może chodzić w boa? - Uśmiechnęła się kusząco, nagłym ruchem nadgarstka ściągnęła z siebie futrzanego węża i zarzuciła Graysonowi na szyję.

Oboje byli zaskoczeni takim obrotem sprawy. Raptem znaleźli się bardzo blisko siebie.

- Kokietujesz mnie, Sophie?

Zaśmiała się wesoło, ale głos jej drżał.

- Nie, ja się tylko dobrze bawię.

Spróbowała się wycofać, musiała zwiększyć dzielący ich dystans, pozostawiając boa na szyi Graysona. Ale Grayson złapał za jeden koniec, szarpnął mocno, po czym delikatnie owinał szalem z piór Sophie, przyciągając ją do siebie.

- Ja nie bawię się w gry towarzyskie. I nie łamię obietnic. A obiecałem twojemu ojcu, że się z tobą ożenię.

- Ja natomiast nie mam żadnych skrupułów, jeśli chodzi o łamanie obietnic. - Sophie próbowała się odsunąć. - Jestem mistrzynią odpukiwania w niemalowane drewno i używania sprytnych wybiegów. Poza tym nikomu niczego nie obiecywałam.

- Twój ojciec zrobił to w twoim imieniu.

- I nie możesz machnąć na to ręką, co? - poskarżyła się.

Boa trzymał ją w miejscu tak mocno jak sznur. Sophie skończył się dobry humor. Poczowała, że ogarnia ją dawna złość.

- Niech to diabli, dlaczego chcesz się ze mną ożenić? Daj mi choć jeden dobry powód. Byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi - rzekła po dłuższej chwili milczenia, odwracając wzrok. - Po co to niszczyć?

- Nie chcę być twoim przyjacielem, kochanie. - Grayson dotknął podbródka Sophie, jego palce delikatną pieśczęcią zmusiły ją do spojrzenia w jego oczy. - Ja chcę być twoim mężem.

- Już panu mówiłam, Hawthorne - odparła, akcentując każde słowo - ja nie wyjdę za mąż. Nie stanę się własnością żadnego mężczyzny.

Oczy Graysona zwężyły się od emocji.

- Mężczyzna nie jest właścicielem kobiety.

- Może nie w znaczeniu dosłownym. Ale spójrz na Patrice.

- Ona na pewno nie jest niczyją własnością - upierał się

Grayson. - Tylko żoną. Panią domu mężczyzny. Matką jego dzieci.

- Jego domu. Jego dzieci. Kobiecie się mówi, co może, a czego nie może robić. - Sophie chciała dodać coś jeszcze. Zawahała się, ale już po chwili brnęła dalej, stąpając po kruchym lodzie. Zaszła już za daleko, aby się teraz wycofać. - Popatrz na swoją własną matkę.

Wyczuła, że Grayson się zdenerwował.

- Związek moich rodziców nie różni się od innych. Na tym polega istota małżeństwa.

- Ale nie powinna!

- Dlaczego? - spytał Grayson, patrząc badawczo na Sophie. - Powiedz, dlaczego - zażądał donośnym nagle głosem, jakby chciał uwierzyć, że mogło być inaczej.

Ale Sophie nie miała gotowej odpowiedzi ani żadnego nowego przykładu na odparcie argumentów Graysona.

- To niesprawiedliwe, żeby kobieta musiała słuchać rozkazów mężczyzny - oświadczyła z ciężkim westchnieniem, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Grayson zrobił srogą minę i Sophie bała się przez chwilę, że jej wyjaśnienie bardzo go rozczarowało.

- Jeśli nauczyłem się czegoś na tym świecie - powiedział - to właśnie tego, że w życiu sprawiedliwości nie ma. Im szybciej to zrozumiesz, tym będzie ono dla ciebie łatwiejsze.

- Akceptacja nie sprawi, że w małżeństwie stanę się lepsza. Nie nadaję się na dobrą żonę, bez względu na to, co sądzisz.

- Bzdury.

- Potrzebujesz kobiety, która będzie siedziała w domu i zachowywała się przyzwoicie.

- Nie musiałybyś siedzieć w domu, Sophie. I czy to tak trudno przyzwoicie się zachowywać?

Coś ścisnęło ją za gardło. Grayson niczego nie rozumiał. Ani jej, ani życia, jakie prowadziła.

- Ta rozmowa nie ma sensu - rzekła wreszcie, zdobywając się na uśmiech mimo uczucia dławienia w gardle.

Grayson założył kapryśne pasemko włosów za uchem Sophie.

- Jesteś po prostu zdenerwowana. Będzie z ciebie wspaniała żona i wspaniała matka. Poznałem to po troskliwości, z jaką opiekowałaś się suką. - Zerknął na korytarz, a potem zmarszczył brwi. - Nawiasem mówiąc, gdzie ona się podziewa?

- Już jej nie ma. - Sophie zagryzła usta, aby się nie rozpłakać. Przeżycia całego dnia stały się dla niej raptem nie do zniesienia. Nie cierpiała tego uczucia pieczenia w oczach i ściskania za gardło. Nie potrafiła wytłumaczyć samej sobie, dlaczego czuła się taka zagubiona. - Parę minut temu zgłosił się właściciel.

Grayson westchnął i otoczył Sophie ramionami.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytał głosem tak miękkim, że serce omal nie pękło jej z bólu.

- To tylko suka. - Sophie przygryzła wargę. - Zaczynam nazywać ją Słodką.

- Idealne imię dla psiny, którą pokochałaś. - Grayson musnął Sophie ustami po czole. - Tak mi przykro. Jeśli chcesz, kupię ci innego psa.

- Nie chcę innego! Nic mi nie jest, czuję się zupełnie dobrze - zawołała, przełykając z trudem.

Grayson pocałował obie powieki Sophie, a następnie oparł brodę na jej głowie. - Nie czujesz się dobrze. Nigdy nie zapomnisz Słodkiej. A ona nigdy nie zapomni ciebie.

Minęła dobra minuta.

- Tak sądzisz? - spytała miękko.

- Ciebie, Sophie Wentworth, zapomnieć się nie da. - Grayson pocałował ją w czubek głowy. - Wybieram się na przyjęcie do domu pewnego klienta. Chodź ze mną. A potem wieczorem wychylimy toast za zdrowie Słodkiej.

- Niestety, mam już inne plany.

- Jakie plany?

Sophie gorączkowo szukała w myślach jakiegoś pretek-

stu. Ostatnie, czego było jej trzeba, to pójść gdziekolwiek z Graysonem. Nagle znalazła.

- Dostałam zaproszenie na bal. - Na maskaradę.

- Pewnie od jednego z twoich licznych wielbicieli - mruknął.

- Pewnie tak - odparła z uśmiechem.

- Odwołaj - rzucił despotycznie, po czym ruszył w stronę drzwi. - Wrócę po ciebie o ósmej.

15

Dochodziła ósma i niebawem Grayson pojawi się w Łąbędziej Gracji, aby towarzyszyć Sophie na przyjęciu. Tylko że Sophie nie było w domu, nie mogła więc Graysona powitać.

Tymczasem stała w ozdobnych podwojach prowadzących do lokalu zwanego Wrotami Słowika. Nosiła maskę na twarzy i specjalny kostium.

Czuła się przepysalnie dekadenccko i jej nastrój zaczynał się poprawiać.

Deszcz już przestał padać, lecz wieczór był wciąż zimny, a niebo przybrało złowieszczy wygląd. Sophie otuliła się mocniej czarną atłasową peleryną.

Prócz okazałego wejścia budynek prezentował się skromnie i bezpretensjonalnie. Biorąc pod uwagę gości, którzy do tej pory ją minęli, Sophie doszła do wniosku, że przyjęcie nie jest przeznaczone dla szacownych bostońskich matron szukających odrobiny niewinnej rozrywki na balach kostiumowych.

To jednak tylko przyprawiało Sophie o jeszcze silniejszy dreszczyk emocji.

Oczyma wyobraźni zobaczyła skrzywioną minę Gray-

sona, który dowiaduje się, gdzie spędziła dzisiejszy wieczór. Po długim, strasznym dniu ta właśnie myśl, a nie chęć wmieszania się w kolorowy tłum pomogła Sophie podjąć decyzję, by tu przyjąć.

Poprawiła sobie maskę, rozluźniła pod szyją kokardkę długiej peleryny z kapturem, po czym uniosła fałdy swoich spódnic i dała się porwać ciżbie tłoczącej się do recepcji Wrót Słowika.

Kiedy już znalazła się w środku, dosłownie oniemiała z wrażenia. O ile poczekalnia wyglądała jeszcze dosyć przyzwoicie i niewinnie, o tyle recepcja przechodziła już wszelkie granice. Same realistyczne obrazy wywoływałyby rumieńce na twarzy dorosłego mężczyzny.

A te kobiety. Większość zrzuciła już swe wierzchnie okrycia, odsłaniając sukienki, które pozostawiały niewiele dla ludzkiej wyobraźni. Sophie w długiej pelerynie z kapturem, której nie chciała zdejmować, była w tym towarzystwie najprzyzwoiciej ubraną kobietą. Ciekawe, czy Henry i Deandra uśmiełoby się z niej, gdyby tu byli.

- Zaproszenie, proszę.

Obok niej rozległ się obcy niski głos. Sophie odwróciła się i zobaczyła jakiegoś mężczyznę w aksamitnym stroju dworzanina, który wyciągał do niej dłoń w rękawicze. Sophie nie mogła nigdzie znaleźć zaproszenia, mimo że obeszukała przed wyjściem wszystkie kąty. Nie miała pojęcia, gdzie je odłożyła.

Nie tracąc nadziei, Sophie spojrzała na wyciągniętą rękę mężczyzny, uśmiechnęła się i podała mu na powitanie własną.

Jednak mężczyzna nie znał się na żartach

- Pani zaproszenie - powtórzył.

Wyglądało na to, że uprzejmy i żartobliwy sposób działania nie przyniesie pożądanego rezultatu. Tak więc Sophie wciągnęła ramiona, uniosła podbródek, spojrzała na dworzanina z góry i stwierdziła:

- Nie wzięłam go ze sobą.

Mężczyzna tylko uśmiechnął się sceptycznie.

- A więc pani nie wejdzie - oznajmił i odwrócił się do pary, która wchodziła za Sophie.

Strach przed powrotem do domu - albo, co gorsza, przed pójściem na nudne przyjęcie z Graysonem - pobudził Sophie do działania.

- Zostałam zaproszona - oświadczyła wyniośle. Sophie powiedziała prawdę, ale nie miała pojęcia, kto ją właściwie zaprosił.

Po raz pierwszy mężczyzna się zawahał i uważnie przyjrzał Sophie. Zanim jednak zdążył odezwać się choć słowem, jakiś inny mężczyzna wysunął się do przodu.

Na jego widok serce Sophie zwolniło tempo. Mężczyzna nosił czarną pelerynę i maskę i wyglądał wypisz wymaluj jak Lucyfer z piekielnych czeluści - jak sam diabeł w idealnej czerni. Ale nie jego ubranie najbardziej poruszyło Sophie, tylko granatowe oczy, które nie pasowały do przedstawiciela piekieł.

Sophie poczuła się niepewnie. Czyżby powinna znać tego mężczyznę?

- Jakież problemy? - spytał uprzejmie.

Głos mężczyzny brzmiał dziwnie znajomo, ale Sophie nie miała pojęcia, skąd mogłaby znać tego człowieka.

- Jakież problemy, proszę pani? - powtórzył.

Sophie otrząsnęła się.

- Sama chciałabym to wiedzieć - stwierdziła niepewnie. Łotr w stroju dworzanina przestąpił z nogi na nogę.

- Pani nie ma... Nie byłem pewny... - bąknął i zasznurował usta.

Mężczyzna w czerni spoglądał na Sophie. Uśmiech wydał jego pełne wargi, które ujawniły się pod maską.

- Zdaje się, że z ust wyjęła mu pani te słowa. Śmiały wy czyn, biorąc pod uwagę, że Brutus to człowiek trudny w obejściu. Ale rozumie pani na pewno, że jego... niepokój bierze się stąd, iż tego rodzaju przyjęcie...

- Na które zostałam zaproszona - przerwała Sophie Lucyferowi zuchwałym i pewnym siebie tonem. - Ale nie wiedziałam, że po przyjsciu będę potraktowana jak pospolicity przestępca.

Na te słowa szatan wcielony odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Ta kobieta to moja bratnia dusza - zawołał, aż mu te granatowe oczy rozbłysły z podziwu. - Spokojnie, Brutusie. Zaopiekuję się naszym gościem.

I faktycznie, diabeł z piekła rodem odprowadził Sophie na wielką salę balową. Obok wejścia grała orkiestra, dźwięki muzyki odbijały się od ścian, omywając Sophie ze wszystkich stron... kuszący walc Straussa pod tytułem *Kobiety, wino i śpiew*. Trafny wybór, zważywszy na okoliczności. Panowie w maskach, panie z zakrytymi twarzami i oszałamiającymi fryzurami.

Lucyfer wręczył Sophie kieliszek szampana, który pojawił się nie wiadomo skąd.

- Śliczny - powiedziała, biorąc do ręki płytkie kryształowe naczynie, z którego upiła jeden łyk.

Mężczyzna bacznie przyglądał się Sophie, dosłownie pochłaniał ją oczami.

- Proszę mi powiedzieć... - rzekł wreszcie - czy ja panią znam?

- Nie, nigdyśmy się nie spotkali. - *Cholera*. Sophie zerknęła na niego ukradkiem. A może jednak się spotkali?

- Wydaje się pani znajoma.

- Przecież noszę maskę - odparła. - Jak to możliwe? Zważywszy na pańskie przebranie, na pewno nie poznałabym pana, gdyby usiadł jutro obok mnie w Public Gardens.

Lucyfer roześmiał się głośno, przyciskając rękę do serca.

- Pani rani mnie śmiertelnie, madam. Czy tak łatwo mnie zapomnieć? Wiem, że ja nigdy nie zapomniabym takiej uroczej niewiasty.

Sophie uśmiechnęła się, obserwując mężczyznę znad

kieliszka i delektując się aksamitem szampana, który sączył się w jej ciało.

- Ale dość tego - dodał nieznajomy. - Zgoda, niech pani zachowa anonimowość. Przynajmniej na razie. Zawsze uwielbiałem tajemnice.

Sophie podziękowała za następny kieliszek szampana. Jeden wystarczył. Potem Lucyfer porwał ją do tańca. Prowadził Sophie po całym parkiecie, miała wrażenie, że poruszają się jak we śnie. Lucyfer trzymał ją blisko siebie, nazbyt blisko, i przez chwilę pomyślała o Graysonie. Grayson trzymał ją podobnie. Głos Graysona grzmiał tak samo tubalnie. W jakiś sposób ten diaboliczny nieznajomy kojarzył się Sophie z mężczyzną, który nigdy w życiu nie przestąpiłby progu lokalu pokroju Wrót Słowika.

Sophie aż zachichotała na tę myśl.

- Co panią tak śmieszy? - szepnął do ucha Sophie jej partner.

- Przypomina pan mężczyznę, który jest uosobieniem przyzwoitości.

- Jak to? - zdziwił się Lucyfer. Głos nadal dudnił mu w piersiach, kiedy mężczyzna pochylił się bliżej, bezczelnie muskając ustami szyję Sophie. Odsunęła się gwałtownie, ale Lucyfer przytrzymał ją żelazną ręką. Sophie odszukała jego wzrok. Ten szatan wcielony różnił się od większości mężczyzn, których znała. Przypominał jej Graysona, trudno go było okiełznać i zbijał ją z tropu zarówno bezczelnymi słowami, jak i pożądlwym wzrokiem.

Sophie nie spuszczała go z oczu, on tymczasem obracał ją zręcznie w tańcu, aż serce zaczęło jej mocniej bić.

- Zachowuje się pan tak samo. Identycznie mnie... Całuje. Identycznie trzyma w tańcu, rozmawia. Dlatego wydaje się podobny do Gra... - Sophie ugryzła się w język. - Dlatego wydaje się do niego podobny.

Mogłaby przysiąc, że diabeł aż zeszywniał. Ale przyjrząwszy się bliżej, dostrzegła na jego ustach szelmowski uśmiech.

Po kilku chwilach walc dobiegł końca i nieznajomy doprowadził Sophie na miejsce. Powiedziała do siebie, że ręka, którą ją prowadził, nie jest tak zaskakująco apodyktyczna, jak się zrazu wydawała, a jego śmiech nie jest już tak odpychająco groźny.

Lokaj przyniósł jej następny kieliszek szampana, ale tym razem przyjęła go z wdzięcznością. Kiedy odwróciła się z powrotem, jej partner rozmawiał z portierem przebranym za dworzanina. Wkrótce się rozeszli, a Brutus pośpiesznie opuścił salę.

Sophie zaczęła czynić sobie wymówki, że nie powinna spędzać tyle czasu z osobnikami pokroju Lucyfera, ale właśnie wtedy podszedł do niej nowy mężczyzna z czarną opaską na oku i dziwnie wygiętym urządzeniem zakrywającym całą dłoń.

- Czy mogę mieć ten taniec? - zapytał Kapitan Hak.

Ale odpowiedzi udzielił mu Lucyfer.

- Nie - rzucił ochryple i znowu porwał Sophie na środek parkietu, nad którym połyskiwał kryształowy żyrandol.

Grayson potrzebował kochanki.

Ale było to niemożliwe: jedyną kobietą, jakiej pożądał, była ta, przez którą tracił rozum.

Sophie.

Grayson stał w holu Łabędziej Gracji i złorzeczył panującej w domu pustce. Zacisnął nerwowo szczęki. *Do diabła z Sophie i jej nieprzeniknionymi oczami.*

Wcześniej chciał już nawet wziąć kochankę, która zaspokoiłaby jego potrzeby. Bez żadnych zobowiązań, bez żadnych więzów.

Twarz mu spochmurniała. Zawsze są jakieś zobowiązania, wszystko ma swoją cenę. Uznałby, że Sophie kosztowała go utratę równowagi psychicznej. A nawet jeszcze się z nią nie ożenił.

Zaklął w duchu. Teraz już szybko się z nią ożeni.

Nie dość szybko - a może zbyt szybko?

Sam już nie wiedział.

- Panie Hawthorne.

Grayson odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach krzepkiego człowieka, prawą rękę Lucasa. Jego obecność w Łabędziej Gracji wzbudziła najwyższe zdumienie. Na twarzy Graysona natychmiast odmalował się niepokój.

- W czym rzecz, Brutusie?

- Pański brat chce się z panem widzieć.

- Dzisiaj? Czy to nie może poczekać?

Brutus zawahał się, jak ma na to odpowiedzieć.

- To... sprawa nie cierpiąca zwłoki, proszę pana. We Wrotach Słowika.

Wrota Słowika były jasno oświetlone, kiedy Grayson wmaszerował do głównej sali balowej. Miał na sobie długą perlerynę i maskę, w którą przy drzwiach zaopatrzył go Brutus.

- Pański brat nalegał - poinformował Graysona.

- Już jesteś - powitał go serdecznie Lucas, kładąc bratu dłoń na ramieniu.

- Co się stało?

- Nic takiego - odparł najmłodszy z braci Hawthorne'ów, uśmiechając się zagadkowo. - Tylko przykro mi, że nie przyjąłeś mego zaproszenia.

Grayson dokładnie przyjrzał się bratu. Nie wiedział, czy powinien odetchnąć z ulgą, że nic się nie stało, czy się zirytować, że ściągnięto go tu bez powodu.

- Mam inne plany.

- Doprawdy?

- Zabieram dzisiaj Sophie na bal u Tisdale'ów.

- Ach, tak, Sophie. Wspominałeś, że wróciła.

- O co chodzi, Lucasie?

Młodzieniec zachichotał.

- O nic, o nic. Ale ty mi powiedz, co słyhać u twojej Sophijki? - zapytał niespodziewanie.

Grayson spojrział na niego ze zdziwieniem, raptownie nabierając podejrzeń.

- Dlaczego pytasz?

Lucas wzruszył ramionami.

- Z czystej ciekawości. Kiedyś miałeś trochę... bzika na jej punkcie. Jesteś pewny, że się nie zakochałeś, starszy bracie?

Grayson nie mógł już doznać większego szoku nerwowego, nawet gdyby się starał. Sophie zadała mu to samo pytanie. Miłość? Czy on kochał Sophie? Ma się rozumieć, że nie. Sophie zostanie jego żoną. Kobieta, która ma mu rodzić dzieci i stworzyć dom.

Grayson nie uległ impulsowi niespodziewanej emocji, na którą nie mógł sobie pozwolić, i przybrał niedbałą pozę, gromiąc Lucasa spojrzeniem.

- Dziwaczysz na starość, czy jak? Można by sądzić, że będziesz ostatnim człowiekiem, który pomyśli o miłości czy choćby uwierzy w jej istnienie. A jeśli nawet uznałeś to uczucie za możliwe, z pewnością nie przedstawia dla ciebie większej wartości. Miłość matki do naszego ojca bezsprzecznie nie przydała jej się na wiele.

Lucas milczał dłuższą chwilę.

- Wątpię, czy kiedykolwiek go kochała - bąknął.

Grayson spojrział na młodszego brata, zastanawiając się, co też Lucas miał na myśli, a potem odwrócił się z powrotem w stronę tłumu.

- Mnie i Sophie na pewno nie łączy miłość - powiedział z naciskiem silniejszym niż należało, toteż Lucas uniósł brwi ze zdziwienia. Grayson wolał nie przyznawać się do gwałtownego pożądanego, jakie czuł wobec swojej narzeczonej. Wyrósł na silnego człowieka, tak jak chciał. Hawthorne'owie nie zaliczają się do słabeuszy.

W końcu Lucas wzruszył ramionami i również się odwrócił, przeszukując wzrokiem tłum.

- Wiesz... - powiedział, klaszcząc w dłonie za plecami bra-

ta - zdaje się, że niedawno słyszałem coś na temat Sophie.

Bracia stali ramię przy ramieniu.

- Pewnie o tym reportażu, który ukazał się w czasopiśmie *The Century*.

- Może, ale nie mam pewności. Na pewno sobie przypomnę. Nic nigdy nie umyka mojej uwadze.

Grayson nie lubił podobnych okrucich prawdy budzących niezdrową ciekawość brata. Ale Lucas był już mężczyzną pełnoletnim i nie lubił słuchać braterskich pouczeń.

Co zaś do Sophie, Lucas niewątpliwie słyszał, że potrafiła rzucić na kolana każdego mężczyznę, pomyślał melancholijnie Grayson. Ale zachował tę myśl sobie.

- Nie rozmawiajmy o plotkach.

- Hmm - zamyślił się Lucas. - Dość tego na razie. Zagrajmy w karty.

- Nie, dziękuję. Pójdę już, skoro nie ma niebezpieczeństwa.

Kiedy jednak Grayson zaczął się odwracać w przeciwnym kierunku, Lucas chwycił go za rękę.

- Tędy, starszy braciszku. Chcę, żebyś kogoś poznał.

Grayson spojrział podejrzliwie na Lucasa, kiedy jednak spróbował oswobodzić rękę, zauważył jakąś kobietę siedzącą przy karcianym stoliku. Była to zachwycająca kobieta o niezwykłym uroku.

Ona i czterech mężczyzn siedzieli w kręgu dookoła krupiera. Mężczyźni pierwsi zauważyli Graysona. Kobieta odwróciła głowę jako ostatnia. Kiedy wzrok Graysona napotkał jej oczy, oboje dosłownie zamarli z wrażenia.

Grayson ledwo dostrzegał rysy jej twarzy osłoniętej maską i zacienionej kapturem. Ciało kobiety natomiast przedstawiało niezwykły obraz. Dzięki odrzuconej na plecy pelerynie figura jej ujawniała się w całej okazałości - z bliska wyglądała jeszcze bardziej kusząco niż z oddalenia. Grayson rozbierał ją swoim rozgorączkowanym wzrokiem.

Miał wrażenie, że kobiecie zaparło dech w piersiach w reakcji na jego powłóczyście spojrzenia. Spróbował lepiej się jej

przyjrzeć, nie zdołał jednak dostrzec pod maską żadnych nowych szczegółów. Oczy miała złocistobrazowe i buńczuczne.

Grayson poczuł rozpalającą się w nim do białości żądzę, a potem zaklął w duchu, przypomniawszy sobie zaproszenie, które pozostawił na stoliku w sieni, idąc na górę po ubranie. Zaiste, obłądna trzpiotka z tej Sophie.

Kiedy wreszcie serce zabiło ponownie w jej piersiach, Sophie od razu zrozumiała, że Grayson ją poznał.

Cholera.

Stał kilka kroków od niej i przewiercał ją oczami. Nosił modny wieczorowy strój, świeżą, białą koszulę z odprasowanym kołnierzykiem oraz pofałdowaną pelerynę i maskę z czarnego jedwabiu. Sophie doskonale zdawała sobie sprawę z piorunującego wrażenia, jakie wywierała na nim swoją głęboko wyciętą sukienką z obcisłym stanikiem - kostiumem, w którym występowała na estradach.

Ale świadomości tej towarzyszyło coś jeszcze. Co w takim miejscu robił Grayson Hawthorne? Czy mężczyzna, który wymaga przyzwoitości od wszystkich naokoło, nie powinien wymagać jej również od siebie?

Sophie jego postępowanie wprost nie mieściło się w głowie.

A przecież Grayson przyszedł do tego podejrzanego lokalu i na dodatek robił wrażenie stałego bywalca. Sophie przypomniała sobie znalezione w sieni zaproszenie i pojęła, że musiano je przysłać dla Graysona. Nie dla niej.

I nagle wieczór stał się bardziej fascynujący, niż na to liczyła.

Świadomość tego faktu rozlała się w jej żyłach z oślepiającą wyrazistością, od której Sophie mocno zabiło serce.

Zerwała się od stolika.

- Dokąd pani idzie? - zawołał któryś z graczy. - Rozdanie jeszcze nie skończone.

- Pasuję - rzuciła, nie oglądając się za siebie.

Grayson patrzył, jak Sophie zmierza w jego kierunku,

ona zaś już z daleka wyczuwała intensywność dotyku jego rąk. Mimo wszystko pragnęła, aby znowu jej dotykał.

Maska dodawała jej śmiałości, ponieważ tłumy kłębiące się wokół niej nie miały pojęcia, kim była. Dzięki temu uwolniła się od Sophie - cudownego dziecka, i Sophie - niezgrabnej dziewczynki. Od Sophie - słynnej wiolonczelistki. Mogła na powrót stać się sobą.

Sophie była coraz bliżej, ale nawet na sekundę nie spuszczała z oczu. Serce waliło jej jak oszalałe i prawie nic już nie słyszała.

- Cześć - szepnęła.

- Cześć.

Głębokie westchnienie Graysona wskazywało, że jego wytrzymałość ma swoje granice.

- Co cię sprowadza do takiej spelunki? - spytała.

- Posłano po mnie.

- Naprawdę? - zdziwiła się Sophie. - W jakim celu?

- Bo ty tu jesteś.

Oczy Sophie się zwęziły.

- Kto ci dał znać?

- Brat.

- Matthew? Matthew jest tutaj?

- Nie, Lucas.

Grayson pokazał ręką stojącego w przeciwległym końcu sali Lucyfera, który pozdrowił Sophie, unosząc kieliszek.

- To jest Lucas? - spytała.

Po chwili jednak uśmiechnęła się wesoło i dała znak kelnerowi w masce, aby przyniósł jej następny kryształowy kieliszek z szampanem.

- Powinna się była domyślić. Zdrajca jeden, ale ma fantazję. Dobry Boże, nie widziałam go od lat. Jak to możliwe, że tylko jeden z was odznacza się jakim takim poczuciem humoru?

Sophie natychmiast wyczuła, że Grayson zdenerwował się, słysząc te słowa. Nie odzywał się przez kilka chwil, jak-

by bijąc się z myślami. Wreszcie Sophie szturchnęła go palcem w ramię.

Znowu spojrzał na nią, lecz jego wzrok odpychał.

- Nie kłóćmy się - szepnęła. - Zawrzyjmy rozejm. Na dzisiejszy wieczór. Jutro możemy znowu wziąć się za łby.

W ciemnych oczach pod jedwabną maską Sophie zapłonęły ogniki irytacji.

Parkiet taneczny szczelnie wypełniały pary klejące się do siebie z czułością, z nadmierną czułością, oraz całujące w nikłym, złotym blasku świec. Grayson odwrócił wzrok od Sophie i zaczął się rozglądać dookoła.

- Nikt się nie dowie, kim jesteśmy - przekonywała Sophie. Miała nadzieję, że dobrze zrobiła, lekceważąc świdrujące ich spojrzenia. Na razie zakręciło jej się w głowie na widok męskiej dłoni, która zsuwała się wzdłuż pleców jego partnerki, wędrowała po jej biodrze, aby zniknąć między nogami.

Inna para stała w objęciach pośrodku parkietu. Ci nawet nie udawali, że tańczą. W powietrzu niosły się dźwięki posępnej melodii, wybijanej w jakimś pierwotnym rytmie. Sophie odczuwała go na dnie duszy i miała wrażenie, że Grayson czuje to samo.

Właśnie odwrócił się i spojrzał na Sophie, a spojrzenie jego ciemnych oczu było jak wilgotne opary, które potrafią wszędzie przeniknąć. Sophie otaczały miarowe tony muzyki, wsiąkającej w nią wszystkim porami ciała.

- Zatańcz ze mną, Graysonie.

Nie poznała własnego głosu. Miała uczucie, że rozplywa się w pożądaniu, że wyraźne, zdecydowane linie graniczne, które wyrysowała przed laty wokół siebie, zatarty się w tej sali balowej pod wysokim sufitem, wypełnionej obcymi ludźmi w maskach na twarzy.

Spojrzenie Graysona przeniosło się do ust Sophie, po czym cofnęło gwałtownie z powrotem.

- Mamy inne zobowiązania - odrzekł.

- Błagam - szepnęła.

Grayson wahał się jeszcze, dławiąc w sobie przekleństwo. A potem z wielką wprawą porwał Sophie na parkiet i przytuleni do siebie włączyli się do walca.

Kiedy zatoczyli pełny krąg dokoła sali, Sophie wyczuła dokładnie moment, w którym Grayson się rozluźnił, jakby zapominając o obowiązującej go etykietce.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz - stwierdził, przyciskając mocno dłoń do pleców Sophie i kręcąc kółka w idealnej zgodzie z rytmem walca.

Sophie odpowiedziała uśmiechem.

- Próbujesz mnie rozmiękczyć słodkimi słówkami?

- Niczego nie próbuję. Cieszę się po prostu, że widzę cię szczęśliwą. Ze wreszcie dałaś za wygraną.

Sophie roześmiała się.

- Ja nigdy nie daję za wygraną.

- Dlaczego?

Sophie usiłowała cofnąć się o krok, ale powstrzymała ją silna ręka Graysona.

- Żartowałam.

- Nie sądzę. - Grayson wykonał idealny obrót, a w tym czasie jego twarde udo wsunęło się między uda Sophie. - Już mówiłem, że te twoje żarty to tylko udawanie. - Grayson spojrział w dół, przyciskając Sophie mocniej, niż pozwalała przyzwoitość. - Jestem także przekonany, że mnie pragniesz.

Serce o mało nie wyskoczyło Sophie z piersi i nie mogła złapać tchu. Jakoś zdobyła się na uśmiech.

- Dziwne słowa od mężczyzny, któremu powiedziałam bez osłonek, że za niego nie wyjdę - zdołała wyszeptać.

Tym razem Grayson nie dał się sprowokować.

- To już na mnie nie działa, Sophie.

Gdyby było można, przytuliłby Sophie do siebie jeszcze bardziej i już by nie wiedziała, gdzie ona się kończy, a on zaczyna. Krew zawrzała w jej żyłach i Sophie poczuła, że słabnie. Dała się zapędzić w kozi róg i wytracić sobie broń Z ręki.

- Nie możesz tak stać i upierać się kłamliwie, że mnie nie

pragniesz - dodał Grayson. - Już nie. Poznałem to po twoich oczach, kiedy wszedłem do sali. To coś znaczy, Sophie.

- To znaczy, że coś mi padło na mózg i muszę biec do lekarza.

- To znaczy, że łączy nas wspólna przeszłość. Wiesz o mnie różne rzeczy, o których nie wie nikt inny. I ja wiem o tobie to i owo, czego poza mną nie wie nikt.

Głos Graysona pieścił samym swym brzmieniem i Sophie pragnęła mu uwierzyć. Od jego spojrzenia jej serce rozkołysało się jak szalone. Grayson hipnotyzował ją intensywnym, nieodgadnionym spojrzeniem, pochylając się niespiesznie, aż jego wargi zniewoliły jej usta pomimo otaczającego ich tłumy ludzi.

Sophie poczuła, że jest stracona.

Wcześniejsze pocałunki Graysona wznieciły w ciele Sophie bolesne pożądanie, które przeszło jej pojęcie. Ten był zupełnie inny. Ten realizował jej marzenia. Nie pragnienia. Zdawał się delikatnie krzesać w niej ogień. Tyle tylko, aby chciała zatracić się już na zawsze. I w tym momencie to się stało. Sophie zatraciła się w emocjach, a Grayson delikatnie muskał wargami jej usta, z boku na bok, bez pośpiechu, sprawiając, że Sophie z każdą chwilą pożądała go coraz bardziej.

Raptem poczuła, że klucz do jej serca się obrócił, że serce uchyliło się nieco szerzej. Zrozumiała ze strachem, że chce dać za wygraną. Chce wyjść za Graysona, chce mieć normalne życie, a sławę i rodzinny dom niech diabli porwą.

Omal nie jęknęła głośno, kiedy Grayson oderwał usta od jej ust. Minęła dłuższa chwila, nim rozjaśniło jej się w głowie i Sophie zrozumiała, że przestali tańczyć, a Grayson chłonie ją wzrokiem, jakby próbował coś zrozumieć. Jakby szukał odpowiedzi na jakieś pytanie, które go nurtowało.

Ale raptem jego twarz się rozchmurzyła.

- Chodź, najdroższa - rzekł Grayson. - Już czas. Potańczyłaś sobie, a Tisdale'owie na nas czekają. - Wziął Sophie za rękę i poprowadził w stronę drzwi.

Usiłował zapanować nad jej życiem, ot tak sobie, nie pytając jej o zdanie, zamykając ją w klatce. Używając przemocy, czy chciała dawać, czy nie chciała.

W duszy Sophie nieuchronnie wezbrał bunt i kształty złotej klatki zarysowały się przed nią znowu, tym razem wyraźnie. Sophie wyswobodziła się z jego uścisku.

- Do diabła z Tisdale'ami. Do diabła z tobą, z twoimi sztywnym terminarzem i prostackim zachowaniem. Jeszcze nie skończyłam tańczyć - oznajmiła, ale na szczęście głos jej się nie załamał.

Może to wskutek szampana, a może atmosfery wieczoru, tak czy owak Sophie wróciła na drewnianą podłogę, aby włączyć się do tańca. Tymczasem muzyka się zmieniła, rytmy stały się powolne i tętniące zmysłowością. Panowie i panie krążyli na parkiecie mocno przytuleni do siebie. Sophie również zaczęła się poruszać.

Rozkołysała się w takt muzyki, jej biodra kusząco falowały. W piersiach trzepotało serce, a spojrzenie wyzywająco utkwiła w Graysonie. Niektórzy goście zaczęli się jej przyglądać, kilku mężczyzn szeptało z uznaniem.

Inni odstawili drinki, skupiając uwagę na scenie, która się przed nimi rozgrywała. Barmani zapomnieli o bufecie.

- Sophie - ostrzegł ją Grayson z miejsca, w którym stał. Jego ciemne oczy rzucały błyski spod jedwabnej maski, ręce opierał na biodrach, peleryna spływała mu na ramiona i łokcie, ukazując czerwoną, jedwabną podszewkę.

Hazardziści odwrócili głowy w stronę parkietu, w dłoniach krupierów zastygły karty.

- Jeśli zaraz ze mną nie pójdziesz - ostrzegł ją ponownie - przerzucę cię sobie przez ramię i wyniosę jak worek kartofli.

Oczy Sophie zajaśniały pełnym blaskiem.

- Nie ośmielisz się - rzekła, kręcąc pirueta, aż uniosły się do góry jej spódnice, odsłaniając wysadzane drogimi kamieniami pantofelki, a nawet kawałek pończochy.

Wśród zgromadzonej na sali ciżby pod wysokim sufi-

tern rozszedł się szmer podziwu. Część gapiów wstrzymała oddech. Ale Sophie prawie nie zwróciła na nich uwagi.

- Chyba zdajesz sobie sprawę - wycedził - że w tej właśnie chwili ludzie robią zakłady, kto z nas zwycięży w tym pojedynku.

Obracała się powoli z wyciągniętymi ramionami. Odzuciła głowę do tyłu i napawała zmysły widokiem rozkołysanej szeroko peleryny.

- A jak sądzisz, kto? - spytała.

Grayson zareagował tak szybko, że Sophie nie miała pojęcia, co się stało. W jednej chwili na jej kostkach niczym obłok kłębił się jedwabisty materiał, w drugiej zaś frunęła w ramionach Graysona przy wtórze oklasków i głośnych wiwatów, jakie rozbrzmiewały w skąpo oświetlonym otoczeniu. Grayson wyniósł ją beczelnie z wielkiej sali balowej. Ale nie skierował się ku frontowemu wyjściu.

Podążył z Sophie w głąb pustego korytarza, po którego obu stronach widać było zamknięte drzwi. Na twardej, marmurowej posadzce każdy krok Graysona odbijał się zbyt głośnym echem. Sophie nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy głośno protestować. Zapomniała o obu tych możliwościach natychmiast, gdy tylko Grayson postawił ją na nogach, nie wypuszczając jej z rąk.

Sophie czuła swym ciałem ciało Graysona, a jego ręka zaciskała się kurczowo na jej łokciu. Grayson pożerał ją wzrokiem, cała była rozpalona i trzęsa się jak galareta. Spróbowała go odepchnąć, ale mocno przytulił ją do swej piersi.

- Jeśli chciałaś mnie oczarować - szepnął głosem ochrypłym z pożądania - to ci się udało. Jestem oczarowany i urzeczony. Doprowadzony do szaleństwa.

Z tymi słowy zaczął całować ją zachłannie, sięgając rękami pod pelerynę Sophie, na jej plecy i biodra. Napierał na nią, aż poczuła jego męskość.

- Wiedz, jak bardzo cię pragnę, Sophie.

Zastygła w bezruchu. Natychmiast jednak uświadomiła

sobie, że to przecież Grayson, a nie ktoś obcy, nie jakiś inny mężczyzna z oceanu bezimiennych adoratorów, którzy jej pragnęli. Chciała czuć dotyk Graysona. Przynajmniej dzisiaj. Przez ten magiczny odcinek czasu, w którym maski pozwalają zachować twarz.

Sophie przytuliła się do Graysona, a on ją znowu pocałował, wędrując ustami do jej ucha.

- Jesteśmy przeznaczeni dla siebie, Sophie - powiedział chrapliwie.

- Tak - odparła. *Przynajmniej dzisiaj*, dodała w myślach.

Sophie poczuła język Graysona muskający ją po szyi, jego zęby kłapiące jej skórę. Delikatnie przycisnął ją plecami do ściany. Objęła Graysona w pół, on zaś uniósł ją w górę i podtrzymał na sobie. Przywarł dłońmi do jej bioder, aż zapłonęła ogniem namiętności. Sophie pragnęła go, odczuwała pożądanie tak silnie, jak silnie odczuwała muzykę w najgłębszych zakamarkach swojej duszy.

Jedno dotknięcie, jeden pocałunek i Sophie aż nazbyt łatwo zapomniała o całym bożym świecie prócz tego jednego mężczyzny, którego ubóstwiała od dzieciństwa.

Czy przeszłość już się nie liczyła?

Myśl ta zatrwożyła Sophie.

Czy to okazja, aby skapitulować przed tym mężczyzną i rozpocząć nowe życie?

Sophie poddała się raptownemu przypływowi nadziei, który pozbawił ją sił i rozbudził w sercu tęsknotę za tym, co może być. Nie uważała wspólnego życia z Graysonem za możliwe, odkąd pięć lat temu uciekła z Bostonu. Ale Grayson przyszedł tutaj, do tego podejrzanego lokalu, którego właścicielem jest jego brat. Może Grayson jest inny, niż sądziła? Może wcale nie zamknie jej w klatce? Czy namiętność, jaką do niej odczuwał, była wystarczająca silna, aby przewyciężyć przeszłość?

Nagle przestał Sophie całować i pociągnął ją za rękę.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Zrobię to, co już dawno powinienem zrobić.

Chwycił Sophie pod nogi i zaniósł do prywatnej alkowy na końcu korytarza, zatrzasnął drzwi kopniakiem, aż rozszło się głośne echo. W środku postawił Sophie na podłodze i zaczął wyciskać na jej ustach namiętny pocałunek. Jego ręce obejmowały twarz Sophie, a wargi wpijały się w jej usta.

Całując ją gwałtownie, wędrował rękami pod jej peleryną, gładząc Sophie po włosach, plecach i biodrach. Wreszcie ujął krągłe pośladki dziewczyny, przyciskając do swojej męskości, aż jęknęła.

Sophie ciężko dyszała, ale nie było tego słychać, bo właśnie Grayson ukąsił zębami jej wargę i zaczął ją ssać.

- Boże, jak ja cię pragnę - wychrypiał.

Od tych słów serce jej stanęło. Usta Graysona prześlizgnęły się na jej szyję, Sophie odrzuciła głowę do tyłu, aby przyjąć pieczęt. Tuliła się do Graysona i czuła, jak jego usta przesuwają się niżej, a duża dłoń ujmuje jej pierś. Sophie aż zadrżała z wrażenia i cała się rozpląmieniła.

Grayson oparł ją łagodnie plecami o ścianę, wciskając kolano między jej uda.

Długo całował Sophie, ale raptem jęknął i natychmiast się wycofał.

- Wiedziałem, że właśnie tak będzie między nami - powiedział, przyciskając usta do peleryny Sophie. Jego słowa zabrzmiały bardziej jak skarga niż stwierdzenie.

Grayson zaczął od nowa poddawać usta Sophie rozkosznym torturom. Ognistym. Nienasyconym.

Fala szalonej radości rozlała się po jej ciele i Sophie omal nie wybuchnęła płaczem ze szczęścia. Zapanowała jednak nad sobą i odwzajemniała jego pożądanie.

Maska dodawała jej odwagi, Sophie poznawała swoimi dłońmi tajemnice, których nie ośmieliła się poznawać nigdy wcześniej. Oddech Graysona stał się nagle urywany. Jego pieczęty obudziły jej ciało do życia i nękały ją tęsknotą za kolejnymi dotknięciami.

Kiedy Grayson chwycił ją na ręce i zaczął nieść w stronę długiej kanapy, Sophie objęła go mocno za szyję. Położył ją delikatnie, sam zaś rozciągnął się nad nią, podtrzymując ciężar ciała na swoich łokciach.

Grayson zaczął pieścić bok Sophie, wędrując palcami w górę do zapięcia sukni balowej. Z mistrzowską precyzją powijmował guziczki z ich pętelek, po czym odciągnął stanią na bok, aż Sophie poczuła na gołej skórze orzeźwiający pocałunek powietrza.

Westchnęła gwałtownie, kiedy silna dłoń Graysona zamknęła się na jej piersi i opuszkami kciuka zakreśliła delikatnie kółka na brodawce.

- Jesteś taka piękna - szepnął jej do ucha.

Pocałunki Graysona przeniosły się na czoło i policzki Sophie. Pocałunki, za którymi tak tęskniła, których pragnęła i bez których żyć już nie mogła.

W tym właśnie momencie doznała olśnienia.

Nie mogła już żyć bez *Graysona* - pomimo faktu, że była na niego wściekła, odkąd przyłapała go z inną kobietą. A *była* na niego wściekła, uświadomiła sobie teraz z oślepiającą jasnością myśli. Wściekła, zła i urażona, że nie było go przy niej, kiedy potrzebowała go najbardziej.

I nagle zrozumiała, czego chce od życia - tego samego, z czym tak zaciekle walczyła. Graysona Hawthorne'a.

Myślała, że wie, czego chce od świata, ale się pomyliła. Teraz mogła mieć tylko nadzieję, że nie jest za późno - że nie jest za późno na pokazanie Graysonowi, że pragnie śmiać się razem z nim, być razem z nim - na pokazanie mu, że go kocha.

Z zapartym tchem uzmysłowiła sobie, że wciąż jest zakochana w Graysonie Hawthorne - że pragnie go na dłużej niż tylko na dzisiejszy wieczór.

Jak to możliwe? Jak mogła pałać miłością do mężczyzny, który wymagał od niej doskonałości?

Otóż to. Iskierka nadziei, która tliła się w jej duszy sła-

bym płomykiem, rozgorzała teraz ścianą ognia i eksplodowała oślepiającym blaskiem.

Grayson wcale nie był taki.

Dowiódł, że nie oczekuje doskonałości, bo jest tu razem z nią w lokalu okrytym niesławą. Grayson potrafi być szalony - potrafi zachowywać się nieprzyzwoicie. Choć niechętnie wracała do tych wspomnień, musiała jednak przyznać, że dowiódł tego już przed laty, spędzając noc z kobietą, która nie była jego żoną.

Mogła mimo wszystko wyjść za tego mężczyznę. Chciała śpiewać i tańczyć, wykrzyzczyć swą radość wszem i wobec.

Otoczyła Graysona ramionami, ledwie świadoma, gdzie była i co robiła.

Raptem echo czyichś głosów dochodzących z korytarza sprawiło, że Sophie dosłownie zamarła.

- Głowę daję, że to ona. Z Graysonem Hawthorne'em - powiedział niewyraźnie znajomy głos.

Grayson zastygł w bezruchu.

- Możliwe, że to Grayson, jego brat jest właścicielem klubu, ale Sophie Wentworth? - zapytał mężczyzna.

- Nie daj się nabrać. To na pewno ona, w dodatku poszli tędy. Zamierzam ją odszukać.

Nie ulegało wątpliwości, że był to głos Megan Robertson, zbyt hałaśliwy, odbijający się głośnym echem od wyłożonej kafelkami posadzki.

- A nawet jeśli to ona... - dopytywał się mężczyzna - jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie ma. Wraca jakby nigdy nic do miasta i zachowuje się tak, jakby całe do niej należało. Kiedy ludzie się dowiedzą, że była we Wrotach Słowika, to im bielmo z oczu spadnie.

Grayson wyczuł, że Sophie z wrażenia aż się skurczyła. Pragnął wybiec na korytarz i położyć kres tej rozmowie, ale nie wiedział, jak to uczynić, nie ujawniając przy okazji obecności Sophie.

- Rzeczywiście wzięła Boston szturmem - zauważył mężczyzna. - Zresztą, jak się dobrze wczytać w ten reportaż, to można dojść do wniosku, że wzięła szturmem cały świat.

- Dzięki czemu? - spytała Megan. - Zauważyłaś, że brak tam najmniejszej wzmianki na temat utworów, które ona gra?

- Ee... Po namyśle muszę przyznać, że masz rację.

- Pewnie, że mam. Rzecz w tym, że świetnie znam światek muzyczny i nigdy jeszcze nie czytałam recenzji z koncertu, w której krytyk nie wymieniłby wykonywanych dzieł. Nie ma ani jednej wzmianki o tym, co gra Sophie Wentworth... ani czego nie gra. Powiadam ci, to oszustka. Zawsze nią była. Pamiętam doskonale te wszystkie spekulacje, że to ona zagra solo na Wielkim Debiucie. A kogo Niles nagroził koncertem? Kogo wywołał na estradę?

Grayson poczuł, że ciało Sophie zaczyna się prężyć, jakby pragnęła wyskoczyć na korytarz, żeby się bronić, ale nie potrafiła tego zrobić... lub nie wiedziała jak.

- Niles wywołał mnie - dokończyła z dumą Megan.

- Czy to się nie zdarzyło tuż po śmierci matki Sophie? Czy to nie wtedy cię poprosił, abys zagrała solo?

- Tak - prychnęła Megan. - I co ci to mówi?

Mężczyzna milczał, a Grayson czuł, że Sophie z całej siły przyciska głowę do jego klatki piersiowej.

- Zastanów się nad tym, Peter. Przypomnij sobie, ile czasu Niles Prescott spędził z Genevieve Wentworth. Powiadam ci, oni mieli romans.

- Nie! - Peter aż Zakrzuszył się z oburzenia.

- Jakiś ty naiwny. Aż trudno uwierzyć, że nie słyszałeś plotek. Po jej śmierci Niles nie musiał dłużej udawać, że Sophie w ogóle cokolwiek umie.

- Nie chce mi się wierzyć!

- No, a ja w to wierzę. A chcesz wiedzieć, dlaczego Sophie uciekła do Europy? Ze strasznego wstydu. Rzekome cudowne dziecko nie dorastało mi do pięt.

Megan i jej towarzysz zatrzymali się przed drzwiami.

Grayson zaklął w duchu, że w pośpiechu nie przekreślił klucza w zamku.

Sophie leżała nieruchomo, jakby pogodziła się już z losem i czekała teraz na nieuchronny koniec. Tymczasem Grayson z identyczną sprawnością, z jaką przemieszczał ich po sali balowej, chwycił Sophie na ręce i oboje skryli się za grubą aksamitną kotarę. W tej samej chwili obróciła się mosiężna gałka u drzwi.

- Dobrze wiem, że ona gdzieś tu jest - powiedziała Megan. Teraz żadna ściana nie tłumiła już jej głosu.

Na podłodze zastukały obcasy, drzwi szafy otworzyły się na całą szerokość. Kroki było słychać coraz bliżej, a kiedy Megan podeszła do okna i wyjrzała w ciemną noc, Grayson przygarnął Sophie do siebie jeszcze mocniej.

- Daję głowę, że ją widziałam.

Byli tuż tuż.

- Pal ją diabli, tu jej nie ma - stwierdził Peter.

- Hmm - mruknęła niezdecydowanie Megan i Grayson był już przekonany, że wpadli.

Ale właśnie wtedy Megan i Peter ruszyli do wyjścia, a ich głosy stopniowo ucichły w oddali. Wróciła cisza zakłócana jedynie szumem deszczu bijącego w okna alkowy.

Sophie pozostawała w bezruchu jeszcze długo po tym, gdy rozległ się trzask zamykanych drzwi. W końcu Grayson uniósł jej głowę i popatrzył na nią uważnie. Spodziewał się, że Sophie będzie wściekła. Przez chwilę miał wrażenie, że faktycznie była wściekła, ale raptem odezwała się słabym głosem:

- Cóż, Megan z pewnością jest obrotna w gębie.

Zgryźliwy ton Sophie dowodził, że mur odgradzający ją od świata stanął ponownie.

- Sophie, nie mów tak - powiedział. - Przecież słyszałem, jak grałaś - dodał łagodnie. - Wiem, że masz wielki talent.

Policzki Sophie zarumieniły się, a jej czoło pokryło się zmarszczkami. Nagle się roześmiała, ale był to śmiech nie-naturalny i płytki.

- Właśnie o to chodzi, Graysonie. Nie masz pojęcia, jak gram.

Spojrzenie miała nieruchome, ale usta Sophie drżały od emocji. Raptem, niczym tama pękająca pod naporem wody, Sophie zalała się łzami, przełknęła nerwowo mały haust powietrza i wyswobodziła się z uścisku Graysona. Przez chwilę manipulowała przy haftkach, po czym zapięła sukienkę i naciągnęła na ramiona pelerynę.

- Sophie, powiedz mi, co ty wygadujesz?

Ale Sophie już go nie słuchała. Pchnęła drzwi na oścież, ruszyła w te pędy do tylnego wyjścia i wyskoczyła na lodowaty, zacinający deszcz.

- Sophie! - krzyknął za nią Grayson.

Lecz ona nie zatrzymała się, tylko uniosła fałdy swoich spódnic i skręciła w najbliższą alejkę bez płaszcza i szala, osłaniając się przed zimnem jedynie cienką, czarną peleryną oraz delikatnym niczym pajęczyna jedwabiem swojej sukni.

16

Grayson chciał już pobiec w ślad za Sophie, ale jakiś głos zatrzymał go w pół kroku.

- No, no, no... Patrz, kogo my tu mamy.

Grayson odwrócił się gwałtownie i zobaczył wracającą korytarzem Megan.

- Mówiłam Peterowi, że jeśli poczekam odpowiednio długo, to wreszcie was znajdę. Poszedł na górę, ale zaraz wróci. - Megan wspięła się na palce i spojrzała Graysonowi przez ramię. - Wiem, że tam jesteś, Sophie. Możesz już wyjść. Jutro o tej porze cały Boston będzie wiedział, że przysłaś do Wrót Słowika i tańczyłaś jak ladacznica.

- Niepotrzebnie strzepisz język, Megan. Sophie tutaj nie

ma. A jeśli chodzi o mówienie czegokolwiek Bostonowi, to po pierwsze, nie masz dowodu. A po drugie, w jaki sposób doniesiesz o czyjejs obecności, nie ujawniając przy okazji własnej?

Megan wyprężyła wyzywająco ramiona.

- Znajdę sposób!

- Nie znajdziesz. - Głos Graysona był zimny i groził zemstą. - Już dość zła wyrządziłaś Sophie. Najwyższy czas, byś zostawiła ją w spokoju.

Megan aż zatkało ze zdumienia.

- Ja? - pisnęła z ognikami wściekłości w oczach. Nagle cienka warstewka szlachetnej patyny Megan się stopiła, jakby stanowiła najwyższej pozory ogłady towarzyskiej. - To wyłącznie jej wina! To na niej ludzie skupiają całą uwagę. Nieważne, że była ciamajdą i niezdara. Nieważne, że była dziwaczką i wstręciuchą. Mimo to wszyscy uważali, że solowy występ należał się jej, a nie mnie. Zasłużyłam na niego - syknęła Megan, jakby chciała przekonać samą siebie. - A teraz, po tym wstrętnym reportażu w *The Century*, wszyscy rozmawiają tylko o niej: Sophie to, Sophie tamto! Co dowodzi, że od początku mieli rację co do tego solowego występu. Ja na to nie pozwolę. Słyszysz? Nie pozwolę! I nie będę siedziała z założonymi rękami, kiedy jej ma przypaść wielki koncert solo. - Megan uniosła podbródek. - Albo ty.

Grayson milczał dalej, a na twarzy Megan nieoczekiwanie pojawiły się zmarszczki.

- Och, Graysonie...

- Sophie na górze nie ma. - Peter Marshall przystanął raptownie, Megan zaś odwróciła głowę na bok, by ukryć morze łez tryskające jej z oczu. Peter najwyraźniej się zmieszał. - Cześć, Hawthorne. Dziwne, że cię tu spotykam. Miałaś jednak rację, Megan. Gdzie Sophie?

- Tutaj jej nie ma - odciął się Grayson. - Sophie tutaj nie ma. A jeśli się dowiem, że któreś z was pisnęło choć jedno słówko na jej temat, odpowiecie mi za to oboje.

Z tymi słowy Grayson wybiegł przez tylne drzwi na deszczową noc.

Myślał wyłącznie o odszukaniu Sophie. Kiedy jednak znalazł się na dworze, nigdzie nie dojrzał nawet jej śladu.

Rozglądał się na lewo i prawo, wybrał wreszcie ulicę prowadzącą do Back Bay. Sophie na pewno poszła do domu. Złapał dorożkę, żeby ją dogonić, kiedy jednak przyjechał do Łabędziej Gracji, nigdzie jej nie było.

Spróbował u jej ojca w Fens, także bez rezultatu. W dodatku musiał znaleźć jakiś pretekst, aby, przemoczony do suchej nitki, szukać Sophie właśnie tam.

Następnie udał się do Hawthorne House, gdzie na szczęście zastał jedynie kamerdynera, który go poinformował, że panna Wentworth dzisiaj nie przychodziła.

Przeszukał Public Gardens i Boston Commons. Wynajął drugą dorożkę i nie zważając na dojmujące zimno oraz lodowaty deszcz, przenikający go do szpiku kości, jeździł tam i z powrotem każdą z regularnej sieci ulic w Back Bay. Wrócił jednak sam.

Księżyc był już zupełnie niewidoczny na zachmurzonym nocnym niebie, kiedy dorożka jeszcze raz zatrzymała się przed bramą do Łabędziej Gracji. Grayson wysiadł na chodnik pogrążony w wściekłości zmieszanej z autentyczną rozpaczą. I właśnie teraz zobaczył Sophie.

Siedziała na najwyższym schodku przytulona do jednego granitowych łabędzi, pozbawiona jakiegokolwiek osłony przed deszczem i chłodem.

- Sophie - szepnął delikatnie Grayson, wypierając ze świadomości fakt, że niedawno przeżył przez tę kobietę nadmiar emocji.

Z wolna podniosła wzrok i spojrzała na Graysona. Nie mógł zaprzeczyć, że na jego widok w oczach Sophie odmalowało się uczucie wielkiej ulgi.

Zatrzymał się na wprost niej i zaczęli się sobie przyglądać. Grayson stał na podeście, Sophie siedziała na wysoko-

ści jego oczu na najwyższym schodku, przemoknięta, z rozwianymi i ociekającymi wodą włosami.

Ale na jej ustach błąkał się uśmiech.

- Naprawiłeś zamek.

Gwałtowne wzruszenie ścisnęło go za gardło.

- Ktoś to musiał zrobić.

Sophie zachichotała dziwnie, po czym twarz jej zbladła. Dopiero teraz Grayson uświadomił sobie, że Sophie cała drżała z zimna, a jej skóra była niemal sina.

Nie podobało mu się to niebieskie zabarwienie jej ust. Widział już coś takiego w młodości, kiedy pewnego razu Matthew złapała podobna zimowa burza. Wilgoć i chłód stanowią śmiertelną kombinację. Na szczęście ojciec zadziałał błyskawicznie, wkładając syna do gorącej kąpieli, zanim uszło z niego życie.

- Musimy wnieść cię do środka.

Grayson pokonał schody, ale kiedy pomógł jej wstać, Sophie opadła na niego bezwładnie. Po chwili trzymał ją w ramionach, a musiał jeszcze manipulować kluczami w zamku.

- Cholera!

- Przed naprawą było łatwiej - wymamrotała jak pijana.

Graysona chwycił strach. Musiał Sophie rozgrzać, i to jak najprędzej.

- Gdzie się podziewają przekłete Deandra i Margaret, kiedy ich najbardziej potrzebujesz? - spytał, wchodząc do marmurowego holu, po czym zatrzasnął nogą drzwi i rzucił klucze na stolik, aż zagrzecgotały głośno.

- Wyjechały na weekend. Żeby się rozerwać - mruknęła.

- Cholera - powtórzył.

Sophie spojrzała mu w oczy, na jej wargach drgał melancholijny uśmiech.

- Jesteśmy zupełnie sami. Zamierzasz wykorzystać sytuację?

Oczy Graysona się zwęziły.

- Bardzo śmieszne.

- Tak myślałam - zachichotała, przyciskając twarz do jego piersi.

- Do diabła.

- Jesteś dziś skarbnicą brzydkiego słownictwa - stwierdziła i nagle potrząsnęła głową, jak gdyby rozjaśniając sobie umysł. - Postaw mnie na podłodze. - Sophie wyprężyła ciało, a jej oczy otworzyły się szeroko. - Nic mi nie jest. Nie musisz mnie nieść.

Grayson przyglądał jej się uważnie, a Sophie patrzyła mu prosto w twarz.

- Naprawdę nic mi nie jest.

Grayson burknął coś pod nosem, ale w ciepłe domu faktycznie stan Sophie znacznie się poprawił.

- Po prostu za długo siedziałam na dworze, to wszystko - dodała.

Po chwili wahania Grayson postawił ją w końcu na nogach. Sophie zrobiła kilka kroków, jej długa suknia zostawiała mokry ślad na kamiennej posadzce.

- Widzisz, nigdy nie czułam się lepiej.

Ruszyła w kierunku schodów, ale po kilku krokach przystanęła.

- Chyba się na mnie nie gniewasz, że nie odprowadzam cię do wyjścia. Muszę się najpierw przebrać.

Grayson nie ruszył się z miejsca, a Sophie podeszła do schodów, raptem jednak zachwiały się pod nią nogi i osunęła się bezwładnie na pierwszy stopień. Głowa zwieszała jej się na ramieniu, a całym ciałem wstrząsały spazmatyczne drgawki.

- Do diabła - zgrzytnął zębami Grayson, czując ukłucie potwornego strachu.

Podniósł Sophie z podłogi, wbiegł na piętro po dwa schodki naraz i zaniósł ją do swojego apartamentu. Tutaj położył Sophie na niedużej, wyściełanej ławce stojącej w przestronnej łazience, napuścił gorącej wody do porcelanowej wanny i zaczął zdejmować z Sophie kolejne warstwy garderoby, jakby była szmacianą lalką.

Nie zważał na fakt, że ktoś inny powinien ją rozbierać, bo nikogo innego nie było. Nie zważał na gładką skórę Sophie ani na jej wspaniałe kształty. Myślał wyłącznie o tym, aby ją rozgrzać.

- Chodź, kochanie. Musisz mi pomóc.

Sophie zamrugała i otworzyła szeroko oczy. Najpierw skupiła wzrok na Graysonie, a później dokonała odkrycia, że leżała na ławce prawie naga.

- Moje ciuchy - pisnęła.

- Nie pora na wstyd - odparł.

Mimo to Grayson zastanawiał się nad sprzecznością w zachowaniu Sophie Wentworth. Niecałe kilka godzin temu tańczyła wyzywająco we Wrotach Słowika. Teraz, kiedy starał się ratować jej życie, zamieniła się w cnotliwą pannienkę. Kim właściwie była Sophie - kobietą niewinną czy wyzywającą, która zbyt dużo wie o życiu? Wzdrgał się na myśl, że mogło to mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Tymczasem jednak nie tracił czasu na rozmyślanie. Sprawdził szybko wodę, po czym opuścił Sophie do wanny w samej halce i pantalonach.

Czując wodę, zatrzepotała powiekami, ale nie otworzyła oczu do końca. Pomógł jej usiąść wygodnie, zrzucił palto, podwinął rękawy, a potem chwycił dłonie Sophie i zaczął je energicznie rozcierać.

- Daj mi spokój - wymamrotała, łamiąc sobie język na tych paru słowach.

- Nie dam - rzekł, sięgając po jej stopę i biorąc się do roboty.

Rozcierał jej kończyny, dolewając wrzątku do wanny, toteż skóra Sophie szybko nabierała kolorów. W pewnym momencie Sophie jęknęła i spróbowała się odsunąć, tym razem z dużo większą siłą.

- Zadajesz mi ból - mruknęła.

Po tych słowach Grayson wreszcie odetchnął z ulgą.

- Przepraszam, kochana. Musiałem cię rozgrzać.

Przechylił się do tyłu i wyprostował powoli, po raz pierwszy przyglądając się uważnie Sophie. Włosy miała rozpuszczone, unosiły się na wodzie jak pasemka złotych nici. Halka i pantalony kleiły się do ciała, były tak cienkie i przezroczyste, że równie dobrze mogłoby ich wcale nie być. Różowe zakończenia piersi oraz złoty trójkąt włosów na jej łonie rysowały się wyraźnie.

Sophie była oszałamiająco piękna.

- Uważał, że nie jestem dość dobra.

Głowa Graysona poderwała się do góry. Sophie spoglądała na swoją rękę - najpierw na wewnętrzną stronę dłoni, potem na zewnętrzną, a woda ściekała z jej palców niczym strugi łez.

Grayson poczuł zażenowanie.

- Co takiego?

Sophie napotkała wzrok Graysona i kilkakrotnie zamrugała. W jej oczach malowało się przerażenie i nieznośny ból.

Wszystko stało się jasne. Pyszałkowatość. Ekscytacja dowodami uznania. Co za sprzeczność. Sophie udawała obojętność, ale prawda była taka, że zależało jej na sławie aż do bólu.

Opuściła rękę do wody z cichym pluskiem.

- Nic.

- Chodź, wyciągniemy się stąd.

Grayson z łatwością podniósł Sophie i postawił na nogach. Chwiała się przez chwilę, lecz zanim zdążył ją złapać, całkowicie odzyskała równowagę.

Sophie wydawała się zmęczona, ale uczucie przygnębienia najwyraźniej spłynęło razem wraz z wodą, ustąpiwszy miejsca narastającej przekorze i złości.

- Dlaczego dzisiaj uciekłaś, Sophie? Na skutek tego, co Megan powiedziała o twojej matce? Czy tego, że Niles Prescott zamiast ciebie wywołał na estradę Megan?

Sophie prychnęła gniewnie, widocznie doszła już do siebie całkowicie.

- Ja wcale nie uciekłam. Po prostu wyszłam. Przyjęcie było beznadziejnie nudne i nie widziałam powodu, żeby zostać dłużej. - Sophie zmarszczyła brwi, jakby doznając olśnienia. - Mój Boże, kosztowałeś tego szampana?

- Sprawiałaś wrażenie, że się świetnie bawisz. A tak się składa, że tamten szampan należy do najlepszych na świecie.

- Właśnie! Bawiłam się świetnie w lokalu okrytym złą sławą i tańczyłam jak ladacznica. Oto dowód, że nie jestem kobietą przyzwoitą ani wzorem cnót! I nigdy taka nie będę, Graysonie!

Naraz Sophie odwróciła się gwałtownie się i nie bacząc na obecność Graysona, zaczęła ściągać z siebie resztę przyodziewku.

Mokra halka nie chciała się odkleić. Sophie ciągnęła, szarpała, wreszcie podarła materiał na strzępy.

- Daj, pomogę ci - zaferował się Grayson.

Ale kiedy podszedł bliżej, Sophie odwróciła się z powrotem w jego stronę.

- Nic nie rozumiesz? Nie potrzebuję twojej pomocy! Niczego od ciebie nie potrzebuję! Sama doszłam do wszystkiego i nie zamierzam tego zmieniać!

Teraz jednak z błyszczących oczu Sophie wytrysnęły łzy i zrezygnowana opuściła ręce wzdłuż ciała. Znowu zaczęła szcząć zębami, ale już nie wskutek zimna, które mogło zagrażać jej życiu. Po prostu Sophie była cała mokra.

Grayson nie rozumiał własnych odczuć, nie rozumiał potrzeby swojego serca nie mającej nic wspólnego z pożądaniem. Jeszcze raz wyciągnął delikatnie rękę i nie napotkawszy oporu, zaczął powoli usuwać z jej ciała wilgotny perkal.

Niewyczerpany zapas sił, który Sophie nagromadziła w sobie przez te wszystkie lata, uległ zużyciu. Grayson uprzytomnił sobie raptem z całą wyrazistością, że właśnie przez to omal nie stracił gruntu pod nogami. Sophie chliła cichutko, przyglądając się jego palcom, które manipulowały przy ramiączkach halki. Obie tasiemki były tak

splątane, że Grayson musiał je rozerwać, po czym tkanina zsunęła się do jej stóp.

Sophie miała pełne, bardzo krągłe piersi oraz szczupłą talię. Była piękniejsza, niż Grayson mógłby to sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Palce prawie mu drżały, kiedy pociągnął za tasiemkę pantalonów. Tutaj cienka bawełna poddała się o wiele łatwiej, opadając na stopy Sophie i obnażając cudownie rzeźbione biodra oraz długie nogi.

Sophie nawet nie drgnęła. Stała nieruchomo, a tkanina pętała jej stopy niczym kajdany. Kiedy Grayson zaś uniósł podbródek Sophie i spojrzał jej w oczy, zobaczył tam bezdenną pustkę, nieutulony żal, które nie miały nic wspólnego z ukazywaniem przez nią nagości.

Owinał ją ręcznikiem, a potem wziął na ręce i przeniósł na wysokie łożo z baldachimem, którego używał od kilku krótkich miesięcy. Tutaj wytarł ją do sucha jak niemowlaka, po czym opatulił dokładnie w swój gruby, kaszmirowy szlafrok.

Z anielską cierpliwością, która jego samego zaskoczyła, przygarnął ją do siebie i usadowił przed palącym się na kominku ogniem. Nalał koniaku do kryształowego kieliszka i usiadł za Sophie, wciągając ją między swoje nogi, sam zaś oparł się plecami o wyściełane krzesło. Namówiwszy ją do wysączenia paru łyków trunku, zabrał się powoli do rozplątywania jej długich, zwichrzonych włosów.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło - parę godzin czy kilka minut. Popijali koniak, siedzieli w milczącej chmurze złocistego blasku padającego z ognia na kominku, a Grayson cesał włosy Sophie miękką szczotką długimi, zamaszystymi pociągnięciami. Przez cały czas Sophie nie wyrzekła ani jednego słowa, tylko patrzyła na płomienie.

- Sophie, odezwij się do mnie - poprosił, kiedy miała już włosy suche, a ciało rozgrzane.

Sophie spróbowała wstać, ale Grayson nie pozwolił jej na to. Obrócił ją twarzą ku sobie. Nadał tkwiła między je-

go zgiętymi kolanami, teraz klęcząc. W jej oczach malowały się gwałtowne emocje. Wydawała się bezradna i zdesperowana. W pewnej chwili jej spojrzenie uległo przeobrażeniu i wyciągnęła rękę, dotykając ust Graysona.

Grayson szarpnął się mocno i pożądliwie, ale zachowując silną wolę, odsunął delikatnie dłoń Sophie.

- Nie, Sophie. Nie pozwolę ci się wymigać od tej rozmowy. Dotykanie mnie i całowanie niczego tu nie zmieni.

- Oczywiście, że zmieni - odparła.

Grayson natychmiast domyślił się wszystkiego.

- Przestań! - rzucił ostro. - Nie możesz dłużej uciekać przed przeszłością.

W pokoju zapadła śmiertelna cisza.

- Ach, Sophie - szepnął po chwili. - Wstydzisz się plotek o romansie, który twoja matka miała z Nilesem Prescottem? Czy właśnie to powstrzymuje cię przede mną tyle czasu? Przecież to ciebie nie dotyczy. Co zaś do koncertu, przykro mi, że nie dostałaś swojego solo. Ale niedługo zagrasz w Music Hall i pokażesz wszystkim, jak wiele stracili.

Twarz Sophie zastygła w grymasie autentycznego zdumienia, następnie oczy i policzki zapadły jej się tak, że twarz przypominała pośmiertną maskę. Z oczu Sophie trysnęły łzy. Znowu próbowała się wyswobodzić, ale Grayson w dalszym ciągu mocno ją trzymał. Ujął twarz Sophie w swoje dłonie, pochylił się bliżej i pocałował ją miękko w czoło i policzki. Jak gdyby jego dotyk mógł naprawdę ją uleczyć.

17

Znajdował się tak blisko.

Zbyt blisko, czy może nie dość blisko?

Sophie czuła bijące od Graysona ciepło, jego niezwykłą

siłę i zapragnęła tylko jednego - wtulić się w jego ramiona, pozwolić mu mocno ją uściskać i pieścić. Wpatrywał się w nią swoim ciemnym spojrzeniem i Sophie wiedziała, że próbuje zajrzeć na samo dno jej duszy. Przez ułamek sekundy prawie mu na to pozwoliła.

Jednak zamknęła oczy i odwróciła głowę.

- Nie muszę widzieć twoich oczu, żeby zrozumieć - szeptał, jakby zawsze to wiedział. - Wierzę, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Odrzuciła głowę do tyłu, a sprzeczne uczucia targały jej sercem.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała. W jej głowie wciąż rozlegały się okrutne słowa Megan, że w Bostonie nie ma dla niej miejsca.

- Tak sędzę - szepnął z nieskończoną subtelnością i delikatnością.

Sophie musiała wykrzyknąć swą frustrację.

- Ty niczego nie rozumiesz! To niemożliwe.

- Dlaczego? Powiedz, dlaczego? Bo twoja matka miała romans z innym mężczyzną?

Słowa Graysona zaparły Sophie dech w piersiach. Coś ścisnęło ją za gardło i poczuła się niczym w klatce. Dobrze znała te uczucia.

- Nie potępiaj za to mojej matki.

Ale czyż sama jej za to nie potępiła?

Oburzyła się na tę myśl. Rozpaczliwie zdusiła ją w sobie. Przecież kochała matkę. Brakowało jej matki. Doceniała to wszystko, co dla matki dla niej zrobiła.

- A więc dlaczego?

- Bo widziałam cię z Megan!

- Co ty wygadujesz? - spytał groźnym głosem.

- Widziałam cię z Megan w twojej mansardzie w Cambridge.

Sophie zobaczyła w jego oczach zdziwienie, a potem irytację i żal.

- Tej nocy, kiedy mówiłaś, że zobaczyłaś, gdzie mieszkam - szepnął do siebie.

- Przyjechałam z powodu twojego wezwania.

- Jakiego wezwania?

- Po śmierci mojej matki napisałeś do mnie, żebym do ciebie przyjechała - powiedziała ściszym głosem. - Dostałam twój list w momencie, kiedy bardzo byłeś mi potrzebny. - Sophie zamrużyła i skupiła wzrok na jego twarzy. - Ale kiedy przyjechałam do ciebie, Megan była...

- Dziwka - burknął lodowato Grayson. - Nigdy nie wysyłałem żadnego listu.

Jego słowa zadudniły w głowie Sophie jak łomot bębnow. Poczowała serce w gardle. Cały świat zawirował.

- Jakie to ma znaczenie, kto wysłał list? - spytała. - Kochałeś się z Megan. Sama widziałam!

- Nie kochałem się z nią, Sophie.

- Byłeś nagi!

- Wychodziłem z wanny, a Megan akurat była w pokoju.

- I bezsprzecznie jej pożądałeś. Trudno temu zaprzeczyć! Wargi Graysona utworzyły na moment wąską kreskę.

- Jestem tylko mężczyzną - odrzekł, dzieląc słowa na sztywne sylaby. - Boże, Megan wyciągnęła rękę i zaczęła mnie dotykać. Byłem samotny i młody.

Sophie odwróciła się gwałtownie, przypomniawszy sobie oczy Graysona, ciemne, błyszczące, gdy kobiece dłonie przesuwały się po jego ciele, zaciskały się na nim, pieściły. Sophie stała jak sparaliżowana, doznała szoku, przyglądała się, odczuwając mdłości, ale nie mogła oderwać oczu. W pewnej chwili Megan podniosła wzrok, zobaczyła ją i uśmiechnęła się tryumfalnie.

Sophie wycofała się po cichu, wyszła na ulicę i zaczęła biec ile sił w nogach.

- Czy młodość i samotność może to usprawiedliwiać?

- Może, bo odprawiłem Megan.

Sophie zmrużyła oczy, marszcząc czoło.

- Przyszła do mnie, zgoda. Ale ją odprawiłem, Sophie.
Sophie obróciła się raptownie, patrząc mu prosto w oczy. Na twarzy Graysona malowały się powaga i łagodność, jakich nigdy dotąd nie widziała.

- Były kobiety w moim życiu. Nie będę temu zaprzeczał. Ale czy naprawdę sądzisz, że poszedłbym do łóżka właśnie z nią, kobietą, która tyle razy zadała ci ból?

Wzruszenie ścisnęło Sophie za serce i zakręciło jej się w głowie. Nie wierzyła własnym uszom.

- O czym ty mówisz?

- Wiesz, o czym mówię.

Grayson nie kochał się z Megan. Znaczenie tych słów nie mogło dotrzeć do jej świadomości. Stał się cud.

Spoglądała na Graysona. Serce podskoczyło jej do gardła i omal nie rzuciła mu się na szyję, aby go uściskać. Ale natychmiast serce zamarło jej z trwogi.

Grayson nie kochał się z Megan.

Nagle zrozumiała, co to oznacza, a słowa te wydały się okrutnym żartem. Grayson wcale nie zdradził jej z kobietą, która przez całe życie robiła wszystko, aby sprawić Sophie ból.

Poczuła gwałtowne wyrzuty sumienia. Niestety, było już za późno.

Sophie cofnęła się gwałtownie, aby odzyskać swobodę ruchów.

Ale Grayson złapał ją za gołą łydkę.

- Przestań uciekać! Uciekasz nieustannie od dnia, w którym umarła twoja matka.

Sophie zaczęła wierzgać, ale Grayson trzymał mocno, ciągnąc ją z powrotem do siebie.

Sophie zalewała się łzami, które wypalały szlak na jej policzkach z całego mnóstwa powodów.

- Nienawidzę cię - wykrztusiła.

- Kłamiesz - szepnął, jak gdyby te dwa proste słowa miały dlań ogromne znaczenie. - Jesteś po prostu na mnie zła. A zapewne i na samą siebie.

Sophie wybuchnęła płaczem i skapitulowała. Mur runął i Sophie rzuciła się w ramiona Graysona. Ścisnęła go z taką żarliwością, jakiej nigdy wcześniej nie odczuwała.

- Przepraszam. Strasznie przepraszam - wyszeptała.

Przylegali do siebie jak połówki jednej całości, wątpliwości się rozwiały, zostało głębokie uczucie.

Grayson scałowywał gorące łyzy Sophie, ujmując jej twarz swoimi silnymi dłońmi. Palce ponownie zapuściły się w jej włosy, nawijając kosmyki, które przed chwilą osuszył. Końcówką języka prześledził jej usta.

- Otwórz się dla mnie, ukochana.

Posłuchała jego prośby, delektując się intensywnym smakiem jego pocałunku, tchnącym aromatem koniaku. Nie przestając jej całować, Grayson wciągnął Sophie wyżej, sam zaś znowu oparł się plecami o wyściełane krzesło. Kolana Sophie zagłębiły się w gruby dywanik po obu stronach ud Graysona. Pod kaszmirowym szlafrokiem nie miała nic i najintymniejszym skrawkiem swojej skóry wyczuwała miękka, wełnianą flanelę jego spodni.

Jego dłonie wcisnęły się pod grubą bawełnę, pasek na biodrach puścił i teraz Grayson przesunął dłońmi z obu stron ciała Sophie, a potem nakrył jej piersi, muskając kciukami brodawki. W jej gardle dał się słyszeć cichy jęk, próbujący wydostać się na zewnątrz, ale Sophie przełknęła go z powrotem, robiąc głęboki wdech i czując dłonie Graysona przesuwane się w dół po łuku jej brzucha, dopóki jego palce nie musnęły gęstych pukli na jej łonie. Tym razem nie zdołała zdławić jęku.

Odtąd ich kochanie przypominało szaleńczy taniec, jedno kapitulowało przed drugim, a oboje zapominali o bożym świecie. Grayson przebiegał rękoma po jej ciele, Sophie zaś z trudem chwyciła powietrze, rozpłomieniona płynnym ogniem, który rozpałał się w jej wnętrzu.

Teraz oboje klęczeli, szlafrok zsunął się kompletnie i Sophie pragnęła zatracić się w ramionach Graysona.

Szarpnęła za jego koszulę, ale nie zdołała jej z niego zerwać. Wpadła na myśl, że musi czegoś dowieść - samej sobie oraz Graysonowi. Czegoś na temat przeszłości. Co przekona go raz na zawsze.

Ale odepchnęła tę myśl od siebie. Nie była w stanie zrobić nic innego, tylko kochać Graysona. Posmakować go ten jeden jedyny raz. Tak, aby starczyło do końca życia.

Tymczasem Grayson chwycił ją pod kolana i z powrotem zaniósł na łóżko, a ona kurczowo trzymała go za szyję. Zdziwiła się, kiedy ją położył, a sam tego nie zrobił.

- Boże, Sophie. Powinienem już iść, bo inaczej nigdy stąd nie wyjdę - powiedział, ale te słowa dużo go kosztowały. - Niedługo weźmiemy ślub. Wtedy będę się z tobą kochał. Długo, bez pośpiechu i słodko.

Ramiona Sophie zamknęły się na jego szyi. Nie odpowiedziała mu słowami, tylko przyciągnęła go z powrotem do swoich ust.

Grayson aż jęknął pod dotknięciem warg Sophie, ona zaś poczuła, że stawia jej opór. Natychmiast przesunęła koniuszkiem języka po jego ustach i Grayson był zgubiony.

Leżąc obok Sophie z głębokim westchnieniem.

- Przez ciebie tracę panowanie nad sobą - sapnął oskarżycielsko.

Sophie złapała haust powietrza, ciało miało rozognione, a miękki materiał wieczorowej koszuli Graysona gładził delikatnie jej piersi, póki nie wyprężyły się w całej krasie.

Na dworze deszcz bębnił o szyby jak tam-tamy w afrykańskim buszu. Dusza Sophie rozedrgała się rytmicznym pulsowaniem, od którego jej ciało zapłonęło nieznanym ogniem.

Zrozumiała, że kapituluje przed Graysonem, i nie pragnie już niczego więcej. Tylko tego mężczyzny. Tylko w taki sposób. Kiedy więc przycisnął palce do jej serca, nie potrafiła zareagować inaczej, jak nakryć swoją dłońią jego dłoń.

Zawędrował niżej, skrajem dłoni muskając z boku jedną pierś, aby ująć miękką i wrażliwą krągłość ciała. Sophie

zaciśnęła powieki, czując, jak twarde udo Graysona okryte czarnym materiałem wciska się pomiędzy jej nogi i rozsuwa je szeroko. Teraz skubnął wargi Sophie, ssąc delikatnie i powoli, śledząc koniuszkiem języka zarys jej ust, po czym zatopił się w nich całkiem.

Wodził po niej palcami z taką samą zręcznością, jak ona smyczkiem po strunach wiolonczeli, dając i domagając się na przemian. Kiedy Sophie spróbowała zająć się nim, Grayson przytrzymał ją delikatnie i balansując na jednym łokciu, spojrzął jej prosto w oczy.

- Sophie - wymruczał swoim niskim, ochrypłym głosem pełnym dzikiego pożądania.

Ale nim zdążyła odpowiedzieć, przebiegł ręką między jej piersiami i zainteresował się na dłużej łagodną wypukłością brzucha. Teraz Sophie poczuła jego dłoń na swoich kolanach. Grayson podciągnął je wyżej, a potem bardzo powoli przesuwając dłonią do góry po wewnętrznej stronie uda, odnajdując najintymniejszy fragment jej ciała. Kiedy zaczął go pieścić, oddech Sophie stał się raptem płytki i urywany. Krzyknęła z rozkoszy i nie mogąc się powstrzymać, uniosła się w górę, całym ciałem przytulając się do Graysona.

Roznamiętniona do granic wytrzymałości, pragnęła doznać, których nie potrafiła nazwać.

- Jeszcze nie - westchnął Grayson.

Pragnął doprowadzić do tego, by zapragnęła oddać się bez reszty. Nie miał jednak pojęcia, co potem zrobić.

- Graysonie? - szepnęła.

- Tak, ukochana - odparł czule. - Jestem przy tobie.

Jej ciało łaknęło Graysona, pragnęło poszybować w nieznane. Raptem jednak cofnęła się, próbując wyswobodzić.

- Co się stało?

Uklękła na obu kolanach i bezwstydnie szarpnęła za jego koszulę.

- Pragnę cię - łkała. - Ciebie całego. Nie chcę, żebyś mnie przekonywał albo uczył. Chcę to odnaleźć razem z tobą.

- Mój Boże - szepnął.

Odrzucił koszulę w kąt pokoju, pozwalając Sophie przesuwając dłońmi po swych barkach, gdzie twarde wypukłości mięśni rozszerzały się w silne ramiona. Przyjęła jego pocałunek, domagając się jeszcze.

Roztapiała się w Graysonie. Pragnęła czuć jego dotyk, dotyk jego ciała, które miała dostać na własność. Chciała poznać każdy cal ciała mężczyzny, którego kochała nad życie.

A kiedy przestraszyła się, że już dłużej tego nie znieś, Grayson uniósł się wyżej i usadowił się między jej udami. Chwyając łapczywie powietrze, rozłożył kolana Sophie, a jednocześnie pieścił jej język swoim własnym, ssąc i kąsając. Kiedy wyczuł, że Sophie jest już gotowa, z przeciągłym jękiem skapitulował i pchnął do przodu.

Wstrzymała oddech, a świat wokół nich zastępnął w bezruchu. Po chwili oboje nieco oprzytomnieli, patrząc sobie w oczy, a prawda o jej przeszłości ujawniła się w sposób nie budzący wątpliwości. Sophie nie była dziewicą.

- Sophie - szepnął tylko.

Ale Sophie nie odpowiedziała, nie była w stanie. Po prostu przycisnęła go do siebie jeszcze bardziej.

- Kochaj mnie, Graysonie - wyszeptała, napierając na niego, dopóki nie jęknął i zaczął poruszać się w jej wnętrzu, powoli, w stałym rytmie, potem coraz szybciej i szybciej. Słodka, szalona miłość, która zdruzgotała ich na zawsze.

A potem Sophie wtuliła się w Graysona i spoczywali obok siebie, spleceni nogami, ramionami i palcami. W stanie idealnej błogości.

Starła się opróżnić pamięć z wszelkich wspomnień. Chciała rozkoszować się wymarzoną chwilą, usiłowała trzymać myśli jak najdalej od siebie. Ale minuty upływały i rzeczywistość przyspieszała biegu z każdym słowem, którego Grayson nie wymówił.

Serce Sophie zaczęło kołatać, lecz nie z namiętności, tyl-

ko z pogłębiającej się rozpaczy. Wiedziała, że tak się stanie, a jednak zraniło ją to do żywego.

W końcu wyplątała się z jego ramion, a gorące łzy ścisnęły jej gardło. I tak jak owego dnia w holu Łabędziej Gracji, Grayson pozwolił jej się oddalić.

Przełożył powoli nogi na drugą stronę i oparł je na dywanie. Ale nie wstał. Patrzył na nią idealnie obojętnym wzrokiem.

Ta pustka doprowadziła ją do łez, ale Sophie nie poczuła ulgi. Jedyne siła mogła okazać się pomocna. Tylko pycha. Nauczyła się tego dawno temu.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie możemy się pobrać - oznajmiła, starając się nadać swoim słowom ową siłę. - Bo prawda jest taka, że Niles Prescott nie kochał się z moją matką, tylko ze mną.

18

Zapadła głucha cisza, a na twarzy Graysona odmalowało się coś, czego Sophie nie była w stanie określić - szok, gniew, rozpacz.

Czuła się zbyt rozpalona wewnątrz mimo chłodu, który ciągnął od okien, gdy na kominku zagasł ogień. Kręciło się jej w głowie i zaczynała drzeć na całym ciele. Ale musiała odejść. Zdziwiła się jednak, kiedy Grayson złapał ją za rękę, popatrzył na ich splecione palce, a potem uniósł podbródek i ich spojrzenia się spotkały.

- O czym ty mówisz? - spytał, a każda wypowiedziana przez niego sylaba promieniowała napięciem.

- Przecież słyszałeś, Graysonie - odparła cichym głosem, czując odrazę do tych słów.

Potrząsnął z wolna głową, jak gdyby mógł im zaprzeczyć.

- Miałaś stosunki z Nilesem Prescottem? Z mężczyzną tak starym, że mógłby być twoim ojcem?

Sophie nie była w stanie się poruszyć, a co dopiero mówić.

- Sophie, wytłumacz się - zażądał napiętym głosem.

- Tak! Owszem, tak! Miałam stosunki z Nilesem Prescottem.

Grayson chwycił ją za ramiona.

- Powiedz, że cię zgwałcił, a ja już dopilnuję, żeby za to zapłacił.

Sophie zrobiła się czerwona na twarzy. Przymknęła oczy, rozpamiętując pewną noc z dalekiej przeszłości. Zgwałcił? Czy Niles Prescott ją zgwałcił? Przecież stwierdził, że to ona była wszystkiemu winna. A nie była?

- Nie, to nie był gwałt - odpowiedziała drewnianym głosem.

Grayson spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Więc dlaczego? Bo sądziłaś, że kochałem się Megan? Chciałaś się na mnie odegrać?

Sophie zadarła głowę.

- Nie! Boże broń! - rzuciła. Jak mogła wytłumaczyć Graysonowi, skoro sama nie miała pojęcia, dlaczego sprawy przybrały taki straszny obrót?

- Więc czemu poszłaś z nim do łóżka?

Sophie dostała strasznych zawrotów głowy i poczuła się słabo. Zauważyła w lustrze odbicie własnej twarzy, obrzmiałe z namiętności wargi, potargane włosy, skłębiony na podłodze szlafrok. Drżącymi rękami sięgnęła po kaszmir, żeby się nim owinać.

- Sophie, czekam na odpowiedź.

- Co chcesz usłyszeć? Że byłam głupia i popełniłam błąd? Przyznaję - teraz jesteś zadowolony? A może chcesz usłyszeć, jak jednego dnia moja matka śmieje się wesoło i snuje różne plany na przyszłość, a drugiego umiera na influencę?

Na miesiąc przed osiemnastymi urodzinami Sophie jej matka nieoczekiwanie odeszła, natomiast ojciec popadł w melancholię i stał się całkowicie nieprzystępny.

- A może chcesz usłyszeć, jak pojawiła się u nas Patrice, by opiekować się moją umierającą matką, a skończyła jako nowa żona mojego ojca w niecały miesiąc po śmierci matki?

Grayson zmrużył powieki, zastanawiając się na słowami Sophie.

- Co to ma wspólnego z Nilesem Prescottem?

Sophie opadły ramiona na wspomnienie tamtych chwil, gdy próbowała zobaczyć się z ojcem i przełamać jego melancholię, a Patrice za każdym razem ją odprawiała.

- To nie ma nic wspólnego z Prescottem - szepnęła, odwracając się do okna. - Oraz wszystko.

Jak mogła wytłumaczyć Graysonowi, że czuła się strasznie osamotniona? Że w chwili, kiedy potrzebowała Graysona najbardziej, dostała liścik, który uważała za napisany jego ręką? Że pojechała do niego w szalonym pędzie, a na miejscu zastała Megan, która bezczelnie pieściła jego ciało?

Po ucieczce z tej mansardy Sophie pojechała do szkoły muzycznej, aby znaleźć zapomnienie w muzyce. Przebywał tam akurat Niles Prescott, znajomy matki, i pozwolił dziewczynie wypłakać się na jego piersi. Tyle tylko że Prescott dał jej ukojenie zupełnie innego rodzaju.

Sophie poczuła wzbierającą żołąć. Wstyd. Niedowierzenie. Musiała ocknąć się ze złego snu, który mimo upływu tylu lat wciąż nie chciał przeminąć.

Ileż to razy zachodziła w głowę, czemu do tego doszło? Ale wyjaśnienie ciągle pozostawało nieuchwytnie. Czy dlatego, że była niedoświadczona? Głupia? Że desperacko poszukiwała miłości?

Odpowiedź na to pytanie nie miało jednak żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że oddała się temu mężczyźnie. A potem cios ostateczny - Prescott ofiarował solo Megan. W ciągu zaledwie jednego miesiąca Sophie straciła wszystko. Matkę, marzenia i wszelkie szanse na poślubienie porządnego człowieka.

Seria fatalnych przypadków i błędów odmieniła jej życie kompletnie.

- Nic oraz wszystko? - dopytywał się Grayson. - Uważasz, że takie wyjaśnienie wystarczy?

Sophie odszukała jego wzrok.

- Cokolwiek powiem, i tak nie zmieni to faktów. Chcesz tego samego, czego chce każdy porządny wiktoriański mężczyzna. I czego się spodziewa. Że kobieta, z którą pójdzie do ołtarza, będzie wprost idealna, słowem, będzie cnotliwą narzeczoną. Możesz temu zaprzeczyć?

Grayson popatrzył na nią, ale nie odezwał się ani słowem.

Przełknąwszy łyk powietrza, aby zdławić łzy, Sophie zrozumiała, co powinna uczynić. Podeszła miarowym krokiem do biurka i wyjęła papier i pióro. Drżącymi rękami skreśliła w pośpiechu kilka słów.

Tymczasem Grayson skierował wzrok na okno i widząc stojącą przed nim na powrót Sophie, zrobił zdziwioną minę. Złość mu już minęła i przypominał teraz szesnastoletniego chłopaka, odtrąconego i zbolałego. Zdezorientowanego. Sophie miała ochotę wyciągnąć do niego ręce i mocno go przytulić. Ale on nie był już chłopcem, tylko dorosłym mężczyzną, człowiekiem twardym i wymagającym.

- Podpisz to, Graysonie - zażądała.

Machinalnie przeczytał tekst. Oczy mu się zwężyły, po czym wrócił wzrokiem do Sophie.

- To odwołanie naszych zaręczyn - stwierdził, jakby nie wiedział, w co ma wierzyć i jak w ogóle można wierzyć w cokolwiek na świecie, który przewrócił mu się do góry nogami.

- Tak będzie najlepiej - odrzekła z całkowicie obojętną miną choć serce rozdzierało jej się na dwoje.

Błądził po papierze niewidzącym wzrokiem. W pewnym momencie Sophie uświadomiła sobie, że zamierzał podrzeć zabazgraną kartkę w strzępy, więc dodała szybko:

- Poza tym chcę odzyskać Łabędzią Grację. To warunek tej umowy.

Grayson podniósł głowę i spojrzał na nią.

- O czym ty mówisz? - spytał groźnie.

- Ona należy do mnie, Graysonie - odparła. - Ojciec nigdy nie powinien jej przepisać na ciebie.

Dezorientacja i bolesna rozpacz ulotniły się gdzieś z serca Sophie, a zastąpiła je obojętna pewność siebie. Grayson patrzył na Sophie jak jeszcze nikt w jej życiu. W tym momencie uzmysłowiła sobie, że ją znienawidził. Błyskawicznie i nieodwołalnie. Czy nie tak zmieniają się wielkie nastroje? Nigdy pomału, nigdy stopniowo.

- Niech cię diabli - zaklął. - Od początku na tym ci tylko zależało. Na Łabędziej Gracji.

Wyrwał jej dokument z ręki i gwałtownymi pociągnięciami pióra napisał coś u dołu strony. Potem złożył tam swój podpis. Na koniec cisnął piórem o biurko ze stukiem, ochlapując niebieskoczarnymi łzami cały blat.

- Proszę, masz, czego chciałaś. Odzyskałaś dom i wolność.

Wolność. Rozpacz dusiła ją w gardle i nie mogła wyrzucić słowa. Tak bardzo pochłonęła ją walka z Graysonem, że straciła z oczu cel, jaki sobie postawiła. Wolność, owszem. Ale była to wolność od jedynej mężczyzny, którego kiedykolwiek kochała i nigdy nie przestała kochać.

Ale fakty były faktami. Jak mogła pozwolić sobie na miłość do mężczyzny, który nie potrafił odwzajemnić jej uczucia? Przecież wiedziała, Grayson zresztą też o tym wiedział w głębi duszy, że przez całe życie dążył do doskonałości. Dla swojego ojca, dla nazwiska Hawthorne, a ostatecznie również dla siebie - dla mężczyzny, którym się stał. Najlepszym tego dowodem był fakt, że pozbył się Megan.

Jego milczenie i podpis na kartce papieru były krzykiem prawdy.

Tymczasem cisza przeciągała się coraz bardziej, wreszcie Grayson zaklął ostatni raz i włożył koszulę. Z gniewną miną dokładnie pozapinał wszystkie guziki, po czym skierował się do drzwi. Na progu zatrzymał się jednak i od-

wrócił, jego ciemne oczy były puste i zimne, jak gdyby utracił więcej, niż Sophie sądziła.

- Możesz myśleć, co chcesz, ale nigdy nie zamierzałem trzymać cię w klatce. Chciałem tylko, abyś dzieliła ze mną życie - oznajmił.

Po czym wyszedł, trzaskając na zakończenie drzwiami, co jeszcze bardziej złamało serce biednej Sophie.

Grayson wpadł jak burza do Wrót Słowika. Brutus wyrósł niby spod ziemi gotów do konfrontacji, a z jego oczu sypały się błyskawice. Widząc brata swojego chlebobdawcy, powstrzymał się jednak od zaczepki.

Już nie pierwszy raz Grayson musiał przyznać, że jego najmłodszy braciszek obraca się w podejrzanym towarzystwie. Ale właśnie to sprowadziło tu dziś Graysona.

- Masz dowiedzieć się o Sophie wszystkiego, czego zdołasz - oznajmił prosto z mostu, wchodząc do obitego pluszem gabinetu Lucasa na piętrze. Brutus deptał Graysonowi po piętach niczym żałośnie skamlaający brytan.

- Najmocniej przepraszam, szefie. Nie pozwolił mi się anonsować.

Kiedy Lucas obrzucił wchodzących spojrzeniem, jeden z kącików jego ust lekko zadrgał. Następnie właściciel klubu odprawił gestem swojego fagasa.

- Naprawdę nie powinieneś tak z nim postępować - pocuczył Graysona z udawaną surowością. - Brutus nigdy nie wie, jak ma się wobec ciebie zachować. Nie pozwalasz mu wykonywać jego obowiązków, tak jak on je widzi.

- Nie jestem tutaj, aby wymieniać uprzejmości.

Lucas parsknął śmiechem.

- To widać. Chcesz, żebym pogrzebał w przeszłości twojej narzeczonej.

Grayson był zbyt... oszołomiony, rozwścieczony... za- nadto rozczarowany, by wyrazić swoją prośbę inaczej niż przez ujawnienie gorzkiej prawdy.

-Tak.

- Domyślam się, że ślub został odłożony.

- Niech to szlag. - Grayson przeciągnął palcami po włosach, zaskoczony prawdą, która ukazała mu się w całej pełni.

- Ślubu nie będzie.

Grayson przycisnął palce do skroni. Sophie kochała się z innym mężczyzną - oto prawda, którą usiłował wyprzeć ze swojej świadomości, mimo że Sophie próbowała mu o tym powiedzieć na tyle sposobów. Pretensję mógł mieć tylko do siebie.

- Czy to znaczy, że narzeczona kryształowego jak zawsze Graysona Hawthorne'a oblała egzamin?

- Ostrożnie, braciszku. Nie jestem w nastroju do żartów.

- Nie - bąknął w cichej zadumie Lucas. - Chyba nie jesteś. Powiedz mi dokładnie, czego szukasz.

- Wszystkiego, co uda ci się znaleźć. A przy okazji, przyjrzyj się Nilesowi Prescottowi.

Lucas uniósł brwi ze zdziwienia.

- Nie pytaj - zgasił go Grayson. - Po prostu dowiedz się jak najwięcej o tym draniu. Skąd pochodzi i jak dostał swoją posadę. - Grayson spojrzał bratu w oczy. - Chcę wiedzieć wszystko, łącznie z tym, ile kostek cukru bierze do herbaty przy śniadaniu.

- Czy dowiem się, o co chodzi?

- Ujmijmy to w ten sposób - odparł Grayson. - Wreszcie zacząłem słuchać tego, co Sophie od samego początku do mnie mówiła. W jej występach jest coś dziwnego i zamierzam się tego dowiedzieć, zanim panna Wentworth pod koniec miesiąca wyjdzie na estradę.

- Masz to jak w banku. Coś jeszcze?

- To wszystko.

19

Sophie nie chciała myśleć o niczym. Narysowała szczegółowy projekt pokoju muzycznego, a potem ze zdwojoną energią zaczęła go realizować. Lecz chociaż z całych sił starała się opróżnić całkowicie swą pamięć, wspomnienia nie chciały zostawić jej w spokoju.

Już prawie od pięciu długich lat układała na nowo wątek swojego życia. Cztery lata poświęciła na studia w prestiżowym konserwatorium niemieckim, a potem jeszcze sześć miesięcy na zapewnienie sobie egzystencji. Wyszukała swoją świątę, zebrała ich wokół siebie z drobiazgową precyzją, po czym wyreżyserowała spektakl, którym zdobyła dla siebie setki wielbicieli. Teraz zaś jednym posunięciem zmarnowała cały wysiłek.

Grayson poznał jej tajemnicę.

Przez całe lata Sophie pragnęła desperacko cofnąć w niebyt te kilka godzin, które podzieliły jej życie na okres przed i po równie ostro i gwałtownie, jak topór rzeźniczy przepoławia połec mięsa. Była dorosła; wiedziała, że musi wznieść się ponad głupi błąd młodości. Przez wszystkie lata przekonywała siebie, że to nie był jej błąd. Nie mogła jednak zapomnieć, że z własnej woli przyszła do szkoły muzycznej, o późnej godzinie i sama.

Do końca życia nie zapomni wyrazu twarzy Graysona, kiedy zdał sobie sprawę, że nie była dziewicą. Poczucie zdrady. Rozczarowanie.

Świadomość winy mieszała się u Sophie ze stanem irytacji. Najświeższy stan irytacji był dla niej zaskoczeniem, bo przez lata uświadamiała sobie najwyżej własną winę

oraz potrzebę wymazania z pamięci złej przeszłości.

Wyrzała przez zamglone okno i zobaczyła, że zbliża się jakiś mężczyzna. Sophie aż wyskoczyła z krzesła. Miała nadzieję, że wraca Grayson, aby jeszcze raz wszystko z nią omówić.

Ale przyjrzawszy się bliżej, stwierdziła, że frontowym podjazdem przed Łabędią Gracją maszeruje Niles Prescott. Zgodnie z ostatnią modą kapelusz nosił na bakier, spod eleganckiego, jasnobrązowego palta wystawał mu trochę wełniany szalik, a z łokcia zawadiacko zwieszała się laska. Pierwszy raz od pięciu lat Sophie pozwoliła sobie na odczucie paroksyzmu złości, który przyprawił ją o piekący ból.

Nawet nie poczekała, aż Prescott zapuka. Pobiegła do holu i zamasyście otworzyła drzwi na oścież.

Na widok Sophie Prescott uniósł swoje łukowate brwi.

- Czy to znaczy, że tym razem mnie wpuścisz? - spytał z jowialnym uśmiechem. Nie miał pojęcia o złości, jaka się gotowała w Sophie.

- Tak - odparła sucho. - Nie mógł pan się zjawić o dogodniejszej porze.

Najwyraźniej zadowolony z siebie Prescott wszedł do środka. W pewnej chwili odwrócił się i wyciągnął rękę z kopertą. Ale na dźwięk zamykających się z trzaskiem drzwi ręka mu znieruchomiała.

- Co to jest? - spytała Sophie.

- Pierwsza część honorarium za koncert - odparł. Na widok emocji malujących się na twarzy Sophie Prescottowi zrzędnęła mina. - Może lepiej przyjdę kiedy indziej.

Sophie wyrwała mu kopertę z ręki.

- Nie sądę - bąknęła, zaglądając z bijącym sercem do środka. *Pieniądze. Proszę cię, Boże, niech będzie ich tyle, by wystarczyło na powrót do Europy.*

Niestety, kwota na czeku wynosiła tylko połowę niezbędnej sumy.

Sophie dostała ataku mdłości, szału i furii. Na Prescottta, na siebie. Na Graysona. Wiedziała w głębi serca, że zo-

na Graysona musi być dziewicą, wiedziała o tym od początku. Lecz domyślanie się prawdy a jej potwierdzenie to dwie zupełnie różne sprawy.

Oddech Sophie stał się świszczący.

- To ja już pójdę - powiedział Prescott.

Sophie Przyszpiliła go spojrzeniem.

- Chwileczkę. Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali.

- Mam umówione spotkanie.

- Będzie musiało zaczekać. Uciekam przed tym od pięciu lat. Już mam dość uciekania. Niech pan mi powie, dlaczego.

- Co dlaczego? - Mężczyzna nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Dlaczego nie dał mi pan tego solo?

Prescott wzruszył ramionami ze świętego oburzenia.

- Byłaś za słaba.

- Kłamca.

Oczy Prescotta rozszerzyły się.

- Byłam dobra.

Wyraz zaskoczenia zgasł na twarzy Prescotta niczym płomień świecy, a jego usta zacisnęły się w wąską kreskę, jak gdyby on też długo czekał na tę chwilę.

- Byłaś zuchwała i niezdyscyplinowana. Jaka dziewczyna zjawia się o tak późnej porze bez przyzwoitki? Dziewczyna pozbawiona wszelkich zasad nie zasługuje, rzecz jasna, na prestiżowe solo podczas Wielkiego Debiutu.

- Jaki mężczyzna wykorzystuje taką dziewczynę?

Prescott dostał rumieńców.

- Może i byłam zuchwała i niezdyscyplinowana - ciągnęła Sophie - ale byłam niewinna.

Prescott zmarszczył czoło jakby w odruchu samoobrony.

- Dowiedziałem się, że teraz nie jesteś już taka niewinna. Amerykańska publiczność zapewne jeszcze się na tobie nie poznała, ale ja tak. Słyszałem o tych twoich koncertach. Zachowujesz się skandalicznie, tak samo jak w dzieciństwie. Trzymałem ten sekrecik dla siebie, ale już wkrótce

cały Boston się dowie, jakie dajesz koncerty. Ciekawe, co ludzie powiedzą, kiedy na własne oczy zobaczą to, co przeżuwałem od początku.

Słowa Prescottta spadły na Sophie jak straszliwy cios.

- Zaoferował mi pan występ, żebym się skompromitowała?

Prescott roześmiał się ochryple.

- Może wtedy Boston zapomni o tragicznej grze Megan w czasie waszego debiutu. - Teraz Prescott z każdym słowem podnosił głos coraz wyżej. - Może wtedy zapomną, że to ty miałaś dostać ten koncert. Może wtedy zrozumieją, że nie zasłużyłaś na niego. Nie jesteś lepsza od innych dziewcząt, które myślą, że przymilnymi uśmiechami i słodkimi słówkami zrobią wielką karierę. No, będziesz miała za swoje!

Straszna prawda, że Prescott ją wykorzystał, a potem cisnął w ką, ugodziła Sophie prosto w serce.

Sophie i Prescott starli się oczyma, a mężczyzna zaśmiał się nerwowo.

- Teraz sama udowodnisz Bostonowi, że nie masz pojęcia o dobrej muzyce, a zwłaszcza o Bachu.

Grayson wyszedł z sądu i skierował się do swej kancelarii w Łabędziej Gracji. Musiał nadrobić stracony czas. Niejeden z jego stałych klientów wyrażał troskę, że adwokat jest ostatnio nieco rozkojarzony. Grayson nigdy jeszcze nie stracił równowagi psychicznej aż do tego stopnia.

Na widok stojącego przy krawężniku furgonu zatrzymał się jak wryty.

PRZEPROWADZKI U HAMMERMILLA. NAJLEPSZY W BRANŻY.

Przepychając się do frontowych drzwi, musiał w pewnej chwili uskoczyć przed dwoma barczystymi mężczyznami niosącymi regał. *Jego własny regał.*

- Co, u diabła? - mruknął, zatrzymując tragarzy. - Co wy z nim robicie?

Pierwszy mężczyzna odchrząknął.

- Przenosimy gdzie indziej.

- Niby dlaczego?

Tragarz wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem. Trza spytać szefową - odparł i ruszył dalej, niosąc orzechową szafkę biblioteczną do gabinetu Graysona, gdzie stały już jego pozostałe regały.

Grayson ruszył na poszukiwanie *szefowej*.

Stała w drzwiach do biblioteki. Na dźwięk głosu Graysona Sophie odwróciła się w jego stronę. Popatrzyli na siebie, w powietrzu między nimi rozpinały się niezadane pytania i niewypowiedziane słowa.

W jej oczach widniała rozpacz, złocistobrazowy kolor tak pociemniał, że wszystkie plamki zieleni gdzieś zniknęły. Na twarzy Sophie odmalowało się niezdecydowanie i Graysonowi wydawało się przez moment, że zamierzała coś powiedzieć. Ale w ostatniej chwili najwyraźniej się rozmyśliła, bo nagle odwróciła wzrok.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Grayson.

- Wynoszę meble z biblioteki.

- To widzę - odrzekł, zaciskając pięści przy bokach. - Pytanie brzmi: dlaczego?

- Dlatego, że zamieniam ją w pokój muzyczny zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem - powiedziała oficjalnie i stanowczo. - Nie wiedziałam, dokąd przenieść twoje meble, więc na razie stawiam je w twoim gabinecie, a potem sam o nich zdecydujesz. Teraz możesz albo pomóc, albo usunąć się i nie przeszkadzać.

- Usunę się na stałe - odparł sztywno Grayson - jak tylko znajdę lokal na nową kancelarię. Muszę gdzieś przyjmować interesantów, a na razie mogę to robić tylko w Łabędziej Gacji. Byłbym wdzięczny, gdybyś zachowała pozory normalności i pozwoliła mi nie utracić przynajmniej tej garstki klientów, którzy jeszcze pozostali. Pokój zawałony od ściany do ściany regałami nie skłania do szczerych zwierzeń.

Grayson udał się na poszukiwanie tragarzy, ale ci już wsiedli na swój furgon i właśnie odjeżdżali. Zatrząsał się ze złości, wpadł jak burza do swego gabinetu, ale nie uciekł zbyt daleko od tych wszystkich regałów.

- Niech cię diabli, Sophie! - ryknął.

Kiedy jednak spojrzął za siebie i zobaczył ją stojącą w tym samym miejscu z rękami splecionymi na piersiach, zaklął szpetnie pod nosem, przeskoczył stos książek prawniczych i utorował sobie drogę do skórzanego fotela. Zamierzał odzyskać kontrolę nad swoim życiem, skoro teraz wpędzało go ono do grobu.

Nazajutrz Grayson wrócił i zastał w holu Margaret, Deandrę oraz Henry'ego, którzy wrócili akurat ze swoich wojaży. Na podłodze wokół nich leżały rzucone byle gdzie walizki.

- Co się tu dzieje? - spytał surowo.

Wszyscy troje odwrócili się w jego stronę, na ich twarzach malował się niepokój.

- Sami dobrze nie wiemy - powiedziała Deandra w imieniu całej trójki. - Przed chwilą wróciliśmy, a Sophie jeszcze się do nas nie odezwała. Ledwo przekroczyliśmy próg domu, kiedy zeszła w milczeniu po schodach i zniknęła w bibliotece jak senna mara.

- Lepiej porozmawiaj z nią, Dea - rzekł Henry.

- Nie, ty z nią pogadaj. Potrafisz sobie z nią radzić, ilekroć zachowuje się w ten sposób.

- Ale teraz jest inaczej. Ona jest jakaś... nieprzenikniona i strasznie skoncentrowana. Tyle tylko że nie mam pojęcia, na czym.

- To prawda - mruknęły zgodnym chórem Deandra i Margaret.

- Ja z nią porozmawiam - oświadczył Grayson, wychodząc naprzód.

Lecz kiedy wszedł do pokoju, zatrzymał się jak wryty.

Sophie stała na małej drabince w pustej bibliotece, trzy-

mając w ręku pędzel, a obok niej na podłodze znajdował się kubeł. Ale wcale nie wygładzała farby na jaskrawoczerwonych ścianach. Po chwili Grayson zorientował się, że w kubele była czysta woda. Sophie zwilżała kolorową tapetę.

Nadszedł Henry i teraz obaj mężczyźni gapili się na pracującą przed nimi kobietę.

Sophie nawet się nie odwróciła.

W końcu Henry chrząknął znacząco i zawołał do niej. Sophie odwróciła się do tyłu, omal nie spadając z drabiny. I tak by się pewnie stało, gdyby nie Grayson, który rzucił się przed siebie i zdążył ją złapać, a na jego marynarce z czesankowej wełny wylądował z pluskiem mokry pędzel. Pochwycona w objęcia Graysona Sophie przez chwilę wlepiła w niego oczy, a potem zaczęła wrywać się z jego ramion.

- Postaw mnie na podłodze - wycodziła przez zęby.

Grayson zrobił, co mu kazano; atmosfera panująca w bibliotece była równie lodowata i nieprzyjazna jak w ponury, zimowy dzień.

- Co się wydarzyło przez te parę dni naszej nieobecności? - dopytywał się Henry.

Sophie spojrzała na niego, nie wypuszczając z ręki nasączonego wodą pędzla, przeniosła powoli wzrok na Graysona i wyszczerzyła zęby w krzywym uśmiechu.

- Doszliśmy nareszcie do porozumienia w sprawie naszej przyszłości - oznajmiła.

Następnie wrzuciła z pluskiem pędzel do wiadra, nałożyła parę dziwnych rękawiczek i za pomocą szpachli złuszczała krawędź tapety. Później szarpnęła z całej siły i papier z chrzęstem odszedł.

- Spójrzcie; to działa.

Grayson wymamrotał pod nosem przekleństwo, obrócił się na pięcie i wrócił do swego gabinetu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Później było mniej więcej tak samo. Dzień po dniu Sophie darła bibliotekę na drobne strzępy, zeskrobując pa-

pier i zrywając świeżo położoną orzechową boazerię. Z czasem pozostaną jedynie gołe ściany i drewniana podłoga. Kiedy zaś nie zajmowała się biblioteką, Sophie ćwiczyła na wiolonczeli.

Mimo gotującej się w nim wściekłości, na pierwszy odgłos muzyki Grayson rozsiadał się wygodnie w towarzystwie wysokich regałów oraz stosów książek poustawianych bezładnie wokół niego, a potem zamieniał się w słuch. Odkąd Grayson zobaczył ją po raz pierwszy podczas gry, Sophie zawsze budziła w nim podziw. Ale teraz jej talent działał na niego hipnotycznie. Ileż to razy dawał susa przez książki, aby stanąć w holu i popatrzeć na nią, kiedy grała?

Instrumentaliści smyczkowi to na\ogół ludzie sumienni i zdyscyplinowani, odtwórcy trzymający się w cieniu, by nie zakłócać odbioru samej muzyki. Ale tutaj skupiała na sobie uwagę Sophie. Jej ciało ocierało się o -instrument, który zdawał się emanować dźwięki zgodnie z jej wolą. Jakby chciała coś udowodnić.

Widok grającej na wiolonczeli Sophie był fantastyczny. Fascynował Graysona, ogarniał go ze wszystkich stron, zmuszał do zastanowienia, czy mógłby bez niej żyć.

A ponieważ przez całe życie był przeświadczony, że nie może sobie pozwolić na żadną słabość, więc o czym świadczyło to, że potrzebował kogoś jak powietrza?

W tydzień po tym, jak Sophie opowiedziała Graysonowi o swojej przeszłości, z sądu nadeszła jakaś przesyłka. Znalazła w niej dokument potwierdzający jej prawo własności do Łabędziej Gracji. Grayson dotrzymał słowa i przepisał dom na jej nazwisko. Lecz poza suchym aktem notarialnym nie było tam najmniejszej wzmianki o anulowaniu zaręczyn.

Co to mogło oznaczać? Że Grayson się rozmyślił, czy że anulowanie zaręczyn trwa dłużej niż przeniesienie tytułu własności domu?

Co więcej, Sophie nie mogła się zdecydować, który powód wolałaby bardziej.

Dochodził wieczór, Grayson wyszedł na cały dzień, a Sophie siedziała za jego biurkiem i spoglądała na świeżo dostarczony dokument. Przy okazji zerkała na stos rachunków do zapłacenia.

Kiedy zażądała zwrotu Łabędziej Gracji, nie myślała o płaceniu rachunków. Jej życie zataczało coraz szybsze kręgi w niewłaściwym kierunku. Obejrząwszy każdą fakturę po raz nie wiadomo który, nie była w stanie zebrać myśli. Wiedziała jednak, że nie stać jej na zapłacenie rachunków.

- Stuk, stuk.

Sophie ledwie usłyszała te dwa słowa. Patrzyła na ręcznie wypisane ponaglenia od dostawców gazu i węgla. Nie wspominając już o kredycie na żywność, który Grayson otworzył dla niej w pobliskim sklepie. Nie mogła sobie darować, że nie pomyślała o tak istotnych sprawach, jak płacenie rachunków.

- Sophie.

Potrząsnęła głową, jakby budząc się z letargu, i zauważyła Deandrę, która stała przed biurkiem wciśnięta niebezpiecznie między dwa regały. Na jednym z pluszowych foteli siedział zgięty w pałąk Henry.

Sophie postarała się o uśmiech.

- Cześć.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha - bąknął Henry.

Deandra przyglądała się jej uważnie, pukając swoimi długimi paznokciami w policzek.

- Coś się stało, Sophie. Powiedz nam.

Sophie zareagowała wymuszonym śmiechem.

- To głupstwo, doprawdy. Po prostu tutejsze sprawy nie poszły tak dobrze, jak na to liczyłam. - Wzruszyła ramionami z pogardą, której bynajmniej nie odczuwała. - Ale nic mi nie będzie.

- To śmieszne - rzekła Deandra. - Przecież gołym okiem

widać, że to miasto przyczyniło ci samych nieszczęść. Ale uwolniłaś się od narzeczeństwa. Odzyskałaś dom. W każdej chwili możesz wrócić do Europy. Nie widzę powodu, dla którego miałabyś tu zostać bodaj chwilę dłużej.

- Sam bym tego nie ujął lepiej - zaszczebiotał Henry, podskakując na fotelu i uderzając przy okazji głową w ster-tę książek, które runęły z hukiem na podłogę.

- Zwróć pieniądze temu Nilesowi Prescottowi i płyńmy do Monte Carlo - powiedział, zacierając z radością ręce.

- Jeśli zaraz zaczniemy się pakować - dodała Deandra - to zdążymy jeszcze na najbliższy statek, który odbija jutro rano.

W skroniach Sophie zapulsowały żyły, jej tętno raptownie przyspieszyło. Co mogła powiedzieć? Jak mogła ujawnić im prawdę?

- Henry - ciągnęła Deandra - wstań no i skocz po Margaret. Ona potrafi zająć się przygotowaniami do podróży. - Teraz Dea zwróciła się do Sophie: - Margaret wpyta się o ceny w kasie biletowej. Dla zaoszczędzenia czasu daj jej po prostu czek in blanco, który wypełniłaby na miejscu.

Sophie w końcu nie wytrzymała.

- Nie mogę dać jej czeku! - wybuchnęła.

Henry dosłownie zamarł w półprzysiadzie nad fotelem. Deandra założyła ręce na piersiach, a jej oczy się zwęziły.

- Jak to nie możesz dać jej czeku? - spytała podejrzenie spokojnym tonem.

Sophie zaciskała kurczowo pięści. Ale zaszła już za daleko, by się teraz cofnąć. Uniosła podbródek i spojrzała na dwoje ludzi, którzy od łąt bardziej niż ktokolwiek inny byli nieodzowną częścią jej życia.

- Nie mogę dać Margaret czeku, bo... bo w banku nie ma pieniędzy na jego pokrycie.

- No to daj jej gotówkę - odezwał się Henry, jakby to było takie proste.

Deandra milczała, a w jej oczach odmalowało się zrozumienie prawdy.

- Nie zostało ci już ani centa, tak? - spytała po chwili.

- Zbyt mało. Ale wkrótce będzie więcej - dodała szybko Sophie. - Wiecie równie dobrze jak ja o dużych kwotach, które się nam należą.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - dopytywała się Deandra niepokojąco beznamiętnym tonem.

Sophie zwiesiła ramiona.

- Nie wiedziałam jak.

Deandra pokiwała głową i odwróciła się do wyjścia. W tym właśnie momencie Sophie zauważyła Graysona.

Na jego widok wbiła się plecami w oparcie fotela. Grayson stał w drzwiach, był taki wysoki i jak zwykle jego widok zapierał jej dech w piersiach.

Uczucie wstydu zapłonęło w jej sercu. Ile jeszcze upokorzenia będzie musiała znieść?

- Nie masz pieniędzy? - spytał niskim głosem.

Na te słowa wybuchł w Sophie wulkan emocji, nad którymi cały czas starała się zapanować.

- Nie! - krzyknęła, ale tym razem wyzywająco. - Nie mam pieniędzy, nie mogę zapłacić tych rachunków i dopóki nie zagram koncertu w Music Hall, będę miała za mało na nasz powrót do Europy. Przyznaję. Okropnie nabałagałam. To właśnie chciałeś usłyszeć?

Grayson patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Twoje kłopoty nie sprawiają mi radości.

Grayson wszedł do gabinetu, ledwo powstrzymując się od patrzenia na wąską ścieżkę, którą musiał lawirować.

- Zechciejcie państwo wybaczyć - powiedział do Deandry i Henry'ego. - Mamy do omówienia z Sophie kilka ważnych spraw finansowych.

Kiedy opuścili gabinet, Sophie przemknęło przez myśl, że pobiegli na górę, aby się spakować. Lecz kiedy Grayson podszedł do swojego biurka i zaczął przeglądać stertę pognaleń, które leżały na otwartej księdze rachunkowej, uwaga Sophie skupiła się na jej byłym narzeczonym.

- Co robisz? - spytała.
- Zliczam długi.
- Te rachunki są moje, tak samo jak Łabędzia Gracja.
- Już niedługo, skoro nie możesz ich zapłacić.
- Zapłacę!
- Kiedy?
- Wtedy, kiedy mnie zapłacą.

Grayson zerknął na faktury.

- Za długo by czekać. - Grayson wziął księgę z biurka i z hukiem ją zamknął. Rachunki zostały w środku. - Zajmę się tym jutro rano.

Sophie z niechęcią przyjęła poczucie ulgi, które rozlało jej się w żyłach.

- Wszystko ci zwrócę. Co do centa. Za te rachunki. Za dom. - Odszukała pióro i papier, a potem napisała kilka słów w poprzek kartki. - Masz. Zobowiązanie zwrotu każdego centa.

Grayson zerknął na Sophie, powoli wziął kartkę i opuścił na nią wzrok. Po chwili zmarszczył czoło i spojrzał z powrotem na Sophie.

- Nie sądzisz, że masz już aż za dużo rozmaitych zobowiązań?

Na policzki Sophie wypłynął rumieniec. Ale Grayson tylko zmiął pojedynczą kartkę i cisnął ją do kosza na śmieci.

- Potraktuj to jako spłatę długu, który zaciągnąłem u ciebie.

Sophie zmrużyła powieki i przechyliła głowę, a na jej twarzy odmalowała się mieszanina palącego wstydu i cierpienia, które wolałaby zatuszować.

- Jakiego długu?

- Pieniądze za koszyki z jedzeniem, które mi posyłałaś.

Nawet gdyby Grayson ją uderzył, nie sprawiłby jej to większego bólu.

- Posyłałam je nie dlatego, żebyś mi był cokolwiek winien.

- Nieważne, dłaczego. Ważne, że posyłałaś. A teraz znalazłem sposób, żeby ci to wynagrodzić. Powiedzmy, że rachunki zostaną wyrównane.

I wtedy Grayson zerwie z nią znajomość. Nie musiał ujmować w słowa tego, co wyraźnie dawał jej do zrozumienia.

W Sophie rozgorzał gniew.

- Mówisz tak, żeby mnie ukarać.

- Za co?

- Za Nilesa. Ale sama potrafię to zrobić całkiem dobrze - oznajmiła, nie znosząc uczucia goryczy w swoich ustach. - Nie możesz mi wybaczyć, że nie jestem dziewicą. Ale sam przyznałeś, że też nie jesteś niewinny.

Sophie obserwowała, jak oczy Graysona się zwięzają.

- Może i odprawiłeś z niczym Megan, Graysonie, ale czy odprawiłeś z niczym wszystkie kobiety?

Graysonowi stężyły rysy.

- Odprawiłeś?

- Nie - rzucił krótko.

- Więc dlaczego w twoim przypadku wszystko jej w porządku, a w moim nie?

- Bo jestem mężczyzną!

Słowa Graysona trysnęły żarem i uwięzły między Sophie a nim.

- I dlatego wszystko jest w porządku? - spytała miękko.

- Tak. Nie. Boże, sam już nie wiem. W przypadku mężczyzny sprawa wygląda inaczej.

- Dlaczego?

Grayson przeciągnął ręką po włosach.

- Zadajesz zbyt dużo pytań, Sophie. Chcesz zmienić sposób myślenia ludzi zgodnie z twoimi oczekiwaniami. No cóż, nie możesz zmienić całego świata.

Sophie potrząsnęła głową, jej gniew stopniowo opadł. Nie mogła jednak powstrzymać się, by nie parsknąć śmiechem w przystępie rozpacz.

- Zawsze wydawałeś mi się człowiekiem męznym. Walczyłeś z nieuczciwością twojego ojca. Broniłes pokracznej dziewczynki, którą wszyscy inni uważali za dziwaczkę. Głównie dlatego cię kochałam. Za twoje męstwo.

Grayson zacisnął szczęki.

- Wiedziałam, że zostałeś mężczyzną statecznym, spełniającym wymogi towarzystwa, które zawsze mnie odrzucało. Dostrzegłam to owej nocy, kiedy wróciłam na nieoczekiwany bankiet z okazji urodzin mojego ojca. Chyba aż do wtedy miałam jeszcze resztki nadziei, że gdyby mi się powiodło, że gdybym objawiła prawdziwy talent, to zdołasz w końcu zaakceptować mnie taką, jaką się stałam. Bo jak nie ty, to kto? - Sophie zadarła głowę i spojrzała na Graysona. - Iskierka tej nadziei tliła się jeszcze we mnie, póki nie zobaczyłam wyrazu twoich oczu, gdy uświadomiłam sobie, że nie jestem dziewczyną.

- Nie odwracaj kota ogonem, Sophie. Przecież to ty chciałaś anulowania zaręczyn. To tobie zależało jedynie na Łabędziej Gracji. Ja ci tylko dałem to, czego chciałaś.

- Nie, Graysonie. To ja dałam *tobie* to, czego chciałaś. Pretekst, żeby, nie plamiąc honoru, anulować zaręczyn z kobietą, której już nie pragniesz. Wygodne, he?

Spoglądali na siebie dłuższą chwilę, wreszcie Sophie obróciła się na pięcie i wyszła.

20

Emmaline spotykała się z Richardem niemal codziennie.

Przez kilka skradzionych godzin prawie każdego popołudnia czuła się jak nastolatka, jakby odzyskała młodość i ponownie odkrywała świat emocji. Przestała odnosić wrażenie, że jej życie dobiega końca.

Richard działał na nią jak narkotyk. Wystarczyło raz spróbować i nie można już było przestać. Emmaline codziennie przysięgała sobie, że więcej się z nim nie spotka.

Ale następnie dawała za wygraną, obiecując sobie, że jutro skończy z tym na pewno.

Spotykali się w cichych i ustronnych miejscach. W miejscach wprawdzie łatwo dostępnych, lecz dość daleko położonych, gdzie żaden znajomy ani rodzina ich nie przyłapią. W portach rybackich. W odległych parkach. Na opuszczonych skwerkach.

Stopniowo robiło się ciepło, kwiaty zaczynały wypuszczać pąki, a drzewa okrywać się jasną, soczystą zielenią. Lecz w dni, kiedy chłód wciąż jeszcze szczypał w nos, Richard opatulał ramiona Emmaline swoim płaszczem, mäsując ją i rozgrzewając w sposób daleki od niewinnego zakładania dodatkowego odzienia.

Rozmawiali i śmiali się beztrąsko. Richard nie mógł oderwać wzroku od Emmaline. Po prostu przyglądał się jej dłużej chwilę, a z jego oczu biła miłość. Wreszcie pewnego dnia, musnąwszy podbródek Emmaline, Richard zawędrował palcem nisko aż do nadgarstka, po czym z czułością splótł ich dłonie.

- Możesz odejść od Bradforda - oznajmił.

Na samą myśl, że mogłaby to zrobić, w Emmaline eksplodowało poczucie winy.

- Tym razem mam pieniądze, Em. Mogę cię utrzymywać.

- Nie o to chodzi, Richardzie.

- A o co?

O co chodzi? zastanawiała się Emmaline. Z pewnością nie o godność, myślała, odczuwając skrupuły moralne.

Od lat przymykała oko na okropne postępowanie Bradforda wobec trzech synów. Najbardziej nie podobał jej się sposób, w jaki jej mąż traktował Graysona. Przyznawała wprawdzie, że mimo pewnej szorstkości usposobienia Bradford uczył najstarszego syna poczucia godności. Emmaline wierzyła w godność.

Nienawidziła kłamać, a okłamywania własnych synów nienawidziła najbardziej. Lecz nawet to nie powstrzymało Emmaline od spotykania się z Richardem.

Aż wzdragała się na myśl, że postępowała niegodziwie.

To wszystko nie było jednak takie proste - choć niewątpliwie każdy grzesznik pocieszał się tego rodzaju stwierdzeniem. Przecież nie sypiała z Richardem, mówiła do siebie w środku nocy, leżąc w samotności na swoim ogromnym, pluszowym, pustym łóżku.

Wyparła ze świadomości fakt, że spotkanie się z jakiegokolwiek powodu z mężczyzną nie będącym jej mężem skończy się dla niej tragicznie. Przeciwnie, nie mogła zaprzeczyć erupcji w swojej duszy niemal zapomnianych emocji, które zapierały jej dech w piersiach i wywoływały kołatanie serca. Każde przypadkowe zetknięcie się jej dłoni z dłonią Richarda sprawiało, że rozchyłały się jej usta, a kolana robiły się miękkie.

Emmaline wiedziała ponadto, że Richard czuje to samo. Rzucało się w oczy, jak bardzo jej pożądał. Jak tańczył dookoła niej, czasami się o nią otarł, czasami ją musnął, to przysuwał się bliżej, to się oddalał. Wskutek tego Emmaline pragnęła go coraz bardziej.

Ale była mężatką.

Emmaline przypominała sobie o tym codziennie. Trudno było jednak zachować ten fakt w pamięci, skoro małżonek odsunął się od niej na dobre i ledwie zauważał jej obecność.

Więc kiedy Richard spotkał się z nią w cichej herbaciarni w South End kilka tygodni po powrocie do życia Emmaline i zaczął szeptać jej do ucha, że chciałby się z nią kochać, rozum kobiety krzyknął: *NIE!*

Serce zaś chwyciła tęsknota za miłością Richarda.

21

Sophie obudziła się wczesnym przedpołudniem i szybko dokonała porannych ablucji. Potem ubrała się i natychmiast pobiegła do sypialni Deandry. Było tutaj jednak pusto, łóżko schludnie zasłane, żadnych boa ani rannych pantofli rozrzuconych jak zwykle po całym pokoju.

Kiedy zaś weszła do sypialni Margaret, gdzie panowała idealna cisza i spokój, a po stertach korespondencji i teczek zawałających normalnie całe biurko nie było ani śladu, Sophie poczuła wzmożone bicie serca.

Wreszcie udała się do pokoju Henry'ego, gdzie sytuacja była identyczna. Wszystko w idealnym porządku, ani śladu zapachu wody kwiatowej i stosów eleganckiej odzieży. Deandra i Henry nie słynęli z tego, że opuszczają swoje łóżka przed południem, nie mówiąc już o sypialniach.

Pobiegła na dół, zataczając się między ścianą a poręczą schodów, gotowa znieść mężnie widok Margaret, Henry'ego i Deandry spakowanych i gotowych do drogi, czekających w holu obok sterty walizek ciśniętych na drewnianą podłogę. Lecz czarno-biały marmur zionął pustką tak samo jak ich sypialnie i nigdzie nikogo nie było widać.

Sophie przysiadła na pierwszym schodku, a jej spódnice aż wyduły się od poddmuchu powietrza. Była załamana nieszczęściem i tym, że nawet się nie pożegnali. Głupio było jednak żywić osobistą urazę. Przecież od początku rozumiała, że związek z tymi ludźmi obracał się wokół pieniędzy. Nie straciłaby ich przyjaźni, gdyby płaciła im zgodnie z oczekiwaniami. Na tym polegała asysta. Niemądrze zrobiła, że zaczęła traktować ich inaczej. Ale już się stało.

Margaret pokochała niczym siostrę, a nawet Dea stała się dla Sophie kimś w rodzaju matki.

No i Henry. Na myśl o tym człowieczku Sophie uśmiechnęła się z czułością. Henry stał się dla niej niczym brat albo wierny przyjaciel, który dokłada wszelkich starań, by powiedzieć coś mądrego, ale bardzo rzadko mu się to udaje.

Jakże była żałosna, skoro musiała kupować sobie przyjaciół oraz szukać uznania i potwierdzenia własnej wartości u obcych, kiedy występowała na estradzie.

Wreszcie jakiś dźwięk w kuchni przykuł jej uwagę. Sophie błysnął promyk nadzieja i natychmiast ruszyła w tamtą stronę. Otworzyła na oścież drzwi i zobaczyła Margaret pracującą przy kuchni, Henry'ego z nosem wlepionym w gazetę i Deandrę wertującą stos jakichś dokumentów.

- Jeszcze jesteście - westchnęła ciężko Sophie.

Wszyscy troje skierowali na nią wzrok.

- Rozumie się - odparła Deandra, siadając w pozie niebabej. - A myślałaś, że gdzie jesteśmy?

- Przecież wasze pokoje są puste.

- Nie, są po prostu wysprzątane dla odmiany. Przyzwyczajaliśmy się, że mamy służbę gotową na każde nasze skinienie.

Sophie dosłownie zeszywniały plecy.

- Przepraszam - powiedziała, unosząc podbródek.

- Nie przepraszaj. Już niedługo znowu będzie cię stać na służbę. Właśnie przeglądam twoje angaże i sprawdzam, co i kiedy się należy.

- Na razie zamierzam przyjąć jakąś posadę - oznajmił Henry. - Pełno ich w tych ogłoszeniach.

- To znaczy...

Sophie urwała w pół zdania, a Margaret podeszła do niej swoim wypróbowanym krokiem.

- Zostajemy. Czy masz pieniądze, czy nie. Czy masz przyszłość, czy nie. Kto wie, gdzie skończyłaby nasza trójka, gdybyś nas nie przygarnęła.

- A co z twoją kuzynką?

- Moja kuzynka mnie nie chce ani mnie nie potrzebuje. Moje miejsce jest tutaj, przy tobie.

Sophie zarzuciła ramiona na szyję wykwintnie ubranej damy, która stała się jej przyjaciółką.

- Kocham cię.

Henry zerwał się z krzesła.

- Ja też proszę, żeby mnie przytulić!

Po chwili obejmowali się mocno we troje, tylko Deandra nie brała w tym udziału. Siedziała za stołem z osobliwą miną - tęskną i zarazem pogardliwą.

- Chodź, Dea - zachęcił ją Henry.

Zanim się obejrzeni, Deandra dołączyła do grupy przyjaciół, ściskając każdego po kolei z głośnym śmiechem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała.

- Bez wątpienia - dodał Henry.

Wreszcie odsunęli się od siebie i rozstąpili się z zadowolonymi minami.

- Dziękuję wam. - Serce Sophie przepełniła wielka radość. - Henry - dodała, sięgając po gazetę - a może podzieliłbyś się ze mną tymi ogłoszeniami? Ja też zamierzam znaleźć jakąś pracę.

- Nigdy w życiu - oznajmiła Deandra, przyjmując na powrót swoją zwykłą pozę. - Ty przede wszystkim musisz ćwiczyć. Uporasz się jakoś z tym koncertem w Music Hall, a później weźmiemy honorarium i popłyniemy z powrotem do Europy.

Z powrotem do Europy. To najlepsze rozwiązanie, skoro w życiu ojca nie było dla niej miejsca. A prawda była taka, że przed zakończeniem letniego i zimowego tournée Sophie nie było stać na utrzymanie domu swego dzieciństwa.

Po tylu staraniach może ostatecznie stracić Łabędzia Grację.

Sophie ogarnął niepokój. Odwróciła głowę, wiedząc, że nie zdoła cofnąć błędów przeszłości. Może tylko postarać

się nie robić nowych błędów w przyszłości. Dzięki graniu muzyki. Prawdziwej muzyki.

Do której była stworzona.

Sophie uchwyciła się tej zaskakującej myśli. Chciała bostończyków zaszokować, to prawda, ale raczej swoim talentem niż kabaretowym widowiskiem. Być może straciła już wszystkie zalety, które miała w przeszłości, ale nigdy nie splami honoru.

Uświadomiła sobie z osłepiającą jasnością, że myślała o graniu prawdziwej muzyki przez cały czas, ale nie dopuszczała tego pragnienia do głosu.

Determinacja porwała krew Sophie w gwałtowny wir. Determinacja oraz wewnętrzny ogień. Zagra Bacha. Ponieważ bez względu na to, w co kazał jej wierzyć Niles Prescott, miała talent.

Serce zabiło jej mocniej.

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że tak bardzo będzie chciała grać Bacha. Od miesięcy robiła wszystko, by temu zaprzeczyć. Teraz jednak w Sophie nastąpiła erupcja uczuć, których nie da się już powstrzymać.

Musi udowodnić Prescottowi, że się mylił. Musi udowodnić ojcu, że powinien być z niej dumny. Musiała udowodnić Graysonowi, że pod wieloma względami bynajmniej nie przegrała. I udowodni.

Podjąwszy decyzję, Sophie ustaliła harmonogram, a potem trzymała się go niczym liny ratunkowej. Codziennie wczesnym rankiem siadała do wiolonczeli i ćwiczyła do późnej nocy. Jej świat funkcjonował z precyzją metronomu. Przepętniały ją ekscytacja i poczucie celu, równie odurzające jak narkotyk.

Ćwiczyła w bibliotece, obrazy wylądowały na korytarzu, a połowa tapety w śmieciach. W pustym pokoju zostało tylko krzesło dla Sophie i podstawka do nut. W chwilach ostrej frustracji, kiedy utwór szedł źle, Sophie zużywała nadmiar energii na oddarcie kolejnego kawałka tapety. Za-

wsze jednak udawało jej się znaleźć klucz do rozwiązania trudnego fragmentu, a na ścianie zostawał papier zwieszający się niczym język wywalony z jakichś ust. Sophie jednym skokiem wracała na krzesło i grała to, co usłyszała w swej głowie. W ten sposób problemy przestawały istnieć aż do czasu, kiedy pojawiały się następne.

Pod koniec pierwszego tygodnia ćwiczeń poszczególne nuty zaczęły nabierać sensu i Sophie odzyskała pewność siebie.

Ogarniała ją euforia i zdumienie. Poczucie celu nie odstępowało jej ani na chwilę.

Lecz na początku drugiego tygodnia zapał Sophie począł gasnąć. Robiła, co mogła, ale nie potrafiła ułożyć w jednolitą całość ani jednej suity Bacha.

Przez długie miesiące dopuszczała do tego, że dźwięki muzyki płynęły nonszalancko i wulgarnie, a smyczek tylko jej zawadzał. Przemiana z gwiazdy robiącej z siebie widowisko w powszechnie szanowaną wiolonczelistkę koncertową wymagała odzyskania pewności ruchów. Ale dotychczasowy styl gry sprawił, że prowadzeniu smyczka przez Sophie brakowało koordynacji. Lewa dłoń drętwiała jej na gryfie, a ciało robiło się napięte. Nawet granie prostych skal zamieniało się w torturę.

Pod koniec drugiego tygodnia okazało się, że cały wysiłek Sophie idzie na marne. Z coraz większym trudem podtrzymywała w sobie nadzieję na sukces. Straciła zapał, a ufność we własne siły Sophie stała się równie nieuchwytna jak powracające do morza przybrzeżne fale.

W samym ogniu tych batalii do Łabędziej Gracji codziennie wpadał Grayson. Kilka razy zjawił się także Lucas i bracia konferowali za zamkniętymi drzwiami. Ponadto Grayson wynajął agenta od nieruchomości, który miał mu znaleźć nową kancelarię.

Przy końcu trzeciego tygodnia do serca Sophie wkraśli się wątpliwości i zagnieździły się tam na dobre. Zachodziła w głowę, jak w ogóle mogła wpaść na pomysł, że

umie zagrać jedną prostą suitę Bacha, a cóż dopiero pięć.

Resztki zapału z duszy Sophie wyparł lęk. Pewnego dnia obudziła się wczesnym rankiem, a kiedy wstała z łóżka, nie mogła prawie złapać tchu.

Chciała biec do Graysona. Posiedzieć obok niego. Zamienić z nim parę słów. Usłyszeć z jego ust, że wszystko będzie dobrze. Ale nic nie będzie dobrze. Nie potrafiła grać Bacha, a wkrótce Graysona też już nie będzie.

Kiedy do koncertu został tylko jeden tydzień, pewnego przedpołudnia Sophie pośpiesznie ubrała się i zbiegła schodami na dół, zapinając po drodze haftki i guziki.

Ale w holu zatrzymała się jak wryta, gdyż za progiem spustoszonej biblioteki zobaczyła Graysona. Stał profilem, był taki silny w tym swoim ciemnym palcie i ciemnych spodniach, a twarz miał jak rzeźbioną. Czy on nigdy nie przestanie poruszać jej do głębi swym widokiem?

Właśnie odwrócił się powoli, spojrzał na Sophie i twarz rozświetlił mu uśmiech radości. Sophie aż serce podskoczyło do gardła z zachwytem. Niestety uśmiech na twarzy Graysona niebawem zgasł.

- Dzień dobry - pozdrowił Sophie identycznym tonem, jakim zwracał się do swoich kolegów w sądzie - krótko i oficjalnie.

- Dzień dobry - odpowiedziała, a fala goryczy zalała jej serce. Gdzie się podziała ta inteligentna i dowcipna rozmowa, gdy potrzebowała jej najbardziej? Nie mogła jednak zaprzeczyć, że cieszyła się z obecności Graysona, nawet jeśli odnosił się do niej z chłodem i rezerwą. - Napijesz się ze mną herbaty? - spytała.

Na chwilę Graysonowi złagodniało oblicze, a kiedy wyciągał ku Sophie dłoń, wydawał się nawet odrobinę rozrzuwniony. W ostatnim momencie jednak spojrzenie mu stwardniało, jakby odezwały się w nim upiory przeszłości, i Grayson cofnął rękę.

- Spiesz się do sądu. Wpadłem tylko po akta - powiedział.

Następnie odwrócił się i pomaszerował do swego gabi-

netu, klnąc pod nosem, gdy po drodze uderzył się kolaniem o drzwi. Sophie została sama w holu. Boleśnie rozczarowana i zła weszła do gabinetu za Graysonem, reagując nie tylko na jego lekceważącą minę i gest.

- Aż tak mnie nienawidzisz? - zapytała od drzwi.

Grayson podniósł wzrok znad papierów leżących na jego biurku.

Ciemne oczy mężczyzny przepełniały emocje, których Sophie przedtem nigdy nie dostrzegała.

- Przestań - odparł krótko. Słowo zabrzmiało po trosze jak przestroga, a po trosze jak usprawiedliwienie.

- Dlaczego? Rozumiem, że nie chcesz mnie już więcej. Cały czas to rozumiałam. Ale dlaczego musisz mnie ignorować, jakbyśmy nie mogli się przyjaźnić?

- Jesteśmy za starzy na to, aby się przyjaźnić, Sophie. Dorośli się nie przyjaźnią, a już na pewno nie kobiety i mężczyźni. A teraz zechciej mi wybaczyć, przed wyjściem do sądu muszę przeczytać te akta.

Tego samego popołudnia zjawił się ojciec, a na jego pociągłej, wąskiej twarzy malowała się troska. U boku ojca znajdowała się Patrice.

- Dzień dobry, księżniczko - powiedział uprzejmie do córki. - Twoja macocha i ja martwimy się o ciebie.

- Po co? - spytała nonszalancko.

- Nie widzieliśmy cię już kilka tygodni i...

- I krążą plotki, że twoje zaręczyny z Graysonem są zerwane!

- Patrice. - Conrad Wentworth odwrócił się do żony.

- Co? Jaka przyszłość czeka nasze córki, jeśli ona to spa-skudzi?

Nasze córki, jakby Sophie nie była jedną z nich. Słowa macochy wsączyły się w każdy zakamarek duszy Sophie.

- Gdzie zdobędziemy tyle pieniędzy, ile dostałeś za nią od Graysona?

Sophie aż się skuliła z oburzenia, zdołała jednak wypchnąć z pamięci słowa macochy i skupiła się na marmurowej posadzce, której biało-czarny deseń przypominał kwadratowe pola szachownicy.

Macocha przybliżyła się o krok.

- Co ją to obchodzi, że będziemy zrujnowani, jeśli nie wyjdzie za Graysona Hawthorne'a?

- Wystarczy, Patrice - oznajmił Wentworth, a jego głos odbił się echem w całym holu.

Sophie zadarła głowę i zerknęła na ojca. Aż zaniemówiła ze zdumienia, kiedy podszedł do niej i łagodnie, jak dawniej, uściskał jej ramiona.

- Od wielu tygodni całymi nocami myślę tylko o tym, co tutaj się stało - powiedział Wentworth. - Do końca moich dni nie zapomnę wyrazu twojej twarzy, kiedy powiedzieliśmy ci o zaręczynach. Widzę, jak bardzo wciąż jesteś strapiona. Żaden ojciec nie jest na to uodporniony. Nawet ja - dodał podniesionym głosem. - Dopiero teraz zrozumiałem, że podpisując umowę z Graysonem, zupełnie zapomniałem o tobie. Myślałem tylko o sobie. - Wentworth uśmiechnął się smutno. - Ale wiedz jedno, moja córko, ja naprawdę wierzyłem w to, że wasze zaręczyny z Graysonem będą najlepszym rozwiązaniem dla ciebie i dla niego.

- Dobry Boże, Conradzie - rzuciła Patrice.

- Powiedziałem, dosyć!

Atmosfera w holu stała się napięta, a mąż i jego żona obrzucali się wzajemnie niechętnymi spojrzeniami. Było jasne, że Patrice chciała się odciąć Conradowi i normalnie byłaby to zrobiła. Coś jednak się zmieniło, być może właśnie w tym momencie. Przez dobre parę minut Wentworth nie odzywał się, gromiąc żonę nieprzyjaznym spojrzeniem, w końcu Patrice ograniczyła się tylko do odwrócenia wzroku.

Wentworth przewrócił oczami i ponownie skupił się na córce.

- Zrobię, co trzeba, aby naprawić błąd.

- Och, papo - szepnęła Sophie, przetykając łyż łości, które ścisakały ją za gardło. - Wszystko będzie dobrze. Zaręczyny są zerwane.

Patrice wstrzymała oddech.

- A Grayson zwrócił mi Łabędią Grację.

- Dobry Boże, jak my go kiedykolwiek spłacimy? - jęknęła Patrice.

- Nie musicie - stwierdziła Sophie. - Ja go spłacę. Jestem zawodową wiolonczelistką i oddam Graysonowi Hawthorne'owi każdego centa, jakiego wydał.

- Moja Sophie - odezwał się Wentworth. - Zawsze taka silna. Nie wiem, czy wiesz, ale zawsze byłem z siebie dumny. Specjalnie dziś tu przyszedłem, bo chciałem ci to powiedzieć osobiście. Możesz zagrać twój koncert, nie martwiąc się o nic.

Sophie zadrżało serce.

- Zasługujesz na ten występ - ciągnął ojciec. - Już dawno na niego zasłużyłaś. Teraz ty będziesz gwiazdą wieczoru i nie chcę, żeby skutek mojej głupoty zostało to przepaszczone w jakikolwiek sposób. W najbliższą sobotę odniesiesz niebывały sukces, który zawsze ci się należał. - Twarz ojca rozjaśnił pełen nadziei uśmiech. - A potem coś wymyślę i sam spłacę Graysona.

- Och, papo - powtórzyła Sophie.

Koncert. Dostała mdłości na tę myśl. Skoro nie umiała grać Bacha, to miała niewielki wybór i będzie musiała dać swoje zwykłe przedstawienie.

- Kocham cię, Sophie.

Ale czy nadal będzie ją kochał, kiedy zobaczy jej popis?

Gdy tylko usłyszała trzask zamykanych drzwi, pod Sophie zachwiały się nogi. Miała w głowie chaos i ogarniał ją lęk. Nie była w stanie mówić, nie była w stanie robić nic innego, tylko raz po raz przedzierać się przez suitę Bacha, mając nadzieję, że puste dźwięki, które zaczynały dusić ją za gardło i przesłaniać jej cały świat, ułożą się nareszcie w artystyczną całość.

Nie mogła dać swojego zwykłego przedstawienia. Nie w tej sytuacji. Nie po drogocennych słowach skierowanych do niej przez ojca.

W duszy Sophie gwałtownie wezbrały emocje, a ból i tęsknota ścisnęły ją za serce. Co za idiotyzm, by całą swoją wartość musiała objawić podczas tego jednego koncertu.

Sophie musiała się stąd wydostać, pozbyć się wątpliwości, otworzyć wreszcie duszę. Pewnego dnia w szalonym pe-dzie wybiegła z domu i zaczęła spacerować tam i z powrotem po labiryncie uliczek Back Bay. Każdy krok wybijał w jej głowie miarowy rytm niczym zegar tykający w holu.

Sophie chodziła i chodziła w panice, nie oglądając się za siebie. Owiewało ją ciepłe powietrze, które napłynęło w końcu do Bostonu. Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, rozkoszowała się zapadającym zmrokiem. Jakoś raptem znalazła się przed hotelem Vendome. Była wesoła i pełna otuchy. Zajrzała przez frontowe okno z ciekawością, czy w środku znajduje się Grayson.

Co robił? Czy sączył koniak? Czy przygotowywał się do rozprawy w sądzie?

Czy Sophie ośmieli się wejść do środka i zastukać do jego drzwi?

Grayson siedział w swoim wyposażonym w niewiele mebli pokoju hotelowym, małe biurczko było zasypane papierzyskami. Miał masę roboty, musiał przeczytać mnóstwo akt i podpisać mnóstwo kontraktów. Ale od kilku godzin siedział beczynnie, nie przeczytawszy ani jednego wyroku, nie napisawszy ani jednego pozwu, a jego myśli wypełniała Sophie. Dotyk jej włosów, smak jej skóry.

Złościła go ta słabość. Przecież prowadził uporządkowane życie. A Sophie przewróciła jego świat do góry nogami. Ale bez względu na to, co zrobiła, Grayson nie mógł o niej zapomnieć.

Wynajęty agent przynosił mu do przeczytania jedną

oferbę za drugą. Każdy lokal nadawał się idealnie na nową kancelarię, lecz Grayson żadnego nie kupił.

Musiał odzyskać siły, które nigdy dotąd go nie opuszczały, i zacząć ponownie kierować swoim życiem ze spokojną pewnością siebie. Ale Grayson odczuwał wszystko, tylko nie spokój. Wściekał się na siebie. Na Nilesa Prescottta. Ta wściekłość go zżerała. Jednak przez cały czas oczyma wyobraźni widział Sophie.

Twarz Graysona spochmurniała jeszcze bardziej, kiedy usłyszał, że ktoś puka.

- Co pan tu robi? - spytał, otwierając szeroko drzwi.

Henry Chambers uśmiechnął się, a potem przeszedł obok Graysona. W środku rozejrzał się dookoła, jakby rozważał kupno tego apartamentu.

- Ja też pana witam. Cofam propozycję nabycia udziałów w tej kwaterze, jest za dużo... prymitywna jak na mój gust. - Henry zaśmiał się i spostrzegł, że Grayson piorunuje go wzrokiem. - Jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego tu jestem - dodał ze wzruszeniem ramion - mogę wymyślić niejedną pretekst. - Teraz jego uśmiech stał się upiorny.

- Ostrożnie, Chambers, stąpasz pan po cienkim lodzie.

Drobny człowieczek drgnął i ponownie się uśmiechnął.

- Ty brutalu, ty.

Grayson zrobił krok w jego stronę, ale Henry uniósł rękę do góry.

- Nie bij mnie pan, przynajmniej dopóki nie porozmawiamy.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

Teraz uśmiech zniknął z oblicza Henry'ego niczym zerwane z twarzy maskaradowe przebranie.

- Ależ mamy, mamy - westchnął ciężko. - Przychodzę w sprawie Sophie.

Grayson poczuł nagły lęk.

- Co się stało? - zapytał.

- Pan mi to powiedz. Co się wydarzyło między wami w czasie, kiedy nas nie było?

- Nie pański interes.

- Sophie jest zbyt dumna, aby się do tego przyznać, ale ona pana potrzebuje.

- Precz stąd - rzucił Grayson lodowatym głosem, pie-
niąc się ze złości.

- Ona bardzo pana potrzebuje, w równym stopniu jak
pan jej. Porzuć pan ten upór i biegnij do niej.

- Powiedziałem, precz stąd!

Po kilku chwilach Grayson znajdował się w pokoju sam.
Na dworze panował mrok i Grayson odczuwał to wszystki-
mi porami ciała. Musiał skończyć pracę. Z samego rana cze-
kało go przesłuchanie i nie mógł sobie pozwolić na spartacze-
nie sprawy. Musiał rozsiąść się wygodnie i skoncentrować.

A zamiast tego wyszedł na ulicę, trzaskając drzwiami.

Była dziewiąta, słońce skryło się już za horyzontem.
Grayson nie zwracał sobie głowy pukaniem do Słowiczej
Gracji. Otworzył drzwi własnym kluczem, zaskakując swo-
ją obecnością Deandrę, ale Henry bez słowa pokiwał głową.

- Dam jej znać, że pan jest - powiedziała Deandra, zry-
wając się z krzesła.

- Niech się sam zaanonsuje - odparł Henry.

Deandra spojrzała na Henry'ego, jakby zwariował.

- Sophie dostanie szału.

- Czyżby?

Grayson nie zamierzał czekać, aż tych dwoje przestanie
się kłócić. Postukując obcasami, kilkoma długimi krokami
pokonał schody i skierował się do głównego apartamentu.

Nie zapukał.

Pchnął drzwi na oścież, po czym stanął jak wryty na wi-
dok Sophie ubranej w cienki, ażurowy szlafroczek mienia-
cy się złociście w blasku świec. Stała przed owalnym lu-
strem i patrzyła na swoje odbicie.

Co ona tam widziała?

- Zawsze zapierasz mi dech w piersiach - szepnęła, nie
mogąc się powstrzymać.

Sophie ani nie drgnęła ze zdziwienia, ani nie obejrzała się na Graysona.

- Dlaczego? - spytała tak cichutko, że ledwie usłyszała. - Bo uważasz mnie za piękną? - Sięgnęła i dotknęła lustra. - Przedtem nigdy nie byłam piękna. Teraz mężczyźni nadskakują mi i przysięgają, że takiej zachwycającej piękności jeszcze nie widzieli.

Grayson zamknął drzwi z lekkim trzaśnięciem, przeszedł przez pokój i zatrzymał się tuż obok Sophie.

- Mają rację.

Sophie obróciła się gwałtownie, aż włosy zafalowały jej na ramionach. Spojrzała Graysonowi w oczy i powiedziała:

- Co się we mnie zmieniło? Dlaczego teraz jestem ładna?

- Zawsze byłaś ładna.

- Tylko dla ciebie. Ale dla nikogo więcej.

Co mógł na to odpowiedzieć? W dzieciństwie miała włosy potargane, a oczy mdławobrazowe. Teraz natomiast była dorosłą kobietą i te same rysy stopiły się w twarz olśniewającej piękności. Strzecha włosów stała się uwodzicielska, mdły odcień brązu przeszedł w złocisty.

Grayson pragnął dotknąć jej ciała, tak jak wzrokiem omiatał jej sylwetkę w lustrze, ale trzymał ręce przy sobie.

- Teraz wszyscy inni widzą to, co ja widziałem od początku.

- Nie, widzą kogoś innego. - Sophie powoli odwróciła się do swego odbicia. - Ja się zmieniłam. A oni kochają skutki mojej przemiany. Dzikość. Dystans, jaki zachowuję między nimi a sobą. Na to faceci lecą.

- Jak sama powiedziałaś, każdy facet pragnie tego, czego mu brakuje - stwierdził Grayson.

Sophie uśmiechnęła się gorzko i napotkała wzrok Graysona w posrebrzanym lustrze.

- Nie. Każdy facet pragnie tego, czego jego zdaniem *inny* facet mieć nie może.

Grayson zmrużył oczy na te słowa.

- Może to nieprawda? - spytała cichutko. - Wielbią kobiety, jak długo jest poza ich zasięgiem, a potem nienawidzą, jeśli dojdą do wniosku, że nie jest aż taka nieuchwytna, nie jest aż taka idealna.

Grayson tylko patrzył na nią w lustrze nieprzejednanym wzrokiem, od którego Sophie omal nie dostała furii.

- Czy nie tak to odczuwasz?

Nagle chwycił ją za rękę i obrócił twarzą do siebie.

- Tak, kocham tę twoją dzikość, ale zarazem jej nienawidzę. Tak, pożądam cię, ale to pragnienie doprowadza mnie do szału.

- Dlaczego? Bo wcześniej miał mnie inny mężczyzna?

- Bo sprawiasz, że tracę panowanie nad sobą!

Te słowa zaiskrzyły się gwałtownie w całym pokoju. Grayson i Sophie patrzyli na siebie, zatracając się w myślach na dłuższą chwilę.

- Och, Graysonie, człowiek nie zawsze jest w stanie panować nad sobą - rzekła w końcu Sophie. - Od czasu do czasu wszyscy musimy krzyknąć i wrzasnąć.

Grayson zacisnął szczęki i puścił Sophie, jakby go parzyła w skórę, po czym odwrócił się gwałtownie i ruszył do wyjścia. **Skan Anula43, przerobienie pona.**

- Nie odchodź - wyszeptała. - Nie zostawiaj mnie.

Skłonił głowę.

- Odejdź jutro. To zrozumiem. Ale teraz mnie nie zostawiaj.

Grayson nie zatrzymał się, tylko zaklął pod nosem, podszedł do drzwi i przekręcił gałkę. Odczuwał jednak obecność Sophie za swymi plecami, całym swoim jestestwem, całą duszą. Całym sercem.

Jeszcze raz zaklął pod nosem, zatrzaskał drzwi i kilkoma długimi krokami pokonał dywan. Przytulił mocno Sophie, wpijając się ustami w jej wargi. Sophie zaś przyjęła wszystko, czym ją obdarował, oplatając Graysona ramionami, jak gdyby zatapiała się w głębokiej wodzie.

Teraz złapał ją pod kolana i przeniósł na łóżko.

Serce Sophie podeszło do gardła. Pragnęła tego mężczyzny, chciała być z nim jak najbliżej. Wiedziała, że powinna mu była kazać wyjść, gdy tylko wszedł do pokoju. Już miał o niej złe mniemanie. A ona kazała mu pozostać - dowodząc w ten sposób, że była zupełnym przeciwieństwem kobiety, jaką sobie wymarzył.

Ale czy już wcześniej tego nie dowiodła? Czy już wcześniej nie wiedziała, że nie umie grać muzyki, którą powinna grać? Czy nie potwierdzi raz na zawsze najgorszej opinii o sobie, kiedy wszyscy bostończycy poznają jedyny repertuar, jaki potrafiła wykonać?

Grayson postawił ją przed łóżkiem, twarzą do siebie.

- Nie mogę się pohamować - szepnął z napięciem i desperacją w głosie.

Oczy Sophie płonęły od emocji. W jego oczach widziała naganę i dezorientację.

- Nie chcę, żebyś się hamował - odparła.

W tym momencie przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Po chwili ich ubrania poleciały w kąt, a Sophie nie mogła się powstrzymać, aby nie wyciągnąć dłoni i nie dotknąć jego torsu. Był taki twardy, taki szeroki, opadał ostrym łukiem w wąską talię. Ale Grayson nie wytrzymał długo w bezruchu.

Przebiegł palcami po jej ramionach w dół do samych dłoni, aż zaczęła drżeć na całym ciele. Z niewiarygodną łagodnością uniósł jej ręce do swoich ust, całując wewnętrzną i zewnętrzną stronę dłoni. A kiedy Sophie poczuła jego dłonie wspinające się po jej brzuchu i żebrach i zamykające się na krągłościach jej piersi, zdołała wydobyć z siebie tylko ciężkie westchnienie.

Przebiegając palcami w jego włosach, chwyciła łąpczywie haust powietrza, czując, że Grayson wciągnął głęboko do ust jeden sutek i zwilżył językiem słodką brodawkę, póki nie zrobiła się twarda, a potem zaczął pieścić drugą. Ssał

tak i zwilżał na zmianę, aż w Sophie zagotowała się gęsta, rozżarzona lawa.

Zapuszczał się wszędzie opuszkami palców, jakby chciał poznać każdą piędź jej ciała. Usta i zębra. Lecz kiedy szarpnęła go z powrotem w stronę łóżka, powściągnął Sophie.

Spojrzała na niego speszona.

- Jeszcze nie - szepnął zmysłowym, chrapliwym głosem. - Unieś nogę, kochanie.

Sophie przeniknął dreszcz grozy.

- O, tak - mruknął Grayson, delikatnie przesuwając swoją silną dłoń wzdłuż jej biodra aż do samego kolana. Następnie podniósł Sophie stopę i oparł ją na niskiej półce, która ciągnęła się w nogach łóżka.

Natychmiast zapłonęła rumieńcem wstydu, który wprowadził ją w skórną, ale pobudzał także jej zmysłowość.

- O, tak - szepnął Grayson. - Teraz cię dotknę.

- Graysonie - wykrzyknęła rozzadzierająco, chwytając go za ramiona.

- Szszsz - uciszył swoją kochankę. Jego oczy były ciemne, namiętne. - Otwórz się dla mnie.

Pieścił ją, póki nie poczuł, że jest do końca rozluźniona.

- O, tak, Sophie - zanucił.

Zmysłowe pragnienia Sophie spotęgowały się w nieokreślone pożądanie i stała się gotowa na przyjęcie dotyku jego ciała.

- Boże, już dłużej nie wytrzymam - szepnął do niej, omiatając jej skórę swym oddechem.

Ich ciała stopiły się w intymną jedność, stykały się już ze sobą, ale jeszcze nie były złączone. Grayson położył dłoń na biodrach Sophie i zaczął ją całować, pieszcząc skórę na jej plecach. Sophie czuła onieśmienie faktem, że leżała na mężczyźnie, nie wiedziała, jak się ma zachować. Jej przewodnikami stały się silne dłonie Graysona.

W ciele Sophie obudziły się gwałtowna żądza i gorąca

namiętność, a także stan niezwyklej dzikości. Rozpaczliwie pragnęła Graysona. Chciała, aby on jej także pragnął.

- Kochaj się ze mną, Graysonie. Proszę.

Mogłaby przysiąc, że krzyknął, zamieniając się z nią miejscami, a potem przycisnął do materaca łokcie, aby wesprzeć na nich górną część swojego ciała. Przez nieskończenie długą sekundę patrzył na Sophie, a jego ciało całe dygotało.

- Tak bardzo cię potrzebuję, Sophie. Zawsze byłaś mi potrzebna - wyszeptał, całując ją, jakby ciągle było mu mało.

Wessał język Sophie w swoje usta i muskając skórę, podciągnął do góry jej kolana. Wykrzyknawszy głośno jej imię, wdarł się do wnętrza. Sophie czuła, jak Grayson napina się w oczekiwaniu, aż jej ciało zestroi się z jego ciałem. Wtedy zaczął się poruszać, na razie bez pośpiechu, wciągając ją stopniowo w wir zmysłowej miłości, aż ich oddechy stały się urywane od nadmiaru emocji. Wtedy objął dłońmi biodra Sophie i przycisnął ją do siebie.

Sophie przywarła do jego ramion, a twarz Graysona wtuliła się w jej szyję. Oddychając coraz szybciej, zagłębiał się i wynurzał, dopóki jej ciało nie zapulsowało ze spełnionego pożądanego. Grayson znowu wykrzyknął jej imię i wtedy poczuła, że i on doznał najwyższej rozkoszy.

Opadł na nią całym ciałem. Sophie wzięła na siebie jego ciężar, który wcale jej nie przygniatał, przeciwnie, dawał uczucie odprężenia. Wreszcie Grayson obrócił się na bok, porywając ją wraz z sobą. Sophie wyczuwała bicie jego serca, silne i przyśpieszone. Leżeli tak spowici ze sobą, a wokół nich panowała cisza jak makiem zasiał. Sophie chciała pozostać w tej pozycji już na zawsze.

Ale Grayson raptem się odezwał:

- Ja cię nie rozumiem. Stanowisz mieszaninę pychy i miękkości, pewności siebie i wstydu. Bezcelności i nieodświadczenia. Udajesz światową damę, ale gdy cię pieszczę, drżysz cała i szczytujesz, jakbyś nigdy wcześniej nie doznała rozkoszy.

Sophie odwróciła głowę na bok z zażenowaniem. Ale Grayson ujął delikatnie jej podbródek i przekręcił jej głowę z powrotem. Spojrzała mu w oczy i doszła do wniosku, że nigdy jeszcze nie widziała tak wielkiego spustoszenia.

- Kimkolwiek jesteś naprawdę - szeptał - ja autentycznie ciebie potrzebuję. Jesteś moją słabością, Sophie. I ja nie mogę pozwolić ci odejść.

Na te słowa serce Sophie stanęło w miejscu, ponieważ zrozumiała, że ten silny mężczyzna uważał, że nie może pozwolić sobie na żadne słabości.

Pytanie brzmiało, dlaczego?

22

W sobotę, w dniu koncertu Sophie, przyniesiono list. Emmaline spojrzała na odręczne pismo:

Błagam o spotkanie. Hotel Quincy House. Pokój Ja.

Żadnego nazwiska. Ale Emmaline zrozumiała.

Zatapiając się po szyję w ciepłej, głębokiej i pachnącej kąpieli, Emmaline myślała o Richardzie. Jej świat wydawał się równie zmętniały jak zaparowane lustro na ścianach łazienki. List powoli wyfrunął z jej palców i opadł na mały orientalny dywanik leżący obok wanny.

Emmaline przebierała leniwie palcami w wodzie. Sam dotyk jego listu sprawił, że serce jej podskoczyło do gardła. Widok zuchwałego pisma Richarda i świadomość, że jego dłonie trzymały tę kartkę papieru, sprawiały, że ciało Emmaline przenikał dreszcz tęsknoty.

Wydechając gwałtownie powietrze z płuc, Emmaline poderwała się z wody. Decyzja została podjęta.

Godzinę później, odziewszy się starannie, Emmaline zbiegła po schodach ze świadomością, że pójdzie do Richarda.

Dobry Boże, co ona wyprawiała? Wymykała się z domu niczym krnąbrna uczennica. I to nie po raz pierwszy. Nie potrafiła jednak odmówić sobie tych wypadów. Cieszyła się na niewinny dotyk jego rąk w parku. Wprost nie mogła się doczekać jego łagodnego uśmiechu. Obiecanej anegdotki. Na to zawsze mogła liczyć. Ale na pocałunek nigdy.

Jednak to się miało wkrótce skończyć. Richard zapowiedział, że nie będzie dłużej czekał, a jednak czekał, natomiast jego usta przysuwały się tak blisko do jej twarzy, że Emmaline wręcz czuła bijące od niego ciepło.

Czy naprawdę było w tym coś złego, biorąc pod uwagę związek łączący ją z Bradfordem?

Pytanie to coraz natarczywiej chodziło jej po głowie, kiedy w pobliżu znajdował się Richard.

Był piękny dzień, przedpołudniowe słońce napełniało blaskiem cały dom. Jadłospis obiadu został już ułożony, więc Emmaline nie będzie potrzebna aż do wieczora, kiedy to uda się na koncert, o którym mówił cały Boston.

Grayson zostawił jej wiadomość, że po południu przyniesie bilety na to doniosłe wydarzenie.

Emmaline ściągnęła brwi na myśl, że między jej synem a Sophie coś się popsło. Żadne z nich nie było szczęśliwe, ale Emmaline nie miała pojęcia, dlaczego.

Kiedy parę dni temu zagadnęła o to Graysona, syn sztywno pocałował ją w czoło, mówiąc, żeby matka się nie martwiła.

Jakby była słodką nastolatką, która nie potrzebuje zaprztać sobie główki cudzymi sprawami.

Emmaline chciała Graysona skarcić. Przecież była jego matką. Była starsza niż on, mądrzejsza. A jej syn w dziwny sposób przestał na to zważać.

Dlaczego dzieci muszą wyrastać na ludzi dorosłych, którym się wydaje, że zjedli wszystkie rozumy i są mądrzejsi od swych rodziców?

Emmaline przykryła związane luźno włosy pięknym

wiosennym kapeluszem. Sięgnęła ręką do klamki u frontowych drzwi, gubiąc się w domysłach i zapominając o bożym świecie.

- Wychodzisz?

Emmaline zamarła z wyciągniętą ręką, z łokcia zwieszała się jej torebka.

- Bradford, nie widziałam cię tutaj.

- Właśnie zauważyłem.

Małżonek stał na progu swojego gabinetu, dwuskrzydłowe drzwi były z powrotem zasunięte. W rękach trzymał nieważną już teraz książką i przyglądał się Emmaline. Był bardzo przystojny, stojąc jak posąg w domu, który wspólnie zbudowali. Emmaline kołatało serce, a policzki piekły ją z poczucia winy.

- Gdzie wychodzisz?

Emmaline gapiła się bez słowa, po czym spuściła głowę i zaczęła wygładzać suknię dla uspokojenia roztrzęsionych nerwów.

- Do miasta. Na krótko. - Emmaline podniosła wzrok, ale rękę wciąż miała wyciągniętą w stronę gałki u drzwi. - Chyba że masz lepszy pomysł. W zasadzie nie muszę wychodzić. Mogłabym zostać w domu, przy tobie.

Grayson ściągnął swoje siwe brwi.

- Lepszy pomysł? Co ty wygadujesz, matko?

Emmaline zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę męża, jej długa, dzienna spódnica zaszeleściła nieco w holu pod wysoko sklepionym sufitem. Zatrzymała się przed Bradforde, chwyciła bez namysłu jego rękę i mocno ucisnęła.

- Sama nie wiem. Wybierzmy się na konną przejażdżkę w parku. Tylko we dwoje.

- Niedawno chciałaś urządzać piknik, teraz marzy ci się przejażdżka w parku. Co w ciebie wstąpiło, Emmaline? Ostatnio zachowujesz się bardzo dziwnie.

Emmaline opadły ręce wzdłuż ciała, zawrzała w niej bezsilna złość.

- Chęć spędzenia trochę czasu z własnym mężem nie jest zapewne niczym dziwnym - oświadczyła Emmaline, wkładając w to więcej sił, niż zużyła ich przez ostatnie trzydzieści lat.

Bradford przesywał ją złowrogim spojrzeniem.

- Pani Hawthorne, proszę nie zapominać, do kogo pani mówi.

- Nie zapominać? Jak mogłabym nie pamiętać? Jak mogłabym nie pamiętać bodaj przez jedną chwilę, że jestem żoną mężczyzny zbyt zimnego, by zrozumieć, że jest obiektem miłości!

Nie czekając na odpowiedź, Emmaline pobiegła do drzwi. Ale w połowie drogi zatrzymał ją głos Bradforda. Żadnej skruchy. Żadnej delikatności.

- Pytałem cię o coś, Emmaline. Gdzie idziesz?

Odwrociła się i poznała tę jego nieprzejeжданą minę.

- Wychodzę, panie Hawthorne. Czy ci się panu podoba, czy nie - rzekła.

A potem wyszła z dostojnością królowej. Wiedziała już, jak postąpić.

Niecałe trzydzieści minut później w Hawthorne House pojawił się Grayson. Wciąż nie wiedział, czego może oczekiwać, choć do koncertu zostało tylko parę godzin.

Grayson musiał się przedtem dowiedzieć od Lucasa prawdy o Nilesie Prescottcie oraz szczegółów wcześniejszych występów Sophie. A czas płynął nieubłaganie. Grayson miał niepełną nadzieję, że aluzje poczynione przez Sophie na temat jej rzekomo gorszącego i skandalicznego zachowania miały jedynie wyprowadzić go z równowagi.

Grayson nie mógł zrozumieć Sophie, a utarte pojęcia o ludziach z każdym dniem coraz częściej waliły się w gruzy. Niewinna dziewczyna? Czcigodny kapelmistrz, który odbywa stosunki płciowe z dziewczyną tak młodą, że mogła być jego córką? A jego matka? Wykrada się ze swojego bez-

piecznego i szacownego domu, uciekając od własnego męża. Grayson był coraz bardziej przekonany, że Emmaline udawała się wtedy na spotkanie z innym mężczyzną.

Fala wściekłości rozlewała się w jego żyłach jak wrząca woda. Musiał dopaść Nilesa Prescottta i wziąć na nim odwet. Oraz dowiedzieć się całej prawdy o matce.

Jego uporządkowany świat pozostanie przekreślony do góry nogami, jak długo Grayson nie zdoła przywrócić mu sensu. Nie cierpiał braku władzy nad swoim życiem. Przetrwał właśnie dzięki temu, że potrafił odnaleźć sens w rzeczach niezrozumiałych. Dzięki temu, że kiedy w wieku szesnastu lat został wyrzucony na bruk, zdobył władzę nad swoim życiem w swoim nowym świecie.

Jak to możliwe, że po tylu latach jego idealnie uporządkowany świat rozpadł się jak domek z kart?

Dzień Graysona był wypełniony pracą, pozostawiając mu niewiele czasu na myślenie. Ledwo znalazł parę wolnych chwil, żeby wpaść do Music Hall po bilety dla rodziców. Ale kiedy wszedł do Hawthorne House, Bradford stał nieruchomo w swoim gabinecie i wyglądał przez okno.

- Ojczy?

Bradford Hawthorne odwrócił się w jego stronę i Grayson domyślił się od razu, że coś się stało.

- Co jest grane?

- Widziałeś swoją matkę? - pytał ojciec jakimś dziwnym, łamiącym się głosem.

- Nie, dopiero przyszedłem - odpowiedział Grayson, zerkając w stronę schodów. - Przypuszczam, że jest w swoim pokoju.

- No, to źle przypuszczasz. Matki w domu nie ma. Wiesz, gdzie może być?

Grayson popatrzył na swego ojca. Przypomniał sobie kilka sytuacji, kiedy miał absolutną pewność, że widzi matkę na mieście. W wynajętej dorożce. W dzielnicy portowej.

- Nie mam pojęcia - rzekł Grayson. Odezwał się w nim

obronca. Ale znajdzie matkę. - Pewnie jest w ogrodzie albo pobiegła na jakieś niespodziewane spotkanie.

Grayson sięgnął do kieszeni palta i wyjął bilety.

- Oto bilety na koncert.

Stary Hawthorne wziął je z roztargnionym wyrazem twarzy.

- Będziecie siedzieć obok Conrada i Patrice w pierwszym rzędzie. Powinniście zjawić się nieco wcześniej. Na widowni będzie panował tłok.

Cały Boston przyjdzie obejrzeć Bóg wie jaki koncert.

Ale Grayson zastanowi się nad tym później. Najpierw musi odnaleźć matkę. Zanim uprzedzi go ojciec.

Emmaline weszła do hotelu Quincy House. Mijając recepcję, naciągnęła dokładniej woalkę na twarz i skierowała się od razu w stronę wąskiej klatki schodowej. Quincy House był trzypiętrowym budynkiem w dolnej części miasta, który dawał schronienie kawalerom zamieszkującym w nim okrągły rok. Kobieta nie miała prawa wślizgnąć się tam w pojedynkę niepostrzeżenie, ale Emmaline cieszyła się, że w tego rodzaju miejscach nie zadawano zbędnych pytań.

Kiedy weszła na drugie piętro, dłonie miała aż mokre od potu. Rozejrzawszy się na wszystkie strony, skręciła w prawo i nie zatrzymując się już, podeszła do pokoju 3a. Kiedy jednak podniosła rękę, aby zapukać, nagle się zawahała i poczuła jakąś suchość w ustach od dręczącej niepewności.

Stała i gapiła się na drzwi. Były podrapane ze starości, ale wypolerowane porządnie przez troskliwy personel. Emmaline ledwie zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Ale co do ścieżki, na którą weszła, nie miała wątpliwości.

Powiedziała sobie, że powinna uciekać, nie oglądając się do tyłu. Ale nie była w stanie się wycofać.

Zapukała ostro i gwałtownie. Drzwi się otworzyły i w tym momencie Emmaline zobaczyła Richarda. Po jego wesołej minie i serdecznym śmiechu nie było ani śladu. Pa-

trzymał na nią, jakby nie mógł uwierzyć, że jednak do niego przyszła, a w jego oczach jarzyła się miłość.

- Emmaline - szepnął gorączkowo.

W tym momencie Emmaline zrozumiała, że ten mężczyzna naprawdę ją kocha.

Grayson siedział za biurkiem w Łabędziej Gracji. Dom wyglądał jak po trzęsieniu ziemi - biblioteka była rozbita. Meble rozrzucone. Obrazy zwalone na stertę w holu i zapomniane.

Wszędzie panował niebывały zamęt. Taki sam jak w życiu Graysona.

Jeśli nawet Sophie przebywała w środku, to się z tym nie zdradziła. Było cicho jak w grobie. Jego palec krążył wolno po brzegu kieliszka. Grayson patrzył na kryształowe naczynie niewidzącym wzrokiem.

Przeszukał dolną część miasta i dzielnicę portową. Ale nie odnalazł śladu swojej matki.

Jego uwagę skupiło pukanie do drzwi. Grayson podniósł wzrok i zobaczył wchodzącego Lucasa, który rozbawionym spojrzeniem omiatał panujący bałagan.

- Zdaje się, że odnalazłeś swoją zgubę - powiedział młodzieniec, przeciskając się przez wąskie przejścia, które wytoczył jego starszy brat.

Grayson wstał i przez krótką chwilę czuł zakłopotanie. Skąd Lucas wiedział o ich matce?

- Pewien gość, z którym robię interesy w Wiedniu, dał mi cynk.

Grayson uświadomił sobie natychmiast, że Lucas mówi o Sophie.

- Mój kontakt najwyraźniej rozmawiał z niejakim Wilhelmem, który widział, jak Sophie grała tutaj w Bostonie, kiedy była młoda, a potem oglądał ją w Wiedniu, zanim wróciła do Bostonu.

- Powiedz mi, że daje występ, którym olśni Boston.

- Tak, olśni, bez dwóch zdań, ale w sposób, który nie bardzo ci się spodoba.

Grayson przeciągnął dłońią po swych ciemnych włosach.

- Do diabła - mruknął.

Lucas zerknął na papierową teczkę, po czym wrócił spojrzeniem do brata.

- Znalazłem też to i owo na temat Nilesa Prescottta.

Oczy Graysona się zwięziły.

- W przededniu wydania komunikatu, kto wygrał doroczny recital debiutancki, Prescott zmienił nazwisko osoby, która zdobyła pierwszą nagrodę.

- Z Sophie na Megan - domyślił się Grayson.

- Tak. W dodatku nie zrobił tego najwyraźniej po raz pierwszy. Już wcześniej w ostatniej chwili zmieniał nazwiska wygrywających. Ale tylko wtedy, gdy w grę wchodziły dziewczęta.

Twarze braci przybrały bezlitosny wyraz.

- Co mam dalej robić? - spytał Lucas.

Grayson odszukał jego spojrzenie.

- Nic. Zostaw Nilesa Prescottta mnie.

- Wyśmienicie. Ale najpierw obejrzyj sobie to - powiedział Lucas, wręczając Graysonowi poufną teczkę. - Tutaj znajdziesz wszystko, co powinieneś wiedzieć o koncertach Sophie.

Grayson nie zdążył jeszcze dobrze uchwycić papierów w swoje dłonie, kiedy rozległ się następny stukot kołatki do głównego wejścia. Wiedząc, że nikt inny tego nie zrobi, Grayson wyszedł z biblioteki i otworzył drzwi.

- Panie Hawthorne - zawołał jakiś mężczyzna. Ledwo dyszał, jakby przebiegł kawał drogi.

- Hastings? - powiedział ze zdziwieniem Grayson na widok kamerdynera rodziców.

- Pokójówka pańskiej matki znalazła to na podłodze - oznajmił Hastings i podał mu pojedynczą kartkę papieru. Czo-

ło kamerdynera było poprzecinane bruzdami niepokoju. - Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak przyniosę to do pana.

Grayson przyglądał mu się uważnie. Rozumiał, że Hastings musiał dokonać wyboru między nim a jego ojcem. Następnie zmrużył oczy i rozwinął papier. Przeczytał jeden raz, a potem dwa razy.

- Co się stało? - spytał Lucas zza pleców Graysona.

- Panicz Hawthorne! - wybuchnął ze strachem kamerdynier. - Nigdzie pana nie zauważyłem.

- W czym rzecz?

- W niczym, braciszku - odparł przezornie Grayson. Złatwi tę sprawę sam.

I nim padło następnie pytanie, Grayson wyszedł energicznym krokiem przez frontowe drzwi, przynaglany wściekłością.

Jego ręce ocierały się o jej ramiona, jego dłonie wędrowały po jej skórze, muskając delikatnie i zatrzymując się przy bufiastym rękawie. Emmaline chwycił słodki dreszcz pożądania, gwałtowne uczucie, od którego zapragnęła tego mężczyzny jeszcze bardziej.

- Em - szeptał, owiewając jej ucho ciepłym swego oddechu. - Jesteś cudowna.

Czy była cudowna, czy nie, ten mężczyzna sprawiał, że Emmaline czuła się młoda i piękna, czuła, że otworzyły się przed nią nowe możliwości oraz nowe życie.

Tymczasem dłonie Richarda przeniosły się do jej szyi, dotykając na krótko policzków, i powędrowały dalej ku włosom. Wystarczyło kilka pociągnięć za spinki, żeby długie warkocz opadł kaskadą na jej ramiona i plecy. Czuła dotykanie włosów na skórze, loki głaskały ją równie delikatnie jak palce mężczyzny.

Pragnęła przeżywać to jeszcze bardziej. Musiała przeżywać to jeszcze bardziej - jak gdyby zaczęła wreszcie nowe życie.

Niemal czytając w myślach Emmaline, Richard łagod-

nie zsunął bufiaste rękawy z jej ramion i musnąwszy opuszkami palców miękką krągłość ciała, wsunął dłoń pod tkaninę sukienki.

Emmaline odrzuciła głowę do tyłu, a Richard złożył gorący pocałunek na jej szyi. Kiedy zaczął delikatnie ssać, Emmaline poczuła w całym ciele mrowienie i narastające pożądanie.

Richard był w samej koszuli, surduta ani krawata już dawno na sobie nie miał, więc kiedy w pewnej chwili odsunął się na długość ramienia, Emmaline nabrała szalonej chęci, by dotknąć złocistego owłosienia na jego torsie poniżej szyi.

Ale zanim zdążyła wziąć się na odwagę, Richard obrócił ją łagodnie, aż przywarła plecami do jego piersi. A później wyciągnął rękę.

- Spójrz - powiedział.

Emmaline spojrzała i zobaczyła samą siebie, swoje odbicie w lustrze stojącym w rogu pokoju. Ten widok ją zaskoczył.

- Jesteś taka piękna.

- Raczej stara.

- Nie - szepnął Richard.

Patrzyła jak zahipnotyzowana na głowę Richarda, który muskał ją wargami po włosach, przytrzymując jej ramiona swoimi silnymi dłońmi. Zobaczyła w lustrze osobę, której nie widziała od lat - kobietę o błyszczących oczach, rozpuszczonych włosach i uśmiechu, który stał z jej twarzy wiele lat. Ale przede wszystkim zobaczyła kobietę tak szczęśliwą, że chciało jej się płakać rzewnymi łzami.

Dłonie Richarda przesunęły się w dół po jej ramionach i przeniosły w okolice brzucha. Teraz bardzo powoli przytulił Emmaline plecami na siebie

- Czy już rozumiesz, jak bardzo cię pragnę? - spytał niskim głosem.

Emmaline wyczuwała jego pożądanie. Ścisnęło ją w du-

szy coś, czego nie umiała rozpoznać. Uczucie paniki, zapewne, ale było w tym także coś jeszcze.

Doznawszy olśnienia, Emmaline odwróciła się w objęciach Richarda.

- Ja też ciebie pragnę. - Pomimo wszystko, a może dzięki temu wszystkiemu.

Richard nic nie odpowiedział, tylko patrzył na Emmaline. Serce jej zakołatało i w tym momencie pojęła, że powinna się wycofać - z niejednego powodu. Ponieważ tak nakazywały przyzwoitość i dobre obyczaje. Ponieważ była mężatką. Ale Emmaline poddała się kolejnemu uściskowi Richarda, wtulając się w niego jeszcze bardziej.

Teraz ją pocałował. Jego usta odszukały wargi Emmaline, a jego język starał się znaleźć wejście do jej ust. Emmaline otworzyła się dla Richarda. Czując, że ich języki się spotkały, aż zadygotała z intensywności tego wrażenia.

Uczucie, którego nie doświadczyła przez kilkadziesiąt lat, powróciło raptem ze zdwojoną siłą, napełniając Emmaline omdlewającym pożądaniem - oraz uczuciem wdzięczności. Omal nie krzyczała z tęsknoty za kolejnymi dotknięciami Richarda, omal nie zalewała się łzami rozkoszy zmysłowej, którą już dawno skazała na zapomnienie.

Źle robiła czy dobrze, Emmaline do końca życia nie zapomni tego dnia ani tego pocałunku. Być może zapamięta go lepiej niż wszystkie pocałunki, którymi obsypał ją przed laty Richard. Ponieważ dzisiejszy wydawał się darem losu, czymś, na co już dawno straciła nadzieję.

Richard wędrował dłońią po plecach Emmaline, mimo swego wieku wciąż był silnie umięśnionym mężczyzną.

Emmaline przeszła już chęć ucieczki stłumionej dotykiem palców Richarda, które wypalały na jej skórze ognistą ścieżkę. A kiedy zastąpił swoje palce ustami, mogła jedynie przejmująco westchnąć.

Richard znowu na nią patrzył, wahając się, jakby dając jej ostatnią sposobność ucieczki. Ale Emmaline nawet nie

drgnęła; odszukała wzrokiem jego pytające spojrzenie i w tym momencie Richard pokonał *dzielący* ich dystans i znowu przycisnął swoje usta do jej warg.

Jego pocałunek był czuły, lecz pożądlivy, a Emmaline błysnęła myśl, że oczekuje od Richarda czegoś więcej niż tylko gorącego uścisku. Chciała czuć się kochana i obsypywana pieszczotami.

Już kiedyś zwróciła się do tego człowieka, gdy chciała czuć się kochana. Pragnęła mieć na tym świecie kogoś, z kim będzie mogła się widywać, kto jej nie będzie ignorował i da jej odczuć, że mu na niej zależy.

I właśnie teraz Emmaline uświadomiła sobie, że dokładnie tego samego oczekuje od Richarda ponownie.

A więc skoro zrozumiała prawdę, jak mogła dalej brnąć w to wszystko?

Emmaline przeżyła szok.

Wcześniej sądziła, że jest starsza i mądrzejsza. A była?

Poza tym jak mogłaby żyć ze świadomością, że dopuściła się zdrady? I to nie raz, ale dwa razy.

Ta myśl poraziła Emmaline, zapierając jej dech w piersiach tak jak dotyk palców Richarda przed chwilą. Nie znała odpowiedzi, nie znała żadnych odpowiedzi prócz tej jednej.

Zasługiwała na miłość mężczyzny, ale przecież nie obcego, który nie jest jej mężem.

Emmaline odsunęła się gwałtownie.

Oczy Richarda pokrywała mgła namiętności.

- Co się stało?

- Ja nie mogę tego zrobić!

Minęła chwila, zanim Richard się opanował, głęboko oddychając.

- Em, ja ciebie kocham. Przecież o tym wiesz.

- Wiem tylko jedno, że to jest podłość, przynajmniej dla mnie.

- Twój mąż ma cię w nosie! Jak związek z mężczyzną, który cię kocha, można nazwać podłością?

Emmaline przyglądała się Richardowi.

- Gdybyś mnie naprawdę kochał, ani przez chwilę nie namawiałbyś mnie do popełnienia niegodziwego czynu. Godność jest nie tylko dla mężczyzn, Richardzie. Kobiety także ją mają.

- Emmaline - szepnął zdruzgotany mężczyzna.

Ale ona już go nie słyszała. Jak szalona próbowała opamiętać się i odzyskać równowagę ducha. Tym razem wiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy już tego człowieka. Zasługiwała na coś więcej w swoim życiu i pewnego dnia to odnajdzie.

Kiedy jednak otworzyła szeroko drzwi, umysł Emmaline zamienił się w bryłę lodu i wszystko zawirowało jej w oczach.

Uświadomiła sobie, że skrupuły odezwały się w niej zbyt późno.

W drzwiach stał Grayson.

23

Grayson stał na progu pokoju 3A, próbując nadać sens scenie, jaką przed sobą ujrzał.

Jego matka była z innym mężczyzną.

Różne myśli ścierały się ze sobą w głowie Graysona i ledwo rozumiał uczucia, które nim miotaly. Miał wrażenie, że dostał potworny cios w żołądek.

W czasie jazdy dorożką do Quincy House miał nadzieję, że te kilka słów nabazgranych na kawałku papieru okaże się nieporozumieniem. Emmaline Hawthorne nie będzie się przecież wymykać z domu na potajemne rendez-vous w tanim pensjonacie dla starych kawalerów. Już sam pomysł wydawał się absurdalny.

Musiało istnieć jakieś inne wyjaśnienie.

Ale stojąc tak w ciemnym korytarzu, mając przed sobą

matkę, która patrzyła na niego z poczuciem winy, bez kapelusza na głowie, z rozpuszczonymi włosami, oraz jakiegoś mężczyznę, który sterczał jak słup obok łóżka, Grayson nie mógł dłużej temu zaprzeczać.

A więc kilka tygodni temu jego matka miała jednak schadzkę z nieznanym mężczyzną. Jego matka, która wyglądała tak młodo i rześko, że nawet przyjaciele i znajomi zauważyli zmianę.

Ból odczuwany przez Graysona przeszedł w głuchą złość. Złość, którą powitał z zadowoleniem i którą doskonale rozumiał.

Wędrował spojrzeniem między kobietą, która wydała go na świat, a stojącym w głębi pokoju obcym mężczyzną. Facetem, który dotykał jego matki.

Grayson pierwszy raz zobaczył go z bliska i przez jedną wstrząsającą chwilę jego umysł zastygł w bezruchu. Owładnęło nim uczucie zakłopotania. Ten mężczyzna wydawał się dziwnie znajomy, bardzo podobny do męskiej linii rodu Hawthorne'ów.

Ale kiedy Emmaline chwyciła go za rękę, czar przysł.

- Graysonie - rzekła, próbując znaleźć odpowiednie słowa na wyjaśnienie. - To nie to, co myślisz.

- Nie to, u diabła!

Grayson zareagował wiedziony pierwotnym instynktem, ale nic nie zrobił, żeby się pohamować. Odsunął matkę na bok, wbiegł jak opętany do pokoju, pochwycił mężczyznę za kark i rzucił nim o ścianę, nie widząc wyrazu zaskoczenia ani żalu na jego twarzy. Nieznajomy stracił dech w płucach od uderzenia w mur, zaklekotały obrazy. Ale Grayson nie zwrócił na to uwagi.

Nie zastanawiając się, czy to dobrze, czy źle, zacisnął palce na mocnej szyi obcego. Kierował nim niepohamowany gniew i wściekłość zrodzone na ciasnej mansardzie w Cambridge.

- Grayson!

Emmaline rzuciła się na syna, złapała go za ramię i zaczęła z całej siły szarpać. Ale Grayson ledwie matkę zauważał. Długo tłumiona wściekłość znalazła wreszcie ujście, porwała go i doprowadziła do szału. Ale nawet to go nie powstrzymało.

Zaciskał palce coraz bardziej, aż twarz mężczyzny zrobiła się nagle czerwona, a na czole zapulsowały mu nabrzmiące żyły.

- Grayson, zadajesz mi ból!

- Właśnie o to chodzi - odciął się Grayson matce.

Emmaline znieruchomiała i w pokoju zrobiło się raptem cicho jak makiem zasiał.

- W takim razie będziesz musiał zadać ból także i mnie - rzekła Emmaline - bo ponoszę za to taką samą winę jak Richard.

Richard.

Słowo to zapadło Graysonowi w duszę. Zażyłość imienia.

Grayson zwolnił uścisk z donośnym rykiem, oddychając płytkimi, urywanymi haustami powietrza. Powoli przeniósł wzrok z matki na mężczyznę imieniem Richard.

- Nie zbliżaj się pan do niej - warknął - bo następnym razem nie będziesz miał tyle szczęścia.

Richard nie mógł złapać tchu. Opierał się plecami o ścianę i trzymał rękami za szyję. Nie patrząc na niego więcej, Grayson chwycił matkę za ramię, wyprowadził z pokoju i podсадził do czekającej dorożki jak zagniewany ojciec niesforną córkę przyłapaną na wagarach. Emmaline wyswobodziła rękę, zanim jeszcze rozparła się na siedzeniu dorożki.

- Nie jestem trzyletnią dziewczynką, Graysonie Hawthorne.

Jego oczy się zwęziły.

- Wiem. Jesteś moją matką.

Emmaline odwróciła wzrok.

- Możesz wierzyć albo nie, lecz do niczego nie doszło. Przynajmniej do tego, co mogłoby mieć znaczenie.

- Zastaję cię samą w pokoju hotelowym z mężczyzną,

który nie jest moim ojcem, a ty mówisz, że to nie ma znaczenia? - wycedził Grayson.

Emmaline posłała synowi przeciągłe i twarde spojrzenie.

- Och, Graysonie - westchnęła. - Życie nie zawsze jest czarno-białe. Czasami spotyka się różne odcienie szarości, których od początku nie rozumiesz.

- A jeden z tych odcieni szarości to romans?

Emmaline zamknęła oczy i raptem wydawała się starsza ponad swój wiek. Graysona zakłuło serce.

Dorożka krążyła ulicami, z każdą chwilą coraz bardziej przybliżając się do świata, który znali oboje. Grayson przez chwilę odniósł wrażenie, że to wszystko było złym snem. Spoglądał na matkę, chłonał wzrokiem znajomą twarz i jasne, kojące oczy. Niepodobna, by ta kobieta mogła mieć kochanka.

Ale raptem podskoczyli na jakimś wyboju, podrażniając myśli Graysona i przypominając, mu brutalnie o rzeczywistości.

- Nie - odparła Emmaline. - Romans to jedno wielkie zło. Ale wszyscy jesteśmy wystawieni na kaprysy losu. Zawite ścieżki życia, które prowadzą nas tam, dokąd każdy z nas zmierza, są bardzo niewyraźnie zaznaczone.

Grayson spoglądał prosto przed siebie.

- Jeśli odczuwasz potrzebę ujawnienia wszystkiego ojcu, ja to zrozumieję.

Podjechali pod Hawthorne House i zanim Grayson zdążył pomóc matce wysiąść, Emmaline pierwsza wyskoczyła na chodnik. Grayson poszedł za nią, ale matka zatrzymała go w miejscu.

- W sobotnie popołudnia ojciec bywa w swoim klubie. Niewątpliwie tam go znajdziesz - powiedziała i nie oglądając się za siebie, poszła w kierunku drzwi frontowych.

Kiedy woźnica zapytał, dokąd ma jechać, Grayson kazał mu ruszyć. Nie wiedział, gdzie jedzie, mało go to obchodziło. Potrzebował czasu do namysłu. Ale na pewno nie pojedzie do ojca.

Jechali i jechali, aż wreszcie znaleźli się przy Łabędziej Gracji. Czyż nie tak Grayson zawsze kończył? Każda ścieżka w dziwny sposób wiodła go z powrotem do Sophie.

Ale gdy wszedł przez frontowe drzwi do środka, zastał w holu Margaret, która, wymachując ramionami, próbowała go odpędzić.

- Nie zniosę tego! - wołała. - Sophie ma dzisiaj koncert. Potrzebuje ciszy i spokoju, a nie tych nieprzebranych tłumów rozmaitych ludzi, którzy przychodzą i wychodzą, jak im się żywnie podoba.

- O czym pani mówi?

- Najpierw pan, później pański brat, następnie ten lokaj, a teraz pański ojciec.

- Mój ojciec? - spytał Grayson złowrogo.

- Tak! Czeką w pańskim gabinecie. To niedopuszczalne. Sophie musi się przygotować do dzisiejszego koncertu!

Grayson nie posiadał się ze zdziwienia na widok swego ojca stojącego za jego biurkiem.

- Zamierzałeś mi powiedzieć, czy chciałeś ukryć prawdę?

Minęła dłuższa chwila, zanim Grayson zorientował się, że jego nieskazitelny ojciec pil.

- O co ci chodzi? - zapytał ostrożnie.

- Już ty dobrze wiesz, u diabła, o co mi chodzi. O twoją matkę i Richarda Smythe'a!

Oczy Graysona zwięziły się z wrażenia. Powoli ruszył w kierunku ojca.

- Nie myśl, że nie wiem, gdzie była twoja matka. I nie sądz, że nie wiem, gdzie byłeś ty. Nie jestem głupcem. Mimo że ona chce zrobić ze mnie głupca. Tak samo jak przed laty. A teraz jeszcze to! - ryknął Bradford Hawthorne, drżącą ręką wymachując kartką papieru przed nosem syna.

Grayson spojrział na skoroszyt od Lucasa ze szczegółami dotyczącymi występów Sophie, który leżał otwarty na biurku. Sądząc z wyrazu twarzy jego ojca, było gorzej, niż Grayson przypuszczał.

- Nie wiedziałem, że masz zwyczaj przeglądania cudzych papierów.

- Robię to, ilekroć gapią mi się w twarz. Kto by sobie odmówił? Cholera! Dlaczego mi nie powiedziałeś, z jakiego pokroju kobietą się żenisz?

Grayson nie zwracał sobie głowy poinformowaniem ojca, że zaręczyny zostały anulowane.

- Pokaż mi tę teczkę - powiedział do ojca.

Lecz Bradford już go nie słuchał. Jego uwaga przeniosła się gdzie indziej, a teraz spoglądał w kierunku wejścia.

- Ach, kobieta, o której mowa - powiedział z niesamowitym spokojem. - Powiedz mu, Sophie. Powiedz mu, jak grasz na tym swoim instrumencie.

Grayson odwrócił się twarzą do Sophie. Pierwsze, co zauważył, to były jej oczy, brązowe i rozszerzone, z domieszką zieleni, ich gęstą ciemność, której tyle razy się przyglądał, zanim obejmował wzrokiem całe jej ciało. Sophie wyglądała dziko, prowokacyjnie. A także wyzywająco.

Przeniosła wzrok z Bradforda na skoroszyt, przypatrując się kartce papieru.

- Domyślam się, że pańskie dossier mówi wszystko - rzekła, a potem zwróciła się do Graysona. - Zasięgnąłeś o mnie języka?

- Tak, do diabła, zasięgnąłem! - ryknął Bradford Hawthorne. - A dzięki temu ujawnił fakt, że jesteś po prostu skandaliczna i...

- Ojczce!

W pokoju aż huknęło od krzyku Graysona. Ojciec i syn skrzyżowali spojrzenia, wreszcie Grayson przeniósł uwagę na Sophie.

- Chcę to usłyszeć z twoich ust - powiedział.

Sophie uniosła podbródek buńczucznie, a może dała ostatecznie za wygraną i pozbywała się resztek nadziei.

- Co takiego? - spytała. - Chcesz wiedzieć, że moje suknie mają głęboki dekolt, więc we wszystkich mężczyznach na widowni rozpalam dzikie żądze?

Graysonowi splątały się myśli, które po chwili stwardniały i zestaliły się na kamień.

- Chcesz wiedzieć, jakie kawałki gram? Wyzywające melodyjki, które nie mają nic wspólnego ze sztuką, a za to wszystko ze wzbudzaniem namiętności u moich entuzjastów. Do mnie. U samych mężczyzn, rzecz jasna. To dlatego robią wrzawę za kulisami. Przysyłają mi prezenty. Kwiaty, słodycze. Zapraszają do swoich łóżek.

Fala dziwnych myśli rozlała się w głowie Graysona.

- A może mam ci opowiedzieć, jak wciągam wiolonczkę między nogi bez pośpiechu, niczym swojego kochanka?

Stary Hawthorne wydał zduszony jęk, lecz Graysonowi nawet nie zadrgała powieka. A Sophie brnęła dalej.

- Chcesz usłyszeć więcej? - spytała.

- Mam już obraz.

- Jesteś pewny? Nie chcesz zapytać, czy ja to lubię?

- A lubisz?

Sophie rozbłysły oczy, ale natychmiast ściemniały.

- Delektuję się każdą chwilą.

Powinien był domyślić się prawdy. Powinien był zrozumieć to wcześniej. Przecież widział, jak grała, gdy nie miała pojęcia o jego obecności w pokoju. Odczuwał namiętność i pożądanie, patrząc, jak dosłownie pieściła instrument, przesuając smyczkiem po strunach.

- Nie potrafisz niczego zrobić dobrze - ryknął Bradford Hawthorne. - Nawet znaleźć sobie przyzwoitej żony!

W Graysonie coś pękło. W jego duszy eksplodowały długie lata gorliwych starań i nadludzkich wysiłków, aby spełnić oczekiwania tego człowieka.

Odwrócił się, by stawić czoło swojemu ojcu.

- Czego ty chcesz ode mnie? Powiedz mi to, raz na zawsze!

- Żebyś dwadzieścia pięć lat temu okazał się moim synem.

Grayson z ledwością usłyszał, że Sophie gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Nie rób takiej zdziwionej miny - syknął Bradford Haw-

thorne. - Z każdym dniem coraz bardziej dajesz dowody na to, że w twoich żyłach nie płynie ani jedna kropla mojej krwi.

Słowa Bradforda Hawthorne'a odbiły się echem po całym pokoju, a jego oczy zwięziły się do cienkich szczelin. Grayson stał jak skamieniały, usiłując przetrwać znaczenie tych słów, zrozumieć coś, czego nie mógł ogarnąć rozumem.

- Jesteś bękartem niskiego urodzenia i udowadniasz to każdą swoją decyzją, którą podejmujesz. W dodatku wiesz już o tym na pewno. Byłeś w tym hotelu i wziąłeś udział w zjeździe rodzinnym ze swoim tatusiem?

Nagle, z absolutną pewnością, która omal nie zwałała go z nóg, Grayson zrozumiał sedno sprawy.

Pochodzi z nieprawego łoża. Jest bękartem.

W tym momencie przypomniał sobie tego człowieka. Wysoki i barczysty. Tak samo jak on. Ale on był podobny również do Bradforda Hawthorne'a. Teraz przypomniał sobie oczy Richarda. Ciemne, tak jak jego. Nie błękitne, jak w *rodzinie* Hawthorne'ów.

Pochodzi z nieprawego łoża. Wraz z tymi słowami do świadomości Graysona dotarła prawda, którą wyczuwał od początku.

- Jesteś nic niewart - pieklił się Bradford Hawthorne, bębniąc pięścią w ścianę. - Wychowałem cię jako mojego syna, jako mojego sukcesora - ryknął. - A co dostaję w zamian? Nic! No, coś ci powiem, jesteś tak samo nic nie wart jak ten szubrawiec Richard Smythe, który przed laty zaciągnął twoją matkę do łóżka. Ona była moja, do cholery! Ty powinienesz być mój!

Dlaczego wcześniej nie powiązał faktów ze sobą? Napięte stosunki między rodzicami. Pogarda okazywana Graysonowi przez ojca stała w jaskrawej sprzeczności z jego uwielbieniem dla Matthew. Grayson zrozumiał nagle, dlaczego trzymał się Z dala od świata, dlaczego tak uporczywie dążył do doskonałości.

Ponieważ nie był bynajmniej doskonały.

- A teraz przyglądasz się obojętnie, jak kobieta, która niedługo będzie nosić nazwisko Hawthorne, przygotowuje się, aby zgorszyć Boston widowiskiem nie nadającym się nawet dla burleski, a coś dopiero dla prestiżowych murów Music Hall. Oboje jesteście siebie warci!

Grayson stał milcząco przez całą tyradę, tego jednak nie mógł zostawić bez odpowiedzi.

- Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej na temat Sophie - odciął się Bradfordowi. Od gwałtowniejszej reakcji powstrzymywały Graysona tylko jakieś niewidoczne pęta.

- Będę mówił, co mi się podoba, ty natomiast, czy bękart, czy nie, wciąż nosisz moje nazwisko, więc dobrze ci radzę, nie dopuść do dzisiejszego koncertu, bo inaczej przeklniesz dzień, w którym przyszedłeś na świat.

To powiedziawszy, Bradford Hawthorne obrócił się na pięcie i wybiegł jak burza z pokoju, omal nie tratując po drodze Sophie.

Dobry Boże, jak mogła się tego nie domyślić?

Sophie powoli odwróciła się do Graysona. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale wyraz jego oczu wprawił ją w zdumienie. A może to były łzy?

Serce jej pękało z żalu nad Graysonem, mężczyzną, który doszedł do wielkiej siły i perfekcji dzięki staraniom, by ukryć to, co uznawał za słabość, by ukryć miłość do człowieka, który nie odwzajemniał jego uczucia. Teraz Grayson już wiedział, dlaczego.

- Nie miałeś o niczym bladego pojęcia - szepnęła, modląc się w duchu, aby jakoś przeszedł przez ten pokój i znalazł się bliżej niej.

Grayson stał nieruchomo. Spoglądał na Sophie, kryjąc swoje uczucia za ciemną, nieprzeniknioną maską twarzy. Zobaczyła, z jaką siłą Grayson zacisnął szczęki, a pod skronią pulsował mu mięsień. Może znienawidził ją za to, że nie była już dziewczyną, ale Sophie nie mogła się teraz od niego odwrócić.

- Bradford Hawthorne się myli - stwierdziła. - Jesteś niezwykłym człowiekiem, wspaniałym człowiekiem.

Ale Grayson dalej przypominał kamień, a jego twarz była gładka niczym gruby pancerz, jaki widziała u niego już z tysiące razy. Tym razem jednak zobaczyła, że ślepa furia w jego oczach to wcale nie furia, tylko straszliwe spustoszenie. Nagle dostrzegą ją to bardzo wyraźnie.

W tym momencie wszelkie słowa, jakie w uniesieniu powiedzieli jedno drugiemu, ulotniły się jak kamfora. Podobnie jak Sophie, Graysonowi strasznie zależało na opinii innych ludzi, nie chciał jednak, aby ktokolwiek o tym wiedział. Ukrywał swą wrażliwość za murem, który wokół siebie zbudował, podobnym do muru wzniesionego przez Sophie, i który nie dopuszczał doń nikogo, kto przypadł mu do serca.

Jak mogła nie rozpoznać tych samych cech charakteru, które wypracowała w sobie, aby móc przetrwać?

Kiedyś Grayson prosił ją, aby go ratowała. Z łamiącą serce pewnością Sophie uświadomiła sobie teraz, że miała go ratować przed nim samym. Pragnął miłości człowieka, który nie był jego ojcem. Sądził, że gdy osiągnie doskonałość, w końcu uzyska jego aprobatę. Uważał, że musi być nieskazitelny i takiej samej nieskazitelności wymagał od niej.

Tymczasem Grayson skierował się do wyjścia, nie odzwawszy się do Sophie ani słowem. Ale Sophie stanęła mu na drodze. Grayson bez najmniejszego wysiłku odsunął ją na bok i ruszył dalej w stronę frontowych drzwi.

- Obojętnie, co myśli Bradford Hawthorne, jesteś doskonały, Graysonie. Jesteś doskonały właśnie taki, jaki jesteś - rzuciła w ślad za nim.

Grayson przystanął, ale nie spojrzął za siebie.

Mała zwłoka dodała Sophie odwagi; szybko więc zaczęła mówić dalej, szczerze, nie ukrywając ani nie upiększając niczego.

- Kocham cię, Graysonie. Kocham cię, odkąd skończyłam cztery lata, a ty po raz pierwszy stanąłeś w mojej obro-

nie. - Pragnęła, aby Grayson się odwrócił, ale on nawet nie drgnął. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że w zamian za to mógłbyś naprawdę mnie pokochać. - Sophie zdobyła się na głośny śmiech w rozpalone od emocji powietrze. - Po tragicznych wydarzeniach, które nastąpiły po śmierci mojej matki, nie wierzyłam, że taki doskonały mężczyzna mógłby pokochać kobietę, której było daleko do doskonałości. Wtedy stałam się taka, za jaką się uważałam. Dzikuską pozbawioną jakichkolwiek zalet, która w wyzywający sposób uwodzi mężczyzn.

Ciężkie westchnienie Graysona odbiło się echem od ścian.

- Dobraliśmy się w korcu maku, ty i ja - wyrzekł wreszcie. - Ja staram się być człowiekiem bez wad, a ty robisz wszystko, co możesz, aby udowodnić, że masz tylko wady. Od początku racja była po twojej stronie. Nie nadajemy się dla siebie. W końcu byśmy tylko się nawzajem zniszczyli.

Teraz Grayson wyszedł, pozostawiając Sophie samej sobie. Biedaczka nie mogła złapać tchu.

24

Grayson wrócił do swego pokoju w hotelu Vendome. Nie chciał myśleć o tym, co się stało. Nie poznawał już życia, jakie do tej pory prowadził, ani świata, które z takim mozołem budował.

Wszystko, w co ufał, zapadło się raptem w otchłań, której absolutnie nie pojmował. Sophie. Jego matka. Człowiek, którego uważał za swego ojca.

Dowiedział się natomiast, że jest nieślubnym synem mężczyzny, który uwiódł zamężną kobietę. Mężczyzny pozbawionego honoru. Mężczyzny, którego krew płynęła w jego żyłach.

Rozległo się pukanie do drzwi, ale Grayson to zignorował. Niewidzącym wzrokiem patrzył przez brudne okno na biegnącą poniżej ulicę.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi, teraz już dużo bardziej natarczywie.

Ponownie je zignorował.

- Graysonie, otwórz te drzwi.

Grayson zmrużył oczy na dźwięk głosu swojej matki, przyciskając czoło do zimnej szyby.

- Graysonie, proszę cię.

Odepchnął się od okna i przeszedł przez pokój. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył stojącą na korytarzu matkę.

- To nie czas na rozmowę - oznajmił chłodno.

Emmaline bez zaproszenia weszła obok syna do środka, następnie zatrzymała się i odwróciła. Jej miękkie, niebieskie oczy błyszczały.

- Uważam, że już najwyższy czas.

- Nie chcę rozmawiać o twoich schadzkach z innym mężczyzną.

Emmaline ściągnęła wargi.

- Wcale nie zamierzam poruszać tej sprawy. Na ten temat będę rozmawiała z moim mężem, nie z synem. Chcę cię natomiast ustrzec przed wpadnięciem w tę samą pułapkę. Widzę, że siłą stawiasz Sophie w tym samym położeniu, w jakim przed laty siłą postawiono mnie.

Oczy Graysona się zwęziły.

- Myślę, że powinnaś wyjść.

- Nie wyjdę. Nie będę stała z boku, tak jak to robię przez całe życie, i przypatrywała się z założonymi rękami. Nie urabiaj Sophie na swoją modłę. Ona może stać się twoją dumą jako żona; może cię uszczęśliwić, jeśli tylko dasz jej szansę.

- Za późno. Sophie i ja nie jesteśmy już zaręczeni. Kontrakty przedślubne zostały unieważnione.

- Bo nie podoba ci się sposób, w jaki Sophie występuje na estradzie?

- Skąd się o tym dowiedziałas?

- Twój ojciec mi powiedział.

Grayson odwrócił się gwałtownie i podszedł do okna.

- To nie jest mój ojciec.

Emmaline aż się zatrzęsała.

- Tak. Wiem, że Bradford Hawthorne nie jest moim ojcem.

- Sam ci to powiedział? - spytała.

- Nie owijał w bawełnę.

Emmaline westchnęła przeciągle. Choć Grayson na nią nie patrzył, wyczuwał jednak, że coś niezmiernie ważnego kryje się w tym drżącym oddechu.

- Och, Graysonie.

A potem cisza. Cisza przenikająca go aż do szpiku kości.

- Przykro mi - wyszeptała Emmaline, robiąc głęboki wdech. - Ale moja przeszłość nie zmienia faktu, że kocham ciebie. I to bardzo. Nie zrezygnowałabym z ciebie za żadne skarby świata. I nie zrezygnowałam.

- To prawda. Nie zrezygnowała.

Na dźwięk głosu oboje odwrócili się i zobaczyli stojącego w drzwiach Richarda Smythe'a.

Emmaline zaparło dech. Graysonem owładnęła wściekłość oraz coś jeszcze. Spoglądał na człowieka, który był jego rodzonym ojcem. To było jak patrzenie w lustro. Rozpoznał nawet ten sam arogancko zadarty podbródek.

Grayson sam już nie wiedział, czy jest oburzony, czy za-intrygowany. To był jego ojciec - mężczyzna, który uwiódł jego matkę, a później ją porzucił.

- Proszę wyjść - powiedział do niego głosem bliskim furii.

- Wysłuchaj mnie - rzekł Richard Smythe arogancko, identycznie jak przed chwilą Grayson, a potem dodał: - Proszę.

Grayson zacisnął pięść u boku ciała, ale nic nie odpowiedział.

- Kochałem twoją matkę - ciągnął Richard Smythe. - Kochałem twoją matkę bardzo mocno. Nadal ją kocham.

Ale kiedy odchodziłem, nie wiedziałem, że jest w ciąży. - Richard powoli nabrał powietrza do płuc. - Brak mi słów, żeby ci opowiedzieć, jaki wstrząs przeżyłem na twój widok kilka godzin temu. Boże miłosierny, ja mam syna.

Grayson rzucił przekleństwo, a jego matka wybuchnęła płaczem.

Teraz Richard Smythe zwrócił się do Emmaline.

- Ale kiedy stałem tak cały w szoku, uświadomiłem sobie, że nawet gdybym wiedział o twojej ciąży, to i tak bym wtedy odszedł. Może nawet jeszcze szybciej.

Grayson miał wrażenie, że od tych słów nawet ściany i podłoga zatrzęsły się z wściekłości, a potem jego duszę przebił sztylet goryczy. Żałował, że w ogóle cokolwiek odczuwał.

- Miałaś rację, kiedy wspominałaś o godności - mówił dalej Richard. - Musiało minąć ponad trzydzieści lat, abym uświadomił sobie, że przeżyłem całe życie bez godności. Kocham cię, Emmaline. Chcę spędzić z tobą moje życie, z godnością, nie w podrzędnych hotelach, nie na potajemnych schadzках. Poza tym chciałbym lepiej poznać mojego syna.

- Ale ja nie chcę poznać pana.

Słowa Graysona przeszły powietrze; poczuł pytające spojrzenie swojej matki. Nie chciał poznawać tego człowieka. Zrozumiał, że nic do niego nie czuje poza zwykłą ciekawością. Pragnął tylko, aby tamten sobie zniknął.

Jakby czytając w myślach syna, Emmaline zwróciła się ponownie do Richarda.

- Jeśli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić, to jeszcze raz odejdz. W naszym życiu nie ma dla ciebie miejsca.

- Ależ Em...

- Nie - dodała Emmaline z naciskiem. - Muszę odnaleźć przyszłość samodzielnie. Ty straciłeś swoją szansę na posiadanie syna.

- A więc wracasz do Bradforda?

- Nie wiem, co przyniesie przyszłość. Wiem jedno - muszę sama się z nią uporać. Wysłałam wiadomość do moje-

go syna Lucasa. Zamierzam przenieść się do Wrót Słowika.

- Gdzie? - zapytał w osłupieniu Grayson.

- Pora, żebym urządziła sobie życie na nowo. Nie zamierzam żyć dalej pod despotyczną władzą Bradforda Hawthorne'a. - Emmaline przeniosła uwagę na Richarda Smythe'a. - Już pora na ciebie.

- Nie decyduj jeszcze. Poświęć odrobinę czasu i spokojnie zastanów się nad wszystkim.

- Kazała panu się wynosić.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie wzajemnie, jeden żałośnie, a drugi twardo i zimno.

W końcu Richard Smythe, ociągając się, wyszedł jednak z pokoju.

Grayson patrzył, jak zamykają się za nim drzwi. Dłuższy czas nie odrywał od nich wzroku, starając się zrozumieć swe odczucia.

- Ja naprawdę wysłałam list do Lucasa.

W myśli Graysona wdarł się głos Emmaline. Zabrzmiał donośnie, wyrażał siłę, jaką Grayson rzadko, jeśli w ogóle, słyszał u swojej matki.

- Dalsze decyzje co do mojej przyszłości podejmę we Wrotach Słowika. Wiedz jednak, że Richard Smythe należy już do przeszłości. Zrozumiałam to w hotelu jeszcze przed twoim przyjściem. Ale już teraz wiem, że muszę zrobić coś, czego niestety nie zrobiłam dawno temu. Powinnam była przeciwstawić się Bradfordowi Hawthorne'owi. On zawsze najsurowiej traktował ciebie. Ale to dlatego, że od początku byłeś prawdziwą doskonałością. Twój wygląd. Twój charakter. Twoje sukcesy. Wszystko przychodziło ci tak łatwo.

Emmaline próbowała wyciągnąć rękę do syna, ale jej palce tylko zadrżały nerwowo przy boku.

- Kiedy Bradford wyrzucił cię z domu, żebyś żyła na własną rękę - ciągnęła Emmaline - mogłeś doznać klęski i skompromitować rodzinę. Ty natomiast odniosłeś sukces i przyniosłeś zaszczyt temu samemu człowiekowi, który

chętnie by cię zniszczył, gdyby tylko potrafił. Zawsze starałeś się być jeszcze lepszy, nawet gdy już byłeś lepszy niż pozostali. - Emmaline ponownie wyciągnęła rękę i tym razem dotknęła ramienia swego syna. - Kocham Matthew i Lucasa z całego serca. I każdy z nich ma swoje własne wspaniałe zalety. Ale to ty osiągnąłeś sukces na taką skalę, jakiej Bradford żądał od swoich rodzonych synów. Właśnie dlatego cię znienawidził. A ściągnąłeś na siebie jeszcze większą nienawiść Bradforda, kiedy Lucas zawiódł jego oczekiwania, a Matthew uwikłał się w ten skandal. Bradford pastwił się nad tobą bezlitośnie przez całe życie. Ty jednak nigdy nie uległeś presji. Zwyciężyłeś.

Grayson spoglądał na wyciągniętą ku niemu dłoń matki.

- Kochałaś mojego ojca?

- Na swój sposób zawsze kochałam Bradforda.

- Mówię o Smythe'u, moim prawdziwym ojcu.

- Bradford Hawthorne jest twoim prawdziwym ojcem, kiepskim i szorstkim, bez wątpienia. Ale Richard Smythe niewiele ma wspólnego z tym wspaniałym mężczyzną, jakim się stałeś.

- Przecież to mój rodzony ojciec. Czy kiedykolwiek go kochałaś?

Roziskrzone, wieczorne niebo wabiło promienną jasnością.

- Trudno powiedzieć. Kiedyś wydawało mi się, że tak. Ale sięgając pamięcią wstecz, nie jestem już taka pewna. Pojawił się nagle w moim życiu i rozumiał moje nadzieje i marzenia. Zdawał się darzyć mnie uczuciem w czasie, kiedy Bradfordowi Hawthorne'owi zależało tylko na pieniądzach, które wniosłam mu w posagu. Teraz już wiem, że wtedy byłam młoda, samotna i przestraszona. Potrzebowałam kogoś.

Emmaline patrzyła bezradnie na syna, jak gdyby rozumiała niestosowność swojej odpowiedzi.

- Potrzebowałam kogoś, kto przytuliłby mnie do serca - mówiła dalej. - Kto pozwoliłby mi poczuć, że jestem komuś na świecie potrzebna. W życiu nas wszystkich ist-

nieją takie chwile, że potrzebujemy drugiego człowieka.

Emmaline przewiercała Graysona wzrokiem, jakby siłą woli chciała zmusić go do zrozumienia.

- Myślę, że to samo jest z Sophie - powiedziała. Wahała się przez moment, a potem dodała: - Tyle razy była sama i załęczniona. Moje serce płacze z żalu nad młodą dziewczyną, która musiała sprostać śmierci swojej matki, gdy ojciec związał się z jej pielęgniarką. Kiedy ja byłam sama i załęczniona, zwróciłam się do Richarda Smythe'a. Ale Sophie wybrała ucieczkę. - Emmaline potrząsnęła głową. - Biedna Sophijka. Jakże ona cię uwielbiała. Pamiętasz ów wieczór, kiedy ta podła Megan odtworzyła nagranie z głosem Sophie?

Grayson dosłownie zeszywniał.

Matka patrzyła ze smutkiem na syna.

- Dobrze pamiętam ten wieczór. Wszystkie dzieci zebrały się wokół tej mówiącej maszyny, rodzice znajdowali się w salonie na końcu korytarza. Ale usłyszałam i zapamiętałam każde jej słowo. Sophie cię kochała. Aż do bólu. Więc nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego wzięła nogi za pas, a nie pojechała do ciebie, skoro tak rozpaczliwie kogoś potrzebowała.

Stwierdzenie matki zaskoczyło Graysona, przecięło kipiący w nim gniew jak nożem.

- *Och, przecież widziałam, gdzie mieszkasz!*

Własne słowa Sophie. *Jednak pojechała do niego.*

Grayson dostał olśnienia - pojechała do niego, ponieważ go potrzebowała.

Straciła matkę i właściwie straciła ojca. Pojechała do niego, ale zastała go z Megan. A więc zwróciła się do ostatniej rzeczy na świecie, która przynosiła jej ulgę. Do swojej muzyki. Późnym wieczorem, sama w Music Hall. A tam dopadł ją Niles Prescott.

Świadomość prawdy omal nie zwała Graysona z nóg. Sophie go potrzebowała, a on, choć bezwiednie, zawiódł jej nadzieje. Kiedy Niles Prescott znalazł ją w Music Hall,

nie tylko pozbawił ją niewinności; oddał jej wymarzony debiutancki koncert innej osobie. Najpierw odebrał Sophie dziewictwo, potem odebrał nadzieję.

Grayson pamiętał pierwsze miesiące życia na mansardzie, kiedy czuł się wyrzucony na bruk i zagubiony. Dostawał jednak koszyki z jedzeniem od Sophie, a jej słowa wydobywające się z maszyny mówiącej prowadziły go tak długo, dopóki nie odnalazł własnej drogi.

W tym momencie Grayson zrozumiał, że Sophie była zagubiona i straciła zdolność wiary w siebie. Pozbawiona dziewictwa, jedyne skarbu, jaki dziewczęta mają podobno do zaoferowania swoim mężom. Pozbawiona talentu, jedynej rzeczy, jaka według jej matki liczyła się na tym świecie, który uważał Sophie za cudaczne i brzydkie zaczątko. Nie miała dokąd pójść, toteż zwróciła się ku obcym, bezimiennym ludziom, którzy niczego już od niej nie oczekiwali. Uciekając, stworzyła sobie możliwość rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Wymazania przeszłości z pamięci. Stania się zupełnie inną osobą, a nie tamtą nędzną dziewczyną, jak siebie oceniała.

Zrozumiał w tym momencie, że Sophie odrzuciła swoje dawne życie nie z własnej woli. Zostało jej ono odebrane.

W tej samej chwili Grayson poczuł się wolny - od własnej przeszłości i od przeszłości Sophie. Nie miało znaczenia, że Bradford Hawthorne nigdy nie będzie z niego zadowolony. Graysonowi nie pozostało nic innego, tylko starać się ze wszystkich sił. Tak jak dotychczas. To była kwestia godności.

- Ale to już jest za nami - kontynuowała Emmaline, choć Grayson prawie jej nie słyszał. - Każde z nas ma własną przeszłość, a przeszłość ta nie powinna stać na drodze przyszłości.

Wtem Grayson chwycił Emmaline w objęcia i mocno przytulił do piersi.

- Kocham cię, matko.

Emmaline nie posiadała się ze zdziwienia.

- Co ja takiego powiedziała?

- Nic oraz wszystko - rzekł tak jak niegdyś Sophie. - Później ci to wyjaśnię. Na razie muszę odszukać Sophie.

Sophie wycierpiała się w życiu wystarczająco. Grayson nie pozwoli jej więcej cierpieć przez to, że znowu go zabraknie, gdy jest jej potrzebny. Sophie, która go uratowała, Sophie, która zawsze przy nim była.

Teraz on zawsze będzie przy niej.

Przywróci jej wiarę na nowo. Udowodni, że komuś na tym świecie na niej zależy - tak jak wcześniej Sophie zależało na nim.

Sophie stała jak sparaliżowana, przyglądając się rumowisku, które kiedyś miało stać się jej pokojem muzycznym. Gdyby mogła zdobyć się na coś więcej, pewnie uśmiełaby się do łez z widoku, który tak dokładnie obrazował jej życie.

Deandra, Margaret i Henry dosłownie szaleli wokół niej. Ale Sophie zdołała wyłączyć się psychicznie. Za godzinę rozpoczynał się koncert, a była dopiero w płaszczu kąpielowym. Głowa ufryzowana, makijaż idealnie zrobiony, lecz Sophie najwyraźniej nie była w stanie uczynić niczego więcej.

Prawie nie zwróciła uwagi, że frontowe drzwi otworzyły się na oścież, ledwo słyszała czyjeś głośne kroki w holu. Wreszcie poczuła, że ktoś stanął obok niej.

- Spóźnisz się, Sophie.

To był głos Graysona. Sophie zdołała odwrócić się w jego stronę. Taki wysoki, taki przystojny. Jej bohater, odkąd pamiętała. Był wszystkim, czegokolwiek od życia pragnęła. Właśnie tego mężczyzny, który powiedział, że mogłaby go zniszczyć. Dlaczego sprawy potoczyły się tak źle?

- Chodź, Sophie - powiedział łagodnie. - Pójdziemy na górę, żebyś mogła włożyć sukienkę.

Poczuła, jak silne palce zaciskają się na jej łokciu.

- Zaraz dajesz koncert.

- Nie. - Sophie wyrwała rękę z uścisku Graysona. - Nie mogę tego zrobić.

- Ależ możesz, kochanie.

- Nie nazywaj mnie tak! - Sophie aż zatrzęsała się ze złości. - Nie jestem twoim kochaniem. Poza tym jestem za słaba, żeby dać ten koncert.

Grayson ujął Sophie za ramiona i przytrzymał mocno przed sobą.

- Jesteś bardzo dobra. Słyszałem, jak grasz.

- Przecież czytałeś ten złośliwy paszkwil na mój temat i wiesz już wszystko o moich występach. Mnie interesuje tylko szokowanie ludzi i niezdrowe działanie na ich zmysły. Zrobiłam karierę na nieprzyzwoitości. - Sophie ze złością otarła z twarzy gorzkie łzy. - Ale dzisiaj chciałam zagrać tak, jak trzeba. Dziś chciałam wykonać Bacha. - Zamknęła oczy. - Chciałam też, żeby im się spodobało. Żebym choć raz zdobyła uznanie. - Sophie wylała przed Graysonem cały swój żal. Dała gwałtowne ujście głuchemu buntowi, jaki się w niej nagromadził, i odczuła pustkę w sercu. Spojrzała na Graysona przez łzy, które nie dawały się już dłużej tłumić. - Chciałam, żeby przez jedną krótką chwilę brzydkie kaczątko Bostonu zagrało z gracją łąbędzia.

Grayson ujął twarz Sophie w swoje dłonie.

- Och, Sophie, ty zawsze byłaś łąbędziem. Zawsze umiałaś przetworzyć ludzką namiętność w muzykę. Zawsze byłaś lepsza od nas wszystkich, a to burzyło nasz spokój. Lecz wcale nie przysparzało ci brzydoty.

Sophie zerknęła na Graysona, wiedząc, że musi mu coś dokładnie wytłumaczyć.

- Nie umiem grać tak, jak tego ode mnie wymagasz, Graysonie, jak sama tego od siebie wymagam. Nie umiem grać Bacha. Jeśli spróbuję, to jedynie udowodnię, że jestem miernotą, za jaką wszyscy zawsze mnie uważali. I dobrze mi tak!

- Dlaczego? Bo nie jesteś dziewicą? - Grayson westchnął przeciągle, a na jego silnej twarzy odmalowało się wzrusze-

nie. - To się w ogóle nie liczy, Sophie. To nie ma żadnego znaczenia; szkoda, że nie rozumiałem tego od początku.

- Niestety, ma znaczenie - zachrypiała Sophie.

- Dlaczego?

Sophie próbowała się wyswobodzić, ale Grayson jej nie puszczał.

- Dlaczego? Do cholery, powiedz, dlaczego.

- Bo ja to zaczęłam!

Słowa Sophie odbiły się echem od podłogi do sufitu. Grayson przeniknął Sophie swoimi ciemnymi oczami, które teraz lśniły jaskrawo ze zdziwienia. Sophie zrobiło się słabo, poczuła się chora na duszy i umierająca, lecz było już za późno, aby się cofnąć.

- *Sama* go pocałowałam. - Po kretyńsku. Jak idiotka. Sophie z całej siły zacisnęła powieki. - Nie wiem, dlaczego tak postąpiłam. Może chciałam odegrać się na tobie? Może robiłam na złość mojej matce za to, że umarła? Albo ojcu, że usunął mnie ze swego życia i zwrócił się ku Patrice? - Lecz wszelkie wyjaśnienia były nieważne. Liczyło się tylko to, że pocałowała Nilesa Prescottta pierwsza.

Sophie otworzyła szeroko oczy i spojrzała na Graysona.

- Ja wcale nie chciałam, żeby to było coś więcej niż pocałunek. Naprawdę. Pamiętam, że strasznie się zdziwiłam, że go w ogóle pocałowałam. Zdziwiłam się i poczułam się splugawiona. Ale kiedy przygarnął mnie do siebie jeszcze bardziej... - poczuła, że zaciskają jej się zęby - nie broniłam się. Nie broniłam się!

Sophie spuściła wzrok na ćwieki z masy perłowej, które maszerowały z wojskową precyzją po koszuli Graysona. Wpatrywała się w nie, starając się nie myśleć o przeszłości, starając się niczego nie odczuwać.

- Już po wszystkim miałam wstręt do siebie z powodu tego, co się stało. Żałowałam gorzko, ale największe obrzydzenie czułam do siebie za to, że się skompromitowałam. Co za straszna i niepowetowana strata. Bo kiedy otrząsnę-

łam się już z mojego bólu albo złości, czy co tam wówczas czułam, uświadomiłam sobie, że oddałam Prescottowi jedyną rzecz, która miała dla ciebie znaczenie. - Oddech Sophie stał się głęboki i urywany. - Było ci wszystko jedno, jak gram i wyglądam. A choć często miałam nadzieję, że jest inaczej, w głębi duszy zawsze wiedziałam, że jedyne, czego oczekiwałeś ode mnie - potrzebowałeś ode mnie - było to jedno, dzięki czemu socjeta uznawała mnie za kobietę przyzwoitą. Moja cnota.

Potem, zapinając guziki spodni, których wcale nawet nie zdejmowałam, Niles Prescott obarczył winą Sophie pod pretekstem, że inicjatywa wyszła od niej. Obciążył winą Sophie. Sama poczuwała się do winy. A więc, znając całą prawdę, jak Grayson mógłby obarczyć winą kogoś innego?

Teraz Grayson przerwał milczenie, jego słowa były łagodne, ale stanowcze.

- Kochana, słodka Sophie. Nie ma żadnego znaczenia, że go pocałowałaś. Byłaś młoda i samotna. Chciałaś mieć poczucie, że komuś na tym świecie na tobie zależy.

Sophie spojrzała na Graysona, jej oczy płonęły emocją.

- Potrzebowałaś kogoś, kto otoczyłby cię ramionami, dał ci poczucie bezpieczeństwa, a Prescott to wykorzystał. Niczego mu nie oddałaś - stwierdził kategorycznie Grayson. Widać było, że z trudem nad sobą panował. - Prescott ci to *odebrał*. Odebrał ci niewinność. Już ja przypilnuję, żeby gorzko tego pożałował. - Grayson ponownie ujął twarz Sophie w swoje dłonie. - Nie odebrał ci jednak tego, co liczy się naprawdę.

Sophie zmarszczyła czoło, zmieszana.

Grayson powędrował dłońmi na jej ramiona, a kiedy znowu przemówił, jego głos był cichym szeptem.

- Prescott nie odebrał ci serca. Nie miała na to szans, ponieważ już dawno oddałaś je mnie.

- O czym ty mówisz?

Grayson nie odpowiedział, natomiast splótł ich palce ze

sobą, a potem zaprowadził Sophie do gabinetu, wyjął z kieszeni maleńki kluczyk i stanął przed schowkiem, który intrygował Sophie od powrotu do Bostonu. Grayson otworzył drzwiczki, wy dobył mosiężno-drewnianą maszynę mówiącą, którą Sophie uważała od dawna za zaginioną, i postawił na biurku.

- Znalazłeś maszynę!

- Zawsze ją miałem. Strzegłem jej jak oka w głowie przez te wszystkie lata. Nastawiałem tysiąc razy.

Grayson pokręcił korbką i po chwili w gabinecie rozległ się głos Sophie. Był młody i słodki, lecz pełen niewinnej szczerości.

Kocham Graysona Hawthorne'a. Kocham go całym moim sercem. I pewnego dnia zostanę jego żoną.

Kiedy głos powoli zanikł, Sophie *zadarta* wysoko brodę, aż ich spojrzenia spotkały się ze sobą.

- Przed laty oddałaś mi swoją miłość. Swoją miłość i swoje serce. Mam tę skrzynkę, żeby służyła za dowód. Nikt nam tego nie odbierze, ani Niles Prescott, ani cały Boston.

- Trzymałeś ją przez te wszystkie lata - powiedziała z przestachem.

- W rzeczy samej.

Sophie rozchyliła usta, chwytając gwałtownie powietrze.

- W jakim celu?

Pierwszy raz od przybycia Sophie do Stanów Zjednoczonych Grayson odwrócił wzrok. Ale Sophie sięgnęła i pogłaskała go po twarzy.

- W jakim celu, Graysonie?

Grayson skłonił nieznacznie głowę, po czym wrócił spojrzeniem do Sophie. Jego oczy płonęły jak pochodnie.

- Bo kiedy twoje słowa wypełniły owego wieczora cały pokój, usłyszałem po raz pierwszy życiu, jak ktoś mówi, że mnie kocha. Mała dziewczynka, która nigdy nie kłamała. Mała dziewczynka we własnej osobie. Szlachetna i dobra. I właśnie ona mnie pokochała. Kocham cię, Sophie, za

tamto i za to, kim jesteś teraz. Każdą cząstką mojej duszy. Poza tym zrozumiałem już, że zawsze będę cię kochał bez względu na to, co robisz albo jak grasz. - Grayson pocałował Sophie w czoło. - Wyjdź wieczorem na estradę i zaprezentuj im to, co robisz najlepiej. Nie pozwól Nilesowi Prescottowi oraz twojemu ojcu - a nawet mnie - odnieść zwycięstwa nad tobą. Spraw, żebyśmy się zasłuchali, żebyśmy aż oniemieli z wrażenia. Daj nam przedstawienie, którego nie zapomnimy do śmierci. - Uśmiechnął się, przytulił ją do serca i dodał szeptem: - Nędzny tchórz.

25

Światły pogasty. Zgiełk głosów opadł do cichego szmeru oczekiwania. Bostońska Music Hall nigdy nie pękała w szwach tak jak tego dnia. Wszystkie miejsca były zajęte, ludzie musieli tłoczyć się w przejściach, a setki innych odprawiono z kwitkiem sprzed kasy.

Sophie stała na estradzie tuż za kurtyną pogrążona w ciemnościach. Czarną aksamitną pelerynkę miała naciągniętą obciśle na ramiona. Krew jej tętniła w żyłach z dręczącej niepewności.

Co pomyślą ci ludzie?

Jak zareaguje ojciec?

Z trudem zdołała odsunąć złe przecucia. Nie miało też znaczenia, co kto myśli. Rozumiała to teraz. Mogła grać jedynie tak, jak umiała. Czego jak czego, ale tego jednego nauczyła się doskonale - że nie mogła być nikim innym, tylko sobą.

Kiedy gruba aksamitna kurtyna zaczęła się powoli rozsuwać, tok myślenia Sophie uległ nagłej zmianie. Na razie stała całkowicie nieruchomo, czekając w mroku tak jak pu-

bliczność na widowni. Wyczuwała ich podniecenie, gorączkową atmosferę oczekiwania.

Zdołała jakoś wypatrzeć ojca w pierwszym rzędzie, a obok niego Patrice. Stary Hawthorne także był obecny, siedział obok swojej żony. Emmaline spoglądała prosto przed siebie, a Bradford wpatrywał się w jej złożone dłonie, jakby nie wiedząc, czy ma je uchwycić w swoje własne, czy może gwałtownie rozerwać.

I wtedy to się zaczęło. Snop światła ogarnął Sophie stojącą na estradzie. Ale tłum nie eksplodował salwą braw; nie rozległ się żaden dźwięk przypominający grzmot pioruna. Powitały ją zwykłe, grzeczne, przyzwoite oklaski. Sophie smakowała każdą chwilę jak nigdy przedtem, świadoma, że już nigdy więcej zapewne nie usłyszy takich oklasków. Dziwne, było jej to całkowicie obojętne. Liczył się tylko ten wieczór - wieczór, na który czekała całe życie.

2 tą świadomością uniosła twarz ku światłu, jakby delectując się blaskiem słońca. Następnie zrzuciła z ramion swą niesławną pelerynkę, a kiedy atlas ułożył się u jej stóp, tłum wstrzymał oddech.

Poszum chwytanego łąpczywie powietrza owiał Sophie ze wszystkich stron. Ale zaraz po nim rozległ się szmer zgrozy.

Sophie nosiła niebieski atlas, a nie czerwony. W promieniach światła iskrzył się skromny i przyzwoity brylantowy naszyjnik. Wyglądała przepięknie, nie robiąc z siebie widowiska, była imponująca, ale nie dzika. Z trudem powstrzymywała się, aby nie drżeć, kiedy podchodziła do krzesła i brała do ręki wiolonczelę. Żaden akompaniator nie przyłączył się do niej na estradzie.

Bez względu na rezultat zagra dzisiaj Bacha. Podejmie się wykonania utworów, które żyły w jej głowie więcej lat, niż mogłaby zliczyć. Jeśli poniesie klęskę, to nie dlatego, że nie próbowała.

Szmery ucichły, kiedy wzięła do ręki smyczek. Usiadła na krześle, pochyliła się do przodu i nie mogąc się zdecy-

dować, patrzyła w górę na oślepiające światło. W tym wypadku jednak kradzione chwile nie miały nic wspólnego z kokietowaniem publiczności. Musiała zebrać myśli, wymazać z pamięci wszystko prócz muzyki.

Serce waliło jej tak mocno, że aż bolało. Ale ona zdołała tego dokonać, powiedziała do siebie stanowczo. A potem zaczęła.

Kiedy pierwsze drżące G rozeszło się po sali, Sophie wstrzymała oddech. Czuła, że tłum napina nerwy równie mocno jak ona. G-D-B... A-B-D-B-D. Nuty zabrzmiały niczym wściekłe wrzaski na lekcji muzyki rozkapryszonego dziecka.

Smyczek poruszał się niezgrabnie w dłoni Sophie. Krawędź wiolonczeli wbijała się w jej ciało. W krtani narastał strach i tamował jej oddech. W pewnej chwili mignęła jej twarz Megan Robertson siedzącej z uśmiechem w pierwszym rzędzie. Oraz Prescottta. Niles Prescott miał czelność siedzieć tam również i przyglądać się Sophie.

Chciała uciec, odstawić wiolonczelę i wziąć nogi za pas. Niezdolna do wstania z krzesła potrafiła tylko zagrać z trudem pierwsze takty utworu. Straszne zdanie cisnęło jej się do głowy.

Jeszcze jedno cudowne dziecko grające anemicznym, uciészonym dźwiękiem.

Ale jej dźwięk nie był nawet uciészny. Dlaczego w ogóle pomyślała, że zdoła to wykonać? Dlaczego w ogóle przyszło jej na myśl, że podjęcie starań i doznanie porażki jest lepsze niż rezygnacja?

Czuła, jak wzbiera w niej krzyk rozpaczony, a kiedy usłyszała narastające wśród tłumu szuranie nogami, policzki Sophie oblały palący rumieniec wstydu.

W tym momencie pomyślała o Graysonie i o jego miłości do niej. Prawdziwej miłości. Bez względu na to, jak grała. Bez względu na przeszłość. Teraz wydobyła pojedyncze, samotne A. Srebrzysty, cudowny ton wrócił echem odbitym od niebotycznego sufitu. Ten odosobniony dźwięk był tak nieskazitelnym i wspaniałym jak ich miłość. I Sophie przestała

się przejmować czymkolwiek. Bostonem, swoją kłeską lub sukcesem.

Zatraciła się w wiolonczeli, którą trzymała w rękach, oraz dźwiękiem, który omywał całą salę rozciągającą się pod wysokim sklepieniem. Publiczność powoli się zatarała, a spod smyczka Sophie popłynęły kontrolowane, intensywne tony Bacha. Dźwięk był soczysty, preludium brzmiało idealnie czysto. Następnie Sophie zapuściła się w allemande i poczuła przenikające duszę bachowskie tony. Nieświadoma niczego prócz muzyki, przefrunęła lekko przez poszczególne części utworu, dochodząc do końca pierwszej suity, jakby budziła się z jakiegoś transu.

Nastała cisza, uroczysta i absolutna, a potem tłum eksplodował salwą braw. Wyrazy uznania przeciągnęły się aż do pierwszych taktów następnej suity. Po niej reakcja widowni była identyczna. Sophie grała Bacha pięknie, z maestrią, jaką niewielu artystów potrafi wnieść do sztuki. A kiedy dotarła do samego końca, tłum dosłownie oniemiał ze zdumienia, aby po raz ostatni eksplodować salwą braw. Mężczyźni i kobiety pospołu zrywali się z miejsc, wołając: *Brava!*

Sophie powoli uniosła się i wyprostowała przed swoim krzesłem. Czuła, że łyzy euforii ściskają ją za gardło. Kapała się okrzykach powszechnego uznania tak jak zawsze na zakończenie swojego występu. Ten jednak był zupełnie inny. Udowodniła samej sobie, co potrafiła.

Sophie skierowała wzrok na sufit i uśmiechnęła się przez łyzy. *Dziękuję ci, mamo. Teraz możesz być ze mnie dumna.*

Wróciwszy spojrzeniem do sali, zauważyła Megan Robertson stojącą wśród wiwatów i rozglądającą się dokoła z głupią miną. Sophie nie patrzyła na Megan ani z tryumfem, ani z litością. Jedynie z poczuciem wolności.

Już dawno twierdziła, że pragnie wolności, że nie chce być zamknięta w klatce - ani przez socjetę, ani przez Graysona. Zrozumiała, że właśnie odzyskuje wolność. Wyma-

rzoną wolność od tego, co było. Przestało ją więzić wspomnienie ją o Nilesie Prescottcie. W tym momencie uświadomiła sobie, że naprawdę jest wolna. Ciężar przeszłość nigdy już jej nie przygniecie.

W takim razie Sophie usiadła na krześle ponownie.

Po sali przetoczył się szmer niepokoju. Widzowie deliberowali, co też Sophie zamierza zrobić. A potem sami usiedli z powrotem na swoich miejscach, ciesząc się na bis.

Sophie trzymała instrument przy biodrze, dając publiczności czas na ucieszenie wrzawy. Czekwała na to z szaloną radością, upajała się każdą chwilą jak najszlachetniejszym winem. A potem wciągnęła wiolonczelę między nogi niczym swego kochanka.

Boston wstrzymał oddech, ale Sophie wcale się tym nie przejęła. Zagra tak, jak grała w Europie. Doszła do wniosku, że jeśli miasto nie pokocha jej za to, kim była naprawdę, za wszystkie cechy, jakie w sobie miała, to znaczy, że nie kocha jej wcale. Po pierwszym takcie melodyjki *Zimne serce* Sophie miała głowę odrzuconą do tyłu, smyczek śmigał tam i z powrotem po strunach, a każdą komórkę jej ciała wypełniała namiętność, jaką odczuwała do muzyki. Dźwięk akordów i skoczne tony spowiły każdego mężczyznę i każdą kobietę na sali z intensywnością pierwotnego tańca. A kiedy oderwała zamasyście smyczek od strun i ognista czerwień na policzkach Sophie dała świadectwo o jej nadludzkim wysiłku oraz wielkiej radości, publiczność zamieniła się w słup soli.

Nie spodobało im się. Sophie to czuła. Ale to naprawdę było bez znaczenia. Pewnego dnia i tak dowiedzieliby się, jakiego rodzaju koncerty dawała w Europie. Lepiej, aby prawda wyszła od niej, kiedy zmaszała już swoją hańbę.

Ale gdy wstała i skierowała się za kulisy, ktoś na sali zaczął bić brawo. Tylko jedna, jedyna osoba, dźwięk był dość głośny, lecz rozchodził się zimnym echem wśród milczącej publiczności. Sophie spojrzała pod światło i serce podskoczyło jej do

gardła na widok ojca, który stał samotnie przed krzesłem i z dumnie wypiętą piersią klaskał w dłonie. Patrice siedziała na swoim miejscu jak skamieniała. Megan miała na twarzy nie tylko wyraz zakłopotania, ale i tryumfu, jakby wylazło sztydoło z worka i czas ostatecznie przyznał rację jej.

Raptem ze swego krzesła powstał Niles Prescott i przyłączywszy się do Conrada Wentwortha, zaczął gorąco oklaskiwać jego córkę, wyrażając uznanie dla jej talentu.

Tym razem Sophie zamieniła się w słup soli ze zdumienia.

Lecz po chwili następna osoba zaczęła klaskać, a potem jeszcze jedna i jak fala morska powoli nabierająca tempa cała sala eksplodowała na koniec nową salwą wiwatów. Sophie zrozumiała wówczas, że wreszcie osiągnęła sukces - i to na jej warunkach. Zdobyła szacunek w swoim rodzinnym mieście. Nie zepchnęła przeszłości w niebyt, tylko zawarła z nią pokój.

Potem za kulisami zaroiły się od ludzi, a ich entuzjastyczne okrzyki dolatywały do uszu Sophie wszystkie naraz. Nie zabrakło Margaret. Deandra i Henry serdecznie Sophie uściaskali, a jej ojciec powiedział, że jest z niej dumny. Lecz jak zawsze Sophie w tłumie szukała wzrokiem Graysona.

Serce jej tapnęło z niepokoju, kiedy nie zdołała go wypatrzeć. Czyżby wyszedł w trakcie koncertu zde gustowany tym, co zobaczył?

Ale naraz się pojawił, dziwnym trafem wszedł na scenę z przeciwnej strony. Przewiercał Sophie swoimi oczyma i jak zwykle jego widok zapierał jej dech w piersiach.

Co on sobie wyobrażał?

Raptem się uśmiechnął, a jego ciemne oczy nie kryły już jego uczuć.

Sadząc wielkimi krokami, przeszedł przez całą garderobę, wyższy i silniejszy od wszystkich. Ale nie odpowiedział nikomu, kto do niego zagadał. Całą uwagę koncentrował na Sophie, wpatrując się w nią natężonym wzrokiem.

- Byłaś niewiarygodna - powiedział, chwytając ją za rękę i całując w dłoń.

Sophie patrzyła na Graysona z całą miłością, jaka płonąła w jej sercu.

- Musiałam to zrobić. Musiałam się przekonać, z jakiej gliny jestem naprawdę ulepiona.

Grayson przycisnął jej dłoń do swej piersi.

- Mogłem ci to powiedzieć. Z siły, godności i poświęcenia. Poza tym masz w sobie pokłady miłości, której nikt, ktokolwiek jej zaznał, nie zapomni już nigdy.

Sophie roześmiała się, duszę jej przepełniała niezmacona radość.

- Sam już kiedyś o niej zapomniałeś.

- Być może - przyznał z powagą w swych ciemnych oczach - ale wszyscy, którzy cię kochają, zawsze odnajdują drogę do ciebie. Tak jak ja. I jak ktoś jeszcze.

Oczy Sophie rozszerzyły się z ciekawości.

- Co takiego? Kto?

Zamiast odpowiedzieć, Grayson poprowadził Sophie przez tłum tą samą drogą, którą przyszedł, a potem zaciągnął ją na drugi koniec sceny, skąd zapewne oglądał koncert. Gdy tylko znaleźli się w rogu, Sophie stanęła jak wryta.

- Słodka! - zawołała.

A potem rozpłakała się i zalewając się łzami, pobiegła w stronę suki. Wzięła ją w objęcia mimo swoich klejnotów i eleganckiej sukni.

- Gdzie ją znalazłeś?

- Ona znalazła ciebie. Kiedy wyszedłem z Łabędziej Gracji na koncert, Słodka siedziała na frontowych schodach razem z chłopcem, który ją od ciebie odebrał. Podobno suka ciągle próbuje do ciebie wrócić, więc sam ją przyprowadził. Żadne z nas nie potrafi cię zapomnieć, Sophie. Ani Słodka, ani te tłumy. Ani zwłaszcza ja.

Grayson schylił się i podciągnął Sophie ku sobie, ujmując jej twarz swymi dużymi dłońmi.

- Kocham cię, Sophie Wentworth. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wynagrodzić ci każdą krzywdę, jakiej

doznałaś. Zaczniemy od tego, że nie musisz się już więcej trapić Nilesem Prescottem.

- Co zrobiłeś? - sapnęła Sophie.

- Facet został poinformowany, że będzie musiał poszukać sobie nowego zajęcia, i to obywając się bez referencji.

- Och, Graysonie, niepotrzebnie to zrobiłeś. W końcu Prescott oklaskiwał mnie jako jedynego poza moim ojcem.

- Nie bądź dla niego zbyt wyrozumiała. Facet zasługuje na znacznie gorszą karę - odparł chłodno Grayson. Po chwili odzyskał dobry humor i wyszczerzył zęby. - A teraz zacznę starać się o twoje względy, Sophie Wentworth. Pokażę ci, jak wiele dla mnie znaczysz. Będę cię zabierał na pikniki, komplementował twoje stroje, obsypywał cię prezentami i kwiatami i...

- Kochany, słodki Graysonie - szepnęła Sophie. - Nie potrzebuję tego wszystkiego. Potrzebuję tylko ciebie.

A więc Grayson ją pocałował, długo i bez pośpiechu.

- Czy to znaczy, że uczynisz mi ten honor i zostaniesz moją żoną?

Sophie przygryzła wargę.

- A gdybym chciała nadal koncertować?

- Pojadę wszędzie, gdziekolwiek będziesz grała.

Zmarszczyła nos.

- A gdybym chciała nosić sukienki z głębokim dekoltem?

- To będę musiał znajdować się pod ręką, żeby odganiać zalotników.

- A gdybym...

- Koniec z gdybaniem. - Grayson przesunął dłońmi wzdłuż ramion Sophie, a potem chwycił jej dłonie i gorąckowo spojrzął na nią błyszczącymi oczyma. - Ja cię kocham, Sophie, za to, jaka jesteś, i za wszystko, co robisz. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Życie będzie nam się idealnie układało w Łabędziej Gracji albo w jakimś innym domu, który z radością dla ciebie wybuduję. Zatrzymamy Słodką, a ta twoja hałastra darmozjadów będzie nam wszędzie towarzyszyć.

Zaskoczona Sophie rozchyliła usta, gwałtownie nabierając powietrza do płuc.

- To znaczy, że pozwolisz zostać i Margaret, i Dean-drze, i Henry'emu?

- Sam ich namówię, jeśli tego chcesz. Gwałtem potrzebuję dobrej sekretarki, odkąd wygoniłaś moją dawną. - Grayson parsknął śmiechem. - Poza tym nie mógłbym sobie wyobrazić lepszej osoby niż Deandra do uratowania tego, co pozostało jeszcze z mojej kariery.

Z okrzykiem radości Sophie objęła ramionami jego silne ciało.

- Och, Graysonie, kocham cię nad życie.

- To obiecuj, że wyjdiesz za mnie. Obiecuj, że nigdy więcej ode mnie nie uciekniesz. - Grayson odsunął Sophie na długość ramienia i popatrzył jej głęboko w oczy. - Potrzebuję cię, Sophie, nie dlatego, że jesteś moją słabością, jak kiedyś myślałem, ale dlatego, że jesteś moją siłą.

Dusza Sophie wypełniła się uczuciem radości.

- Jesteśmy dwiema połówkami jednej całości i dopełniamy się nawzajem. A zatem tak, wyjdę za ciebie. I zamieszkamy w Łabędziej Gracji, tak jak wymarzyłam sobie przed laty.

Grayson pocałował Sophie w czoło, a potem mocno przytulił do serca.

- Świetnie, a więc chodźmy do domu. Mamy tam pokój muzyczny, który prosi się o nową tapetę.